

RACHAEL LIPPINCOTT,  
WSPÓŁAUTORKA  
BESTSELLERU

TRZY KROKI  
OD SIEBIE



# ONA i ONA

Rachael Lippincott    Alyson Derrick

must read

Rachael Lippincott  
Alyson Derrick



Tłumaczył Maciej Potulny

**must read**

## Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1. Alex

Rozdział 2. Molly

Rozdział 3. Alex

Rozdział 4. Molly

Rozdział 5. Alex

Rozdział 6. Molly

Rozdział 7. Alex

Rozdział 8. Molly

Rozdział 9. Alex

Rozdział 10. Molly

Rozdział 11. Alex

Rozdział 12. Molly

Rozdział 13. Alex

Rozdział 14. Molly

Rozdział 15. Alex

Rozdział 16. Molly

Rozdział 17. Alex

Rozdział 18. Molly

Rozdział 19. Alex

Rozdział 20. Molly

Rozdział 21. Alex

Rozdział 22. Molly

Rozdział 23. Alex

Rozdział 24. Molly

Rozdział 25. Alex

Rozdział 26. Molly

Rozdział 27. Alex

Rozdział 28. Molly

Rozdział 29. Alex

Rozdział 30. Molly

Rozdział 31. Alex

Rozdział 32. Molly

Rozdział 33. Alex

Rozdział 34. Molly

Rozdział 35. Alex

Rozdział 36. Molly

Rozdział 37. Alex

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału

**SHE GETS THE GIRL**

Copyright © 2022 by Rachael Lippincott and Alyson Derrick

Copyright © 2022 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Published by arrangement with Simon & Schuster Books for Young Readers, An imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

Jacket illustration © 2022 by Poppy Magda

Jacket design by Lizzy Bromley © 2022 by Simon & Schuster, Inc.

Skład, łamanie i opracowanie polskiej wersji okładki

Radosław Stępniaak

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.

Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

ISBN 978-83-8265-345-8

Must Read jest imprintem wydawnictwa

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Konwersja: eLitera s.c.

*To książka dla nas*

*R.L. & A.D.*

## ROZDZIAŁ 1

# ALEX

Wszyscy co do jednego są wpatrzeni w Natalie Ramirez.

Hipster tulący butelkę IPA, jakby to był jego pierworodny. Dziewczyna w spranym T-shircie z logo Nirvany, po którym nawet z daleka widać, że został kupiony w Urban Outfitters. Barman Brendan, zbyt rozkojarzony, by zauważyć, że właśnie przyrządził aż dwa rummy z colą bez kropli rumu. Żaden z nich nie odrywa wzroku od sceny.

Kończę wycierać kółka wilgoci pokrywające bar i przerzucając przez ramię biały ręcznik, wyciągam szyję nad morzem głów, żeby mieć lepszy widok.

Światła ze sceny rzucają na salę dziwny purpurowy blask. Twarz Natalie otacza lilio-wo-fioletowy kontur, a jej długie czarne włosy lśnią głębokim burgundem. Patrząc na jej dłonie – wędrują w górę i w dół wzdłuż gryfu gitary, na który ona ani razu nie zerknęła, zna każdy próg, a opuszki jej palców tworzą jedność ze strunami.

Bo podczas gdy wszystkie oczy są wpatrzone w Natalie Ramirez, ona patrzy tylko na mnie.

Uśmiecha się do mnie ukradkiem. W ten sam sposób, który sprawił, że pięć miesięcy temu, kiedy jej zespół wystąpił pierwszy raz w Koślawym Króliku, w moim brzuchu wzbijała się chmara motyli.

To był najlepszy występ, jaki widziałam w ciągu trzech lat mojej pracy w tym barze. Nasz lokal jest mały, więc gościliśmy w nim sporą liczbę naśladowczyń Alanis Morissette i niedzielnych artystów grających covery. W ubiegłym tygodniu mieliśmy tu faceta, który wyskoczył z ekscentryczną imitacją Neutral Milk Hotel i bitą godzinę grał na pile, produkując tak zgrzytliwe dźwięki, że wszyscy oprócz moich współpracowników i jego dziewczyny czym prędzej się ulotnili.

Szczerze mówiąc, za sprawą muzyki wątpliwej jakości, wariackich godzin pracy oraz stawki godzinowej odbiegającej od ideału obsługa naszego baru dość często się zmienia. Sama odeszłabym już dawno, lecz... moja mama potrzebuje pieniędzy na czynsz. Zresztą ja też, bo wyjeżdżam na studia.

Ale to chyba dobrze. Bo gdybym zrezygnowała z pracy, nie byłoby mnie na zmianie tamtego wieczoru przed pięcioma miesiącami ani nie mogłabym teraz łowić z za baru spojrzeń Natalie Ramirez.

Czuję ucisk w żołądku, kiedy dociera do mnie, że odtąd przez jakiś czas nie będę słuchała jej koncertów, i chociaż staram się pozbyć tego uczucia, ono dalej mnie prześladowuje. Trwa, kiedy ostatni raz żegnaliśmy się z barwną zbieraniną współpracowników, którzy w dni szkolne pozwalali

mi w pracy przygotowywać się do studiów. Trwa, kiedy czekam na Natalie, żeby odbębnić obo-  
wiązkowe drinki za kulisami przed pierwszą trasą koncertową jej zespołu, która zaczyna się  
w przyszłym tygodniu. Trwa, gdy wreszcie obie wymykamy się z imprezy, żeby spędzić mój  
ostatni wieczór w domu, czyli właśnie tam, gdzie najbardziej chcę go spędzić.

Z nią.

Ledwo zamykają się za nami drzwi jej zagraconego mieszkania w dzielnicy Manayunk,  
a już Natalie mnie całuje, jej usta zaś, jak po każdym koncercie, mają smak pizzy z serem i cie-  
płego piwa.

Wszystkie rzeczy zlewają się ze sobą – zsuwane w pośpiechu conversy, dłonie prześlizgu-  
jące się po mojej talii, kiedy Natalie podciąga mój czarny T-shirt, nasze gorączkowe zataczanie  
się po czterech kątach, do których ona uciekła po ubiegłorocznej maturze w Central High, szkole  
publicznej znajdującej się na końcu miasta przeciwległym do mojej szkoły.

To miejsce przez całe lato stanowiło też moją kryjówkę, więc prowadzę nas bezbłędnie  
po wytartym drewnianym parkiecie do jej pokoju, lawirując między instrumentami należącymi  
do innych członków zespołu, kartkami z zapisem nutowym utworów oraz walającymi się  
wszędzie butami. Sprężyny jej łóżka skrzypią, kiedy wpadamy w rozkopaną pościel, a drzwi za-  
mykają się ze stukiem za nami.

Ta chwila jest pełna wigoru, wręcz doskonała, ale uczucie, które już przedtem mnie prze-  
śladowało, nadal ciąży mi w piersi. Nie da się nie myśleć o autobusie, który rano wywiezie mnie  
do college’u. Nie mogę ignorować głosu niepewności, docierającego do mnie na myśl o opusz-  
czeniu miejsca, w którym spędziłam całe dotychczasowe życie. Ani mamy, która na drugim ko-  
ńcu miasta zapewne już otwiera drugą litrową butelkę tequili po tym, jak przez całe popołudnie  
wypominała mi, że chcę od niej odejść, tak samo jak odszedł od nas tata.

Ale przede wszystkim chcę się w końcu zdecydować na rozmowę, której do tej pory uni-  
kałam. Rozmowę o tym, jak moim zdaniem będzie wyglądać przyszłość naszego związku na od-  
ległość.

Skupiam uwagę na dotyku skóry Natalie pod opuszkami moich palców, na jej ciele zespo-  
lonym z moim, i zbieram się na odwagę, by się odsunąć i wreszcie powiedzieć, co mam na myśli,  
lecz nagle słyszę jej cichy szept, ulotny niczym oddech na moich wargach:

– Kocham cię.

Przyciągam ją do siebie, wtulam się w nią tak mocno, że ledwo dociera do mnie treść jej  
słów. Jestem tak pochłonięta tym, co chcę powiedzieć, że niemal odwzajemniam jej wyznanie.

A nawet bardziej niż niemal. Moje usta same układają się, by powiedzieć:

– Ko...

Zaraz, zaraz.

Otwieram gwałtownie oczy, serce wali mi w piersi, wzdrygam się, bo te dwa słowa przy-  
wołują strumień wspomnień o chwilach zupełnie innych niż ta.

Rzucanie talerzami i wrzaski. Tata pochylający się, by powiedzieć: „Kocham cię”, a po-  
tem wsiadający do samochodu, by odjechać i zacząć nowe życie.

Życie beze mnie. W którym nigdy więcej się nie pojawi ani się do mnie nie odezwie.

Przecież nie mogę sama ich teraz wypowiedzieć. Nie w tej sytuacji. Nie, kiedy to ja wyje-  
żdżam.

Widzę pytający wyraz jej twarzy oświetlonej blaskiem żółtej latarni za oknem, więc by  
zamaskować tę nagłą reakcję obronną, czym prędzej przesuwam palcami wzdłuż czarnego paska  
jej stanika.

– Ko... niecznie muszę jeszcze posłuchać tej nowej piosenki, którą dzisiaj zagraliście –  
szepczę, usilnie starając się zamaskować słowa, które niemal padły z moich ust.

Znowu ją całuję, tym razem namiętniej – w sposób, który zwykle ucina każdą rozmowę. Jednak to, co powiedziała, wisi w powietrzu, snuje się nad nami niczym gęsta mgła.

– Alex – mówi Natalie, odrywając wargi od moich ust.

Przygląda się mojej twarzy, zdaje się czegoś szukać wzrokiem.

– Tak? – pytam, unikając jej spojrzenia, gdy patrzę na palce Natalie splecione z moimi oraz na jej paznokcie pomalowane luszczącym się czarnym lakierem.

– Czasami... – Natalie wzdycha przeciągle. – Czasami się zastanawiam, czym w ogóle dla ciebie jest nasz związek.

Odsuwam się i patrzę na nią spod przymkniętych powiek – w końcu prosto w oczy.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że mój zespół rusza w trasę. Ty jutro wyjeżdżasz do college'u. Będziesz aż w Pittsburghu.

Mówiąc to, siada i związuje swoje czarne włosy w kok, co stanowi wyraźny znak, że magiczna chwila się oddała. I to szybko.

Następuje długa pauza. Widzę po Natalie, że nadal szuka odpowiedzi. Wciąż czeka, aż powiem słowa, które chce usłyszeć.

– To nasza ostatnia noc, a ja chciałabym wiedzieć, na czym stoimy. Czy coś dla ciebie znacze? Czy to przetrwa na odległość i czy nie zapomnisz o mnie, kiedy zaczniesz się spotykać z innymi ludźmi? Czy nie jestem jedynie...

No dobra.

– Natalie. – Przytulam się do niej. – Właśnie chciałam z tobą o tym porozmawiać. Ja...

Mój telefon wpada w głośne wibracje na białej pościeli między nami, a ekran rozjaśnia się i ukazuje wiadomość od Megan Baker, zaśmieconą mnóstwem mrugających emotek. Sam SMS brzmi: Puść mi strzałkę, o ile tu w ogóle wrócisz!

Natalie zaciska powieki, jest teraz zła, jakby poznała odpowiedź, ale nie tę, którą chciała usłyszeć.

– Megan Baker? Ta laska, co brzdąka na trójkacie w cover bandzie Fleetwood Mac? Naprawdę, Alex?

– Natalie – mówię i wyciągam do niej rękę. – Daj spokój, to nie...

– Nie – odpowiada Natalie, odsuwa moją dłoń i wstaje, zaciskając szczękę. Widzę, że jej piwne oczy błyszczą, a łzy w każdej chwili mogą wytrysnąć z kącików. – To takie... typowe. Takie, kurwa, typowe. Próbuję się do ciebie zbliżyć, a ty wyskakujesz z czymś takim. Spotykamy się od pięciu miesięcy, ale na żadnym etapie nie mogłam ci zaufać.

– Natalie, daj spokój. Już to przerabialiśmy. Poszłam na jakieś trzy randki. Maksymalnie cztery. Myślałam, że między nami coś się popsuło. Że wszystko skończone. – Przerzucam nogi nad brzegiem łóżka i wstaję. Sytuacja wygląda bardzo znajomo, jest dokładnie tak, jak nie chciałam, by się to odbyło. – I tylko jedna z nich była z Megan. Ona nic dla mnie nie znaczy.

– Jak mam ci ufać po twoim wyjeździe do Pittsburgha, jeśli dostajesz takie SMS-y, nawet kiedy mieszkamy w tym samym mieście? – pyta, patrząc na mnie ze złością.

– To znaczy jakie? – Prycham i zwracam telefon ekranem ku Natalie. – Życzyła mi szerokiej drogi, a ja jedynie jej podziękowałam. Potem to ona...

– Po prostu przyznaj, Alex, że niemożliwe jest dla ciebie prowadzenie rozmowy bez flirtowania. Widziałam, jak dzisiaj podczas mojego występu zagadywałaś tę dziewczynę przy barze. To dlatego odmówiłaś, kiedy w ubiegłym miesiącu poprosiłam cię, żebyś zmieniła swoje plany i pojechała z nami w trasę. Dlatego unikasz każdej rozmowy o tym, co będzie po twoim wyjeździe. Wolisz sobie poflirtować w Pittsburghu, niż zbudować prawdziwy związek. – Potrząsa głową, głos jej się załamuje, kiedy odwraca się do okna. – Dla ciebie zawsze jestem na dalszym



planie. Nigdy nie angażujesz się na sto procent.

Zalewa mnie znana mi aż za dobrze fala wyrzutów sumienia. Z powodu tych kilku randek, na które poszłam na samym początku naszego związku, oraz za wszystkie okazje, przy których być może przekroczyłam granicę dzielącą rozmowę od flirtu, stojąc za barem w Koślawym Króliku.

Ale naprawdę się angażuję. Przez całą szkołę średnią z nikim nie chodziłam tak, jak z Natalie. Ze wszystkimi utrzymywałam niezobowiązujące relacje, bo... cóż, nie chciałam, żeby odkryły prawdę. Tę prawdę o mnie, którą ukrywam przed światem. Życie rodzinne w rozsypce i mama zbyt pijana, żeby podnieść tyłek i zająć się przynajmniej samą sobą, nie wspominając już o mnie.

Jednak z Natalie jest inaczej.

Z nią jest inaczej, odkąd po trzeciej randce chciała mi zrobić niespodziankę, więc odwiedziła mnie bez zapowiedzi, żeby wyciągnąć mnie z domu, i zastała na ganku mamę pijaną do nieprzytomności. Całe dwa tygodnie unikałam jej ze wstydu i zażenowania, umawiałam się na randki z kimś innym pewna, że po czymś takim Natalie bynajmniej nie będzie chciała utrzymywać ze mną znajomości, ale... ona nie zrezygnowała. Jest jedyną osobą, która zbliżyła się do mnie tak bardzo, żeby poznać prawdę i mimo to zostać, wiedząc o moim bagażu doświadczeń i całej reszcie.

Teraz jednak jej głos brzmi zimno, gdy wypowiada kolejne słowa. Jest obcy.

– Może i twój telefon jest pełen numerów, ale ostatecznie poza mną nie masz nikogo. Jesteś sama.

Jestem zaskoczona. Klóciłyśmy się wcześniej, ale jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

– Sama? To absurdalne.

– Czyżby? Przyjaciele. Partnerki. Każdego odpychasz od siebie, jeśli za bardzo się zbliży. To cud, że ja wciąż jestem przy tobie! Chodzimy ze sobą od pięciu miesięcy, a nawet nie poznałam żadnego z twoich przyjaciół. Jedynie były miłośniki. Bo nie masz nikogo oprócz nich, Alex. Ty w ogóle nie masz przyjaciół. – Obraca się i patrzy wprost na mnie. – Ja tu jestem i zależy mi na tobie. Wspierałam cię przez cały czas, kiedy miałaś w domu piekło z powodu twojej mamy, chociaż wszyscy inni cię olali. Niewiele brakowało, żebyś też powiedziała: „Kocham cię”. Słyszałam to, Alex – mówi. – Ale ugryzłaś się w język. Dlaczego?

– No bo... Nie wiem. Po prostu...

Plączę się. Nie wiem, jak jej powiedzieć, że postąpiłam tak, bo to coś więcej, niż się spodziewałam.

– Dobra, Alex – mówi Natalie, krzyżując ręce na piersi. – Dam ci jeszcze jedną szansę. Powiedz mi, co czujesz. Powiedz, że ty też mnie kochasz.

Przyparła mnie do muru i jest tego świadoma. Dlaczego to robi?

– Natalie, posłuchaj, ja...

Mój głos milknie.

– No ładnie. – Natalie głośno wypuszcza z płuc powietrze i potrząsa głową. – Czasami wydaje mi się, że naprawdę skończysz jak twoja mama.

Stoję przed nią w szoku. Ze wszystkich ludzi ona najlepiej wie, że to cios poniżej pasa. Że nic na świecie nie przeraża mnie bardziej niż ta wizja.

Próbuję odzyskać równowagę, lecz pokój zdaje się coraz mniejszy, ciaśniejszy, czuję ucisk w płucach, kiedy staram się nabrać powietrza, a kolejne wspomnienia wypływają na powierzchnię. Moi rodzice wrzeszczący na siebie przez całą długość domu. Brzęk szkła roztrzaskującego się na milion kawałków. Zderzak samochodu taty znikający w oddali.

I po raz pierwszy od pięciu miesięcy czuję potrzebę ucieczki, tak samo jak za każdym poprzednim razem.

Sięgam po T-shirt i ze złością wkładam go z powrotem.

– Myślisz, że wszystko wiesz, tak? Pytasz, co czuję, Natalie? – Kipią we mnie strach i wściekłość. Wydostają się na powierzchnię. – Czuję, że gównem o mnie wiesz.

– A czyja to wina?

Długo mierzymy się wzrokiem. Jej pierś unosi się ciężko, linie obojczyka nabierają ostrości.

– Wyjdź! – Natalie mówi w końcu cicho.

Nawet nie staram się walczyć.

– Z przyjemnością – odpowiadam, przywołując na twarz drwiący uśmiech, jakbym nic sobie z tego nie robiła.

Znam to uczucie i czuję do siebie wstręt.

Przepycham się koło niej za drzwi sypialni, podnoszę z ziemi moją płócienną torbę, zarzucam ją na ramię i gniewnymi ruchami wpycham stopy w buty. Zapiętek się podwija do środka, więc świdruję piętą i kostką, żeby go rozprostować, jednocześnie szarpiąc za klamkę drzwi wejściowych.

Ostatni raz posyłam Natalie wściekle spojrzenie i łapię uchwyt mojej walizki. Już nie widzę ani śladu po delikatnym uśmiechu, którym wieczorem obdarzała mnie ze sceny, a motyle, których chmary wzlatywały pięć miesięcy temu i za każdym razem, kiedy oglądałam jej występ, leżą martwe. Z całą siłą, na jaką mnie stać, oraz z impetem, który na pewno wkurzy starszą panią Hampshire mieszkającą dwoje drzwi dalej, zatrząskuję za sobą drzwi.

Kręci mi się w głowie, kiedy zbiegam po nierównych schodach, a walizka hałaśliwie toczy się za mną. Pcham drzwi i wybiegam na ulicę. Próbuję się uspokoić, ale ciepłe powietrze drugiej połowy sierpnia jedynie wywołuje we mnie jeszcze większą złość.

Jest środek nocy, a temperatura ani trochę nie spada.

Idę gniewna jak burza w kierunku przecznicy, a kiedy skręcam w Main Street, niemal wpadam na grupę ciem barowych, które zlewają się w jedną plamę twarzy, kształtów i kolorów. Zerkam w bok i zwalniam kroku, widząc małą kafejkę, do której poszliśmy na pierwszą randkę i rozmawialiśmy o jej zespole – Cereal Killers – o mojej nadchodzącej maturze oraz o naszych ulubionych miejscach w mieście.

Do kafejki przylega tania restauracja, w której przesiadywałyśmy co sobotę w narożnym boksie, całując się ukradkiem między kęsami naleśników większych niż ludzka głowa.

Jutro rano poszłybyśmy tam znowu, ale teraz...

Zwieszam głowę i odwracam wzrok, a gniew ustępuje czemuś innemu. Poczuciu straty – tych sobót w restauracji, tej nocy, którą mogliśmy spędzić razem, i tej dziewczyny, która trwała przy mnie, chociaż wiedziała o mnie wszystko, co najgorsze. Nieważne nawet, że właśnie rzuciła mi to w twarz.

Gdy docieram do stacji SEPTA, czuję wielki ciężar w piersi. Siadam bezwładnie na ławce i wyciągam telefon. Wyświetlacz rozjaśnia się i wskazuje... pierwszą w nocy.

Pierwsza w nocy? Cholera. Autobus mam dopiero o ósmej.

A do domu... nie mogę jechać. Nie mogę spędzić kolejnej nocy, zbierając mamę z podłogi, gdy ona będzie mnie krytykować za to, że od niej odeszłam. Boję się, że jeśli wrócę, to już nigdy się stamtąd nie wyrwę.

Wobec tego gdzie, do diabła, mam...

Mój wzrok pada na SMS-a od Megan.

Może... warto spróbować? Ona po wakacjach zaczyna drugi rok na uniwerku Temple,

a jej nowy akademik znajduje się dość blisko przystanku.

Stukam palcem w wiadomość, a potem w ikonkę słuchawki i wstrzymując oddech, słucham dźwięku dzwonka.

– Halo?

– Hej, Megan – mówię, czując, że zalewa mnie fala ulgi, kiedy słyszę jej głos. – Mogę wpaść?

– Och. – Słyszę ledwo wyczuwalną zmianę w jej głosie. – Miałabyś wielkiego pecha, gdybyś... wpadła.

Skręca mnie w środku z żenady. Jezu. Nic dziwnego, że Natalie wściekła się po tym, jak poszłam z kimś takim na randkę.

– Bo wiesz, ja, ee... – mówię, przekładając telefon do drugiej ręki. – Myślałam, żeby po prostu, rozumiesz... przekimać, bo mam autobus dopiero jutro o ósmej rano, ale...

Ale... właściwie co mam do stracenia? Z Natalie wszystko się pochrzało. A Megan przecież nie liczy na poważny związek. Czy naprawdę byłoby aż tak źle zapomnieć o wszystkim na jedną noc?

– Och – wtrąca szybko Megan, nie dając mi czasu na wycofanie się. – Pewnie, że mogłabyś, ale, eee... moja współlokatorka jest chora.

– Julie? – Marszczę brwi. – Dopiero co widziałam ją na koncercie Natalie. Wyglądała na...

– Tak, ona chyba... wydaje mi się, że złapała coś już po koncercie – mówi i dodaje stłumionym głosem, jakby udawała, że zwraca się do współlokatorki: – Że co, Julie? Wymiotujesz? Już pędzę ci pomóc!

Wow, ta dziewczyna naprawdę nie umie kłamać.

– Alex! Muszę lecieć – mówi, kończąc swój jednoosobowy występ.

Rozłączam się, zanim powie coś jeszcze, żeby oszczędzić jej konieczności odgrywania tej scenki choćby sekundę dłużej.

Wzdychając, rozwijam spis kontaktów i przesuwam go, szukając kogoś innego, do kogo mogłabym zadzwonić. Pod samą literą A mam kilometrową listę nazwisk. Natalie mogła mieć rację co do Megan, ale to nie znaczy, że nie znam miliona innych osób, u których mogłabym przemocować.

Przebiegam wzrokiem kolejne pozycje, zatrzymując się przy pojedynczych imionach: Melissa, Ben, Mike. To jedynie współpracownicy, z którymi znajomość nigdy nie przerodziła się w nic więcej. Ludzie, których poznałam, stojąc za barem albo ucząc się w szkole. Każdy SMS, który zaczynam pisać, zostaje od razu skasowany, bo uświadamiam sobie, że... urwał mi się z nimi kontakt. Upłynęły miesiące od ostatniej wymiany wiadomości, bo to ja ignorowałam ich pytania albo propozycje spotkań, zbyt zajęta lekcjami albo opieką nad mamą, by znaleźć czas na cokolwiek ponadto.

Dociera do mnie też, że większość z nich to... przelotne sympatie. Albo też potencjalne przelotne sympatie, jak zauważyła to Natalie. Jest ich mnóstwo. Dziewczyny, z którymi flirtowałam jedynie, by sprawdzić, co z tego wyniknie, wiedząc, że na pewno nie zaangażowałabym się na dłużej niż chwilę. Wiedząc, że nigdy nie stworzę czegoś trwalszego niż tymczasowy związek.

Przy niektórych numerach nawet nie ma imion.

Brązowe włosy. Starbucks.

Piegi. Pizzeria.

Mam dziesięć takich kontaktów. Może więcej. Uogólniony opis dziewczyny plus miejsce, w którym ją poznałam.

Przewijam dalej, aż wreszcie obraz na wyświetlaczu lekko podryguje, dotarłszy do końca

listy. Nie ma na niej żadnego człowieka, do którego mogłabym zatelefonować o pierwszej w nocy. Mogę jedynie pójść na dworzec Greyhounda, żeby tam przesiedzieć siedem godzin do odjazdu autobusu.

„Jesteś sama”. Przychodzi mi na myśl twarz Natalie. Jej twardy wzrok zasnuwa mgłą moje oczy.

No ale... przecież miałam na głowie mamę. Zresztą zamierzałam stąd wyjechać. Do Pittsburgha. Wiedziałam, że już nigdy nie spotkam się z żadnym z tych ludzi. Oczywiście poluzowałam więzy towarzyskie. Z przypadkowymi znajomymi, miłośkami i koleżankami, z którymi naprawdę nigdy nie rozmawiałam poza szkołą, starając się jak najlepiej ukrywać moje prywatne życie.

Jedyną osobą, której trzymałam się dłużej, była ona. Aż do dzisiaj.

Czuję powiew gorącego powietrza, kiedy kolejka z głośnym zgrzytem zatrzymuje się przede mną. Apatycznie człapię do wagonu i siadam na siedzeniu obitym niebieską tapicerką. Wspieram łokcie na kolanach, zaciskam powieki i pocieram twarz. Słowa krążą mi po głowie, a zawarta w nich prawda niespodziewanie mnie ogłusza.

Natalie miała rację. Przejrzała mnie lepiej, niż sama zdołałam siebie poznać.

Wyznała mi miłość, a mnie coś powstrzymało przed odwzajemnieniem tych słów. Poprosiła, żebym chociaż jednym słowem dała jej odczuć, ile dla mnie znaczy, a ja nie umiałam się na to zdobyć.

Nie byłam zdolna po prostu powiedzieć jej o tym, że sobotnie poranki w jej towarzystwie są dla mnie najważniejszymi chwilami każdego tygodnia. O tym, że teksty jej piosenek przemawiają do mnie tak, jak żaden inny utwór do tej pory, a kiedy oglądałam jej występy, czuję się... lekka, bo w tych rzadkich chwilach nie przygniata mnie żaden ciężar. Nie umiałam jej powiedzieć, jaka jestem wdzięczna za to, że od kilku miesięcy mam na kogo liczyć w całym tym bałaganie z mamą.

Nie jestem pewna, czy mogłabym wsiąść do jutrzejszego autobusu na uczelnię, gdybym nie zawdzięczała tak wiele jej pomocy.

Jednak nie powiedziałam jej tego. Niczego nie powiedziałam. Wszystko spieprzyłam, bo Natalie poprosiła mnie o gwiazdkę z nieba, a ja jeszcze nie mogłam jej tego dać.

Jest pierwszą osobą w moim życiu, z którą nie chcę się żegnać, a tymczasem właśnie nawiewam.

Co jest ze mną nie tak?

Z trudnością przełykam gulę rosnącą w moim gardle. Wspierając głowę o szybę, patrzę, jak Filadelfia przemyka za oknem, i rozumiem, że muszę coś zmienić.

Nie wiem, jak to naprawić, ale mam na rozmyślanie całą drogę do Pittsburgha.

## ROZDZIAŁ 2

# MOLLY

Oj.

Budzę się, łapiąc z trudem oddech, kiedy wiekowy labrador wpada całym ciężarem swoich pięćdziesięciu kilogramów na moje łóżko, a jego wielka, żółta łapa wbija mi się w nerkę.

– Leonard, złaż!

Staram się obniżyć głos o kilka oktaw, ale bez skutku. Ten pies słucha jedynie mojego taty. Przez następne pięć minut atakuje mnie oślizgłymi całuskami i tratuje każdy z moich narządów wewnętrznych, aż w końcu skacze z powrotem na podłogę zadowolony ze swojego dzieła.

Takich pobudek na pewno nie będzie mi brakować.

No, w każdym razie nie za bardzo.

Ścierając z twarzy psią ślinę, obmacuję szafkę nocną w poszukiwaniu telefonu, ale moja dłoń łąduje na stosie świeżo podpisanych segregatorów, które wczoraj wieczorem przygotowałam sobie na nowy rok akademicki. Nic nie może się równać z takim spokojnym, cichym wieczorem – tylko ja i moja drukarka naklejek na zeszyty.

Sięgam jeszcze dalej, żeby odpiąć telefon od kabla ładowarki. A potem po raz dziesięciotysięczny od początku lata szukam na Twitterze profilu Cory Myers, uważając, żeby przypadkiem nie dotknąć przycisku: Obserwuj.

Wczoraj zasnęłam o wpół do dziesiątej, jak co dzień, więc przegapiłam wysłany później tweet: „Od jutra oficjalnie będę panterą! #hail2pitt”.

Ogarnia mnie fala mdłości, ale jednocześnie na twarzy pojawia się uśmiech. Przyciskam telefon do piersi.

„To już dzisiaj”.

Upłynęły trzy miesiące od ukończenia szkoły średniej.

Osiemdziesiąt siedem dni, odkąd ostatni raz widziałam Corę.

Żeby było jasne: wcale nie idę do tego college’u ze względu na nią. Mniej więcej połowa uczniów mojej szkoły wybiera się do Pitt. Po prostu tak się składa, że obie należymy do tej połowy.

No i... jeśli chcesz wiedzieć, to ze wszech miar wygląda jak przeznaczenie. Jakby los w końcu zrobił mi przysługę, by zrekompensować gówniane cztery lata.

W wakacje naprawdę starałam się zająć umysł innymi rzeczami, ale kiedy poznajesz taką dziewczynę jak Cora Myers, nie da się myśleć o niczym innym.

Może „poznajesz” to niewłaściwe słowo, lecz nie mogę wybić jej sobie z głowy, odkąd

w pierwszej klasie weszła do naszej sali w tym swoim czerwonym aksamitnym płaszczu w stylu retro i za dużych żółtych wojskowych butach, które kompletnie nie pasowały do reszty stroju.

Ale mnie i tak się podobały.

Zresztą nie tylko mnie.

Jej energia działała jak magnes. Ludzie w naturalny sposób do niej lgnęli na początku każdej lekcji, na korytarzach oraz po szkole, lecz zdawało się, że ta popularność nie uderzyła jej do głowy. Cora Myers wobec nikogo nie zachowywała się wrednie, nie zamykała się na znajomości i zawsze była sobą, bez względu na to, w którym towarzystwie się znajdowała. Sprawiała wrażenie, że umie rozmawiać o wszystkim i ze wszystkimi.

Nie żeby rozmawiała kiedykolwiek ze mną, ale z odległości dwóch rzędów w klasie wiele można podsłuchać.

Nie chodzi o to, że nie chciałam z nią rozmawiać. Ja po prostu nie mam swobody otwierania się przed ludźmi. Nie jestem zbyt dobra w zdobywaniu przyjaciół. Kiedy poświęcasz tyle czasu co ja główkowaniu, co by tu powiedzieć i jak to wyrazić, a i tak wszystko wychodzi inaczej, to już łatwiej nic nie mówić.

Jednak w tym roku nie muszę być tą cichą Molly Parker zżeraną przez stres w sytuacjach towarzyskich. W Pitt wszystko może się zmienić.

To przecież college. Świeży start, szansa na wymyślenie się od nowa. Ludzie zawsze powtarzają, że w college'u wszystko zmienia się na lepsze, i muszę w to wierzyć. Niemożliwe, by życie nie oferowało nic więcej.

Musi być lepiej.

Nie sądzę, żebym wytrzymała kolejne cztery lata takich...

Łup!

Ciężkie pudło ląduje na kafelkach w kuchni, dźwięk dochodzi przez deski w podłodze.

„Mamo”.

Mimo że wczoraj przed snem powtórzyłam jej milion razy, że wszystko, czego potrzebuję, już znajduje się w samochodzie, wiem bez cienia wątpliwości, że pakuje dla mnie więcej bombetli. Jeżeli nie zejdę do niej w tej chwili, załaduje cały dom do bagażnika swojego SUV-a.

Biorę głęboki oddech, a potem zeskakuję z łóżka i zbiegam po schodach, pokonując po dwa stopnie na raz. Za zakrętem korytarza widzę, że mama miota się po kuchni, otwierając i zamykając wszystkie szuflady oraz drzwiczki w zasięgu, na który pozwala jej półtora metra wzrostu. Jej sięgające podbródka włosy koloru pieprzu z solą są spięte czarną klamrą.

– Cholera, gdzie ona się podziała? – mamrocze tak bardzo pochłonięta szukaniem Bóg wie czego, że mnie nie zauważa.

Słyszę szelest papieru, obracam się i widzę w kąciku śniadaniowym piwne oczy taty wpatrzone we mnie nad płachtą „Pittsburgh Post-Gazette”.

W ich kącikach pojawiają się drobne zmarszczki jak zawsze, kiedy się uśmiecha.

– Cieszę się, że już wstałaś. – Ledwo powstrzymuje chichot, myśląc o tym, co zamierza powiedzieć. – Właśnie się zastanawialiśmy, czy nie iść cię obrócić, żebyś nie dostała odleżyn.

Absolutny klasyk porannych tekstów Charliego Parkera.

– Dopiero w pół do dziewiątej – mówię ze znudzoną miną.

Śmianie się z jego żartów może go jedynie zachęcić do dalszych wygłupów.

– Molly!

Błyskawiczny uśmiech zastępuje zatroskany wyraz twarzy mamy, gdy w końcu przerywa poszukiwania i mnie dostrzega. Niesforne kosmyki włosów sterczą dokoła jej okrągłej twarzy, kiedy podchodzi pospiesznie, żeby mnie przytulić. Obiema rękami: jedna wyżej, druga niżej, bo w przeciwnym razie będzie chciała to powtórzyć, dochodząc do wniosku, że za pierwszym razem

coś jej nie pasowało. Zachowuje się tak, jakbym szła na wojnę, ale chociaż miażdży mnie niemal tak samo jak Leonard, trudno mi udawać, że nie będę za tym tęsknić.

Kiedy uwalnia mnie z uścisku, podchodzę do kontuaru, zamykając po drodze kilka szafek i zasuwając biodrem szufladę. Mojej manii organizowania i porządkowania na pewno nie odziedziczyłam po mamie.

– Co ty wyprawiasz? – pytam.

– Mówiłem jej, żeby dała sobie spokój – wtrąca tata, nie odrywając wzroku od gazety.

– Ech, Charlie, rozwiążuj dalej swoje szarady. – Mama macha ręką w jego kierunku i idzie przez kuchnię, żeby otworzyć kolejną szafkę. – Szykuję dla ciebie kilka dodatkowych rzeczy. Jeszcze tylko trzepaczka do jajek i to wszystko, ale nie mogę znaleźć tej drugiej – mówi.

– Mamo – mówię tak stanowczo, jak to możliwe. – Nie potrzebuję trzepaczki.

– Każdy potrzebuje trzepaczki – odpowiada takim tonem, jakby mówiła o muszli klozetowej albo czymś w tym rodzaju.

– Do czego mi trzepaczka w akademiku? – pytam z nadzieją, że to pytanie doda naszej porannej wymianie zdań nieco logiki, lecz mama jakby nigdy nic przetrząsa dalej zawartość wszystkich szafek.

Pochyliłam się i otwieram karton, który mama zapełnia. Jego zawartość budzi co najmniej konsternację – rolka folii aluminiowej, zszywacz wygrzebany z szuflady z rzadko używanymi rzeczami, szpatułka, dwa otwieracze do puszek, patelnia teflonowa.

– Mamo, ja tego nie potrzebuję – mówię, kładąc dłoń na jej ramieniu, by ją powstrzymać przed otwarciem kolejnej szafki.

– A co zrobisz, jeśli się okaże, że jednak potrzebujesz? – pyta nieco drżącym głosem. – Co jeśli będziesz czegoś potrzebowała i nie będziesz mieć tego pod ręką? Co jeśli zgłodniejesz w środku nocy i...

– Wtedy będę musiała sama coś wymyślić.

Odciągam ją od szuflady i obracam przodem do mnie. Mama patrzy na mnie zapłakanymi oczami.

– Proszę, nie wyjeżdżaj – mówi, chociaż wcale tak nie myśli, a przynajmniej stara się tak nie myśleć.

– Mamo, jakoś to przeżyję – zapewniam.

Bardzo dbam, żeby mój głos brzmiał reżolutniej, niż naprawdę się czuję.

– Ale ja nie – odpowiada, śmiejąc się nieszczerze.

Przytulam ją jeszcze raz, bo chociaż wiem, jak żałośnie to brzmi... jest moją najlepszą przyjaciółką. Nigdy nie mówimy o sobie w taki sposób, ale kiedy ktoś jest ci tak bliski, nie trzeba tego nazywać. Przez cały czas nauki w liceum była moją najlepszą przyjaciółką. Jedyłą, jeśli mam być szczerą.

Teraz jednak mam ją pożegnać – osobę, która podczas tego wszystkiego trwała u mojego boku. Zdaje się, że to zadanie ponad moje siły, lecz zdecydowałam, że w tym roku wszystko ulegnie zmianie. Muszę się trochę usamodzielnąć.

Ona też musi mi na to pozwolić.

– Molly, za godzinę wyjeżdżamy. Obawiam się, że jeśli będziemy zwlekać, mama sama spakuje się do jednego z tych kartonów – mówi tata, a mama rzuca w niego kuchennym ręcznikiem.

Godzinę później już jesteśmy w drodze do Pitt. Tata zgłosił się na ochotnika, żeby dostarczyć na miejsce mój samochód, więc siedzę w SUV-ie tylko z mamą i już zaczynam tego żałować, bo mama sprawia wrażenie, jakby zamierzała wskazać mi po drodze każdą napotkaną znajomą rzecz. Moją były szkołę, kino, skatepark przy autostradzie, na którym spędziłam mnóstwo

wieczorów, jeżdżąc z moim bratem Noahem. Odwracam wzrok, bo z powodu tylu wspomnień cała ta wyprowadzka staje się jeszcze trudniejsza.

Na szczęście, gdy docieramy do celu, nie mam czasu o tym rozmyślać, bo na kampusie trwa prawdziwe szaleństwo. Wszystkie bagaże w zasięgu wzroku są pootwierane, a lodówki, łóżka i inne meble z Ikei wylewają się aż na ulicę. Chodniki są pełne rodziców, którzy bezskutecznie próbują zapanować nad swoim młodszym potomstwem. Jakaś dziewczyna w bluzie z logo Pitt traci kontrolę nad wózkiem do transportu mebli i patrzy przerażona, jak ten wpada z impetem na zaparkowany w pobliżu samochód. Potem z kolei ja patrzę z przerażeniem, jak dziewczyna niby nigdy nic odchodzi w przeciwnym kierunku. Po czymś takim decydujemy, że tata odprowadzi mój samochód na parking dla studentów, a potem zostanie przy SUV-ie, by go pilnować.

– Cześć! Witamy w Pitt. – Chłopak z nienagannie ufrizowanymi włosami pozdrawia mnie, kiedy wchodzę z uwieszoną na moim ramieniu mamą na dziedziniec. – Mogę ci pomóc się zameldować – mówi, prowadząc mnie do stołu.

Podaję mu wszystkie wymagane informacje, on zaś wręcza mi torebkę z pakietem powitalnym oraz legitymację studencką opatrzoną okropnie prześwietloną fotografią, którą zrobiono mi latem podczas dnia otwartego.

– Skąd się dowiemy, z kim ona zamieszka w akademiku? – pyta mama, podchodząc do stołu.

– Och. – Chłopak marszczy brwi. – Powinniście już dawno dostać e-mail z tą informacją.

Ale... przecież obsesyjnie odświeżałam wiadomości przez całe wakacje, więc nie mogłam mi umknąć ten e-mail. Prawda? Czuję w żołądku gwałtowny ucisk, ale nie chcę być już od początku zaszufładowana jako „ten typ”.

– Aha, w porządku, sprawdzę jeszcze raz – mówię.

– Jest jakiś sposób, żeby pan to sprawdził? Ona nie dostała e-maila – wtrąca mama, a mnie od razu cierpieć skóra.

Mogłaby raz pozwolić mi samej załatwić sprawę.

– Mamo, nic się nie stało – szepczę ukradkiem. – Wszystko się wyjaśni, kiedy już tam pójde. Poza tym Noah wkrótce tu będzie, prawda?

Dziękuję studentowi i odciągam mamę od stołu. Na szczęście moje ostatnie słowa skutecznie odwracają jej uwagę.

– Powiedział, że przyjedzie rowerem i... spotka się z nami na dziedzińcu... To jest ten dziedziniec? – upewnia się.

Kiwam głową i rozglądając się, patrzę na cztery jednakowe budynki akademików, wśród których szukam... o, jest... Holland Hall.

– Pobiegnę zobaczyć mój pokój. Zaraz wrócę – mówię, ale szybko okazuje się, że ona i tak depcze mi po piętach. – Mamo, może lepiej tu zostać i wypatruj Noaha?

Przyspieszam, nie czekając na jej odpowiedź. Właściwie to chyba wolałabym, żeby była przy mnie, kiedy po raz pierwszy zobaczę ten pokój, ale napominam się co chwila, że teraz wszystko ma wyglądać inaczej. A jeżeli ma być inaczej, to nie mogę ciągnąć ze sobą mamy na pierwsze spotkanie z moją współlokatorką.

Oba skrzydła drzwi zostały otwarte i przepływa przez nie w tę i z powrotem nieprzerwany strumień dziewczyn. Wygląda na to, że winda długo będzie zajęta, więc wbiegam pięcioma ciągami schodów na piętro do mojego pokoju i zatrzymuję się przed samymi drzwiami, żeby złapać oddech oraz trochę się ogarnąć.

„Pierwsze wrażenie, Molly. Nowa ty. Dasz sobie radę. Wystarczy powiedzieć: »Cześć, jestem Molly«”.

Głęboki wdech.



Pcham drzwi, spodziewając się ujrzeć współlokatorkę, ale wita mnie widok, który sprawia, że ramiona opadają mi do samej podłogi.

– To jakiś żart – szepczę do siebie, rozglądając się po ciasnej klitce.

Jedno łóżko. Jedno biurko. Chociaż to był mój najmniej pożądany wybór. Chociaż wyraźnie prosiłam o dowolną inną opcję, byle nie to.

Pokój jednoosobowy.

Jakby nie dość trudno było mi poznać nowych ludzi – teraz w dodatku muszę mieszkać w jednoosobowej celi. Wchodzę i patrzę dokoła. Słyszę inne dziewczyny przechodzące korytarzem, które omawiają ze swoimi współlokatorkami, co gdzie ma stać i która będzie spała po której stronie.

– Hej, Moll, gdzie ci to postawić?

Głos dobiegający zza moich pleców sprawia, że na chwilę zapominam o trudnym położeniu. Obracam się i widzę wielką stertę kartonów blokującą cały korytarz oraz parę muskularnych nóg wystających z dołu, uginających się pod ciężarem niemal całego dobytku, jaki posiadam.

– Hej, Noah. – Jego widok sprawia, że jest mi nieco lżej. – Wiesz, że mają do tego specjalne wózki?

Wskakuję na owinięty folią materac, żeby go przepuścić. Noah wchodzi i upuszcza z kilkanaście głuchymi łąknięciami wszystko na podłogę. Wyrównuje oddech, zapierając się dłońmi o kolana.

– Mam tu dwa wózki, które świetnie się sprawdzają – mówi, klepiąc się po bicepsach. Przewracam teatralnie oczami. – Poza tym od czego są starsi bracia? – pyta z figlarnym uśmiechem, a potem podchodzi, żeby mnie objąć.

– Charlie, przestań deptać mi po piętach! – rozbrzmiewa w korytarzu echem głos mamy, któremu towarzyszy śmiech wypełniający tę pustą przestrzeń.

Oboje obracamy się do drzwi w chwili, w której nasi rodzice pojawiają się z wózkiem wypełnionym kolejną porcją moich rzeczy.

Uśmiech mamy gaśnie, gdy rozgląda się po pokoju.

– Przydzielili ci jedynekę – mówi, a kąci jej ust opadają.

– Szczęściara, nie? Co ja bym dał, żeby mieć jedynekę w college’u – mówi Noah, siadając na moim biurku.

– No właśnie, fajnie, Molly. Masz tu swój własny kącik – dodaje tata.

Patrzę na mamę – jedyną osobę, która ma jakiegokolwiek pojęcie, co to dla mnie oznacza. Jedyną osobę, która wie, że to była moja jedyna realna szansa na dobry start w studenckim życiu towarzyskim.

Odwracam wzrok, zanim cokolwiek powie, bo rozmawianie o tym może jedynie pogorszyć moje samopoczucie. Rzucam się więc w wir pracy. Organizuję. Czyli zajmuję się tym, co uwielbiam robić.

Noah z tatą przynoszą kolejne dostawy, a mama i ja układamy kolejne rzeczy na właściwych miejscach. Staram się nie myśleć o tych wszystkich rzeczach, które chciałam robić z moją współlokatorką. O wieczorach, które miałyśmy spędzać, siedząc na łóżku i plotkując o ekscytujących sprawach dziejących się w naszym życiu, albo o wyprawach o północy do sklepu po słynne na cały Pitt gofry i lody, o których tyle słyszałam od Noaha. Próbuję ignorować fakt, że miałam urządzać pokój z nią, a nie z mamą.

– No więc tak sobie myślę – mówi mama, siedząc koło mnie na podłodze i składając od nowa część T-shirtów – że mogłabyś zamówić jakieś jedzenie z dostawą i zaprosić koleżanki z piętra na wspólny wieczór.

Robi, co może, żeby jej głos brzmiał optymistycznie, ale zbyt dobrze ją znam, by nie do-

strzec współczucia w jej oczach.

– Każda z nich będzie zajęta poznawaniem się ze współlokatorkami. Nie znam tu nikogo, kogo mogłabym zaprosić – odpowiadam, spuszczać wzrok ku koszulce, którą składam.

– A Cora? – Mama szturcha mnie figlarnie w bok. – Może ona jest wolna?

– Możemy o tym teraz nie rozmawiać? Zajmijmy się składaniem – mówię, ale mama nie daje za wygraną. Jako najlepsza przyjaciółka wie też jak nikt inny na świecie, w jaki sposób zależeć mi za skórę, i zdaje się, że dzisiaj przejawia ku temu wyjątkową skłonność.

– Wyślij jej SMS-a z pytaniem, czy chce coś dzisiaj z tobą porobić.

– Mamo – mówię surowym tonem, zwracając się twarzą do niej. – Nie mogę jej ot tak zapytać, czy chce coś ze mną porobić, okej? To po prostu... – Wzdycham z bezsilną złością i podnoszę telefon, by udawać, że piszę SMS-a: Hej, Cora. W ogóle mnie nie znasz, a ja nawet nie mam twojego numeru, ale chodziłyśmy do tej samej szkoły i właściwie to jestem w tobie zakochana.

– Dlaczego sądzisz, że to niemożliwe? Jestem pewna, że ktoś z twoich znajomych ma jej numer. Ta druga część może się zdawać nieco zbyt bezpośrednia, ale... – W końcu odpuszcza i chichocze. – Co ja tam wiem?

– Boże. – Trącam ją ramieniem, a ona kiwa się jak wańka-wstańka. – Naprawdę doprowadzasz mnie do szału.

– Ja tylko staram się pomóc. Przecież wiesz, prawda? – Potakuję. – Okej, zatem jeżeli Cora odpada, to może ja wpadnę jutro i pójdziemy razem na zakupy czy coś w tym rodzaju?

– Mamo... – Milknę na chwilę, żeby poukładać myśli i upewnić się, że powiem to, co trzeba. Wstyd mi, że najchętniej przystałabym na jej propozycję. To zaś podpowiada mi, że muszę wybrać inną opcję. Nie chciałabym jednak za bardzo ranić jej uczuć. – Powinnam się postarać, żeby w college'u było inaczej. Rozumiesz? – Unoszę głowę, chcąc popatrzeć jej w oczy. – Tak czy inaczej będzie mi wystarczająco trudno wymyślić, jak to osiągnąć. Jeżeli wciąż będziesz mnie odwiedzać, to nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się poznać innych ludzi. A nie zniosę, po prostu nie zniosę kolejnych czterech takich lat.

Mama wygląda na nieco urażoną, ale przede wszystkim na zawstydzoną.

– Wiem. Wiem. Przepraszam. – Obejmuje się mocno ramionami. – Dam ci trochę własnej przestrzeni – mówi. Mrużę oczy, nie dowierzając, że naprawdę byłaby do tego zdolna. – No przysięgam! – dopowiada, wyciągając ku mnie mały palec dłoni i w końcu doprowadzając mnie do śmiechu.

– Dobrze. Przynajmniej na jakiś czas. – Splatam mój mały palec z jej palcem.

– No dobra, to już mamy wszystko – stwierdza tata, stając w drzwiach z Noahem. – Jak sądzisz, Beth? – pyta.

Już?

Wszystko wydarzyło się zbyt szybko. Dopiero co mówiłam o tym, jak bardzo chciałabym coś zmienić. Ale... niekoniecznie właśnie w tej chwili.

Łzy wzbierają mi pod powiekami, kiedy zawisa nad nami pożegnanie, którego cały dzień się bałam.

Mama stęka, wstając z podłogi, i rozprostowuje nogi.

– Myślę, że wszystko załatwione, Molly. Chyba że jeszcze potrzebujesz pomocy przy składaniu ubrań?

Zerka na mnie tak, jakby usilnie starała się dostosować do mojej wcześniejszej prośby, ale było to całkowicie sprzeczne z jej uczuciami.

Załamię się do reszty, jeżeli będziemy przedłużać nasze pożegnanie bardziej niż to konieczne.

– Możesz iść z nimi. Poradzę sobie – mówię, wskazując stertę ubrań.

– Na pewno? – pyta.

Bynajmniej. Jednak zamiast tego mówię:

– Absolutnie.

Ściskam krótko tatę, wiedząc, że on nie lubi, gdy widzę, jak puszcza mu emocje. Mimo to trudno nie zauważyć, jak walczy ze sobą – jak otwiera szeroko oczy, by nie płakać.

– Fajnie, że jesteś w mieście – mówi Noah z uśmiechem i przyciąga mnie do siebie, ściskając po bratersku jedną ręką. Naprawdę się cieszę, że zawsze będzie w pobliżu. – Zadzwoń, kiedy będziesz miała ochotę się spotkać. Aha, i wiesz co, Molly? – dodaje, już stojąc w drzwiach.

– Zamyka drzwi tylko ten, kto śpi. – Otwiera na oścież drzwi mojego pokoju, a potem idzie z tatą na koniec korytarza.

Myślałby kto, że do nawiązania znajomości wystarczy otworzyć drzwi. No, ale dla niego chyba jest to takie łatwe. Mojemu bratu wszystko przychodzi łatwo – przyjaźnie, sukcesy w sporcie. Jakimś cudem wybrano go królem studniówki. No wiesz... pokaż mi inną małomiasteczkową szkołę w Pensylwanii, w której Azjata został królem studniówki. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają.

Zamykam oczy i nabieram powietrza głęboko do płuc. Mama obraca się przodem do mnie.

– Zobaczysz, że z czasem wszystko się ułoży – mówi, dotykając mojego policzka.

Robię ku niej krok, przytulam się i tym razem ściskam ją bardzo mocno.

– Okej – szepczę, chociaż w tej chwili wcale w to nie wierzę.

– Okej. – Mama robi pauzę. Kiedy wypuszcza mnie z objęć, jej oddech drży. Wychodzi tyłem na korytarz. – Zadzwoń później. Kocham cię.


– Kocham cię – mówię i przygryzam policzek aż do krwi.

Mama znika za drzwiami, a ja się obracam, żeby popatrzeć na mój nowy dom. Znajome uczucie samotności wywołuje ucisk w mojej piersi, tyle że tym razem nie ma mamy, u której mogłabym szukać pocieszenia. Tutaj naprawdę jestem sama.

„Skup się na bieżących sprawach. Rozpakuj się. Poukładaj”.

Biorę głęboki wdech, ignorując gulę w gardle, i rozchylam zakładki ostatniego kartonu.

Wzrok mi się rozmazuje, kiedy sięgam do środka i wydaję metalową trzepaczkę do jajek z doczepioną kartką, na której widnieje starannie wykaligrafowany napis:

„Na wszelki wypadek  ”.

## ROZDZIAŁ 3

# ALEX

Kręci mi się w głowie, kiedy docieram do Pittsburgha. Dziesięciminutowa drzemka w autobusie Greyhounda to zdecydowanie za mało, żeby zresetować organizm, ale kto by tam myślał o spaniu, kiedy może się gapić siedem godzin przez okno, żałując każdej decyzji, którą w życiu podjął?

Bez względu na to, jak usilnie szukam rozwiązania, to po prostu... się nie udaje.

Natalie rzeczywiście mnie zna. Wie o wszystkim, co – jak sądziłam – udawało mi się ukrywać przed nią. I co utrzymywałam w tajemnicy sama przed sobą. I naprawdę mnie kocha.

Nigdy przedtem nic takiego mnie nie spotkało.

Sądzę, że właśnie dlatego bardzo chcę się zaangażować w ten związek. Kompletnie. Zamiast uciec i zostawić ją na środku drogi tak jak mój tata. Zamiast trzymać ją na dystans i pozwolić, żeby uczucie wygasło jak w przypadku wszystkich innych moich związków.

Stukam w wyświetlacz, żeby zatrzymać *Pretty Games*, piosenkę Cereal Killers, dzięki której zespół kilka miesięcy temu podpisał kontrakt z pewnym niezależnym studiem, i po raz milionowy sprawdzam SMS-y, ale nadal nie dostałam odpowiedzi na pytanie, czy możemy porozmawiać, zadane, kiedy wsiadłam do autobusu. Żadnych nieodebranych połączeń. Natalie nawet nie zajrzała do mojej historii na Instagramie.

Tym razem dałam dupy po całości. Jej milczenie jeszcze nigdy nie trwało tak długo.

To coś o wiele gorszego niż inne sprzeczki o moje flirty, oziębłość emocjonalną albo taki czy inny SMS otrzymany przy wspólnym śniadaniu.

No bo... to, co wczoraj od niej usłyszałam – oraz to, co sama powiedziałam... To było gorsze niż reakcja na dziesięć nowych numerów telefonu od różnych dziewczyn podczas jednej zmiany w Koślawym Króliku.

Wzdycham i milionowy raz zerkam na Google Maps, by się upewnić, że zostały tylko dwa przystanki, a potem wysiadam z publicznego autobusu o dziwnie wzorzystych siedzeniach, od których materiału szczypią mnie uda. Przesuwam się na brzeg siedzenia i patrzę przez okno na ogromny kamienny gmach majaczący w oddali. W jasnym popołudniowym słońcu jego szare cegły zdają się niemal białe.

Świątynia Wiedzy, czterdziestodwupiętrowy główny budynek kampusu Pitt.

Naprawdę tu jestem. Oficjalnie. Jako studentka. Na kilka sekund myśli o Natalie schodzą na dalszy plan.

Niemal czuję, że nawet oddychać mogę w inny sposób niż do tej pory.

Nie do wiary, że mi się udało. Nie do wiary, że naprawdę to osiągnęłam. Wyrwałam się.

Tego pragnęłam. Sposobu na coś więcej niż egzystencja z dnia na dzień. Tego, by w końcu martwić się jedynie o siebie.

No... przynajmniej przede wszystkim.

Instynktownie zerkam na telefon i widzę, że mama nie odpisała na SMS-y, które wysłałam do niej z podróży. To żadna nowość. Mimo to czuję mdlącą niepewność, bo teraz nie mam możliwości pognać do domu, żeby sprawdzić, czy ona wciąż oddycha.

Chowam telefon do kieszeni, kiedy autobus hamuje z szarpnięciem, a potem zbieram bagaż i idę chwiejnym krokiem między rzędami siedzeń. Dziękuję kierowcy i wysiadam przy Atwood Street, podobno cztery przecznice od mieszkania studenckiego, które znalazłam na Craigslist. Mrużąc oczy przed słońcem, obracam głowę w lewo i prawo.

Od razu uderza mnie różnica między tym miastem i Filadelfią. Jest takie małe! Rozumiem, że nie jesteśmy w centrum Pittsburgha, ale... zdecydowanie chwilę potrwa, zanim się przyzwyczaję. Wszystko – budynki, liczba ludzi na chodnikach, sklepy ciągnące się wzdłuż ulic – wygląda tak, jakby ktoś wziął moje rodzinne miasto i zmniejszył w nim wszystko o połowę. A potem tę połowę zmniejszył o połowę jeszcze z dziesięć razy.

Idę za wskazówkami Google Maps do przecznicy, mijając po drodze Starbucksa, Rite Aid oraz meksykański spożywczak – i doznaję szoku, widząc swoje odbicie w szklanej witrynie. Wyglądam tak, jakby autobus mnie potracił, a nie przywiózł tutaj.

Jasne włosy mam związane w bezładny kok, z którego wystają cienkie kosmyki. Mój T-shirt jest wymięty, jakbym rok trzymała go w suszarce. Zwykle perfekcyjna kreska dokoła oczu jest z jakiegoś powodu kompletnie niewidoczna na prawej powiece, chociaż na lewej zdaje się nienaruszona. Jak to w ogóle możliwe?

Czym prędzej wyciągam gumkę do włosów, przeczesuję palcami włosy i zmazuję tusz z umalowanego oka, po czym światło przede mną zmienia się na zielone.

Z mojego telefonu dochodzi bzyczenie. Niemal upuszczam komórkę na ulicę, kiedy pośpiesznie, niezdarnie unoszę ją do oczu, mając nadzieję, że zobaczę na ekranie wiadomość od Natalie.

Jednak to SMS od mamy. Nie do wiary, ale okazuje się, że właśnie odpisała na jeden z moich SMS-ów.

Dotarłaś?

Mdłości od razu mijają, o ile nie liczyć reakcji na sterczące kosmyki i asymetryczny makijaż. Zatem jedna noc za mną. Zwalniam koło wypełnionego po brzegi kosza na śmieci przy skrzyżowaniu ulic i nagle mój wzrok pada na jaskrawoczerwone drzwi z naklejonym na nich numerem 530 ułożonym z rdzewiejących srebrzystych cyfr. To ten adres, który znalazłam przed miesiącem w ogłoszeniu STUDENTKI PITT POSZUKUJĄCEJ WSPÓŁLOKATORKI.

Oczywiście ogłoszenie ukazywało jedynie dobre strony tego miejsca.

Moja nowa współlokatorka Heather Larkin na bank użyła snapchatowego filtra upiększającego, pisząc o tej dziurze. Teraz wyraźnie widać ukryte ropnie i worki pod oczami pod postacią łuszczącej się farby i popękanych cegieł.

Niewiele się to jednak różni od mojego domu w Filadelfii, więc za bardzo się nie przejmuję.

Odpisuję mamie:

Tak. Już jestem na miejscu.

Po chwili podchodzę i mrużąc oczy, patrzę na starodawny panel domofonu zamocowanego na murze. Ostrożnie, żeby nie dotknąć odsłoniętych przewodów, przyciskam dzwonek mieszkania 3A – w każdym razie mam nadzieję, że to właściwy przycisk. Z głośniczka dobiega długi sygnał, a potem rozlega się trzeszczenie i w końcu przytłumiony, ale szczebiotliwy głos.

– Już idę!

Kilka razy przeczesuję palcami włosy, próbuję zetrzeć jeszcze trochę kredki z oka i przywołuję na twarz uśmiech, kiedy drzwi się otwierają. Z uczuciem ulgi stwierdzam, że stoi w nich Heather Larkin o kręconych włosach, którą wyszukałam na zdjęciach w mediach społecznościowych, a nie psychopatyczny morderca z siekierą w ręce.

– Cześć! – mówi i wyciąga rękę. – Ty na pewno jesteś Alex.

– Tak. A ty to Heather, tak? Miło mi cię poznać. – Ściskając jej dłoń, dostrzegam starannie zadbane paznokcie. – Podobają mi się twoje paznokcie.

Heather uśmiecha się z wdzięcznością i wpuszcza mnie do środka. Ledwie mieścimy się obie w wąskiej sieni. Poplamiony chodnik jest przetarty i wystrzępiony, ze skrzynek pocztowych wysypują się listy, ale... nie śmierdzi kocimi sikami ani śmieciami. A to już chyba coś.

Ponadto tylko takie lokum udało mi się znaleźć w cenie niższej niż 500 dolarów na miesiąc z umeblowaniem – o wiele niższej niż mieszkania na terenie kampusu, bo tylko w ten sposób stać mnie na studiowanie oraz na zakup niebotycznie drogich „wydań specjalnych” podręczników.

Wchodzimy po schodach na drugie piętro, Heather cały czas mówi, a ja już na drugim ciągu schodów usilnie staram się nie zemdleć pod ciężarem mojej wielkiej walizy.

– Zaczynasz pierwszy rok, tak? Jesteś podekscytowana?

– Jasne, chyba tak – dyszę na kolejnym zakręcie schodów.

– Dlaczego zdecydowałaś się na studia akurat tutaj?

– Ze względu...du na dobry po...ziom medycyny. I na do...finanso...wanie. – Jezu, co ja mam w tej torbie? Cegły? – A poza tym wystarczająco daleko od domu, że... to już jakby inny stan – dodaję, poprawiając na ramieniu pasek płóciennej torby i biorąc sobie do serca uwagę Natalie, że powinnam otwierać się przed ludźmi nieco chętniej, niż zwykle to robię.

– Dziewczyno, dobrze cię rozumiem. – Heather zerka w tył i znacząco przewraca oczami, a po chwili zatrzymuje się przed poobijanymi białymi drzwiami. – Chciałam jechać na Uniwersytet Kolorado, ale... – Nie kończy, tylko pociera kciukiem o palec serdeczny i wskazujący.

Forsa. Mów mi jeszcze, dziewczyno.

Heather wkłada klucz do zamka i napiera na drzwi.

– Ale Pitt to dobra uczelnia. Spodoba ci się. Mój chłopak Jackson przyjechał tu na wymianę i mówi, że jest o wiele lepiej niż w Penn State, a to na pewno coś znaczy.

Uśmiecha się do mnie, kiedy idziemy korytarzem, a ja pokrzepiona odwzajemniam uśmiech.

Mieszkanie okazuje się zaskakująco przyjemne. Drewniane podłogi są nieco porysowane i schodzone, a na jednym z paneli pod sufitem widnieje złowieszczą brązowa plama, oznaczająca, że jeszcze w tym semestrze na pewno będzie stamtąd kapać, ale Heather oraz jej koleżanka, która obecnie podróżuje z plecakiem po Europie, urządziły sobie przytulne gniazdko.

Znajduje się tu szara sofa, która wygląda na wygodną, stolik z Ikei i słodkie sznury lampek zwisające pod sufitem oraz dokoła dużych okien. Na ścianach wiszą obrazki, kilka niewiele znaczących, lecz starannie wykaligrafowanych cytatów, trochę fotografii miasta, Świątynia Nauki oraz zdjęcie Heather z dużą grupą znajomych.

Kto wie? Może znów mi się udało?

– Twój pokój jest tuż za łazienką – mówi Heather, wskazując drzwi na końcu wąskiego korytarza.

Ledwie przeciskam się koło ciasnej wnęki kuchennej na korytarz, gdy nagle drzwi łazienki otwierają się na oścież i wpada na mnie ociekający wodą, bardzo półnagi i bardzo włochaty chłopak przepasany jedynie małym, białym ręcznikiem.

Zdecydowanie za małym białym ręcznikiem.

Wiem to, bo kiedy upadamy na podłogę, skąpe okrycie nie zasłania choćby jednego jego jądra. Czuję na udzie jego kształt – zupełnie jakbym przeniosła się w czasie do mojego pierwszego tańca w szkole średniej, podczas którego Matt Paloma próbował ocierać się o mnie z zapalem godnym lepszej sprawy.

– O Boże – mówię zszokowana, kiedy on spogląda mi prosto w oczy.

Widzę, że przygląda mi się w ten sam sposób, który widziałam w życiu setki tysięcy razy. Gapią się tak na mnie, odkąd w siódmej klasie weszłam w okres dojrzewania.

Wydostaję się z niezadowoloną miną spod chłopaka i oboje niezdarnie wstajemy z podłogi. Nagle... jakby cała sytuacja była nie dość krępująca, dostrzegam TO.

Jego erekcję.

Ukrywa ją pod mikroskopijnym ręcznikiem, ale bez skutku.

– No coś ty, Jackson! Poważnie? – pyta Heather i przeciska się koło mnie, żeby złapać go pod ramię.

Jackson. Jej chłopak.

Przywieram plecami do ściany, kiedy oni prześlizgują się obok. Heather ciągnie chłopaka przez pokój i tuż przed zatrzaśnięciem drzwi do swojej sypialni posyła mi wściekle spojrzenie. Jest zła na mnie! Jakbym to ja zawiniła, że mu stanął!

No to świetnie.

Wspieram głowę o ścianę i ciężko wzdycham. Moja szansa na nawiązanie fajnej przyjaźni właśnie przepadła. Niezły początek pierwszego roku studiów.

Otwieram drzwi na końcu korytarza i rozglądam się po pokoju. Stoi tam malutkie biurko. Malutka szafa. Niebieski podwójny materac pod oknem bez zasłon.

Upuszczam na podłogę bagaż, siadam na materacu i pocieram dłońmi twarz.

Nie mogę w to uwierzyć. Tyle lat marzyłam, by wyjechać, a teraz... chciałabym znaleźć się z powrotem w Filadelfii. Chciałabym być z Natalie w jej mieszkaniu i oglądać kolejny raz odcinki *Jess i chłopaków*, podczas gdy ona brzdąkałaby na gitarze, ćwicząc chwyt przed następnym koncertem, a skądś w tle dobiegałyby głosy krzątających się współlokatorów.

„Natalie”.

Wyjmuję z kieszeni telefon, siadam wyprostowana i rozwijam jej dane kontaktowe. Waham się z palcem nad ikonką słuchawki, walczę z ogarniającym mnie strachem przed nieudanymi przeprosinami.

– No dalej, Alex – szepczę. – Przede wszystkim dzięki temu tu jesteś.

Zmuszam się do stuknięcia w zieloną słuchawkę i wstrzymuję oddech, słuchając, jak dzwonek brzęczy i brzęczy.

Już mam się rozłączyć, lecz ona w końcu odbiera.

– Cześć.

– Hej! – wykrzykuję, przyjmując z uczuciem ulgi fakt, że odebrała, zamiast poczekać, aż włączy się poczta głosowa. – Co u ciebie?

– W porządku.

Oschła. Zła. Ale... przynajmniej odpowiada. To znaczy, że już mogła minąć jej faza karnia mnie milczeniem.

To zaś znaczy, że wciąż mam u niej szansę.

– Co dzisiaj robisz?

Przeciągam tę chwilę, myśląc o rzeczach, które zwykle robiłybyśmy w sobotę wieczorem, gdybym nie musiała pracować, a ona nie miałaby występu. Przeglądałybyśmy winyle w sklepie muzycznym. Czytałybyśmy na kocu w parku. Oglądałybyśmy razem film w jej mieszkaniu.

– Właśnie zamawiam jedzenie w Steggy's.

– Och... – Fala tęsknoty uderza mnie prosto w pierś. Ileż dałabym za to, żeby teraz być z nią w tej obskurnej dziurze i podjadać wielką górę nachos za siedem dolców.

Trudno sobie wyobrazić, że jest tam beze mnie, i... sama się sobie dziwię, jak bardzo ta myśl mnie uwiera. Mam przed oczami niedojedzoną porcję guacamole, która zostanie na jej talerzu. Tego samego guacamole, które zawsze udawało mi się od niej wydębic w zamian za *jalapeño*. Krążą mi po głowie rozmowy, które toczyłybyśmy o jej zespole i sprzedaży nowego albumu. Wiem, że trzymałaby mnie za rękę pod stołem, kiedy czekałybyśmy na nasze zamówienie. Nie miałaby nic przeciwko temu, żebym urwała się wcześniej, by sprawdzić, czy mama sobie radzi.

– Potrzebujesz czegoś, Alex, czy...?

– Nat, ja... – Walczę sama ze sobą, żeby wykrztusić te słowa. No dalej, Alex. – Ja po prostu... tęsknię za tobą.

Natalie prycha i niemal widzę, jak potrząsa głową.

– Zdawało mi się, że gówno wiem o tobie.

Auć. To nie był mój najlepszy występ.

– Nie miałam tego na myśli. Ja tylko...

– Alex, obie wiemy, że nie dzwonisz z tęsknoty, tylko dlatego, że nie masz nikogo innego.

– Nieprawda. To znaczy... właściwie prawda. Nie mam nikogo innego... nie mylisz się... ale nikogo innego nie chcę. Odkąd wyszłam z twojego domu, nie było sekundy, żebym o tobie nie myślała. O nas – poprawiam się, próbując przekuć w słowa wszystko, o czym myślałam w autobusie, i nazwać swoje uczucia, chociaż to niesamowicie trudne. – Słuchaj, ja... przepraszam cię za tamto. Przepraszam, że cię odtrąciłam i uciekłam, kiedy liczyłaś na coś więcej. Tak jak przedtem, gdy cię unikałam. Przepraszam, że nie dałam ci odczuć, iż jesteś jedyną ważną dziewczyną w moim życiu. Przepraszam za to, że kiedy wyznałaś mi miłość i prosiłaś mnie o szczerość, ja jedynie zmieniłam temat i zatrzasnęłam się przed tobą. – Biorę głęboki wdech. – Tym razem już nie chcę uciekać, Natalie. Nie chcę uciekać od ciebie.

Na drugim końcu linii trwa milczenie. Odsuwam telefon od ucha, żeby sprawdzić, czy się nie rozłączyła.

– Mówiłam szczerze – odzywa się w końcu. – Mówiłam szczerze, Alex. Kocham cię, ale... po prostu ci nie ufam. Nie umiem ci zaufać. Zwłaszcza, kiedy widzę, że tak często unikasz rozmowy ze mną. – Wzdycha ciężko. – Nie wspominając już o tym, że wczoraj w nocy od razu po wyjściu ode mnie dzwoniłaś do Megan. Wygadała się dziś rano, kiedy spotkałam ją w barze.

Pieprzona Megan.

– To nie tak! Zadzwoiłam do niej, bo nie miałam gdzie spać. – Podrywam się z materaca i zaczynam nerwowo chodzić w tę i z powrotem po pokoju. – Natalie. No coś ty. Proszę. Pozwól mi udowodnić, że umiem się zmienić. Pozwól mi udowodnić, że możesz mi ufać. Chcę sprawić, żeby nasz związek przetrwał nawet na odległość. Naprawdę.

Wczoraj w nocy nie miałam okazji, by jej to powiedzieć.

– No nie wiem. Nie ma cię tutaj. Skąd mam wiedzieć, co ty tam wyprawiasz? Jeżeli nie zdobyłaś się na powiedzenie „kocham cię”, to co cię powstrzyma przed zdradą? Właśnie dlatego chciałam, żebyś pojechała ze mną w trasę. – Bierze głęboki wdech, a kiedy wypowiada następne słowa, w jej głosie daje się słyszeć pytanie. – Wyjeżdżamy dopiero jutro...

Zaciskam powieki i przegarniam palcami włosy. Rozglądam się po obcym pokoju, patrzę na walizkę przy drzwiach, za którymi kręci się współlokatorka już mająca do mnie pretensje. W Filadelfii została mama, której pewno nie powinnam zostawiać na łaskę losu.

Ale... nie mogę. Nie chcę wracać. To moja szansa na życiową zmianę i nie mogę jej za-



przepaść.

– Natalie, zrobię dla ciebie wszystko – mówię. – Ale nie to.

Natalie milczy jakiś czas, a potem długo wypuszcza powietrze z płuc.

– Słuchaj. To miała być niespodzianka, ale potem zdarzyła się ta... Trzynastego września będę grać w Pittsburghu. – Serce skacze mi w piersi. – Domyślam się, że do tej pory pewnie zaliczysz już ze cztery dziewczyny, ale jeśli nie, to może pogadamy. – Milknie na chwilę. – Tak naprawdę pogadamy. O twoich uczuciach. O tym, czego ty naprawdę chcesz i czy da się utrzymać nasz związek na odległość.

Tak! Mogę nad tym popracować. Uda się.

– Natalie. Nie chcę nikogo innego. Nie poznam nikogo innego – obiecuję, żeby dodać jej wiary. – Chcę być tylko z tobą. Naprawdę. Okej?

– To się okaże, prawda? – Po chwili pauzy dodaje: – Mam nadzieję, że pokażesz mi, jak bardzo się mylę.

– Oczywiście – mówię i uśmiecham się z ulgą do siebie.

Ponadto zawsze lubiałam trudne wyzwania.

## ROZDZIAŁ 4

# MOLLY

Po tym, jak wczoraj zjadłam na kolację kubek tragicznie niedogotowanej zupki *ramen* z mikrofali, a dzisiaj na śniadanie uraczyłam się ciastkami Pop-Tart z brązowym cukrem, nie mogę już odkładać na później pójścia na lunch do stołówki.

Gdy wychodzę z windy do holu akademika, widzę przed sobą kobietę stojącą w drzwiach do świetlicy.

– Idziesz na zajęcia? – pyta.

Różowa szminka wyraźnie odcina się od jej cery.

– Um, nie. Ja tylko...

Wskazuję ręką na wyjście, ale ona już mówi dalej:

– Chodź. Będzie fajnie.

Naturalny uśmiech kobiety sprawia, że chcąc nie chcąc, wierzę jej.

Nie wiem, co to będzie, ale pewnie lepiej, żebym spróbowała kogoś poznać, zanim speszona zacznę się rozglądać po stołówce za stołem, przy którym dałoby się bezpiecznie usiąść i zjeść.

W świetlicy jest już mniej więcej czterdzieści osób siedzących na podłodze oraz stół zastawiony miskami pełnymi miętówek i mnóstwem bananów.

Dziwny dobór przekąsek, ale co mi tam.

Układam sobie w głowie szybki plan działania – zająć strategiczne miejsce gdzieś na środku – ten jednak szybko traci ważność, bo kiedy częstuję się bananem ze stołu, ktoś koło mnie parska zduszonym śmiechem. Tak więc decyduję, by przestępując nad tułowiami i wyciągniętymi nogami, przejść raczej do najdalszego kąta sali i usiąść tam zupełnie sama. „Brawo, doskonały start”.

Kiedy dwie kobiety z przodu sali wyjmują z płóciennej torby duże pudełko piłeczek ping-pongowych, jestem już pewna, że trafiłam na zajęcia przełamujące lody wśród nowych studentów. Nie ma co narzekać. Tego rodzaju akcje wymyślono dokładnie dla takich jak ja. To pewnie najlepszy sposób, żeby się zmusić do jakiejś interakcji z resztą ludzi. Chociaż, jeśli mam być szczerą, wołałabym z nimi zagrać w prawdziwego ping-ponga. To akurat umiem.

Kobiety przygotowują rekwizyty, a ja obieram banana i odgryzam kęs. Kątem oka dostrzegam chłopaka, który gapi się na mnie z drugiego końca sali.

Przyglądam się mu dokładniej i poznaję te jego zwichrzone włosy oraz obcisłe jeansy. Christopher Matthews, mój partner z warsztatów z angielskiego dla szczególnie uzdolnionych uczniów. Macham do niego, on zaś szepcze coś do siedzącego obok kolegi, a potem wstaje

i ostrożnie lawiruje w poprzek świetlicy w moim kierunku.

„Tylko spokojnie, Molly. Zachowuj się normalnie”.

To Chris. Na warsztatach rozmawiałam z nim niemal co dzień. Wszystko w porządku.

– Molly, co u ciebie? – szepcze, osuwając się po ścianie na podłogę koło mnie.

– Nic ciekawego – odpowiadam i szturcham się w myślach, by kontynuować tę rozmowę.

– A u ciebie?

– Zaciągnęli mnie tutaj kumple z piętra – mówi, zerkając na kilku chłopaków pod ścianą z boku, którzy śmieją się i poszturchują, jakby znali się od lat, a nie od dwudziestu czterech godzin.

– Wiem, ja też już nie mogę się doczekać, aż to się zacznie – mówię, a on tak dziwnie na mnie patrzy.

„Może to zły pomysł, by przyznawać się, że lubisz chodzić na obciachowe imprezy integracyjne w college’u”.

Zupełnie inaczej rozmawiało mi się z nim w klasie, ale to było co innego. Na warsztatach obowiązywały narzucone tematy, reguły, rzeczy, w których jestem dobra.

Niezręczne milczenie się przedłuża, więc odgryzam jeszcze kęs banana, żeby wypełnić czymś pustkę.

– Ee... Molly? – Zerkam na niego w pół kęsa. Jego oczy robią się okrągłe. – Podeszedłem, bo chciałem ci coś wyjaśnić. Te... one chyba nie są do jedzenia.

Kącik jego ust unosi się w krzywym uśmiešku.

Kobiety z przodu sali wreszcie się obracają. Jedna z nich trzyma w rękach banana i miętówkę. W ręce drugiej dynda balon pełen piłeczek pingpongowych...

„To nie balon.

A to nie są miętówki”.

– O... Je...zu... – szepczę i patrzę zdjęta przerażeniem, jak kobieta nakłada prezerwatywę na banana.

Ten w moich ustach nagle wywołuje odruch wymiotny, próbuję go wykrztusić.

– Myślałam, że mamy grać w jakieś gry – przyznaję się Chrisowi, który stara się stłumić śmiech. – Do diabła, co ja tu w ogóle robię?

– Przyszłaś podjeść bananów za friko. – Wzrusza ramionami. – I w ramach bonusu nauczyć się prawidłowo zakładać kondom.

– No tak, tyle że ja jestem na dwieście procent lesbijką – mówię.

Jestem tak zażenowana, że te słowa po prostu się wymykają, nie mam czasu ugryźć się w język.

Chris śmieje się do rozpuku. Wciąż nie wyszłam z szoku, ale ten śmiech daje mi pewne poczucie zwycięstwa. Jakby parawan lęku wznoszący się między mną i rozmówcą nie był aż tak nieprzenikniony jak zwykle. Może jeszcze uda mi się to uratować.

– Naprawdę? Nigdy mi tego nie mówiłaś. – Chris dalej ma ubaw. – No dobra, w takim razie jedyna korzyść to darmowy banan.

– Co robisz po... tym? – pytam.

– Właściwie nic. No... do wieczora. Pamiętasz Kristen Osborne? – pyta półgłosem. Potakuję, przypominając sobie rudowłosą kapitanek cheerleaderek tańczących podczas meczów, kiedy Noah grał w futbol w liceum. – Jest już na ostatnim roku, a jej klub organizuje dzisiaj imprezę w Sutherland Hall. Powinnaś tam wpaść.

Mówi to tak, jakby chodziło o najzwyklejszą rzecz na świecie – jakby mama proponowała mi wyjście razem do warzywniaka. Ale dla mnie to nie jest zwykła rzecz.

Od gimnazjum nikt mnie nie zapraszał na imprezy, a w gimnazjum dzieciaki nie miały

w tej sprawie nic do gadania – musiały zapraszać każdego.

– Naprawdę? – pytam, nie śmiejąc dopuścić możliwości, że mówi serio.

– Tak. Wyślę ci zaproszenie przez Facebooka.

Patrzemy, jak kobieta wpycha do przerwatwy kolejne dziesięć piłeczek pingpongowych.

– Drogie panie, jeśli facet będzie wam wciskał, że jest na to zbyt duży, to teraz już wiecie, że chrzani.

I rzuca pakunek w tłum niczym rockman rzucający ze sceny gitarę. Prezerwatywa ląduje w rękach jakiejś dziewczyny, która absolutnie nie zamierzała jej złapać.

– Myślisz, że przyjdzie dużo osób z Oak Park? – pytam, szukając w pamięci chociaż jednego imienia.

Chris wzrusza ramionami.

– Matt, Tim, Brie, Cora...

Moje serce zamiera. Reszta słów zmienia się w bezładną płataninę dźwięków, bo to jedno imię wsiąka w każdą komórkę mojego mózgu. Upłynęło tyle czasu, odkąd ostatni raz ją widziałam, a teraz...

Teraz będę miała szansę z nią porozmawiać. Na imprezie. Na którą zostałam zaproszona.

Oto mój nowy start. Nie mógł wypaść lepiej.

Kiedy kobiety kończą prezentację w PowerPoincie, Christopher mówi mi, że idzie z ludźmi z piętra na lunch. Mnie też burczy w brzuchu. Jednak zamiast wprosić się do nich, rozstaję się z Chrisem i jem sama w najdalszym kącie stołówki, żeby przypadkiem się na niego nie natknąć.

Po powrocie do mojego pokoju w akademiku czekam na obiecane zaproszenie i przyłapuję się na rozmyślaniu, co dzisiaj poszło nie tak. Przypominam sobie wszystko, co mogłam powiedzieć, ale nie powiedziałam, a także to, co pewnie lepiej było zachować dla siebie. Po co na przykład przyznałam się, że wzięłam udział w prelekcji, sądząc, iż czeka mnie godzina zabaw integracyjnych? Początkowo pomysł pójścia na imprezę zdawał się doskonały i naprawdę czułam, że powinnam tam pójść – że miałam na to wielką ochotę. Ale teraz zaczynają się piętrzyć wątpliwości.

Może nie powinnam tam iść, żeby nie kusić losu.

Może powinnam zostać przy mojej stałej rutynie i spędzić weekend w domu. Zaparzyć sobie dobrej herbaty i jeszcze raz obejrzeć kilka odcinków *Wynonny Earp* na Netfliksie.

Nie mając współlokatorki, którą sobie zaplanowałam przed przyjazdem na studia, muszę się zaadaptować do nieoczekiwanej sytuacji. Powinnam znaleźć inny sposób, by ruszyć w świat. Nie mogę sobie po prostu odpuścić. Decyduję więc, że już czas odwiedzić Noaha i porozmawiać z nim o tym, licząc na garść dobrych braterskich rad, dzięki którym dzisiaj wieczorem się nie zbłąźnię – o ile w ogóle dotrze do mnie to zaproszenie.

Mam tylko dziesięć minut samochodem do jego wynajmowanego domu w okolicy Lawrenceville – rywalizującej z East Liberty o tytuł dzielnicy Pittsburgha, która ulega najsilniejszej gentryfikacji. Możesz podnieść kawałek gruzu z rozsypującej się rudery i rzucić nim na drugą stronę ulicy wprost do prywatnego basenu apartamentowca z mieszkaniami za dwadzieścia milionów dolarów. Jego dom mieści się w środkowej części tego spektrum – jest nieco odnowionym dwupokojowym mieszkaniem.

Noah otwiera drzwi. W jednej ręce trzyma pół pizzy pepperoni, a w drugiej butelkę miodu. Ma na sobie koszulkę baseballową z czasów swoich występów w Małej Lidze – pasującą na niego dopiero teraz, kiedy urosł – oraz szare spodnie dresowe Nike. To jedna z zalet zdalnej pracy z domu.

W ubiegłym roku od razu po dyplomie Noah dostał pracę w jednym z najfajniejszych start-upów w kraju, z siedzibą właśnie w Pittsburghu. Bez przerwy pisze kody do jakichś niesamowitych rzeczy: a to do obsługi mechanicznej małpy, która ma wystąpić w reklamie Old Spice, a to do instalacji złożonej z interaktywnych kwiatów na imprezę Google'a, a to do przesuwanego regału dla moich rodziców, który odsłania ukryty za nim sejf dopiero po przełożeniu określonej liczby książek w określonej kolejności.

Patrzę, jak polewa odrobiną miodu jeden koniec pizzy – jego niemal czarne oczy śledzą uważnie każdy ruch tworzący idealny kęs. W końcu wgrzyza się w ciasto i kiwa głową na powitanie.

– Myślałam, że jak ktoś uprawia CrossFit, to musi się zdrowo odżywiać. Samymi kurczakami z ryżem i koktajlami proteinowymi – podpuszczam go.

– To dowód, że nikogo nie wolno szufladkować – odpowiada, wywołując uśmiech na mojej twarzy. – Chcesz się poczęstować? – Obraca w otwartych ustach gorący kęs. – Mam w piekarniku drugą połowę.

Wylewa na ciasto jeszcze więcej miodu i odgryza drugi kęs, chociaż jeszcze nie przełknął pierwszego.

– Dobra, chętnie – mówię i idę z nim do kuchni.

Nie wręcza mi całej połówki – takiej, jaką sam je – lecz kroi ją na trzy części i podsuwa ku mnie blachę.

– Zakolegowałaś się już z kimś z twojego piętra? – pyta.

Kręcę głową, odgryzając kawałek brzegu pizzy.

– Wiesz co, Molly, ty jesteś... – Szuka w myślach właściwego stwierdzenia. – Jesteś fajna. To znaczy... fajnie się z tobą spędza czas. Inni też przekonaliby się o tym, gdybyś dała im szansę.

Jego słowa mnie zaskakują.

„Niby kiedy nie dałam im szansy?”

Nagle jednak przypominam sobie Christophera. W świetlicy utrzymałam z nim kontakt wzrokowy i ostatecznie rozmawialiśmy ze sobą dłużej niż w ciągu całego semestru w Oak Park. Mogę się burzyć przeciwko tym słowom, jednak muszę przyznać, że pewnie ma rację.

Biorę głęboki wdech.

– Dostałam zaproszenie na imprezę, ale trochę się boję na nią pójść.

– Idź – mówi bez wahania. Po chwili nieco temperuje swój zapał. – To znaczy, nie chcę ci mówić, co masz robić, ale... imprezy w college'u stanowią środek do celu.

– Co masz na myśli? – pytam.

– Są trochę... obrzydliwe, ale właśnie w ten sposób poznałem Dave'a i Nicka. Nawet Kendrę poznałem na jednej z nich.

– Kendra zdradziła cię na ostatnim roku i złamała ci serce – przypominam mu, ale jego mina podpowiada mi, że niepotrzebnie.

– Molly, nie o to chodzi. Chodzi mi o to, że najlepszych przyjaciół spotkałem na najbardziej zdegenerowanych baletach. Gdybym więc na nie nie poszedł... – Wzrusza ramionami, bo już powiedział wszystko, co trzeba.

Jęcę głośno.

– Będzie tam Cora.

– Molly. Musisz tam iść. Jaja sobie robisz? Ty się naprawdę nad tym zastanawiasz?

Kiedy myślę o pójściu na tę imprezę, od razu czuję, jak pełźnie po moim ciele znajomy lęk, ale wiem, że Noah ma rację.

– Wiem. Wiem. W porządku.

Wzdycham rozdrażniona i przesadnie dramatycznym gestem siadam na krześle.

– Super, ale pamiętaj... – Celuje we mnie surowo palcem. – Żadnego prowadzenia auta po alkoholu.

– Dobrze, tato. – Śmieję się. – Wątpię, że w ogóle spróbuję alkoholu.

– Wiesz... – Wzrusza ramionami, patrząc na mnie z wyrzutem. – Trochę alkoholu spróbuj.

Rozbrzmiewa brzęczyk w moim telefonie. Noah wpycha do ust resztę swojej pizzy. Zaproszenie na imprezę rozświetla ekran, a pod nim widnieje wiadomość prywatna od Christophera: Hej, Molly, mam nadzieję, że się tam spotkamy!

Niepewność tego, co może się zdarzyć, przyspiesza mój puls. Wiem jednak, co się stanie, jeżeli zostanę w domu. Nic się nie zmieni. Cora w żaden magiczny sposób nie spróbuje sama się ze mną skontaktować. Muszę dać sobie szansę. Muszę dać ludziom szansę – tak, jak radzi Noah.

## ROZDZIAŁ 5

# ALEX

Po raz setny od początku dnia odświeżam konto Cereal Killers na Instagramie, ale Internet mi zwolnił i zdjęcie, które przed chwilą zamieścili, nie chce się załadować – widać jedynie bezkształtną plamę brył i kolorów.

Kurde.

Rano chciałam wydebić od Heather hasło do Wi-Fi, ale ona ignoruje mnie od tamtego wypadku ze wzvodem i przy byle okazji posyła mi lodowate, mrożące krew w żyłach spojrzenia.

Zastanawiałam się, czy nie popadam w jakąś paranoję, ale gdy po południu wróciłam z Targeta, gdzie poszłam kupić przybory toaletowe i komplet pościeli, Heather hiperdemonstracyjnie wyłączyła telewizor i gwałtownie jak burza uciekła do swojego pokoju. Słowo daję, niczym zbuntowana gimnazjalistka.

Wzdycham, obracam się na wznak i wysyłam kontrolnego SMS-a do mamy, bo rano nie odpisała.

Z wysiłkiem próbuję uspokoić nerwy, których w tej sytuacji nie da się uniknąć, ale okazują się silniejsze ode mnie i mój kciuk łąduje na liście kontaktów. Waham się z palcem nad numerem telefonu naszej sąsiadki Tonyi. Wstrzymując oddech, wbijam wzrok w zieloną ikonkę ze słuchawką. Jakimś cudem udaje mi się powstrzymać przed jej dotknięciem.

Przecież obiecała, że dwa razy na tydzień zajrzy do mamy, nie chcę jej więc nadmiernie zawracać głowy.

Rzucam telefon obok na łóżko i leżę wpatrzona w sufit. Pokój jest niemal pusty, a mimo to zdaje się niesamowicie przeładowany. Aż wywołuje swędzenie. Im dłużej tak leżę, nie mając pod ręką nic, co odwróciłoby moją uwagę, tym głośniej dzwoni mi w uszach. Czuję ciężar tego niepokoju, uciska mi płuca i w końcu staje się tak nieznośny, że nie mogę nabrać powietrza.

Niby się stamtąd wyrwałam, a tymczasem nagle ogarnia mnie takie uczucie, jakbym znowu znalazła się w domu, który opuściłam. Czekam. Czekam na powrót mamy.

Mój umysł często płatał mi takie figle. Nie mogłam przestać myśleć o tym, gdzie ona się obecnie podziewa. Z kim teraz jest. Ile już wypila. Ile pieniędzy wydała, chociaż na stole w kuchni piętrzył się stos rachunków do zapłacenia.

Po tym, jak pewnej letniej nocy przed trzema laty wyłączono nam prąd, jedynym sposobem uciszenia tych głosów niepokoju było pójście do pracy na wieczornej zmianie w Koślawym Króliku. Tylko w ten sposób mogłam odzyskać nieco kontroli nad życiem. Namówiłam właściciela, Stewa, żeby pozwolił mi zmywać naczynia na zapleczu, zanim osiągnę odpowiedni wiek do pracy za barem.

Tamto jednak już nie istnieje – podobnie jak dawna ja. Nie wiem, jak mama teraz sobie poradzi.

Na domiar złego jeszcze ten bałagan z Natalie i fakt, że jutro oficjalnie zaczynam studia. Czuję, że wszystko się na mnie wali, przygniata, z sekundy na sekundę staje się coraz cięższe.

Muszę się stąd wydostać.

Podrywam się z materaca, biorę leżący na biurku portfel, wkładam swoje białe conversey i biegnę korytarzem ile sił w nogach. Otwieram na oścież drzwi mieszkania, a potem zbiegam po schodach, czując, jak po każdym piętrze nieco schodzi ze mnie ciśnienie.

Kiedy jestem na dworze, znowu mogę odetchnąć. Powoli nabieram powietrza do płuc, unoszę oczy do nieba w intensywnym sinoblękitnym kolorze, do słońca, które właśnie znika za ciągiem domów przerobionych na mieszkania studenckie – z krzywymi gankami, wyblakłymi ceglami i chorągiewkami Pitt wiszącymi w wypaczonych oknach. Skręcam w lewo i idę ulicą, wymijając kilka rozwrzeszczanych dziewczyn w mikroskopijnych miniówkach oraz chłopaków z butelkami po wodzie napełnionymi wódką. Idą na jakąś imprezę. Ten widok – ludzi zmierzających do określonego celu i mających dokąd pójść – uświadamia mi, że... nie mam pojęcia, dokąd sama idę.

W Filadelfii dzisiejszy wieczór wyglądałby zupełnie inaczej. Jasne, tam też nie wiedziałabym, dokąd idę, ale zawsze dotarłabym dokładnie w to miejsce, w którym powinnam się znaleźć – na koncert Natalie, na dodatkową zmianę w Koślawym Króliku albo do jednego z klubów, o ile udałoby mi się oczarować bramkarza.

Jednak odkąd zaczęliśmy ze sobą chodzić, wieczory na mieście wyglądały inaczej.

Mniej wkręcania się na imprezy w klubach, a więcej wyjść na kolację i do kina. Nie chciałam, żeby Natalie wściekała się na mnie o flirty – prawdziwe i urojone – więc wolałam unikać sprzyjających im okazji.

Ale tutaj... nie mam nawet tego.

Nie chodzi o to, że brakowałoby mi okazji, nawet w tak obcym mieście. Nic trudnego. Mogłabym się podwiesić pod którąś z grup studentów, żeby wejść z nimi na imprezę w akademiku. Znaleźć podrzędną knajpę, w której dałoby się posiedzieć. Wejść cichaczem na koncert i zniknąć w tłumie, naciągnąwszy wpieryw kogoś na postawienie mi drinka.

W innych okolicznościach nie zastanawiałabym się ani chwili. Jednak w tym przypadku mimo dzielącej nas odległości zdecydowałam, że będę się pilnować. Obiecałam Natalie, że się postaram, i zamierzam dotrzymać słowa.

Trudno mi jednak udawać, że nie czuję się jak stary, przegrany człowiek wspominający swoją młodość. Stare dobre czasy.

Gdybym umiała sama przed sobą przewrócić teatralnie oczami, na pewno bym to zrobiła.

Idę dalej obcą boczną uliczką z mocnym postanowieniem, że jeszcze nie czas wracać. Podziurawiony zaułek wreszcie kończy się sklepem spożywczym, nad którym byczy świetlny biało-czerwony szyld z napisem SNACKZ. Dzwonki nad drzwiami hałaśliwie brzęczą, kiedy wchodzę do środka. Chłopak za ladą odrywa wzrok od wyświetlacza telefonu i kiwa głową na powitanie. Na tabliczce, którą nosi na piersi, widnieje nabazgrane imię Carl. Przygląda mi się badawczo, poprawiając okulary na nosie.

Przez ułamek sekundy przebiega mi przez głowę pytanie, jakie snacki mogłabym od niego wysepić za darmo, ale mój wzrok pada na ogniste cheetos, które Natalie najchętniej kupuje.

No tak. Natalie.

Skoro z tego gapienia się nie mogę osiągnąć żadnych korzyści, jego wzrok po prostu mnie... wkurza.

Robię zniecierpliwioną minę i mijając stoisko z gazetami oraz czasopismami, podchodzę



do regału z cheetosami. Wyciągam telefon, żeby pstryknąć im fotkę dla Natalie z dopiskiem: myślę o Tobie. Obracam się w kierunku szklanej witryny, unosząc wysoko telefon, żeby złapać lepszy zasięg, i w końcu udaje mi się wysłać zdjęcie.

Kiedy się odwracam, widzę na samym końcu alejki dwie dziewczyny. Milkną, gdy tylko mnie dostrzegają.

Wyższa niemal od razu odwraca wzrok, jej czarne loki sprężynują, kiedy zerka podejrzliwie na drzwi wejściowe, ale ta niższa długo wytrzymuje moje spojrzenie. Jej piwne oczy przyglądają mi się czujnie spod krótkiej fryzury w stylu pixie. Nosi workowate, luźne spodnie w pionowe pasy. Bardzo, ale to bardzo jaskrawe.

Niezupełnie w moim stylu, ale... na niej wyglądają całkiem do rzeczy.

– Przecież mówił, że tu będzie – syczy szeptem jej koleżanka, a ta w krótkich włosach w końcu wzrusza ramionami i przenosi wzrok na nią.

Chowam telefon i udaję, że oglądam wybór batoników, niby od niechcenia czytam wykaz składników na tabliczce czekolady Hershey's, a tymczasem przysłuchuję się rozmowie tamtych dziewczyn i bezwiednie układam w głowie milion możliwych scenariuszy.

Mogłabym powiedzieć, że ma fajne spodnie. Mogłabym podejść i jakby nigdy nic sięgnąć po opakowanie gum do żucia z półki tuż nad jej głową. Mogłabym rzucić jakimś żartem o tym, że osoba, na którą czekam, też się spóźnia.

– Brie już tam jest i mówi, że mają tylko jedną beczkę. I tego, no... Fireballa.

Fuj. Dajcie spokój. Moja mama jest wzorową alkoholiczką, ale nawet ona nie zbliża się do tego paskudztwa.

– Nie znasz nikogo innego, kto mógłby to dla nas kupić? – pyta koleżankę ta w spodniach.

Milczą. Wszystko wskazuje na to, że zostaną skazane na krztuszenie się przez cały wieczór whisky przyprawioną cynamonem. To los, którego nie życzyłabym nawet chłopakowi Heather Larkin.

Niewiele myśląc, odkładam batonik Hershey's do pudełka i idę alejką, swobodnie przegarniając palcami włosy.

– Co chcecie kupić? – pytam.

Obie zaskoczone zwracają ku mnie głowy. Ta w krótkich włosach mierzy mnie wzrokiem, po czym kącik jej ust się unosi.

– A co, masz dwadzieścia jeden lat? – pyta sceptycznie.

Z bliska widzę kolczyk w jej nosie. Srebrny. Słodki.

Opieram się nonszalancko o regał, metal chłodzi moje ramię.

– Zależy kto pyta.

Dziewczyna się śmieje i przewraca oczami.

– Czyli nie.

– No wiesz. A ty? – pytam i pochylam się do niej tak, że nasze twarze są ledwie kilka centymetrów od siebie. Jej piwne oczy rozszerzają się, kiedy unosi je do moich. – Gdybyś to ty stała za ladą, miałabym u ciebie szansę?

Dziewczyna kręci głową, ale już widzę, że mój trik zadziałał. Obie wiemy, że miałabym u niej szansę na wszystko. Pewnie nawet nie musiałabym używać moich zdolności aktorskich.

Czuję, że to zwycięstwo wywołuje we mnie lekki przyпіływ adrenaliny, i już otwieram usta, żeby powiedzieć coś więcej. Nie odrywam wzroku od jej twarzy, lecz nagle słowa Natalie rozbrzmiewają w mojej głowie.

„Jak mam ci ufać po twoim wyjeździe do Pittsburgha, jeśli dostajesz takie SMS-y, nawet kiedy mieszkamy w tym samym mieście?”.

Fala ekscytacji opada tak szybko, jak wezbrała. Coś ty, Alex! Weź się w garść. Nie upłynęło nawet czterdzieści osiem godzin.

Odsuwam się zdeterminowana, by zrobić w tył zwrot i ruszyć na dalsze łowy słodkich przekąsek, lecz nagle ona wrywa z dłoni koleżanki zmięte dwadzieścia dolców i mi je podaje.

– Cokolwiek. Jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji. Potrzebny nam sześciopak. Najlepiej Mike's Hard. Ale może być Seagram's. Cydrowy miszmasz. Oby były owocowe.

Waham się, lecz biorę od niej pieniądze.

– W porządku.

To przecież tylko dobry uczynek. Ponadto mam poznawać nowych ludzi, żeby przedstawić Natalie moich przyjaciół, prawda? Kiedy dziewczyna podawała mi banknoty, jej palce dłużej niż to konieczne dotykały mojej dłoni, a potem wolno sunęły po moich opuszkach.

Oj. Hm, może jednak nie.

Odkasłuję lekko i wskazuję głową na czekoladki za nami, starając się utrzymać neutralną minę.

– Kupcie coś, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Spotkamy się przed sklepem.

Mijam je i idę za zakręt do sekcji z alkoholem. Oglądam dokładnie witryny lodówek, szukając znajomych czarno-żółtych opakowań. Po chwili dochodzi mnie brzdęk kasy.

Ani śladu tego, czego potrzebuję. Jedynie niekończące się rzędy IPA i lekkich piw.

Nie chcę się poddawać po tym, jak zgrywałam Bóg wie jaką spryciarę, więc podchodzę swobodnym krokiem do lady i wspieram się o nią łokciami. Tamte dwie wychodzą, ale czuję, że ich oczy wwiercają się w tył mojej głowy. Ekspedient odkłada telefon, staje wyprostowany, a jego policzki od razu czerwienieją.

– Cześć, Carl – mówię z zalotnym uśmiechem, zakładając kosmyk za ucho.

– Aaa, hej – odpowiada i nerwowo przesuwając się z miejsca na miejsce telefon, potem długopis, a potem znowu telefon.

– Nie masz przypadkiem Mike's Hard?

Carl jest taki chętny do pomocy, że niemal podskakuje.

– Chyba... z tyłu...

Kiedy człapie na zaplecze, żeby przynieść butelki, zza moich pleców dobiega brzdęk dzwonek, który informuje mnie, że tamte dziewczyny wyszły ze sklepu. Zerkam od niechcienia w bok, by się upewnić, że nie stoją pod samym oknem, zaglądnijac niecierpliwie do środka.

Na szczęście zniknęły z pola widzenia.

Carl wraca z sześciopakiem, który niemal wyslizguje mu się z rąk, kiedy stawia go na ladzie.

To nie będzie takie łatwe.

– Mogę zobaczyć twój dowód? – pyta, skanując kod.

Kładę na ladzie banknot i demonstracyjnie przetrząsam kieszenie, by w końcu westchnąć przeciągle z frustracją i ukryć twarz w dłoniach.

– Och, Boże, sama nie wiem, jak to się mogło stać. Zostawiłam portfel w domu. – Czuję, że w kącikach oczu wzbierają mi łzy, Carl zaś zaczyna wpadać w panikę. – Wczoraj ni stąd, ni zowąd rozpadł się mój związek, a teraz jeszcze to...

Teoretycznie to prawda.

Unoszę oczy i zmuszam się do uronienia jednej łzy. Ta wolno spływa z prawego oka. Kiedy Carl śledzi wzrokiem toczącą się po moim policzku łzę, jego mina wyraża bezgraniczne przerażenie.

Po takim spektaklu powinna się do mnie odezwać Akademia Filmowa. Przesuń się, Meryl, zrób mi miejsce.

Siąkam głośno i gwałtownie wycieram nos, sięgając po banknot.

– Przepraszam. Lepiej już...

– Hej, wiesz co? – zagaduje Carl, pierwszy kładąc rękę na pieniądzach. Nasze dłonie lekko się muskają, kiedy zgarnia je z lady. – Nie przejmuj się tym dowodem.

Szuflada kasy otwiera się z brzdękiem, a Carl szybko odlicza dla mnie resztę.

– Naprawdę? – pytam, pamiętając, że moje oczy nadal mają być mokre i lśniące.

– Tak. I... ee... przykro mi z powodu twojego rozstania – mówi, podając mi paragon z garścią dolarówek i centów.

– Tak bardzo ci dziękuję! – Biorę pieniądze oraz sześciopak i uśmiecham się delikatnie, z wdzięcznością. Ściskając jego dłoń, wypowiadam ostatnią kwestię. Wielki finał. – Mam nadzieję, że znajdę sobie tak miłego chłopaka jak ty, Carl.

Moje słowa nie mogły trafić na podatniejszy grunt. Carl rozpromienia się i cały w skowronkach patrzy, jak wychodzę, ja zaś udaję, że przygniata mnie brzemień smutku, dopóki nie znikam za zakrętem w głębi parkingu, gdzie dziewczyny już na mnie czekają pod mrugającą latarnią.

– Udało ci się! – mówi moja pixie, kiedy daję jej alkohol i drobne.

Prostuję ramiona, w końcu żegnając się z karierą aktorską.

– Czy ty płaczesz? – dziwi się koleżanka pixie.

– Tylko dla dobra sprawy – odpowiadam z szerokim uśmiechem. Następuje długa pauza, więc przerywam ją słowami: – A przy okazji, mam na imię Alex. Studiuję na pierwszym roku na Pitt.

– My też. Ja jestem Abby – mówi ta z lokami.

– Cora – przedstawia się pixie, patrząc mi w oczy. Podchodzi do mnie o krok. Wolno, lecz z pewnością siebie. – Nie wiem, czy masz jakieś plany, ale... taka jedna znajoma z liceum organizuje dzisiaj u siebie mały melanz, żeby się bliżej poznać. Może chciałabyś wpaść? W ramach podziękowań.

– Uhm...

Czym prędzej gryzę się w język, zanim się zgodzę.

„Żeby się lepiej poznać”.

No... to niezupełnie balety.

Natalie na pewno nie byłaby szczęśliwa, gdybym poszła z dwiema ledwo poznanymi dziewczynami na balety, ale to jedynie wieczorek zapoznawczy, który raczej nie przechyla szali.

Poza tym nie mogę przecież siedzieć cały czas w moim pokoju – sama, poddając się coraz silniejszej klaustrofobii. Bądź co bądź to mój pierwszy rok studiów! Moja wielka szansa na... Nie wiem. Poznanie nowych przyjaciół. Stworzenie prawdziwych więzi, których poważny brak Natalie sama mi zarzucała.

Przecież się nie obrazi na coś takiego. Prawda?

Muszę jedynie uważać na...

Cora uśmiecha się słodko do mnie. Jej piwne oczy błyszczą.

Właśnie na to.

– Pewnie – mówię i przenoszę wzrok na Abby, odchylając się przy tym leciutko od Cory.

Idę z nimi na przystanek autobusowy, nieznane mi ulice zlewają się ze sobą. Sprawdzam stan baterii w telefonie i z uczuciem ulgi widzę, że nadal ma 82 procent – na bank będę potrzebowała GPS-a, żeby wrócić do domu.

Po drodze dowiaduję się, że Abby studiuje inżynierię mechaniczną, a Cora robi podwójny fakultet z historii i angielskiego.

Wygląda na to, że w college’u każdy przedstawia się imieniem i kierunkiem studiów.

– Wszyscy mnie ostrzegali, że po anglistyce nie mam co liczyć na dobrą płacę, ale uwielbiam książki – mówi Cora, patrząc na mnie, kiedy czekamy pod biało-niebieską tabliczką przystanku.

Podzielałam tę opinię, ale nie chcę jej tego powiedzieć wprost. Prawdę mówiąc, gdyby nie to, sama wybrałabym ten kierunek.

– O, super – kwituję więc jej wyznanie i wyglądam autobusu na końcu ulicy, zamiast ciągnąć temat lektur, które warto przeczytać.

Pewno bezpieczniej jest nie odkrywać zbyt wielu wspólnych zainteresowań z Corą, skoro już zdecydowałam się wstąpić do jednoosobowego zakonu żeńskiego.

– A ty? – pyta Cora, gdy opieram się o słupek. – Na co zdałaś?

– Jestem na wstępie do medycyny – odpowiadam, patrząc na autobus, który właśnie wjechał w zakręt, rozpędzając grupę studentów.

– Ooo! – mówi Abby, mrużąc oko. – To jesteś odważniejsza ode mnie. Na pewno nie zniosłabym całej tej krwi i reszty.

– Ech, to nic takiego – mówię, ale muszę przyznać, że mnie też wzbiera się w żołądku, kiedy o tym myślę.

Na szczęście przeważa kilka innych czynników.

Pewność stałego zatrudnienia. Konkretnie pieniądze. Spokój, jeśli chodzi o możliwość zapłacenia czynszu i zapelnienia lodówki.

Co mi tam trochę mdłości, kiedy istnieje tyle zalet!

Drzwi otwierają się z sykiem i wpychamy się do środka. Abby decyduje się stać, ale Cora, siadając koło mnie, uśmiecha się znacząco, kiedy jej noga ociera się o moją. Odkasłuję i cofam kolano, a potem zerkam w okno.

Ten wieczór już stał się dla mnie wielką próbą. Trudniejszą, niż mogłam się spodziewać. A to dopiero pierwszy dzień.

Trudno mi nie zgodzić się z Natalie, że chodzi o coś więcej niż fakt, iż nie mam przyjaciół.

Jestem tak zafiksowana na flircie, że nigdy nie uświadamiałam sobie, jak często to robię. Nie docierało do mnie, że to, co uważałam za nieszkodliwe, naprawdę takie nie było.

Natalie to jednak widziała. Przez całe pięć miesięcy. Powoli ogarnia mnie poczucie wstydu, ale nie mogę dopuścić, by mną zawładnęło.

Postanawiam, że dzisiejszy wieczór skończy się dobrze. To test. Szansa na wprowadzenie autentycznych zmian.

Teraz kieruje mną jeszcze silniejsza determinacja, by to udowodnić.

## ROZDZIAŁ 6

# MOLLY

Gdy wchodzę, korytarz jest oblepiony ludźmi, których widzę pierwszy raz w życiu, i od razu czuję, że poca mi się dłonie.

Chęć ucieczki jest silna, lecz powtarzam sobie: trzymaj się planu. Idź po drinka. Udawaj, że trudno o właściwsze dla ciebie miejsce.

Znajdź Corę. A potem... trzymaj kciuki, żeby ona też była tu sama i rozglądała się za kimś znajomym, do kogo mogłaby otworzyć usta. No bo przecież upłynął dopiero jeden dzień. W tym czasie raczej nie nawiązała wielu nowych znajomości, prawda?

Wyteżając wzrok, przeciskam się przez tłum. Zapamiętuję przy okazji, gdzie znajduje się łazienka – na wypadek, gdybym potrzebowała chwili tylko dla siebie. Znajduję kuchnię i wyjmuję z opakowania czerwony kubeczek Solo. Podkładam go pod dozownik lodu na drzwiach lodówki i zerkam w tył na wybór napojów – beczkę piwa, opróżniony do połowy sześciopak Mike's Hard, trzy wielkie butle Fireballa i kilka puszek coli – więc dopiero po chwili się orientuję, że lód wcale się nie sypie do kubeczka.

– Zepsuło się – mówi krępy, spocony chłopak, który podchodzi do mnie z kubkiem pełnym brązowego płynu, zapewne nie bezalkoholowego. – Czekaj. Musisz...

Pociąga wolną ręką za uchwyt drzwi zamrażarki. Cofam się o krok, kiedy wyjmuje ze środka prawdziwą siekierę. Patrzę przerażona, jak odrąbuje nią kawałki lodu. Jego drink chlupocze w kubku i rozbryzguje się na moim ramieniu – nie mam czasu na unik.

Tak. To zdecydowanie nie jest drink bezalkoholowy.

– Uch, dzięki – mówię, kiedy chłopak dłonią nakłada mi do kubka spory odłamek lodu.

Stęka pod nosem, wrzuca siekierę z powrotem do zamrażarki, a potem ociężale człapie jakby nigdy nic w swoją stronę. Podchodzę do improwizowanego baru i nalewam sobie z puszek colę. Nikt nie musi wiedzieć, że niczego do niej nie dodaję. To pewno nie jest najlepszy moment na pierwszego drinka w życiu.

Przechodzę drugimi drzwiami z kuchni do pokoju, który powinien pełnić funkcję salonu. Rozstawiono tam plastikowy stół do piwnego ponga. Zawsze słyszałam, że Cora rewelacyjnie gra w pingponga, więc zdaje się, że to najlepsze miejsce, jeżeli chcę ją znaleźć, a jednocześnie wmieszać się w tłum. Znajduję wolne miejsce pod ścianą i udaję, że zafascynowały mnie zmagania czterech chłopaków, którzy rzucają dwiema piłeczkami do kubków. Tymczasem przykro mi pa-trzeć, jak to robią, zamiast używać piłek w celu, do którego zostały przeznaczone. Ping-pong to piękna gra.

Zerkam w bok na chłopaka koło mnie. Jego twarz wygląda znajomo.

– Cześć – mówię, patrząc prosto w błękitne oczy Jasona Shobera.

Dziwne, że nigdy nie powiedziałam do niego ani słowa, a tutaj, tak daleko od domu, w otoczeniu obcych mi ludzi jego obecność wpływa nieco kojąco na moje nerwy.

– Cześć. Mam na imię Jason.

Przedstawia się tak, jakbym nie siedziała przed nim przez cztery lata na każdej lekcji wychowawczej. Już mam na końcu języka: „wiem”, ale się powstrzymuję.

– Molly – odpowiadam, czując się tak, jakby ktoś przywalił mi pięścią w brzuch.

Potem jest już tylko gorzej.

Kiedy zwracam głowę ku grającym, widzę, że w moim kierunku zmierza rozmazany biały kształt.

Mogłabym zrobić unik.

Mogłabym wystawić rękę i się osłonić.

Nie robię jednak absolutnie nic. Piętnaście par oczu widzi, jak piłeczka pingpongowa trafia mnie prosto w czoło i wpada do mojej coli.

– *Sorry!* – krzyczy chłopak zza stołu.

Twarz natychmiast oblewa mi żar i wiem, że na pewno robi się czerwiejsza niż kubek w mojej dłoni. Pokój eksploduje wrzawą owacji i oklasków, kiedy chłopak w rozpiętej koszulce polo bierze ode mnie drinka i wypija go haustem, po czym wypluwa piłeczkę na podłogę tuż koło moich sandałów z paciorkami.

– A to co? Czysta cola?

Marszczy się zde gustowany, ja zaś wpadam w panikę.

– Co? Nie. To...

Chłopak beka i oddaje mi kubek, nie czekając, aż wymyślę sensowną odpowiedź. Nie patrzę na niego ani na nikogo dokoła mnie. Najkrótszą drogą czmycham do łazienki, którą wcześniej namierzyłam.

Zamykam za sobą drzwi i przekręcam blokadę.

– Molly, co ty, do diabła...

Przegarniam palcami włosy i ciężko wspieram się łokciami o brzegi umywalki. Trzeba było zostać w domu.

Jestem w nowym miejscu, wśród nowych ludzi, ale tak naprawdę... nie zmieniłam się ani na jotę. Po prostu się okłamywałam, udawałam przed sobą, że tutaj mogę być kimś innym.

Zaczyna do mnie z całą mocą docierać, że bez względu na to, jakie zmiany zajdą w moim otoczeniu, zawsze będę tą samą Molly Parker. Bez przyjaciół. Bez życia. Bez najmniejszej szansy na to, że Cora w ogóle mnie zauważy, nie mówiąc już o chodzeniu ze mną.

Unoszę podbródek i patrzę na swoje odbicie w lustrze. Absolutnie przerażona widzę, że kreski i mascara rozmazały mi się wokół oczu. Cholera. Zbyt rzadko robię makijaż, by pamiętać o podstawowej zasadzie dotyczącej dotykania swojej twarzy. Że za nic w świecie nie wolno.

Spuszczam wzrok i niewiele myśląc, zaczynam przetrząsać zawartość szuflad. W normalnych okolicznościach nie zrobiłabym tego za nic w świecie, ale teraz nie czas, by się przejmować naruszaniem prywatności obcych ludzi. Stoję w obliczu sytuacji awaryjnej, a raczej mam ją na swoim obliczu. Bingo! Udaje mi się znaleźć w najniższej szufladzie małą kosmetyczkę z przybarami do makijażu. Dziękuję, Kristen.

Splukuję twarz, szoruję ją mydłem do rąk aż do zniknięcia czarnych zacieków. Nakładam od nowa mascarę, ale odpuszczam sobie kredkę, bo za pierwszym razem zrobienie prostej kreski zajęło mi niemal pół godziny.

Przyglądam się sobie w lustrze. Moja skóra jest cała w różowych plamach po energicznym pocieraniu i zmywaniu. Otwieram więc puderniczkę i nakładam na twarz warstwę podkładu.

O Boże!

Oczy twarzy w lustrzanym odbiciu robią się okrągłe jak spodki, bo nagle dociera do mnie, że Kristen ma cerę o jakieś dwa, trzy... a raczej milion odcieni jaśniejszą ode mnie. Pochylam się do lustra i wzdrygam z niesmakiem. Wyglądam, jakbym urwała się z planu *Wyznań gejszy*, tyle że jestem półkrewi Koreanką, i to najwyżej w jednej czwartej tak atrakcyjną jak bohaterka tego filmu.

Szybko znowu zmywam makijaż, a potem siadam na pokrywie toalety i wzdychając, ukrywam twarz w dłoniach.

Może przeznaczenie chce mi coś powiedzieć.

Może niektórym po prostu pisana jest samotność.

Wyciągam telefon, żeby zadzwonić do jedynej osoby na świecie, z którą w tej chwili mam ochotę rozmawiać.

– Cześć, córciu. – Zamykam oczy, gdy mama odbiera. – Jak się czujesz? Jak ci jest w tym akademiku? Co robisz?

– Cześć, mamo. Wszystko w porządku. Tyle że... – Śmieję się, patrząc dokoła. – Właśnie ukrywam się w łazience podczas imprezy studenckiej.

– Dlaczego się ukrywasz?

– Cora tu jest – mówię. – Ale brakuje mi odwagi. Nie mogę podejść i z nią porozmawiać. Nie byłabym zdolna nawet przebywać w jednym pokoju z...

Wzdycham rozdrażniona swoją niemocą.

– Molly...

– Ja już nie chcę tu dłużej być – szepczę do telefonu.

Chciałabym teraz siedzieć w domu – z nią. Dlaczego w ogóle twierdziłam, że potrzebuję przestrzeni dla siebie? Przecież mama jest jedyną osobą, z którą kiedykolwiek w życiu będę zdolna rozmawiać.

– Posłuchaj – mówi. – Od dawna opowiadasz o tej dziewczynie. Teraz masz ją tuż za drzwiami. To twoja szansa!

– Ona mnie nie polubi.

– Wiesz, musisz dać jej na to szansę, kochanie.

Rozbrzmiewają mi w głowie wcześniejsze słowa wypowiedziane przez Noaha. Trudno się z nimi nie zgodzić w tej chwili, kiedy siedzę w zamkniętej na klucz łazience. Ta scena stanowi doskonałą ilustrację odgradzania się od ludzi. Może oboje mają rację. Przecież Cory nie było w pokoju, kiedy wszystko się zaczęło walić. Wciąż mam u niej taką samą szansę. Jeszcze nie jest za późno.

– To prawda, mamo. Zatelefonuję później. Muszę już iść.

– Tylko pamiętaj, żeby nie prowadzić samochodu po alkoholu! – wykrzykuje mama przez rozłączeniem.

Boże. Noah padnie trupem, kiedy mu powiem, że stał się dokładnie taki jak ona.

Wkładam telefon do kieszeni i wstaję z toalety, po czym krążę po ciasnym pomieszczeniu, układając w myślach nowy plan.

Pójdę ją znaleźć i zamiast niby przypadkiem wpaść na nią, podejść i powiem: cześć. Porozmawiam z nią o zajęciach, które wybrała w tym roku, zapytam, czy pójdzie na warsztaty z pisania literackiego, takie jak te, na które uczęszczałyśmy w ubiegłym roku w Oak Park. Już znam odpowiedź, bo widziałam jej plan lekcji latem, gdy tylko zamieściła go w swoich mediach społecznościowych. Ona wtedy potaknie, a ja powiem, że jestem na liście oczekujących na te drugie zajęcia ze wstępu do literatury popularnej. To świetny temat rozmowy, bo interesuje nas obie.

I tak to wygląda. Co dalej? Zobaczymy.

To niewiele, ale taki plan brzmi bardziej realistycznie. Można go dalej udoskonalać.

Już się zabieram do nakładania od nowa makijażu, lecz nagle zaskakuje mnie głośne łomotanie w drzwi, mascara wypada mi z rąk i toczy się pod szafkę.

– Jeszcze sekundkę! – krzyczę.

Opadam na kolana, żeby wyłować tubkę, a potem znowu pojawia się w lustrze, skąd patrzy na mnie znajoma twarz.

Właściwie czuję się o wiele lepiej bez makijażu. Przynajmniej jestem sobą.

Znowu rozlega się ciężki łomot.

Wrzucam wszystkie przybory do kosmetyczki i odkładam ją do szuflady, a potem otwieram drzwi. Jeszcze dobrze nie wyszłam, a już jakiś chłopak wbiega do środka i zatraskuje drzwi za sobą.

Z sercem walącym jak młotem wycieram ręce w swoje oliwkowe szorty i wracam do kuchni, żeby nalać sobie nową colę. Ostrożnie, żeby nie zauważył mnie nikt z grających w piwnego ponga, przechodzę z kubkiem w ręce na korytarz.

Schody obsiadły gromadki ludzi, więc domyślam się, że na piętro też można wchodzić. Może właśnie tam znajdę Corę. Wchodzę na górę, przeciskając się koło pary, która całuje się na ostatnim stopniu tak, jakby nie było to najbardziej niezręczne miejsce w całym domu.

Z końca korytarza dobiega salwa śmiechu, więc zmierzam do ostatniego pokoju po prawej i zaglądam ostrożnie do środka. Widzę grupki ludzi rozsiane po pokoju – jedne na łóżku, inne pod oknem, a...

Oddech zamiera mi w piersi, bo wtem dostrzegam ją na podłodze. Ma na sobie najfajniejsze spodnie, jakie kiedykolwiek widziałam.

Wygląda dokładnie tak, jak ją pamiętam. Krótko obcięte włosy w stylu pixie, kolczyk w nosie i uśmiech, który unosi mnie do nieba.

Wygląda doskonale.

Nagle czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła, więc cofam się na korytarz i przywieram mocno plecami do ściany. Biorę kilka głębokich wdechów. Przywołuję w myślach swój plan, przygotowane tematy rozmowy.

„Daj jej szansę, by cię polubiła”.

Piję łąpczywie łyk coli, a potem wolno wchodzę do pokoju... mijam ją i zatrzymuję się dopiero przy pomarańczowej skrzynce na mleko pełnej książek. Bo oczywiście Cora jak zwykle znajduje się w gromadzie ludzi, a moje tematy rozmowy nie przewidywały obecności innych osób ani grupy, do której musiałabym przeniknąć.

Zwracam ku niej wzrok, kiedy słyszę jej głośny śmiech, i na granicy pola widzenia dostrzegam, że ściska ramię wysokiej blondynki o wiele... cóż... atrakcyjniejszej ode mnie. Trudno o większy kontrast między nami. Od stóp do głów cała jest na czarno, większość palców oplatają jej pierścienie. Ponadto widać, że prowadzenie rozmowy z Corą nie sprawia jej absolutnie żadnych trudności.

„Tyle w temacie bodźców dodających pewności siebie”.

Wtem dziewczyna podnosi z podłogi swojego drinka i siada przy toaletce poza zasięgiem rąk Cory, jakby nie chciała, by ta ją dotykała. Kto jednak nie chciałby być dotykany przez Corę Myers?

Ta myśl tak mnie pochłania, że zapominam się odwrócić. Cora zapewne poczuła mój utkwiony w niej wzrok, bo jej oczy kierują się na mnie tak szybko, że nie zdążam przed nimi uciec. Gorąca fala paniki rozlewa mi się po plecach, koncentruję się z całej siły na książkach u moich stóp.

– Hej, czy ty przypadkiem nie uczyłaś się w Oak Park?



Słyszę ją, ale nie unoszę głowy. To pytanie mogło być skierowane do kogokolwiek. W pokoju siedzi wiele osób z naszej starej szkoły, choćby Chris. Może pytała kogoś innego?

– Molly, to ty? – pyta i cóż, z tego już się nie da wykręcić.

Jednocześnie dociera do mnie nagle, co to znaczy. ONA WIE, JAK MAM NA IMIĘ. Cora Myers zna moje imię!

Ten fakt dodaje mi odwagi, by wolno, bardzo wolno zwrócić ku niej głowę. Cora patrzy wprost na mnie. Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden ze starannie opracowanych tematów rozmowy, bo zmieniam się w niewyraźną plamę na tym skołtunionym brązowym dywanie.

– Ty jesteś Molly, prawda? – pyta Cora, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, zasłania dłońmi twarz. – O Jezu, tylko mi nie mów, że wtopiłam. Przepraszam! – rzuca, a mnie serce eksploduje w piersi.

„Mów, Molly. MÓW!”

– Uch... nie. – Odchrząkuję. – To znaczy tak. Molly. To ja.

Rozczarowana sama sobą potrząsam głową.

Cora uśmiecha się do mnie z wyraźną ulgą, a jej piwne oczy błyszczą w świetle padającym na nią z góry. O Boże, jaka ona jest ładna.

– To ty napisałaś na angielskim tamto opowiadanie o dwóch dziewczynach, które uciekły z domu, co nie?

– Tak. To... – ONA. PAMIĘTA. MOJE. OPOWIADANIE. – To byłam ja – odpowiadam, starając się zwalczyć mroczki, które sączą się w moje pole widzenia. – Tu też będziesz chodzić na jakieś zajęcia z pisania? – pytam, zaciskając dłonie na jednorazowym kubku tak mocno, że niemal go zginałam.

– Tak, zdecydowałam się to kontynuować – odpowiada, a potem wskazuje ręką na dwie koleżanki siedzące koło niej na podłodze. – Hej, właśnie miałyśmy zacząć grę. Chcesz dołączyć?

– Dobrze – mówię, czując przyływ pewności siebie, bo wiem, że w planszówkach nie mam sobie równych dzięki setkom godzin spędzonych wieczorami w domu, kiedy graliśmy z resztą rodziny.

Biorę głęboki wdech i siadam koło Cory, podwijając nogi.

„Co się dzieje?”

– To moja współlokatorka, Abby Williams. – Wskazuje na dziewczynę o czarnych, kręconych włosach, w okularach, a ta uśmiecha się do mnie i macha dłonią. – A to Alex... – Zawiesza głos po imieniu i pytająco wyciąga podbródek ku dziewczynie opierającej się o toaletkę.

– Blackwood – kończy za nią dziewczyna.

Cora marszczy brwi i śmieje się ciepło, aksamitnie.

– Nazywasz się... Alex... Blackwood? – Jest pod wrażeniem. – Jezu, czy można mieć fajniejsze nazwisko?

– Nie jestem aż taka fajna – mówi Alex z niezbyt przekonującym kpiarskim uśmieszkiem i pociąga łyk z butelki Mike's Hard.

Staram się jak najlepiej ukryć dezaprobatę dla tej dziewczyny.

Czekam, aż ktoś rozłoży planszę *Monopoly*, lecz wszyscy po prostu zaczynają rozmawiać, popijając drinki. Wytężam uwagę, żeby wtrącić swoje trzy grosze do konwersacji, wpleść zmyślnie jeden z moich tematów, ale za każdym razem, kiedy przychodzi mi na myśl coś odpowiedniego, oni już dyskutują o czymś zgoła innym.

W końcu Abby zaczyna nam opowiadać, że razem z Corą miały być zakwaterowane w akademiku Sutherland, a nie w Nordenberg. To świetny przyczynek do poruszenia tematu trudnej egzystencji w niechcianym pokoju jednoosobowym, który, mam nadzieję, doprowadzi do za-

proszenia mnie na kolejne spotkania w podobnym gronie, ale gdy tylko otwieram usta, by wyrazić swoją opinię, Alex znowu zmienia temat.

No więc po prostu siedzę sobie z uśmiechem przyklejonym do twarzy i potakuję, i śmieję się z resztą towarzystwa.

Jednak mimo wszystko czuję, że osiągnęłam sukces. Siedzę tu – na imprezie! – i rozmawiam z Corą Myers... A w każdym razie słucham, jak ona rozmawia. Ze mną.

– Hm, upłynęło już ze dwadzieścia minut, odkąd wysłałyśmy Rosie po talię kart. Wygląda na to, że zaginęła w okolicy stołu do ponga. W co innego mogłybyśmy zagrać? – pyta Abby.

To dla mnie doskonała okazja, by włączyć się do rozmowy i zaproponować grę, ale nagle...

– *Nigdy przenigdy?* – proponuje Alex.

Och. Taki rodzaj gry. Było oczywiście, że wybierze zabawę, w której może zabłysnąć wszystkimi fajnymi rzeczami, które zrobiła w życiu.

– Masz nadzieję, że uda ci się mnie pokonać?

Cora zadaje to pytanie tonem, który wywołuje u mnie ukłucie zazdrości. Kim w ogóle jest tamta dziewczyna?

Alex wzrusza ramionami.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Unosi dłoń i rozcapierza palce.

Reszta z nas robi to samo, ale nie wciąga mnie ta gra. Rozprasza mnie bliskość nogi Cory koło mojej nogi na dywanie i nadzieja, że Cora obdarzy mnie takim samym wzrokiem, jakim patrzy na Alex.

Kiedy pierwszy raz nadchodzi moja kolej, próbuję wymyślić coś, co nie jest krańcowo denne, ale jednocześnie nie pogrzyży mojej reputacji, czyli... no, po prostu muszę unikać rzeczy dotyczących seksu, narkotyków albo alkoholu, bo (UWAGA, NIESPODZIANKA!) Molly Parker nie ma żadnych doświadczeń z... niczym. Po pierwszych kilku rundach zabawy można zaś wnioskować, że reszta towarzystwa je ma. Bo w naszym kręgu już sporo palców poszło w dół, tymczasem moje pięć nadal jest wyprostowane.

– Ee. Nigdy przenigdy... nie zapaliłam papierosa – mówię, bo przecież każdy wie, że papierosy są ohydną, rakotwórczą, śmiertelną pułapką.

Nie są fajne. Oczywiście Alex opuszcza palec, ale przynajmniej nikt inny tego nie robi. Zdobywam punkt.

Dołącza do nas więcej osób i rundy trwają tym dłużej, im bardziej rozrasta się krąg uczestników. Wiem jednak, że wcale nie chodzi o chęć udziału w grze. Tak samo jak w szkole, magnetyzm Cory zaczął działać, chociaż ona nawet tego nie zauważa.

Z upływem czasu ludzie nabierają odwagi w swoich wyznaniach, a palce mimo to wędrują w dół, co sprawia, że jestem coraz bardziej nerwowa, bo im bardziej sprośne są te wątpliwe dokonania, tym bardziej prawdopodobne staje się moje zwycięstwo, a ja wiem, że w tej grze zwycięstwo oznacza porażkę.

Wychodzi na to, że jestem w tym dobra, bo właśnie ja „wygrywam” trzy razy z rzędu. Jednak widzę pewne różnice. W szkole średniej z oczywistych przyczyn rzadko chodziłam na imprezy, ale odnoszę wrażenie, że podczas nich efekt byłby zupełnie inny – niekończące się szepty i szydercze docinki. Tutaj nikogo nie obchodzi, czego w życiu nie zrobiłam, chociaż czuję na sobie badawczy wzrok Alex, kiedy bierze kolejny solidny łyk lemoniady z wódką.

– Nigdy przenigdy nie prowadziłem motocykla – mówi w połowie kolejnej rundy brodaty chłopak w pirackim kapeluszu.

Nareszcie! W końcu mogę opuścić palec. Popijam drinka, uśmiechając się znacząco do Cory.

– Naprawdę? Jeździłaś motorem? – pyta, trącąc mnie ramieniem.

– Uhm – potakuję, czując, że czerwienią mi się policzki. – Mój wujek odnawia zabytkowe harleye.

Cora patrzy na mnie z pewnym zainteresowaniem.

„Sprawy układają się jak najlepiej”.

Nadchodzi kolej Alex, a ta patrzy prosto na mnie. Dopiero teraz dostrzegam, jak bardzo zielone są jej oczy. Uśmiecha się do mnie drwiąco z przeciwnej strony kręgu.

– Molly, ile masz lat? – pyta.

– Osiemnaście – mówię.

Czując zimny pot na plecach, czekam na puentę.

– Nigdy przenigdy nie byłam dziewczicą w wieku osiemnastu lat – oznajmia Alex.

Nabieram gwałtownie powietrza do płuc i patrzę na nią, próbując zrozumieć, czy ona naprawdę powiedziała to, co usłyszałam. Alex wspiera czoło o kolano, jej ramiona podrygują.

Moja reakcja jest zbyt oczywista, by w ogóle próbować kłamstwa. Zresztą nikt by w to nie uwierzył. Opuszczam palec, ale tym razem nie czuję, że wygrałam. Unoszę kubek do ust i patrzę na siedzącą naprzeciwko Alex. Ta unosi głowę, na jej twarzy widać rozciągnięty od ucha do ucha uśmiech.

Rozmazuje mi się obraz, biorę jeszcze jeden łyk, żeby to ukryć.

„Tylko nie becz. Tylko, kurwa, nie becz, Molly Parker”.

Przełykam wielką gulę w gardle i zmuszam się do śmiechu z resztą uczestników. Wszyscy w kręgu śmieją się ze mnie.

Wszyscy oprócz jednej osoby.

Cora patrzy gniewnie na Alex.

– To nie było śmieszne – mówi, trzepiąc dłonią w ramię Alex, co umacnia moją odwieczną opinię o Corze. Cora jest dobra.

– Ich zdaniem było. – Alex wzrusza ramionami i wskazuje szyjką butelki na ludzi dokoła.

– Twoja kolej, szefowo – mówi do Cory.

– Nigdy przenigdy nie kupiłam alkoholu dla obcej osoby – mówi Cora i mruży oczy, patrząc na Alex, która śmieje się i stuka swoją butelką w jej butelkę, chociaż Cora nie wyciągnęła do niej ręki, a potem dopija resztę swojej lemoniady z wódką, żeby już skończyć grę.

– Potrzebuję nowego drinka – mówi Abby.

– Ja też.

Alex podrywa się z podłogi, żeby dołączyć do Abby, a mnie serce skacze w piersi. No, nareszcie. Lecz nagle Cora zahacza palec o sznurówki wysokich trampków Alex, jakby błyskawicznie zapomniała o swojej złości na nią.

– Przyniesiesz mi też? Proooszę – mówi, potrząsając pustą butelką. – Myślę, że już wypiliłam wystarczająco dużo, że jestem w stanie strawić tego Fireballa od Kirsten.

Alex się waha, ale bierze od niej butelkę, a potem zatrzymuje się, żeby popatrzeć na mnie.

– Molly? Coś dla ciebie? – pyta.

„Oho, jak miło z twojej strony”.

Kręcę głową.

– Nie trzeba.

Biorę głęboki wdech, moje oczy wreszcie zaczynają wysychać. Dzięki Bogu.

Kiedy tamte wychodzą z pokoju, Cora podsuwa się do mnie. Jej spodnie w jaskrawe pasy szorują po dywanie.

– Hej, wiesz, że ona tylko żartowała, prawda? Nie ma się czego wstydzić.

Kładzie dłoń na moim ramieniu. Cora Myers stara się mnie pocieszyć.

– Wcale się nie wstydzę. – Potrząsam głową i staram się jak najszczerzej zaśmiać. – To było piekielnie śmieszne. – Czuję na skórze ciepło jej dłoni. Tak długo na to czekałam, ale nie chciałam, by towarzyszyły temu takie okoliczności. Nie chciałam wyjść na żalostną ofiarę, którą trzeba pocieszać. Zerkam na telefon z nadzieją, że moje policzki nie są takie czerwone, jakie mi się zdają. – Chyba jednak powinnam już wracać do akademika.

– Och nie, musisz jeszcze trochę zostać. Naprawdę! – mówi. Jej słowa także niemal doprowadzają mnie do łez, lecz z zupełnie innego powodu. – Może kiedy dziewczyny wrócą, uda nam się namierzyć tę talię i zagrać raczej w królów.

„Cora chce, żebym została”.

– Okej. To na pewno będzie lepszą rozrywką niż obserwowanie przez całą noc, jak Alex wciąż przegrywa – odpowiadam, wywołując u niej szczery śmiech, od którego cała się rozplywam.

Siadam z powrotem koło niej, a ona wdzięcznym gestem odgarnia grzywkę z oczu.

Gdyby tylko wiedziała, że jeśli poprosiłaby mnie o to, zostałabym nawet całą noc!

## ROZDZIAŁ 7

# ALEX

– To była o wiele większa impreza niż zapowiadany wieczorek zapoznawczy – mówię do Cory, kiedy siedzimy na ławce przystanku autobusowego, a Abby studiuje rozkład jazdy w swoim telefonie.

Właśnie wybiła druga w nocy, więc ulice są ciemne i ciche, jeśli nie liczyć kilku innych studentów, którzy nas mijają, rozchichotanych, obściskujących się par czy grupy przyjaciół opychających się pizzą z pudełka.

– No, może troszeczkę – odpowiada Cora, a potem chwyta mnie za rękę i przytula się, spowijając mnie cytrynowym zapachem Fireballa.

Walczę ze swoją instynktowną reakcją i zamiast objąć Corę, odsuwam się nieco na ławeczce. Abby wzdycha przeciągle i podchodzi nieco chwiejnym krokiem, po czym siada między nami.

– Jesteśmy w ciemnej dupie – mówi, wkładając do kieszeni telefon. – Ostatni autobus odjechał dwadzieścia minut temu.

Patrzę nad jej ramieniem na wysokie wzgórza, na które wjechaliśmy, zmierzając w tym kierunku. Nawet nie muszę otwierać mapy Google'a, żeby wiedzieć, iż do mojego mieszkania jest stąd co najmniej półtora kilometra krętymi, słabo oświetlonymi ulicami. Obracam się ze sceptyczną miną do Cory i zerkam na nią nad kędzierzawą grzywą Abby.

To nie Filadelfia, a ja nie jestem wielką fanką nocnych wędrówek po mieście, którego zupełnie nie znam. Zwłaszcza po tym, jak dobiłam do narzuconego sobie limitu dwóch drinków, i zdecydowanie czuję, że trochę szumi mi w głowie. No ale wskaż mi kobietę, która lubi takie spacerki.

– Możemy wezwać ubera – proponuje Cora.

Uber... stanowczo nie mieści się w moim budżecie. Autobusy miejskie są darmowe dla studentów Pitt. Uber o tej godzinie na pewno ustala dynamicznie swój cennik.

Przygryzam wargę i zaczynam się przygotowywać psychicznie do nieuchronnej nocnej przechadzki, lecz nagle zatrzymuje się przed nami mały biały sedan. Okno wolno się otwiera i za nim ukazuje się łagodne spojrzenie brązowych oczu, identycznych z tymi, które miałam naprzeciwko siebie przez większą część imprezy.

Molly. Nigdy dotąd nie czułam się szczęśliwsza, widząc przed sobą taką ciepłą kluczę.

– Hej – mówi i zakłada za ucho kosmyk swoich długich, brunatnych włosów. – Potrzebujecie podwózki?

Dopiero kończy wypowiadać te słowa, a my już ładujemy się do samochodu, wykrzyku-

jąc peany na jej cześć.

– Ratujesz nam życie! – mówi Cora, a policzki Molly rumienia się pod wpływem tak nagłej popularności.

Zapinamy pasy i mówimy, dokąd chcemy jechać. Cora i Abby mieszkają razem w pokoju w Nordenbergu, najbardziej wypasionym akademiku dla pierwszego roku na całym kampusie. Widziałam zdjęcia w sieci, kiedy składałam podania – automaty z przekąskami w holu, telewizory LCD w każdym pokoju, klima. Prawdziwy Ritz-Carlton w porównaniu z moją budżetową stacją przy Atwood Street.

Skurczona wciskam się w kąt tylnego siedzenia, chociaż przewyższam co najmniej o głowę Abby, która zajęła siedzenie pasażera z przodu. Wspieram przedramiona na kolanach i rozkoszuję się ciemnością panującą w aucie oraz melodią piosenki w radiu, a także – przyznaję – resztką alkoholu w moim organizmie. Po raz pierwszy od wyjazdu z domu czuję się normalnie.

Kiedy zjeżdżamy ze zdradliwych wzgórz do South Oakland, wyjmuję telefon i sprawdzam mojego Snapchata. Odświeżam go kilka razy, by się upewnić, że to nie wina wolnego Internetu, że Natalie nadal nie odpisała. Upłynęły już cztery godziny, odkąd otworzyła zdjęcie z cheetosami, ale do tej pory nic nie odesłała.

Spoko.

Unoszę wzrok, gdy samochód zwalnia, i widzę, że w polu widzenia wolno pojawia się błyszczący, wielopiętrowy budynek ze szkła i cegły – to na pewno Nordenberg. Pomimo puszek po piwie rozrzuconych na chodnikach i pudełek po pizzy wysypujących się ze śmietników wygląda jak prawdziwy pałac. Zdaje mi się, że widzę na piątym piętrze okrytą kocem dziewczynę w bluzie z kapturem, co znaczy, że klimatyzacja daje przyjemny chłód nawet podczas upałów w drugiej połowie sierpnia.

Molly wjeżdża na puste miejsce i zatrzymuje samochód. Cora patrzy wprost na mnie.

„Och, nie”.

Jej dłoń prześlizguje się po moim udzie.

– Możesz wejść, jeśli chcesz – szepcze, pochylając się do mnie.

Zamieram bez ruchu, zerkam w dół na zignorowany snap, a potem na piwne oczy Cory. Dziewczyna całą sobą sygnalizuje, że jest chętna. Zapraszająca.

Skóra zaczyna mi elektryzować pod ciężarem jej dłoni. To zapowiedź nocy, podczas której nie trzeba myśleć o niczym, oraz przyjemności wynikającej z bliskości drugiej osoby, która jedynie czeka, żebyśmy wyciągnęła rękę i skorzystała z zaproszenia.

Mogłabym się pochylić i ją pocałować. Nie byłby to pierwszy raz i wiem, że przyszłoby mi to łatwo.

A jednak... nie chcę iść na łatwiznę. Nie zależy mi na powierzchownej przyjemności, bez uczuć ani prawdziwej więzi. Już nie.

Bo po czymś takim czuję się jeszcze bardziej samotna niż przedtem.

Uśmiecham się do niej lekko i potrząsam głową.

– Ja, mmm... mam dziewczynę.

– Och. – Cora kiwa głową i odsuwa się z zaskoczoną miną. – Szczęściara.

Otwiera drzwi i wysiada z auta. Po chwili znowu zagląda do środka i uśmiecha się promiennie, patrząc na miejsce kierowcy.

– Dzięki za podwózkę, Moll.

Kiedy drzwi się zamykają, mój wzrok zatrzymuje się na odbiciu Molly we wstecznym lusterku. Ma wymalowaną na twarzy tęsknotę. Wiodę wzrokiem za jej spojrzeniem do oddalającej się Cory, a potem zwracam oczy z powrotem ku Molly. Moja głowa kilkanaście razy wykonuje ten sam ruch, zanim do otumanionego alkoholem mózgu dociera w pełni, na co patrzę.

– Ahaaa, o Boże – mówię i staram się jak najzręczniejszym wgramolić na przednie siedzenie, przy okazji przypadkiem wbijając łokieć w pierś Molly. Po chwili bezładnie ląduję na fotelu pasażera. – Molly, zapytaj ją, czy możesz skorzystać z toalety.

– Jezu, ileś ty wypięła? – pyta Molly, patrząc nieufnie i pocierając miejsce, w które wyrznięłam łokciem.

Marszczę brwi, bo dokładnie te same słowa zwykle padają z moich ust i są skierowane do nieprzytomnej od alkoholu matki.

– Ponadto wcale nie muszę iść do toalety – dodaje.

– Ja to wiem – mówię, wyglądając za okno. Czas Molly się kończy. Cora jest już niemal przy drzwiach wejściowych. – Ale Cora nie ma o tym pojęcia! Powiedz, żeby pozwoliła ci wejść i skorzystać. Spróbuj szczęścia. Ja już sobie poradzę pieszo.

Widzę stąd tabliczkę z nazwą Atwood Street, a przystanek autobusowy, na którym wysiadłam rano, znajduje się przy następnej przecznicy. Jesteśmy bardzo blisko mojego mieszkania.

Nasze spojrzenia się krzyżują, Molly się waha, rozmyśla. Obraca głowę i jeszcze raz patrzy przez okno na Corę, która już przykłada swoją wejściówkę do czytnika... otwiera szklane drzwi... wchodzi.

– Za późno – mówi w końcu Molly, kiedy drzwi akademika się zatraskują.

Obejmuje palcami kierownicę, ścisza ją coraz mocniej.

– Tylko dlatego, że tak długo zwlekałaś!

– Gdzie mieszkasz? – pyta, ignorując moją uwagę.

Wskazuję palcem w kierunku mojego domu.

– Tam. Atwood Street pięćset trzydzieści. – Uśmiecham się szeroko i opieram plecami o wewnętrzną stronę drzwi samochodu. – Kręci cię Cora – zaciągam śpiewnym tonem.

Molly wrzuca bieg i zirytowana przewraca oczami.

– A ciebie najwyraźniej nie, więc nie rozumiem, po co niemal cały wieczór wodziłaś ją za nos.

Czuję, że szybko trzeźwieję, przytrzymuję uchwyt nad drzwiami i podciągam się na fotelu.

– Hej, to nie moja wina, że nie zdecydowałaś się na ruch.

– Tobie też trudno byłoby się zdecydować, gdyby ktoś ci wytknął, że jesteś dziewicą – mówi. Jej czarne brwi marszczą się gniewnie.

– A jeszcze trudniej, gdybym szukała wymówek przed podjęciem jakiegokolwiek próby – odgryzam się.

Jasnobrózowe oczy Molly rozszerzają się ze zdumienia. Obrzuca mnie wymownym wzrokiem i wiem, że uderzyłam w czułą nutę. Przyznaję, że to nie pierwsza czuła struna Molly, w którą dzisiaj uderzyłam, ale nie zamierzam pozwolić, żeby mnie krytykowała tak, jak robiła to przez większość wieczoru, siedząc naprzeciw mnie w kręgu na podłodze.

Czekam na kolejną sarkastyczną uwagę.

– Masz rację – przyznaje w końcu Molly, skracając w Atwood Street.

Nagle dociera do mnie, że ona mnie wcale nie krytykowała. Była po prostu... sfrustrowana tym, że nie wiedziała, jak dotrzeć do Cory.

Przypominam sobie naszą grę w *Nigdy przenigdy*. Wszystkie rundy, które Molly przesiedziała z pięcioma palcami w górze. Wszystkie rundy, podczas których wydobywała z nas zwierzenia dotyczące rzeczy, których ona sama nigdy nie spróbowała – palenia papierosów, całonocnych imprez, koncertów.

Przez to, co wtedy do niej powiedziałam, czuję się jak najgorsza szuja na świecie. Zwłaszcza że teraz siedzi obok i robi jedyną rzecz, której ja nigdy przenigdy nie umiałam zrobić

– zachowuje się szczerze. Umie okazać słabość, nawet w tak delikatnej sprawie. Chociaż na pewno jest to dla niej trudne.

Przygryzam wargę, bo uświadamiam sobie, że to cholernie dobra ilustracja zarzutów stawianych mi wczoraj przez Natalie. Zupełnie zignorowałam uczucia Molly, tak jak przez wiele miesięcy ignorowałam uczucia Natalie. Nawet tej nocy sprawy przyjęły niebezpieczny obrót – ledwie kilka chwil temu dłoń Cory spoczywała na moim udzie.

Dla mnie zdobycie Cory byłoby dziecinnie łatwe. A dla Molly? Dla Molly, która czuje do niej coś autentycznego? To jak zdobycie niedostępnej góry.

Nagle świta mi pewien pomysł.

– Ja...

Nie kończę, bo wolę się najpierw upewnić co do swoich zamiarów.

Przyglądam się Molly, z namysłem mrużę oczy, ona zaś zerka na mnie przelotnie z zerowym zainteresowaniem.

Naprawdę... trudno o wyraźniejszy sygnał, że w ogóle nie jest mną zainteresowana. Myślę, że jej stosunek do mnie dałoby się podciągnąć wręcz pod odrazę.

No i w tym przypadku moje intencje są autentycznie czyste. Przynajmniej raz w życiu.

– Mogę ci pomóc – mówię tak podekscytowana, że chwytam ją za rękę. – Mogę ci pomóc rozkochać w sobie Corę.

Doskonale. No bo jeśli pomogę Molly, sama nie wdam się w żadne kłopoty i za miesiąc będę mogła pokazać Natalie rzeczywisty, namacalny dowód, który udowodni, że zaszła we mnie zmiana.

Nie tylko zyskam przyjaciółkę, którą będę mogła jej przedstawić – dowód na to, że nie jestem emocjonalnie niedostępną suką, za którą mnie uważa, ale też udowodnię, że z moich skłonności do flirtowania czasami wynika coś dobrego. Że jestem zdolna do czynienia dobra. Nie potrzebuję... tamtych innych rzeczy.

Może wtedy Natalie zobaczy, że naprawdę chcę z nią być, a nie że tylko tak mówię. Że jestem kimś, z kim warto być. Nawet na odległość i z bagażem moich życiowych doświadczeń.

Molly zerka na mnie wyraźnie bez zachwyty.

– Co? Niby jak?

Wskazuję na czerwone drzwi mojego domu, a ona zwalnia, hamuje i wrzuca luz.

– No wiesz, ona na mnie leci, więc wiem, co jej się podoba.

Od razu wiem, że... na bank jej nie przekonałam.

Molly zniecierpliwiona przewraca oczami i otwiera zamek drzwi, nie mówiąc ani słowa. Rozmowa skończona.

Kiwam głową. Spoko. Dobry początek.

– Dzięki za podwiezienie – mówię i wysiadam.

Molly milczy. Nawet się ku mnie nie obraca, kiedy dodaje gazu i odjeżdża. Zostaję sama przy krawężniku i patrzę, dopóki biały zderzak jej samochodu nie znika z pola widzenia.

Nie poddaję się jednak. Ten pomysł jest doskonały.

Muszę jedynie pokazać Molly, co potrafię.



## ROZDZIAŁ 8

# MOLLY

Biologia w poniedziałek o 8.30 rano na pewno nie byłaby dla mnie przedmiotem pierwszego wyboru, ale po tym, jak Cora w ubiegłym miesiącu zamieściła na Facebooku swój plan zajęć, to był jedyny wykład, na którym jeszcze udało się znaleźć wolne miejsca. Wygląda więc na to, że teraz interesują mnie organizmy żywe.

Biorę głęboki wdech i poprawiam włosy nad jednym i drugim ramieniem, a potem popycham ciężkie drzwi do auli.

Przebiegam wzrokiem rzędy ławek. Z przodu siedzi kilkoro cichych, spokojnych słuchaczy, środkowe miejsca zajmują grupki przyjaciół rozmawiających o wakacjach, a pod ścianami w głębi rozpierają się z nogami wspartymi o blaty w niższym rzędzie zawodnicy drużyn sportowych Pitt.

Nie widzę ani jednej osoby z oczami podkrążonymi z powodu przedsemestralnej imprezy. To wyglądek, który dobrze kojarzę z weekendu po balu maturalnym oraz z niedziel w klubie narciarskim.

Ale po raz pierwszy rozumiem, jakie to uczucie.

Ja też jestem wykończona. Czuję ukłucie żalu, kiedy myślę o zajęciach z pisania opowiadań, z których zrezygnowałam na rzecz tego wykładu. Jednak mimo że biologia jest traktowana przede wszystkim jak sito dla studentów wstępu do medycyny w Pitt, to znalazła się także na liście nauk ścisłych dla mojego kierunku. Jeśli teraz ją zaliczę, to w przyszłym semestrze nie będę musiała wybierać przedmiotu z tej listy. Powtarzam sobie zatem po raz nie wiadomo który, że jestem tu nie tylko z powodu Cory.

Wchodzę do auli i w końcu dostrzegam jej krótką, brązową fryzurę pixie. Cora rozmawia z Abby i ma na twarzy uśmiech, który od razu rozgrzewa mnie do szpiku kości. Sądzę, że jest tu jedyną uśmiechniętą osobą.

Przytrzymuję szelki mojego plecaka i schodzę do trzeciego rzędu, w którym ona siedzi kilka miejsc od przejścia. Abby stuka w klawisze telefonu, a ja podchodzę jeszcze o pół kroku i już mogłabym złapać oparcie pustego obrotowego krzesła koło Cory – gdybym tylko chciała. Bądź co bądź ubiegłej nocy byliśmy razem na imprezie. Siedzenie koło siebie jest w tej sytuacji zupełnie normalne.

– Czy ktoś już tu siedzi? – pytam, stojąc z tyłu, i staram się tak modulować głos, żeby brzmiał... nie wiem... zalotnie czy jakoś tak?

Jednak wychodzi mi z tego w najlepszym razie sceniczny szept. Dlatego – a także z powodu osiłków hałasujących w ostatnich rzędach oraz Abby stukającej w wyświetlacz – mój głos

nie dociera do Cory. Zerkam przez ramię na dziewczynę w następnym rzędzie, która potrząsa rudą lwią grzywą i rzuca mi spojrzenie mówiące: „Siadaj już, kurwa, albo się przesun”.

Odkasłuję lekko i już zamierzam powtórzyć pytanie, lecz nagle Abby mówi:

– Cora, patrz na to!

Cora obraca się na krześle, a Abby unosi telefon, żeby pokazać jej coś na Instagramie. Z wahaniem zerkam w przeciwnym kierunku i widząc wnerwione spojrzenie rudej lwicy, decyduję się wrócić do przejścia i zająć miejsce w dalszym rzędzie, zanim któraś z nich zauważy, że się za nimi czaję.

„Świetna robota, Molly. Tak trzymać”.

Zwalniam śmiertelny uścisk na szelkach plecaka i zsuwam go z pleców na podłogę. Siadam przy biurku, a potem z całej siły próbuję zapomnieć o tamtym i skupić się na wykładzie. Wyciągam segregator i starannie układam przed sobą długopisy.

Wszystko takie nowe, świeże i gotowe.

Dokładnie takie, jak lubię, a mimo to z trudem ignoruję krępujące uczucie, które ściska mi żołądek za każdym razem, kiedy mój wzrok wędruje ku Corze i pustemu krzesłu, które mogło być moje.

Kiedy profesor dopasowuje mikrofon do swojego wzrostu, drzwi nagle otwierają się z hukiem i staje w nich ni mniej, ni więcej, tylko Alex Blackwood. Spóźniona. Bez plecaka. Jedynie z książką pod pachą i niedojedzoną kanapką z 7-Eleven w ręce.

Pochylam głowę i udaję, że jestem wielce zainteresowana konspektem wpiętym do segregatora. Modlę się, żeby mnie nie zauważyła. Obserwuję ją kątem oka, kiedy zatrzymuje się i wita z Corą oraz Abby, które oczywiście słyszą ją i widzą, ale potem wbiega po schodach i przeciska się za pięciorgiem innych ludzi, żeby usiąść na wolnym krześle... koło mnie.

Odgryza duży kęs kanapki i pochyla się nad długim, wspólnym dla całego rzędu blatem. Wbija we mnie wzrok. Nie unoszę głowy znad konspektu, ale ona dalej się gapi i głośno ciamka mi prosto do ucha.

– Wiesz, że twoja dziewczyna siedzi tam, nie? – niemalże krzyczy, wskazując kanapką w kierunku pierwszych rzędów.

– Ciii! – Zerkam na Corę, żeby się upewnić, że nie dosłyszała, ale ona rozmawia z Abby. Krzesło koło niej wciąż jest wolne.

– Dlaczego nie usiadłaś z nią? – pyta Alex.

– A ty? – odpowiadam pytaniem na pytanie. – Albo gdziekolwiek indziej.

Wskazuję ręką na mnóstwo wolnych krzeseł w auli.

– Aha, no tak, kurde, zapomniałam. – Prycha. – Ty nie potrzebujesz mojej pomocy.

Milcząc, piorunuję ją wzrokiem, a ona odgryza jeszcze kęs kanapki. Potem całą uwagę poświęcam profesorowi, który właśnie się przedstawia. Zaczyna omawiać program zajęć i informuje, że nie będzie sprawdzać obecności, bo nie jesteśmy w szkole średniej. Jeśli nie będziemy przychodzić na wykłady, oblejemy egzamin. Jeśli nie poświęcimy trzydziestu godzin tygodniowo nauce, oblejemy egzamin. Jeśli nie spełnimy tych warunków, zawsze możemy powtórzyć wykłady w przyszłym semestrze.

Ta wizja zdaje się dość dramatyczna.

Kiedy zaczynam robić notatki, pojawia się przede mną dłoń sięgająca do skoroszytu.

– Hej! – Trzepię Alex w rękę, a ona ją cofa i robi nadąsaną minę.

– Jezu! Chciałam tylko pożyczyć papier i ołówek – szepcze.

– O Boże.

Unoszę oczy do sufitu i wydieram pustą kartkę. Dlaczego nie przyniosła sobie przyborów do robienia notatek? To college, a nie przedszkole. Turlam ku niej zielony mechaniczny ołó-

wiek i zauważam, że książką, którą Alex przyniosła, nie jest podręcznik biologii, lecz *Anna Karenina* Tolstoja.

Nigdy nie wpadłabym na to, że Alex Blackwood czytuje klasyków literatury.

Nie żebym w ogóle rozmyślała o niej albo o jej głupiej propozycji.

Po jakimś czasie zerkam znowu na Corę, myśląc o naszej przejażdżce i o tym, jak zamknęły się za nią szklane drzwi akademika. Wracam myślami do mojego żalostnego pytania o to, czy mogę usiąść koło niej, zamiast po prostu koło niej usiąść. Zwracam głowę w bok i widzę, że Alex bazgrze niedbałym charakterem pisma notatki na kartce, kiedy profesor mówi o czekających nas czterech testach i egzaminie końcowym na końcu semestru. Ja już mam wszystkie daty zapisane w kalendarzu, ale jeśli chodzi o Alex, to idę o zakład, że do tej pory była zbyt zajęta uganianiem się za dziewczynami, żeby przynajmniej zajrzeć do programu zajęć. Wzdycham i próbuję skupić się na wykładzie, ale mój umysł wciąż błądzi. Alex po prostu nie rozumie pewnych rzeczy.

– Jeśli jest zainteresowana tobą, to przecież i tak nie chciałyby spotykać się ze mną – szepczę w końcu, pochylając się nad biurkiem.

– Jeśli jej tego nie zaproponujesz, to nie – odpowiada Alex, nie przerywając pisania.

– Ona ledwo mnie kojarzy. Nie mogę tak po prostu jej tego zaproponować.

– Ja bym tak zrobiła – odpowiada, po czym obie udajemy, że patrzymy na swoje notatki.

– A poznałam ją dopiero wczoraj wieczorem.

– No wiesz, nie wszyscy musimy być tacy „fajni” jak ty. Nie wystarczy pstryknąć palcami, by mieć cokolwiek ani kogokolwiek nam się zachce.

– Uważasz, że jestem fajna? – pyta Alex i kiedy na mnie patrzy, na jej twarzy pojawia się irytujący uśmiešek.

– To był taki bon mot. – Unoszę teatralnie wzrok. – Czyli...

– Wiem, co to znaczy, ale masz na myśli raczej sarkazm – wytyka mi niewłaściwe użycie obcego słowa. Kurde. – Ale wracając do rzeczy, fajność nie ma z tym nic wspólnego. Ja mam po prostu umiejętności społeczne. – Wbija mi szpilkę tam, gdzie naprawdę boli. – Gdybyś ty też je miała, może nie potrzebowałabyś mojej pomocy.

– Nie prosiłam cię o pomoc! – mówię nieco za głośno.

Kilka osób obraca się do mnie. Chyba pierwszy raz w życiu w jakimś stopniu przeszkodziłam w prowadzeniu lekcji. Kulę się na krześle.

– Jasne, jeszcze nie – szepcze demonstracyjnie, ale potem znowu poświęca całą uwagę profesorowi i swojej kanapce.

Zaciskam palce na ołówku, kipiąc w środku ze złości, i czekam na moment, w którym będę mogła się zdystansować od Alex Blackwood. Już sama jej obecność przy mnie sprawia, że chce mi się wrzeszczeć.

Wykład wreszcie się kończy po omówieniu całego programu. Szybko wymykam się drugim przejściem, zostawiając gdzieś za sobą Alex – oby już na dobre. Udaje mi się prześlizgnąć między dwoma futbolistami i dotrzeć do drzwi w samą porę, by stanąć tuż za Corą w tłumie cisnącym się przy wyjściu.

Przełykam ślinę i biorę głęboki wdech. Nie potrzebuję do tego pomocy. Nie potrzebuję.

„Po prostu powiedz: cześć”.

Już jesteśmy przy samych drzwiach, kiedy czyjaś długa ręka sięga nade mną i stuka Corę w ramię czubkiem mechanicznego ołówka. Mojego mechanicznego ołówka!

Obracam się na pięcie i w ostatniej chwili dostrzegam Alex, która chowa się za rzędem studentów, znika z pola widzenia, a kiedy znowu się obracam, Cora patrzy wprost na mnie.

– Molly, cześć! – Uśmiecha się do mnie tak, że drętwieją mi stopy. – Nie wiedziałam, że

ty też chodzisz na te wykłady.

– Tak. – „Mów, Molly, mów!” – Są o wiele ciekawsze niż ogólne nauki ścisłe w liceum – wyduszam z siebie, kiwam głową na powitanie Abby i we trzy wychodzimy na korytarz. Razem.

– No, ja też tak myślałam, ale teraz zaczynam podejrzewać, że te zajęcia służą jedynie odsianiu plew. Obawiam się, że dokonałam złego wyboru. – Tłumi śmiech. – Nauki ścisłe to nie moja bajka.

„Wiem” – mam ochotę powiedzieć. „Jesteś naprawdę dobra w pisaniu”. Ale zaczynam się obawiać, że odbierze to jako opinię, że nie nadaje się do przedmiotów ścisłych, i moja szansa u niej kompletnie przepadnie.

– No dobrze, idziemy na dół – mówi, kiedy dochodzimy do schodów. – Do następnego, Molly.

– Okej, na razie – odpowiadam i kiedy one schodzą piętro niżej, zostaję na korytarzu, mimo że sama też się tam wybierałam.

– Widzisz, jakie cuda się dzieją, kiedy jestem w pobliżu?

Alex wyrasta przede mną jak spod ziemi i stuka mnie ołówkiem w ramię.

– Nie wtrącaj się! – mówię rozdrażniona.

Zabieram jej mój ołówek i wkładam go do kieszeni, a potem idę jak burzowa chmura na koniec korytarza, chociaż jest mi to zupełnie nie po drodze.

Alex wystarcza kilka długich kroków, żeby mnie dogonić.

– Przestań już się upierać i pozwól sobie pomóc.

– Nie chcę twojej pomocy, więc odpuść. Cora nie czuje do mnie tego rodzaju sympatii. Nigdy nie spojrzysz na mnie w taki sposób. Po co więc się starać? – syczę ze złością.

– Molly. – Alex ciągnie mnie do wnętrza przy korytarzu, poza główny nurt ludzi. – Widziałam, przez ile rund siedziałaś ze wszystkimi pięcioma palcami w górze. Jeżeli wciąż będziesz się skupiać na „przenigdy”, to nie znajdziesz okazji, żeby coś zrobić. Musisz skończyć z tym gównianym użalaniem się nad sobą. Uważasz się za małą, biedną ofiarę, której nikt nie polubi, ale jak ma cię polubić, jeśli nawet kiedy już coś mówisz, to porozumiewasz się jedynie szeptem? – pyta, a ja krzyżuję ręce na piersi.

– Wcale że... – Milknę w pół zdania, a Alex się uśmiecha, czując, że na mojej skorupie zaczynają się pojawiać drobne rysy.

Opuszczam ręce i wbijam wzrok w ścianę. Jestem w szoku i nieco urażona, ale jej bezpardonowa szczerość chyba w pewnym stopniu robi na mnie wrażenie. Alex nie bawi się w lukrowanie rzeczywistości. Jej słowa stanowią mieszankę najostrzejszych uwag wypowiedzianych przedtem przez mamę i Noaha. Jednak brzmią inaczej w ustach osoby będącej w moim wieku, właściwie zupełnie nieznanym i mającej – co muszę niechętnie przyznać... o wiele większe doświadczenie w tych sprawach.

Jednego jednak nie rozumiem. Dlaczego ktoś taki jak Alex Blackwood miałby w ogóle chcieć mi pomagać?

– Co ty będziesz z tego miała? – pytam, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Robię to z dobroci serca – odpowiada głosem ociekającym słodyczą i wzrusza ramionami.

– Gówna prawda – odpowiadam obojętnie. – Nie wyglądasz na kogoś, kto cokolwiek robi z dobroci serca. Pytam więc jeszcze raz: co będziesz z tego miała?

Alex wzdycha głośno i ucieka wzrokiem.

– Potrzebuję dowodu.

– Dowodu czego? – pytam, obserwując jej oczy, które błędzą dokoła, byle nie patrzeć na mnie.

– Dowodu dla mojej... jakby partnerki, że potrafię być... w miarę przyzwoitym człowiekiem.

Bez powodzenia tłumię śmiech, na co ona błyskawicznie bierze się w garść i patrzy na mnie z nieco urażoną miną.

„Mówiła poważnie”.

Czy naprawdę ufam Alex Blackwood wystarczająco, żeby ją wpuścić do tych zakamarków mojego życia, do których nawet mama ma utrudniony dostęp? Przecież nie mogłam jej powierzyć nawet ołówka. No właśnie. Zresztą sama przed chwilą przyznała, że nie zalicza się do przyzwoitych ludzi.

A jednak... coś jest w tym, co mówi. Jeżeli wyciągnęłam jakąś naukę z ostatnich dwóch dni, to jest nią świadomość, że college nie zmienił mnie w magiczny sposób, na który liczyłam. Ryzykuję zatem, że kolejne cztery lata będę w samotności tęsknić za Corą, licząc na cud.

Albo...

Wyobrażam sobie, jakby to było iść z Corą na wykład z biologii, trzymając się za rękę i rozmawiając o wszystkich rzeczach, o których nigdy z nikim nie miałam okazji rozmawiać. Wyobrażam sobie, że czeka na nas grupa znajomych. Myślę nawet o pocałunkach. Pierwszy pocałunek z Corą Myers? Sądzę, że zniosłabym wszystko, gdyby na końcu czekała mnie taka nagroda.

Nie chcę do końca życia pozostać niepokonaną czempionką *Nigdy przenigdy*.

Nabieram powietrza do płuc i unoszę wzrok do twarzy Alex. Jej przenikliwie zielone oczy sprawiają, że mam ochotę wyskoczyć z okna. To może być najgorsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam, ale przecież coś muszę zrobić.

– W porządku.

Alex uśmiecha się od ucha do ucha i wyciąga do mnie rękę, w której trzyma starego iPhone'a z popękanyim wyświetlaczem.

– Dlaczego dajesz mi ten zdezelowany telefon? – pytam, biorąc go od niej.

– Och, Boże, Molly. Mamy tyle do nadrobienia – mówi Alex, przewracając oczami, i opuszcza ręce. – Wpisz swój numer.

I chociaż przy każdej kolejnej cyfrze żałuję coraz bardziej, spełniam jej polecenie.

## ROZDZIAŁ 9

# ALEX

Schodzę krętymi kamiennymi stopniami Świątyni Wiedzy, wymijając innych studentów i podśmiewając się pod nosem z uwagi o „zdezelowanym telefonie”. Mam przed oczami świeżo dopisane dane kontaktowe Molly Parker.

To będzie łatwizna.

Bezinteresownie pomóc Molly w zdobyciu Cory. Pokazać Natalie, że jestem drugą Matką Teresą, a nie jakąś niedostępną emocjonalnie gnidą, która nie umie nawiązać bliskich relacji. Molly dostaje swoją dziewczynę. Ja wracam do Natalie. Wszyscy są zadowoleni.

Pogwizdując, wychodzę na dwór. Rozglądam się w obie strony, żeby się zorientować, gdzie jestem, i szukam wzrokiem miejsca, w którym mogłabym złożyć podanie o pracę, żeby zarobić na czynsz za następny miesiąc, bo te pieniądze już wydałam na podręczniki.

Ale... tu nic nie wygląda znajomo.

Mrużąc oczy, przyglądam się otoczeniu. Wielkie drzewa. Dziwna jakby fontanna. Obrosnięty trawą skwer po drugiej stronie ulicy, na którym opalają się studenci.

Tam może być najwięcej możliwości.

Wzruszam ramionami i idę w tamtym kierunku. Nagle telefon hałaśliwie byczy w mojej dłoni. Podnoszę go do oczu i widzę, że popękany wyświetlacz rozjaśnia połączenie przychodzące... od mojej mamy.

Ona przecież nigdy nie dzwoni.

Chyba że stało się coś złego. A wczoraj cały dzień nie miałam od niej wiadomości.

Jak zawsze w takich chwilach, czuję ucisk w żołądku. Dotykam ikonki, żeby odebrać połączenie.

– Mamo? Wszystko u ciebie...?

– Aleex. – Mama optymistycznie bełkocze w słuchawce, wchodząc mi w słowo. – Jak tam szkoła? Te twoje... lekcje. Fajne?

Odsuwam telefon od ucha, żeby zerknąć na godzinę. Jeszcze nawet nie wybiła dziesiąta.

Niby nic się nie stało, a mimo to coś jest nie w porządku.

Poniedziałek rano, a mama już jest urzędnieta w sztok.

Miło jest jednak udawać przez chwilę, że dzwoni, by zapytać, jak się czuję. Jakbym znowu była mała. Jakby łączyła nas bliska więź, mama zaś naprawdę zainteresowała się, czy sobie radzę, a nie jedynie tym, kiedy wypije następnego drinka. Wzdycham przeciągle i kopię w krawężnik, czekając na zielone światło na przejściu.

– Tak, miałam dopiero jeden wykład. Jak na razie całkiem nieźle...

– A współlokatorka! Jaką masz współlokatorkę? – pyta, wyraźnie próbując przyspieszyć tę rozmowę, żeby jak najszybciej poruszyć właściwy temat, zatem iluzja się rozwiewa.

Wyciągam szyję, aby spojrzeć spod zmrużonych powiek na Świątynię Nauki.

– Niezbyt fajną – mówię z kwaśną miną. – Ale to nic. Staram się wynajdywać dużo innych zajęć. Jak najczęściej przebywać poza domem.

Obracam głowę i widzę, że zielony ludzik każe mi ruszać, tymczasem na drugim końcu linii milczenie się przedłuża. Nie spodziewam się kontynuacji tego tematu. Równie dobrze mogłabym się rozłączyć.

– A więc o co chodzi, mamó? Dlaczego dzwonisz?

Mama długo milczy, przygotowuje w myślach mówkę.

– Posłuchaj, kochanie – mówi w końcu. Idę wolnym krokiem dokoła zielonego skweru, mijając studentów, którzy leżą na kocach w jaskrawych kolorach albo kopią piłkę, korzystając z ostatnich dni lata. Chciałabym być jedną z nich, zamiast zajmować się... tym, cokolwiek to jest.

– Wczoraj po południu poszłam po zakupy do sklepu i... Wydaje mi się, że pieniędzy wystarczy mi jedynie na jajka i mleko.

„Raczej na tylko jedną butelkę wódki” – ciśnię mi się na usta, ale przygryzam wargi i dopiero po chwili odpowiadam:

– Nie musisz się przejmować zakupami. Zamówiłam dostawy. Dwa razy w tygodniu. Wszystkie podstawowe produkty.

Następuje długa pauza, podczas której mama przyswaja tę wiadomość i prowadzi wynikające z niej obliczenia.

– No to może pożyczylabyś mi parę dolców? Myślałam, żeby wreszcie pójść porozmawiać z Rhondą w sprawie tej pracy w restauracji przy dworcu, więc tym razem na pewno ci oddam. Dobrze byłoby kupić jakieś nowe ubranie, zanim tam pójde.

– Mamó... nie wiem. – Przełykam gulę i przekładam telefon do drugiej ręki. Podliczam moje wydatki z ubiegłego tygodnia i próbuję ocenić, czy mam jakiegokolwiek wolne środki. – To po prostu... Dałam ci pieniądze w ubiegłym tygodniu, a ty... No wiesz, wygląda na to, że wydałaś je na inne rzeczy.

Odór alkoholu niemal dociera do mnie nawet przez telefon.

Ze słuchawki dochodzi jej łkanie, od którego cierpnie mi skóra. Zatrzymuję się w miejscu, unoszę głowę i widzę nad sobą wielki szyld z napisem: BIBLIOTEKA MIEJSKA IM. CARNEGIEGO W PITTSBURGHU. Mój wzrok wędruje dalej, do pięknego kamiennego budynku z kolumnami i bogato zdobionymi drewnianymi drzwiami.

Jeszcze nawet nie weszłam do środka, a już czuję, że ogarnia mnie tak potrzebny mi spokój. Wzywa mnie kojąca obecność regałów i półek z książkami oraz zalegająca tam cisza.

– Alex, tym razem będzie inaczej – wykrztusza mama, wciągając mnie z powrotem do rozmowy. – No przecież sama chciałaś, żebym dostała tę pracę, nie? Nie rozumiem, dlaczego teraz...

– Oczywiście że chcę. Tyle że...

– Wiesz co? Zapomnij o tym. Zadzwoń do Tommy’ego i zapytam, czy on...

– Nie. Nie dzwoń do Tommy’ego.

Staram się nie podnosić głosu, ale ciśnienie krwi skacze mi tak, że przebija atmosferę i leci jak pieprzona rakietą do słońca. Za każdym razem, kiedy dzwoni, żeby wydębic pieniądze, używa tej karty przetargowej, bo wie, że wobec niej ulegnę.

Tommy to sukinsyn, z którym mama spotykała się przez dwa lata po odejściu taty. Zawsze cuchnął papierosami i potem spod pach. Był to tak intensywny smród, że nie mógł go zamaskować nawet tanim sprayem do ciała, który woził w schowku pod deską rozdzielczą.

Przez głowę przebiega mi ciąg obrazków z tego popieprzonego związku. Jego wrzaski na mamę za to, że nie gotowała mu obiadów przez dwa okropne miesiące, podczas których mieszkał w naszym domu. Podejrzane typki, których sprowadzał do domu we wtorkowe wieczory, jakby nie obchodziło go, że rano mam szkołę. Kredyty, które zaciągał w barach i kazał mamie spłacać, chociaż dobrze wiedział, że nie miała pieniędzy. Dogadywali się jedynie wtedy, gdy oboje byli pijani jak świnie.

Okres randek z nim stanowił dla niej punkt zwrotny w nałogu alkoholowym.

Mama milczy na drugim końcu linii, bo wie, że zapędziła mnie w kozi róg.

Rybka złapała się na haczyk.

Wzdycham ciężko i odsuwam telefon od ucha, otwieram biało-niebieską apkę bankową i czuję, jakby ktoś zdzielił mnie pięścią w brzuch, kiedy widzę, że mam na koncie ledwie dwieście dolarów. Podróż do Pittsburgha i zakup podręczników pochłonęły większość tego, co zaoszczędziłam w Koślawym Króliku.

Oficjalnie... mam przechlapane.

Za kilka tygodni muszę zapłacić czynsz. Brakuje mi jeszcze wielu rzeczy do nauki. Mam na głowie mamę, która... co dwa tygodnie odstawia taki numer.

Przygotowuję dla niej przelew połowy moich pieniędzy, przed zaakceptowaniem mój kciuk zatrzymuje się nad przyciskiem. Przykładam telefon do ucha.

– Wyślę ci pieniądze pod jednym warunkiem – mówię, odzyskując przynajmniej odrobinę kontroli. – Masz przysyłać SMS-y. Raz dziennie. Żebym wiedziała, czy wszystko u ciebie w porządku. Nie chcę, żebyś całymi dniami nie odpisywała. Zgoda?

– Tak! Absolutnie. Raz dziennie – powtarza.

Ze zrezygnowanym westchnieniem akceptuję przelew.

– Wysłałam.

– Och, Alex. Dziękuję! Oddam ci. Naprawdę.

Uhm, jasne. A ja obliczę liczbę pi i zostanę najmłodszą prezydentką Stanów Zjednoczonych.

– Proszę, mamó... Wydaj to na naprawę potrzebne rzeczy – mówię, pochyliwszy się nad metalową poręczą schodów. – W przeciwnym razie to ostatni raz.

– Tak, tak. Naprawdę.

Kłamie. Obie to wiemy.

– I proszę, nie rób żadnych głupstw, jeśli zdarzy ci się to wydać na coś innego.

Całe szczęście, że ubiegłego lata, kiedy dostała mandat za jazdę pod wpływem, sprzedałam samochód. Mama się wkurzyła, ale te pieniądze wystarczyły na kilka miesięcy czynszu i zakupów w spożywczaku. Auto było niczym tykająca bomba i do teraz nie mogę sobie darować, że nie sprzedałam go wcześniej.

– Nie zrobię. Przysięgam.

Naprawdę mam nadzieję, że przynajmniej to mówi szczerze.

Mama się rozłącza, a ja człapię po kamiennych schodach, otwieram drewniane drzwi i wchodzę do biblioteki, jakby była łodzią ratunkową, ja zaś – rozbitkiem na środku oceanu. Kiedy idę między regałami, od razu zwalnia mi tętno. Delikatnie wodzę palcami wzdłuż półek, czuję pod opuszkami gładkie grzbiety książek. Pięknie tu – o wiele ładniej niż w małej bibliotece kilka ulic od mojego domu. Korytarze wyłożone bogato zdobionymi płytkami. Kamienne schody o stopniach gdzieniegdzie wyżłobionych przez stopy udeptujące marmur przez kilkaset lat. Wysokie łukowate okna.

Wchodzę na piętro i zajmuję miejsce przy stanowisku z komputerem. Drewniane krzesło skrzypi, kiedy siadam.



Poruszam myszką. Wpatruję się w pasek wyszukiwarki Google'a, dłonie unoszą się w gotowości nad klawiaturą.

Teraz już naprawdę muszę znaleźć pracę. I to szybko.

Poranek płynnie przechodzi w popołudnie, a ja wysyłam podanie za podaniem do każdego fast foodu i kawiarni w promieniu pięciu kilometrów. Do McDonaldów, Chipotli, Starbucksów. Jednak po każdym automatycznym potwierdzeniu przyjęcia zgłoszenia coraz wyraźniej czuję, że to bezcelowe. Nawet nie wiem, czy w połowie z tych miejsc w ogóle potrzebują pracowników.

Chcąc się na chwilę oderwać od tego zajęcia, opieram się wygodniej na krześle i otwieram Instagram, gdzie z roztargnieniem przewijam i lajkuję aktualności przypisane do mojego konta. Niezłą fotkę przedstawiającą zachód słońca. Filiżankę herbaty starannie ustawioną koło talerza drożdżówek. Selfie tej dziewczyny, którą poderwałam rok temu po koncercie, przy którym pracowałam.

Zatrzymuję się i wracam wyżej, a potem szybko odklikuję polubienie.

Nie trać z oczu swojej nagrody, Alex.

Przechodzę na profil Cereal Killers, żeby zobaczyć nowe zdjęcie Natalie z resztą członków zespołu – A.J., Paulem i Ethanem – stojących przed Bluebird Theater w Denver. Na błękitnej markizie nad ich głowami widnieje wypisany czarnymi literami napis THE CEREAL KILLERS, a pod spodem godzina 20.00, o której rozpoczyna się koncert.

Zdjęcie już ma dwieście polubień. Zespół jest już o wiele bardziej popularny niż w lipcu, gdy wydawał płytę.

Wyglądają... profesjonalnie. Fajnie jest widzieć, że Natalie ruszyła w świat, że go podbija i realizuje swoje marzenie. Pamiętam jej podniecenie podczas pewnej sobotniej kolacji po tym, jak dowiedziała się o trasie. Odświeżała co chwila stronę na Spotify, żeby sprawdzić, ile razy utworzono *Pretty Games* po jego premierze. Zawsze marzyła o takim zdjęciu jak to.

Trudno mi jednak oprzeć się wrażeniu, że dystans między nami jeszcze bardziej się zwiększył. Ona wyruszyła na spotkanie wspaniałej przygody, a ja wciąż ledwie wiązę koniec z końcem, tyle że w innym mieście.

„Zaraz, zaraz”.

Powiększam fotografię, żeby przyjrzeć się T-shirtowi Natalie pod skórzaną kurtką, i widzę logo Led Zeppelin na wyblakłym czarnym tle.

To mój sprany T-shirt Led Zeppelin.

W jednej chwili wszystkie zmartwienia, które mnie gnębiły, znikają bez śladu.

Jeszcze mam szansę.

Z uśmiechem wklejam emotkę przedstawiającą papierowy samolotek, dopisuję pod nią: twarzowy top ;) i wysyłam do Natalie. Potem jeszcze raz patrzę na zdjęcie.

Zapomniałam już, jak dobrze Natalie wygląda w moich T-shirtach. I jak niespodziewanie potrafi mnie uszczęśliwić, kiedy widzę, że je nosi – mimo że oddaliśmy się od siebie.

Zerkam na zegar i widzę, że zostało mi pół godziny do obowiązkowych zajęć z chemii w budynku, który znajduje się... nie mam bladego pojęcia gdzie.

Wylogowując się z komputera, czuję, jak bardzo doskwiera mi tęsknota. Za czasem, który spędzaliśmy razem przed jej koncertami. Za pomaganiem zespołowi w rozstawianiu sprzętu na scenie. Za wspólnym przeglądaniem TikToka, żeby uspokoić jej nerwy. Za herbatą z miodem, którą piła przed wyjściem na scenę.

A potem przypomina mi się niedawna rozmowa telefoniczna i myślę o tym, że Natalie jest jedyną osobą, z którą chciałabym o niej porozmawiać.

Brakuje mi tego wszystkiego. Kogoś, dla kogo mogłabym być oparciem. I w kim sama

miałabym oparcie.

Chyba... żałuję, że nie dotarło do mnie wcześniej, jak dużo racji było w tym, co mi wygarnęła. Że bywam strasznie zamknięta. Że nie wychodzi mi wyrażanie swoich emocji. Że na pewno nikt inny nie wspierałby mnie w tej chorej sytuacji z mamą.

To zaś sprawia, że tym bardziej chcę wszystko naprawić.

Zbieram swoje rzeczy i schodzę klatką schodową do westybulu. Na końcu schodów wykonuję zamaszysty zwrot ku wyjściu, przytrzymując się poręczy. Mijając tablicę ogłoszeń obwieszoną karteczkami, wyławiam wzrokiem plakat, który zapowiada, że w przyszłym miesiącu odbędzie się koncert Cereal Killers.

Niemożliwe!

Kiedy chcę wysłać Natalie zdjęcie, wpada mi w oko musztardowożółta karteczka wystająca spod plakatu. Opuszczam telefon, delikatnie odchyłam plakat i czytam nabazgrane pisakiem ogłoszenie: ZATRUDNIĘ DO FOOD TRUCKA. GOTÓWKA. Jest też adres e-mail naskrobany na samym dole. Zamiast plakatu pstrykam więc zdjęcie temu ogłoszeniu.

Uśmiecham się pod nosem. To tak, jakby Natalie mnie tu poprowadziła.

Tak naprawdę głównie wiem o food truckach, ale gotówka to gotówka, a ten ktoś nie wydaje się zbyt wybredny.

Zresztą umówmy się – co w tym może być trudnego?

## ROZDZIAŁ 10

# MOLLY

Spóźnia się.

No oczywiście, że się spóźnia. Pewnie wciąż śpi po tym, jak wczoraj dzięki flirtowi wkręciła się na kolejną imprezę.

Wyjmuję telefon i piszę SMS-a.

Wiesz, to TOBIE zależało na spotkaniu ze MNA.

Nie zdążam jednak wysłać wiadomości, bo Alex właśnie się pojawia na schodach prowadzących z kafeterii w budynku wydziału architektury. Rozsiada się na krześle naprzeciwko mnie. Robię wymowną minę.

– Co? – pyta Alex.

– To ty chciałaś, żebyśmy się tu spotkały. O drugiej.

– No i?

Podąża za moim wzrokiem do telefonu na stole. Wyświetlacz wskazuje 14.13.

Biorę głęboki wdech i wzdycham głośno.

– Nieważne.

– To tylko trzynaście minut.

– A gdybym zaraz miała zajęcia?

– Ale nie masz.

– Skąd możesz wiedzieć?

Zamykam podręcznik do biologii i przesuwam go na brzeg stołu.

– Molly, jest piątek po południu, zresztą na pewno nie przyszlabyś, gdybyś miała zajęcia.

Alex spuszcza głowę i patrzy na mnie z kamienną twarzą. Mogłabym przysiąc, że jej zielone oczy świdrują mnie na wylot. Widzę, że mogłaby być w czymś takim bardzo dobra. Umie czytać emocje ludzi i rozumie, co na nich działa... W każdym razie ma tę zdolność wobec mnie.

Nie żebym kiedykolwiek miała jej to powiedzieć wprost.

– Dlaczego tu jesteśmy? Czy to pierwszy krok do realizacji twojego wielkiego planu? – pytam. Na chwilę opuszcza ją pewność siebie. – No bo masz jakiś plan, prawda?

– Plan... pięciu kroków. To jest plan pięciu kroków. – Wskazuje dłonią w powietrzu, jakby czytała napis na transparencie nad moją głową. – „Jak zdobyć serce dziewczyny”.

Kulę się w sobie. Przecież ledwie udało mi się sprawić, że zostałam przez tę dziewczynę zauważona.

– Wiem, że ten tytuł brzmi dość żenująco. *Sorry*. Ale celem każdego kroku jest zwrócenie uwagi Cory w takim stopniu, by w finale pchnąć was ku stałemu związkowi – mówi, myśląc mój

nieokielznany strach z krytyczną oceną nazwy jej projektu. – No więc krok pierwszy: zdobyć jej numer. Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie wydębisz od kogoś numeru.

Zaczynam się krztusić, chociaż nie mam niczego w ustach.

– Numeru telefonu? – udaje mi się w końcu wyszeptać.

– Nie, Molly, numeru karty kredytowej.

– Alex, nie można tak po prostu podejść do kogoś i poprosić, żeby podał ci swój numer telefonu. Po co mi zresztą numer jakiejś obcej osoby?

Może to zwykła próba poniżenia mnie, tak jak podczas gry w *Nigdy przenigdy*? Może wcale nie chodzi o udowodnienie niczego jej „jakby partnerce”. Może Alex najnormalniej w świecie się nudzi i zależy jej jedynie na zrujnowaniu mi życia. Ależ byłam naiwna, sądząc, że jest zdolna do wykonania wobec mnie miłego gestu.

– Nie zrobię tego. – Potrzęsam głową i wstaję od stołu.

– Tak. Zrobisz. – Alex stanowczo kładzie dłoń na moim podręczniku do biologii i go przytrzymuje. – Siadaj. – Widząc, że nie reaguję, mówi dalej: – Nie chodzi po prostu o numer. Zależy nam na wzbudzeniu w tobie pewności siebie, która pozwoli ci podejść i o to poprosić. Albo pozwoli ci usiąść na auli koło dziewczyny, która ci się podoba.

– Oddawaj. – Wyciągam rękę po książkę, chociaż to, co Alex mówi, ma pewien sens. A ona przysuwa podręcznik bliżej siebie. – Alex – nalegam stanowczym tonem.

Widzę, że trybiki w jej głowie działają na pełnych obrotach i już rozgląda się po sali, a potem znowu skupia uwagę na mojej twarzy.

– Słuchaj, ja pójdę pierwsza. Wybierz kogoś. Dowolną osobę bez obrączki. Jeżeli nie uda mi się zdobyć numeru, to możesz odejść. – Robi pauzę i uśmiech rozciąga jej usta. – Ale jeśli go dostanę, będziesz musiała zostać i to zrobić. Zgoda?

Parskam krótkim śmiechem, po czym opuszczam rękę, a potem rozglądam się po kafeterii. Nadal nie sądzę, by proszenie przypadkowej osoby o numer jej telefonu miało mnie przybliżyć do związku z Corą, ale nie ma nic złego w popatrzeniu sobie, jak Alex ponosi sromotną porażkę. Przyglądam się ludziom, szukając idealnego celu. Widzę chłopaka mniej więcej w naszym wieku, który kręci na palcu wskazującym smyczą z kluczami. Dziewczynę o truskawkowych włosach, która zawzięcie pisze na telefonie, czekając przy końcu lady na zamówiony napój. Koło niej ktoś młodszy o krótko przystrzyżonych włosach i w różowych okularach.

Potrzebny mi ktoś, kto za żadne skarby nie zdradzi jej swojego numeru telefonu. Ktoś taki jak... O, tam!

W kolejce przy kasie stoi kobieta o włosach ściągniętych w tak ciasny kok, że na sto procent wraca wieczorami do domu z okropnym bólem głowy. Ma na sobie szarą, wąską spódnicę i dopasowany blezer oraz buty na wysokich obcasach. Wygląda na dwadzieścia kilka lat, może być pod trzydziestkę. Wychylam się w lewo, żeby lepiej się przyjrzeć jej dłoni zaciśniętej na uchwycie teczki z nadrukowanym logotypem wyższej szkoły biznesu w Pitt. Nie ma obrączki.

Śmieję się zadowolona, że obejrzę z łoża honorowej spektakularną klęskę, pożar i ruinę. Opieram się wygodnie na krześle, krzyżuję spojrzenia z Alex siedzącą naprzeciwko, a potem znacząco kieruję wzrok na kobietę. Jej gniewna mina podpowiada mi, że ostatnią rzeczą na świecie, o jakiej teraz marzy, jest to, by zaczepiał ją ktoś obcy. Zwłaszcza ktoś taki jak Alex.

Patrzę na Alex, która obraca się w tył, a potem znowu do mnie.

Nie ma szans, żeby jej się udało.

– Ten rekin biznesu? – pyta. – Phi. Żaden problem.

Wstaje bez wahania i idzie stanąć za kobietą. Śmieję się pod nosem, widząc, jak kilka razy przeczesuje palcami włosy i wpycha porządnie za pasek spodni T-shirt z nadrukiem Sylvan Esso.

Czekam, aż Alex zrobi pierwszy ruch, stuknie kobietę w ramię, skomplementuje jej sprężysty kok albo i sprężyste pośladki. Ale ona po prostu stoi i czeka. Kiedy kobieta składa zamówienie, Alex w końcu pochyla się, jakby chciała coś szepnąć jej do ucha, a ja wstrzymuję oddech, obserwując rozwój wypadków. Ona jednak... nadal zwleka. Kobieta przykłada kartę do czytnika, a potem staje z boku, przy końcu lady, czekając na swoje zamówienie.

Zatkało ją. Alex Blackwood autentycznie zatkało. Nawet nie podjęła próby. Nie było to tak rozrywkowe, jak oczekiwałam, ale przynajmniej nie załatwiła tego numeru, a to znaczy, że ja też jestem zwolniona.

Kiedy składa zamówienie, wyjmuję telefon, żeby wysłać jej SMS-a.

No to see you later.

Trzy kropki w dymku mrugają przez chwilę, a potem...

Nie tak szybko, Parker.

Odrywam wzrok od wyświetlacza i widzę, że Alex puszcza do mnie oko. Przerzuca jasne włosy na drugą stronę głowy i podchodzi do końca lady, gdzie są wydawane zamówione napoje.

– Dietetyczna mrożona mokka z odtłuszczonym mlekiem i bitą śmietaną *non fat!* – wykrzykuje barista.

Ku mojemu zaskoczeniu Alex i tamta kobieta jednocześnie sięgają po napój. Ich ręce niemal się dotykają, z zakłopotaniem unikają kontaktu. Niemożliwe, żeby Alex zamówiła coś takiego.

Kiedy Alex zaprasza gestem kobietę, by wzięła kawę, jest nieco bardziej wyprostowana, jej ruchy są bardziej eleganckie, a uśmiech nie taki kpiący jak zwykle.

Pochylam się z nadzieją, że usłyszę, o czym rozmawiają, ale nie dochodzą do mnie ich słowa.

Nie wiem, co Alex powiedziała, ale tamta chichocze rozbawiona.

Kobieta w hiperbiznesowym stroju, z teczką w ręce, reaguje autentycznym chichotem na słowa Alex.

Odebrała swój napój i nic więcej nie potrzebuje, ale się nie oddala.

A potem... nie, to niemożliwe!

Alex wyjmuje telefon, a ta z teczką bierze go od niej i coś wpisuje. Kiedy go oddaje, Alex zwleka chwilę i dopiero po sekundzie wyciąga po niego rękę. Patrząc, jak Alex wraca do stołu, czuję, że szczęka opada mi niemal do podłogi. Nie mogę przegrać tego zakładu.

Wobec tego staram się odwrócić kota ogonem.

– Niemożliwe, żeby dała ci prawdziwy numer.

Alex prychna lekceważąco i dotyka zielonej ikonki przy numerze, pokazując mi wyświetlacz, żebym się sama przekonała. Zwracam wzrok ku kobiecie, która już znika za drzwiami. A ona żonglując kubkiem i teczką, szuka w kieszeniach brzęczącego telefonu.

– Ale jak...? – Kręcę głową. – Ta kobieta jest na sto procent hetero.

– Cóż, nikt nie jest na sto procent tym czy tamtym – odpowiada Alex. Rozłącza się, zupełnie nic sobie nie robiąc z faktu, że kobieta niemal rozlała kawę, kiedy próbowała odebrać połączenie. – Przyznaj się. Jesteś pod wrażeniem.

Nie odpowiadam, a milczenie między nami się przedłuża. Po jakimś czasie barista wzywa po odbiór drugiej dietetycznej mrożonej mokki z odtłuszczonym mlekiem i bitą śmietaną *non fat*.

Alex energicznie podchodzi do baru, a potem wraca na swoje miejsce i zdejmuje pokrywkę z kubka.

– Czyli jak? Po prostu zamówiłaś taki sam napój, a potem magicznym sposobem dostałaś jej numer?

– Nie ma w tym żadnej magii, Molly. To czysta nauka – odpowiada. – I nic się magicznie

nie wydarzy między tobą i Corą, jeśli sama tego nie zainicjujesz. Wiesz, jakim sposobem dostałam numer tej bizneswoman? Dzięki pewności siebie. Mówię ci, we flircie to podstawa.

– Ale ja nie mam jej za grosz – odpowiadam i dopiero po chwili dociera do mnie, do czego się przyznałam.

Zaczyna docierać do naszej świadomości, na czym polega mój problem. Patrę na Alex, która głośno siorbiąc, wsysa jak odkurzacz całą bitą śmietaną ze swojej kawy.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Widziałam, jak sobie radzisz wśród ludzi. To jednak nie znaczy, że nie możesz jej nabrać. To jak... z biologią. Gdybyśmy już teraz chcieli podejść do egzaminu końcowego, wszyscy by go oblali, bo nie poświęciliśmy nauce tych trzydziestu godzin tygodniowo. Nie przystąpiliśmy do mniejszych testów przygotowawczych. Ale jeżeli będziemy chodzić na wykłady, przyłożymy się do nauki, to większość z nas prześlizgnie się przez sito. Właśnie to tutaj robimy. Przystępujemy do testu przygotowawczego. A Cora? To będzie egzamin końcowy. Nie przejmuj się, jeśli dzisiaj się wyłożysz. Tych ludzi nigdy więcej nie spotkasz na swojej drodze. Stawka jest niska.

Kiedy stawia sprawę w taki sposób, brzmi to logicznie. Pocieram skroń i patrę na Alex, która nakłada pokrywkę z powrotem na kubek i odsuwa napój na bok. Wygląda na to, że po wchłonięciu jedynej części, na którą miała ochotę, reszta jej nie interesuje.

– Molly, dasz radę. Wiesz, co robić. Wyluzuj. To po prostu jedno z wielu zadań domowych. – Rozgląda się po kafeterii i po chwili jej wzrok zatrzymuje się na kimś za moimi plecami. – Tam – mówi, wskazując ponad moim ramieniem.

Odwracam się i widzę chłopaka siedzącego samotnie przy stole, zaczytanego w powieści fantasy grubszej niż Pismo Święte.

– Ale... to przecież chłopak – mówię, zwracając się znowu do niej.

– O Boże, Molly! – Alex pochyla się do mnie nad stołem. – Przecież nie wymagam, żebyś posała mu kutasa. Po prostu wydęb od niego numer telefonu. Dzięki temu, że jest facetem, naprawdę nie będzie cię obchodzić, jak zareaguje.

Jasne, no pewnie. Kręcę głową. To, że on jest chłopakiem, wcale nie sprawia, że jest mi łatwiej.

– Dobra, w takim razie ona. – Alex wskazuje palcem wchodzącą po schodach dziewczynę, którą mogłabym uznać za całkiem atrakcyjną, gdyby moich myśli nie zajmowała w stu procentach Cora.

– Ona... na bank jest hetero – mówię, chcąc odwlec moment decyzji.

Widzę wyraźnie, że nosi czapkę i flanelową koszulę w środku sierpnia, ale przecież nie ma na czole wytatuowanej tęczy, więc...

Jednak Alex po prostu wskazuje mi ją jeszcze raz, gdy ta podchodzi do lady, i... dostrzegam na jej plecaku tęczową naszywkę.

– No dalej. Przecież wygrałam zakład. Idź – nalega Alex. – Mówię ci, Molly, jeśli się odważysz, to będzie duży krok w kierunku zdobycia uczuć Cory.

Wzdycham teatralnie i wycieram spocone dłonie, ale w końcu zmuszam się, by wstać i stanąć w kolejce za dziewczyną w czapce. Niech się dzieje, co chce.

– Mała waniliowa latte – składa zamówienie dziewczyna.

Teraz moja kolej.

– Dzień dobry, czy mogę poprosić o małą waniliową latte?

Na razie idzie mi nieźle. Zupełnie jak Alex.

Idę za dziewczyną na koniec lady i odgrywam w myślach scenariusz, czekając, aż barista krzyknie, że można odebrać kawę. Kiedy nadejdzie ten moment, zrobię krok naprzód i sięgnę po kawę jednocześnie z nią. Kontakt wzrokowy. Uśmiech. Powiem coś, co ją rozbawi, coś w stylu...

„Widzę, że tobie też brak oryginalności”.

Nie. Nie to.

No dobra, może nie powinnam stawiać na humor. To nie jest moja mocna strona. Problem w tym... że naprawdę nie wiem, co nią jest. Gdybym miała po prostu być sobą, to w ogóle bym się do tej dziewczyny nie odezwała.

– Waniliowa latte!

Barista stawia kubek na ladzie i podsuwa go w naszą stronę, dając mi sygnał do startu, chociaż wcale nie czuję się gotowa. Próbuję idealnie wymierzyć czas, ale zdecydowanie za bardzo się staram zrównać z tą dziewczyną, potrącam kubek i kawa rozlewa się na ladzie.

– Odbiło ci? – pyta tamta wyraźnie zirytowana. – To nawet nie było twoje.

„Co ja wyprawiam?”.

– Przepraszam. Bardzo przepraszam – mówię nerwowo. Barista ostrożnie stawia drugi kubek poza płamą, a potem idzie po ścierkę, a ja szybko przechwytyję kawę. – Proszę, weź tę. Jest dokładnie taka sama jak twoja. Przepraszam.

Podaję jej kubek i czym prędzej wracam do naszego stolika, unikając jej wzroku.

– No, no. Kurde, przykro było na to patrzeć – mówi Alex. Nie unoszę oczu do jej twarzy. Po prostu jeszcze bardziej wciskam się w krzesło. – Przede wszystkim nie do wiary, że chciałaś wykorzystać tę samą strategię, co ja. A po drugie, Molly... – Urywa w pół zdania, widząc, jaka jestem wstrząśnięta. – Nic się nie stało, rozumiesz? Naprawdę. Jak już mówiłam, nigdy więcej nie spotkasz tych ludzi. To nieistotne, więc się nie zamartwiaj. – Bierze głęboki wdech i pochyla się nad blatem stołu. – Myślę, że to moja wina. Powinnam lepiej cię przygotować. Pamiętaj, musisz to grać ze słuchu, improwizować. Ten sam schemat nie zadziała w każdej sytuacji. Może w przypadku tej dziewczyny lepiej było skomplementować jej naszywkę, co nie? Kieruj się tym, jakie emocje budzą w tobie konkretne osoby. Pokaż im tę część swojej natury, z którą mogą się identyfikować. Rozumiesz? – pyta tak, jakby rozmawiała z kimś, kto ma wiele atrakcji do zaofiarowania.

– Alex, próbowałam. Okej? Ja tego po prostu nie umiem. Nigdy nie uda mi się zdobyć numeru Cory. Skończmy tę farsę. – Sięgam po podręcznik do biologii, jednak Alex trąca go łokciem i książka spada ze stołu na podłogę. – Super. Bardzo dojrzała reakcja.

Kiedy schylam się po książkę, uprzedza mnie czyjaś ręka, która ją podnosi i mi podaje. Wiodę wzrokiem za tą ręką do twarzy i widzę atletycznie zbudowanego chłopaka z krótko przyściętymi włosami oraz brązowymi oczami, które już skądś znam. Jezu. Wiem, że pół mojej szkoły zdało na ten uniwersytet, ale nie spodziewałam się, że na każdym rogu będę wpadać na dawnych znajomych. Szykuję się na interakcję podobną do tej z Mattem Schoberem przy piwnym pongu. Spotyka mnie jednak zaskoczenie.

– Hej, Molly – mówi chłopak. Pamięta moje imię, a ja niby go znam, ale nie wiem, jak...

– Dustin. – Przykłada dłoń do piersi. – Uratowałaś mi tyłek na...

– Aha, na anatomii w drugiej klasie. Tak, pamiętam – odpowiadam szybko, bo w końcu udaje mi się dopasować jego twarz do sytuacji.

– Gdybyś wtedy nie pożyczyła mi notatek, na pewno oblałbym tamten sprawdzian – mówi ze śmiechem, pocierając tył głowy.

Niemal tak... jakby sam się trochę denerwował?

– Cieszę się, że mogłam ci pomóc. – Uśmiecham się i odbieram od niego książkę. – Dziękuję.

Fakt, że Dustin okazuje pewne zdenerwowanie, w jakiś sposób mnie uspokaja.

Nagle czuję kopnięcie w kostkę pod stołem. Drgnąwszy z bólu, posyłam Alex mordercze spojrzenie. Ona w odpowiedzi wytrzeszcza znacząco oczy.

Ochhh.

– Emm, Dustin... – Zwracam się znowu do niego. Pamiętam, jakie miał kłopoty z tego przedmiotu w szkole. – Jeśli kiedyś chciałbyś się razem pouczyć albo... po prostu spotkać się czy coś... to wiesz. Jeśli miałbyś ochotę.

Dustin się rozpromienia.

– Ej, to byłoby super.

Alex znowu kopie mnie pod stołem i tym razem odwdzięczam się jej tym samym, a potem obracam się do niej i bezgłośnie układam usta w słowa: „No wiem”.

– Trzymaj – mówię, podając mu mój telefon. – Wpisz mi swój numer, żebym wysłała ci eskę.

Nie jestem pewna, czy to się liczy jako zdobycie czyjegoś numeru w takim sensie, o jakim mówiła Alex, ale teoretycznie można uznać, że to zrobiłam. Dustin oddaje mi telefon, dziękuje, a potem idzie złożyć zamówienie.

– Ja cię kręcę! – mówi Alex, kiedy Dustin jest już poza zasięgiem głosu. – Udało ci się! Fajne uczucie, nie?

Jest taka podniecona, że niemal słyszę trzask wyładowań elektrycznych, ale we mnie nic się nie zmieniło.

– Chyba tak. Nie wiem. – Wzruszam ramionami i patrzę w jej zielone oczy. – On mi dał swój numer jedynie dlatego, że potrzebuje pomocy w nauce. Nie liczył na nic więcej.

– Molly. – Alex patrzy na mnie z kamienną twarzą. – On liczy na o wiele więcej.

– O Boże – szepczę. Płoną mi policzki. – Daj spokój. To nieprawda.

– E tam, przecież mam oczy i widziałam – odpowiada. – Ale poza tym udało ci się przełamać swoje słabości i zdobyłaś namiary na to ciacho. No więc kiedy naprawdę stanie się to ważne, z Corą, już będziesz wiedziała, że umiesz tego dokonać.

– Ale... jak? Nie jestem tobą.

– Nie musisz być mną. Przy nim byłaś sobą. Przypomniałaś sobie coś, co o nim wiesz, i wykorzystałaś tę wiedzę, żeby do niego dotrzeć. Właśnie o to chodzi. Chcę, żebyś była bardziej sobą, a nie kłębkim nerwów kulącym się w kącie podczas imprezy.

Przełykam ślinę.

– Zdobycie jej numeru nie musi być doniosłym, uroczystym wydarzeniem. Zaproponuj jej, że możecie się razem pouczyć albo zaprosz ją i Abby, żeby coś wspólnie zrobić. A potem, mając jej numer telefonu, możesz z nią poflirtować za pomocą SMS-ów, co, jak się domyślam, przyszkoloby ci o wiele łatwiej. Prawda?

Potakuję ruchem głowy. Nie przekonała mnie do końca, ale wskazała wystarczającą liczbę zalet, by nie ignorować kompletnie jej rad. Zdobycie numeru Cory... już nie wydaje się takim nieosiągalnym celem.

– I co teraz? Przejdziemy w podobny sposób wszystkie pięć kroków? A potem zastosujemy je do Cory? Czy najpierw mam zdobyć jej numer, a...

– Jezu. – Alex wchodzi mi w słowo. – Kontrola naprawdę jest twoim fetyszem, no nie, Molly?

– No wiesz, przecież to jest plan, prawda? Nie powinnaś więc zdradzić mi reszty, żebym wiedziała, czego oczekiwać? – pytam.

– Na razie nie musisz znać całej strategii, żeby cię nie przerosła. Po prostu... skoncentruj się na tym, żeby z nią porozmawiać. Potraktuj priorytetowo wzbudzenie pewności siebie i kiedy uznasz, że jesteś gotowa, poproś ją o numer telefonu. Dobra? – pyta.

Znowu głośno wzdycham. Nie lubię tajemnic, ale...

– Dobra.



– W porządku – mówi Alex, uderza dłonią w blat stołu i odsuwa krzesło, na którym siedzi. – Muszę lecieć. Za piętnaście trzecia mam rozmowę o pracy.

Próbuję wyobrazić sobie Alex w miejscu pracy. Pchającą pacjentów na wózkach inwalidzkich po szpitalu prezbiteriańskim na terenie kampusu. Pomagającą dzieciom znaleźć książki w bibliotece. Jakoś nie bardzo ją w tym widzę.

– Co to za praca?

– W food trucku.

„W food trucku”.

Targowiska, jednodniowe wydarzenia, nocne festiwale piwa. Każdego dnia coś innego.

– Fajnie – mówię szczerze.

Pasuje to do niej.

– Masz. Możesz to dopić. – Podsuwa do mnie swój kubek, ten, z którego wysiorbała całą bitą śmietaną.

Patrzę na nią zniesmaczona.

– Nie chcę twojej zabakteriowanej kawy.

– Dobra – odpowiada takim tonem, jakbym ją obraziła. – Ja tylko chciałam być miła.

Bierze kubek i rusza w kierunku schodów, a mnie jest trochę nie w smak, że rozstajemy się w ten sposób, kiedy ona autentycznie mi pomogła.

– Alex! – krzyczę, a ona obraca się do mnie. – Może... postaraj się być trochę mniej sobą podczas tej rozmowy.

Nie wiem, czy to oczyściło atmosferę, ale Alex się śmieje.

– Dajesz mi rady, Parker?

Wzruszam ramionami i kiwam głową. Obie uśmiechamy się, kiedy Alex schodzi po schodach i znika. Podnoszę telefon, wyświetlacz się rozjaśnia. 14.44. Minuta do zaplanowanej godziny jej rozmowy kwalifikacyjnej.

O mój Boże. Czuję, że w jej imieniu zjadają mnie nerwy.

Dlaczego powierzyłam jej moje życie uczuciowe, skoro ona sama żyje wiecznie na krawędzi?

## ROZDZIAŁ 11

# ALEX

Wysiadam z autobusu i okazuje się, że... odkryłam najgorszą z szemranych dzielnic Pittsburgha.

Rozciąga się przede mną gigantyczny zrujnowany kompleks magazynowy, który charakteryzuje tak duża ilość rdzy i odłamków szkła z powybijanych okien, że nie wiem, jak ktokolwiek mógłby sądzić, że jego przechowywany tu towar jest bezpieczny.

Magazyny wyglądają na opuszczone.

Stare plastikowe butelki i opakowania po snackach toczą się po pustym parkingu niczym niesione przez wiatr biegacze pustynne, graffiti pokrywają drzwi garaży, a wzdłuż budynku biegną nieużywane od dawna tory kolejowe o szynach zarosniętych trawą i niskimi krzakami.

Czy to miejsce naprawdę jest opuszczone?

Jeszcze raz sprawdzam adres, który Jim, właściciel food trucka, przysłał mi rano i porównuję go z tabliczką na budynku wznoszącym się przede mną.

Stwierdzam, że, o dziwo, jest prawidłowy.

Jeżeli tu zginę, przekazuję mamie całe 26 dolarów znajdujące się na moim koncie bankowym. Co zapewne znaczy, że naprawdę przekazuję je sklepowi monopolowemu U Lydii, znajdującemu się za stacją benzynową dwie przecznice od naszego domu.

Ta myśl, o dziwo, pcha mnie do działania.

Raz kozie śmierć.

Wyrzucam pusty kubek po nieproporcjonalnie drogiej mokce do kubła na śmieci, który pewnie nie zostanie opróżniony przez następne tysiąc lat, i podążam za numerami na budynku do segmentu 134.

Kto by przypuszczał, że bycie dobrym człowiekiem jest takie kosztowne?

Zatrzymuję się, widząc otwarte na oścież drzwi garażowe, i oddycham z uczuciem ulgi, kiedy wychyliwszy się zza załomu muru, widzę czarną furgonetkę z namalowanym z boku napisem JIM'S EATS. Koło niej kręci się olbrzymi facet w zapoconej bandanie i pokrytym plamami szarym T-shircie.

Domyślałam się, że to ów człowiek-legenda we własnej osobie.

– Ee, Jim? – zagaduję, gdy facet ładuje do furgonetki karton bułek do hot dogów.

Gość zatrząskuje tylne drzwi samochodu i wycierając dłonie w brudną ścierkę, mierzy mnie wzrokiem.

– Alex? – pyta.

Z jego ust zwisa niedopałek papierosa.

Reaguje kwaśną miną, gdy potakuję.

– Spóźniłaś się.

– Koleżanka potrzebowała pomocy. To już się nie powtórzy, obiecuję....

– Nie sądzę, żebyś się nadawała do tej roboty – wchodzi mi w słowo Jim. Mruży oczy i drapie się po szpeciniastym podbródku. – To nie bajka, życie usłane różami i takie tam bzdety. Nie wystarczy siedzieć i ładnie wyglądać.

Powstrzymuję się przed złośliwym komentarzem i zwalczam chęć, by z irytacją teatralnie przewrócić oczami. Brzmia mi w uszach słowa rzucone przez Molly na pożegnanie.

– Mam spore doświadczenie w nieobijaniu się w pracy. Znam się na zmywaniu, pracy w kuchni, na kasie. Robiłam dosłownie wszystko – mówię, a on bierze kluczyki ze stołu zasłanego saszetkami z ketchupem Heinz.

W Koślawym Króliku stałam się specem od każdej roboty, bo podczas trzech lat mojej pracy w tym barze zajmowałam każde stanowisko, na które akurat było zapotrzebowanie.

– Nie wiem. To ciężka praca – powtarza Jim. – Zero klimatyzacji i ogrzewania. Zero przerw na wyjście do toalety. Długie godziny.

Wzruszam ramionami.

– Świetnie. To mi przypomina moje dzieciństwo.

Jim prycha drwiąco i otwiera drzwi po stronie pasażera. Wchodzi po metalowych stopniach do kabiny.

Nie zamierzam jednak poddać się bez walki. Potrzebuję tej pracy. Nikt nie odpowiedział na żadne inne podanie.

– Ponadto, jeśli uważa mnie pan za taką ślicznotkę – mówię, gdy on gramoli się na pokryte wytartą skórą siedzenie kierowcy, spod którego wyłażą kawałki gąbki – to proszę tylko pomyśleć o napiwkach, które uda nam się zgarnąć.

Jim robi sceptyczną minę, nie chwyta przynęty, więc jak najszybciej zmieniam taktykę.

– Może mnie pan weźmie na próbę? Nic pan nie straci. Widać, że dzisiaj wieczorem dokądś się pan wybiera tym truckiem – mówię, podchodząc do furgonetki. – Wygląda na to, że będzie pan musiał dwoić się między okienkiem i grillem.

Jim wypuszcza przeciągle powietrze z płuc i z zamyśloną miną wyrzuca niedopałek za okno.

Nie odpuszczam, bo widzę, że tym razem trafiłam w sedno.

– Jeśli okażę się do niczego, nie musi mi pan płacić za dzisiejszy wieczór. Grzecznie sobie pójdę. Bez szkody, bez żalu.

Jim pociera szczecinę i mruży przekrwione oczy.

Odwzajemniam się takim samym spojrzeniem.

Długo wytrzymujemy w ten sposób. Żadne z nas nie mruga.

– Wskakuj. – Jim wskazuje ruchem głowy na ledwo trzymające się ściany rozkładane krzeselko. – Masz jedną szansę. Nie spieprz tego.

Wchodzę na pokład tej krypy. Siedzenie skrzypi, kiedy rozkładam je i na nim siadam. Patrzę w obie strony, ale widzę jedynie gołą metalową ścianę.

– Nie ma...?

– Pasów? – kończy za mnie Jim i prychnąwszy, kręci głową. – Nie.

Och, aha, spoko.

Jim obraca kluczyk w stacyjce i ledwie silnik budzi się do życia, dostaje z rykiem gazu i wypada za drzwi garażu, po czym skręca ostro w prawo. Kartony bułek do hot dogów telepią się po całym wnętrzu, a metalowa chłodziarka odbija się od ściany do ściany.

Jeżeli do czasu tej przejażdżki miałam wątpliwości co do istnienia Boga, to teraz wszyst-

kie zostają rozwiane, bo jedynie cud może sprawić, że dotrę na miejsce w jednym kawałku.

Jazda trwa jedynie pięć minut, ale Jim zdążył już pokazać środkowy palec dwóm różnym kierowcom za to, że niby „zajechali mu drogę”, kiedy brawurowo przecinał na ukos trzy pasy jezdni. Trzyma rękę z papierosem w pogotowiu, wystawioną za oknem, żeby użyć jej do tego gestu, gdy tylko znowu zajdzie potrzeba.

Zajeżdżamy przed lokalny browar, gdzie ustawiono piknikowe stoły pod sznurem lampek tworzących okrąg. Ciepły wczesny wieczór zwabił spory tłum ludzi, którzy z zainteresowaniem wyciągają ku nam szyje.

Jim rozgrzewa płytę do smażenia, a potem pokazuje, jak obsługiwać kasę, i szybko zapoznaje mnie z krańcowo związłym menu. Są na nim hamburgery, zapiekanki ze stekiem i trzy rodzaje frytek (zwykłe, z serem i z dodatkiem bekonu oraz sera, ma się rozumieć). W końcu patrzy na mnie z wielką powagą.

– A teraz słuchaj uważnie. Możesz dać po jednej każdemu klientowi – mówi, poklepując stos brązowych papierowych serwetek leżących przy kasie. Wskazuje na stojący obok wielki kubeł tanich plastikowych widelców. – Widelczyki są wyłącznie do frytek bekonowo-serowych. Jeśli ktoś inny będzie chciał widelec, nie dawaj mu go.

Przyglądam się wielkiemu pojemnikowi. Jest w nim, lekko licząc, jakieś tysiąc widelców.

– Dlaczego?

Jim unosi jeden z nich.

– Każdy kosztuje siedem centów. Gdybym miał je rozdawać wszystkim cholernym klientom, szybko wypadłbym z interesu.

Kiwam głową, jakby jego słowa miały głęboki sens, chociaż facet życzy sobie aż 15 dolców za burgera z napojem i frytkami.

Jim przeciska się koło mnie do gorącej płyty, kiwa z aprobatą głową i bez dalszych ceregieli okienko się otwiera, a my jesteśmy gotowi do dzieła.

W każdym razie mam nadzieję, że jestem gotowa.

Początkowo czuję się nieco przytłoczona. Kolejką klientów, kasą, obecnością Jima, który zrzędzi za moimi plecami, smażąc kolejne porcje.

Jednak wkrótce wszystko idzie jak w zegarku – trzy lata spędzone w Koślawym Króliku do czegoś się przydają. Odbieram zamówienie, przyczepiam je do listwy przy kuchni, a po usmażeniu wydaję danie.

I tak milion razy z rzędu.

Jim nie przesadzał. Po kilku minutach grill oraz gorące słońce zmieniają trucka w saunę i już po półgodzinie kapie mi z brwi pot.

Na dodatek szok – Jim nie należy do zbyt rozmownych ludzi, chociaż w magazynie zdawało się, że ma bardzo dużo do powiedzenia.

Porozumiewa się głównie za pomocą mruknięć lub przekleństw rzuconych pod nosem, kiedy któryś z klientów prosi o jakąkolwiek modyfikację zamówienia.

Nawet po kilku godzinach, kiedy początkowe szaleńcze tempo ustępuje i przez jakiś czas nic się nie dzieje, Jim dalej milczy. Błądzą zatem myślami i obserwuję ludzi, którzy korzystają z uroków wieczoru pod browarem. Wpada mi w oko dziewczyna o długich czarnych włosach, która siedzi przy stole z grupą przyjaciół. Śmiejąc się, odchyła głowę w tył.

Ten gest tak bardzo przypomina mi Natalie, że aż dostaję bólu głowy.

Wzdycham i opieram się o ladę.

Ciekawe, co Natalie pomyśli o Molly. To znaczy... trudno o dwie bardziej różniące się od siebie osoby – w tym, jak się zachowują, ubierają, jaką roztaczają aurę.

Myślę, że obie jednak mają pewną bardzo wyraźną cechę wspólną – jedna i druga umie

przejrzeć na wylot moje oszustwa.

Molly może nawet lepiej niż Natalie. A jeśli mam być szczerą, to dzisiaj zmyślałam na całego.

No dobra, przyznaję... cały ten naciągany plan pięciu kroków służył jedynie wymknięciu się jak najszybciej z kawiarni.

Ale zdaje się, że Molly naprawdę potrzebuje czegoś takiego, a wymyślenie czterech następnych etapów może się okazać trudnym orzechem do zgryzienia.

Zwłaszcza, kiedy sama korzystałam z tych umiejętności setki razy. Teraz muszę rozłożyć je na czynniki pierwsze i porządnie się nad nimi zastanowić.

I zwłaszcza że teraz uświadomiłam sobie, że to, co sprawdza się w moim przypadku... niekoniecznie musi wyjść na dobre Molly.

A właśnie to jest *clou* całej sprawy. Rezultat korzystny dla Molly.

Wzdrygam się, kiedy wspominam, jak potrąciła kawę tamtej dziewczyny, oraz późniejszą krępującą wymianę zdań między nimi.

Nie zdradziłam się przed Molly, ale po tym zdarzeniu przyszło mi na myśl, że cały ten projekt ma wszelkie predyspozycje, by się okazać totalną klapą. A w najlepszym wypadku – jego realizacja będzie o wiele trudniejsza.

Miałam nadzieję, że wystarczy pokazać jej co i jak. Coś jak... sama nie wiem. Terapia ekspozycyjna czy coś w tym rodzaju. Chciałam dać jej narzędzia i pozwolić, by użyła ich w bezpiecznym środowisku pozbawionym konsekwencji.

Nie wzięłam jednak pod uwagę małej waniliowej latte. Ani, cóż... samej Molly. Podczas wpadki z kawą w tej samej sekundzie dotarło do mnie, że spieprzyłam na całej linii.

Dosłownie usłyszałam w głowie głos Natalie wytykający mi, że rzuciłam dziewczynę wilkom na pożarcie i że w ten sposób nikomu nie pomagam.

A jednak potem... ten uśmiech Molly, kiedy dopięła swego. Szok w brązowych oczach, gdy jej zachowanie odniosło skutek. Jej pewność, że Dustinowi chodziło jedynie o naukę.

Potrząsam głową, uśmiechając się do tej myśli.

O to właśnie chodzi. Na tym muszę się skupić, układając wspólny plan.

To Molly musi znaleźć w sobie to, co zachwyci Corę i...

– Zamówienie! – krzyczy Jim, a ja błyskawicznie ruszam do akcji, sięgam po papierową tackę w biało-czerwone prążki oraz jedną papierową serwetkę dla czekającego klienta.

– Dziękuję – mówię do chłopaka o głupekowatym wyglądzie, w czapce założonej daszkiem w tył i uśmiecham się do niego zalotnie, kiedy odbiera zamówienie.

A on niezdarnie przekłada z ręki do ręki tackę i zgodnie z moimi oczekiwaniami wyciąga z kieszeni kilka dolarów, po czym upycha je w wypełnionym po brzegi słoju z napiwkami, z którego – mam nadzieję – coś mi się dostanie po skończonej pracy.

Kiedy wieczorne godziny szczytu się kończą, do okienka podchodzi jedna z barmanek, a pan Widelczyk za Siedem Centów wprawia mnie w osłupienie, bo daje jej za darmo zapiekankę.

– Chcielibyście czegoś z baru? Piwa? Cydru? Parę puszek na wynos?

– Nie – odpowiada Jim.

Ja też kręcę głową, chociaż gdybym zaniósła na następną imprezę cydr z małego lokalnego browaru, zostałabym kimś w rodzaju lokalnej celebrytki. Barmanka dziękuje Jimowi za zapiekankę i wraca do budynku.

– To brzmiało jak całkiem dobry bonus. Nie pije pan w pracy?

Jim prycha.

– Picie w pracy było jedyną rzeczą, którą robiłem przez mniej więcej dwadzieścia lat –

odpowiada, przerzucając burgera na drugą stronę. – Jestem na odwyku.

To jego najdłuższa wypowiedź podczas całej zmiany, więc na pewno wiele znaczy.

Mimo to odwracam wzrok, w żołądku robi mi się supeł. Chcę dokładniej wypytać Jima, dowiedzieć się, co wpłynęło na jego decyzję i w jaki sposób udało mu się zerwać z nałogiem, ale do okienka znowu podchodzi grupa ludzi, więc przywołuję na twarz uśmiech, gotowa przyjąć zamówienie, z nadzieją na kilka dodatkowych banknotów w słoiku na napiwki.

Kiedy zwijamy na noc interes, na zegarze dochodzi północ. Jim wyskakuje na dymka, a ja owijam folią ser i warzywa, zastanawiając się, jak je ułożyć w lodówce. Zerkam na dwór i widzę, że Jim zdejmuje tablicę z menu, a potem zamyka okienko z takim impetem, że aż podłoga drży pod moimi stopami. Obchodzi kilka razy furgonetkę, gasi niedopałek na żwirze i w końcu wsiada do kabiny, żeby podliczyć pieniądze. Wstrzymuję oddech.

– Płacę dziesięć dolców za godzinę – mówi. Wyciąga ku mnie zapakowaną zapiekankę i plik banknotów. – Możesz sobie wziąć połowę napiwków.

Przychodzi mi na myśl, żeby negocjować kwestię napiwków, bo klienci nie oszczędzili forsy dla tej ładnej buzi, ale domyślam się, że Jim nie da się łatwo zmanipulować. Nawet przeze mnie.

Biorę więc od niego pieniądze. Zalewa mnie fala ulgi. Dostałam tę pracę.

– Możesz już iść. – Jim wskazuje na przystanek autobusowy za oknem. – Mam twój numer telefonu. Jutro rano wyślę ci SMS-em grafik.

Idę do tylnych drzwi furgonetki. Po drodze zatrzymuję się i posyłam mu szeroki uśmiech.

– Nieźle mi poszło, no nie?

Jim potrząsa głową i śmieje się pod nosem, zapinając suwak podniszczonego woreczka bankowego, do którego włożył dzisiejszy utarg.

– Spadaj, dziewczyno, zanim się rozmyślę.

Nie trzeba mi dwa razy powtarzać. Zeskakuję ze śmiechem ze stopni, wykrzykuję przez ramię pożegnanie i zamykam drzwi.

Robi mi się przyjemnie, kiedy wsiadam do klimatyzowanego autobusu, a jeszcze przyjemniej, kiedy wracam do domu i kończę liczyć pieniądze, które dzisiaj zarobiłam.

164 dolary w twardej, żywej gotówce.

Odkładam pieniądze do dwóch słoików – jeden dla mnie, jeden dla mamy, jak zawsze od czasów szkoły średniej.

Waham się jednak przed włożeniem drugiej połowy do słoika mamy. Moja dłoń z banknotami zastyga nad naczyniem. Uciekłam aż do Pittsburgha, a nadal robię to samo.

82 dolary.

Tyle kosztują wszystkie tanie edycje książek, których potrzebuję do zajęć z angielskiego.

To niemal ćwierć mojego czynszu. To mnóstwo jedzenia, o ile nie kupuje się mokki w uniwersyteckiej kafeterii.

A dla niej to pewnie kwota pozwalająca na zapijanie się przez cały tydzień.

Ale nie mogę jej pozwolić na powrót do Tommy'ego. Nie mogę.

Wzdycham ciężko i wkładam pieniądze do słoika, a potem kładę się na łóżku.

Jestem kompletnie wykończona. Bołą mnie nogi od stania wiele godzin na metalowej podłodze furgonetki. Dopiekł mi upał na początku zmiany.

Zaczynają mi opadać powieki, lecz wtem telefon głośnym buczeniem na kołdrze koło mnie sygnalizuje snapa od Natalie.

Natalie. Przestałam do niej pisać przed dwoma dniami, bo i tak nie odpisywała. Wiedziałam, że jeśli na chwilę dam jej spokój, w końcu sama się odezwie. Zmuszam się do otwarcia oczu i sięgam po telefon. Dotykam wyświetlacza, żeby otworzyć wiadomość.

Natalie nadal ma na sobie mój sprany T-shirt z Led Zeppelin, długie, brązowe włosy zaczesła na ramię. Uśmiecham się sennie, widząc dopisek pod zdjęciem: Koncert w Teksasie się udał. Możliwe, że to szczęśliwy T-shirt.

Miała odpowiedź na moją poprzednią wiadomość. I nawet zalotna.

W stylu dawnej Natalie.

Jest zatem jakiś postęp.

Wybieram ikonkę aparatu, pstrykam fotkę i ozdabiam ją tysiącem emotek z serduszkami zamiast oczu. Już w półśnie mój kciuk prześlizguje się do strzałki: wyślij, i odpływam, mając pod powiekami roztańczoną uśmiechniętą twarz Natalie.

# MOLLY

Po weekendzie czekam w kolejce po snacki i gorącą herbatę na głównym piętrze biblioteki im. Carnegiego. Nagle tyczkowata postać ukryta pod czarnym kapturem wpycha się do kolejki tuż przede mną.

Wypalam morderczym wzrokiem dziury w bluzie tego osobnika, patrząc, jak sięga do regału po sok pomarańczowy i bajgla z cynamonem w plastikowym opakowaniu.

„Hej, człowieku, tu obowiązuje kolejka”.

Otwieram usta, żeby to powiedzieć, ale decyduję, że lepiej przymknąć oko. Nie ma o co kruszyć kopii, zwłaszcza w bibliotece.

– Zamierzasz tak po prostu pozwolić mi wepchnąć się przed siebie? – pyta zakapturzona postać głosem, który brzmi bardzo znajomo.

– O Boże. Nie masz nikogo innego do dręczenia? – pytam, kiedy Alex obraca się przodem do mnie.

– No wiesz co? Mogłabyś już przestać udawać, że mnie nie lubisz.

Zdejmuje kaptur i szczerzy się, jakby sądziła, że takie wejście świadczy o jej superinteligencji.

– Jasne – odpowiadam oschle i wybieram owinięte szczelnie folią ciastko z koszyka wiklinowego na lodówce. – Co tu robisz? Oprócz tego, że działasz mi na nerwy.

– Auć. – Alex kuli się, trzymając się za serce, a potem pokazuje mi książkę, którą niesie pod pachą.

– O czym to jest? – pytam, zwracając głowę w bok, żeby lepiej przyjrzeć się powieści fantasy o objętości ponad tysiąc stron.

– Jeszcze nie wiem. – Alex wzrusza ramionami i kładzie swoje zakupy na ladzie przed kasjerką. – Dopiero co ją wypożyczyłam z działu na ostatnim piętrze.

– Wzięłaś z półki pierwszą lepszą książkę i chcesz ją przeczytać, nie mając bladego pojęcia, o czym ona jest? – pytam z niedowierzaniem.

Alex znowu wzrusza ramionami.

– Czy nie chodzi o to, żeby ją przeczytać i samemu odkryć treść?

Podaje kasjerce kilka dolarów i staje z boku, ustępując mi miejsca przy ladzie.

– Poproszę średnią herbatę Darjeeling – mówię do kasjerki, a potem znowu zwracam się do Alex, która zdejmuje opakowanie z bajgla i wbija w niego zęby jak zwierzę. Patrę ponownie na książkę z wypłowiałą okładką, przedstawiającą rycerzy i jakieś mityczne istoty splecione ze sobą pod zielonym niebem. Wygląda jak książka, którą mógłby zainteresować się mój brat, ale na



pewno nie ja.

– Wygląda na... interesującą.

– Mama ci nie mówiła, żebyś nie oceniała książki po okładce? – pyta. – A skoro już o tym mowa, zdobyłaś w końcu numer Cory?

– Jak to „skoro o tym mowa”? – pytam, rozglądając się szybko przed wzięciem herbaty z lady. Ciągnę Alex do ustronnego kąta. – Co twoje dziwaczne nawyki czytelnicze mają wspólnego z Corą? I proszę, przestań wykrzykiwać przy ludziach jej imię!

– No wiesz, podoba ci się, bo ma ładną okładkę – mówi Alex takim tonem, jakby stwierdzała najoczywistszy na świecie fakt. Pewnie zauważa, że niezupełnie dociera do mnie sens jej słów, bo w końcu dodaje: – Jest atrakcyjna, prawda?

– Nie. To znaczy tak. Ale to nie... Ja ją lubię. Wszystko w niej lubię.

– Hm, naprawdę tego nie wiesz. Zamieniłaś z nią w życiu może ze dwa słowa.

– Właśnie, że nie. – Czuję, że ogarnia mnie złość. – Cztery lata chodziłam z nią do szkoły.

– Tak, ale czy podczas tych czterech lat rozmawialiście ze sobą? – indaguje.

Postanawiam zignorować jej pytanie.

– Wiele o niej słyszałam. Ponadto na imprezie przesiedziałam koło niej cały wieczór. Mamy ze sobą wiele wspólnego.

Przyłapuję się na bezwiednym uśmiechu, kiedy wspominam fantastyczną wspólną przyszłość, którą ułożyłam sobie w głowie. Wymyśliłam, że obie zostajemy pisarkami, spędzamy wieczory w domu i oglądamy po kilka razy stare odcinki *Wynonny Earp*. Potem przeprowadzamy się na przedmieście, w którym się wychowałyśmy, żeby być blisko naszych rodzin, i...

– Hm, chodzi mi o to, że znasz ją mniej więcej tak dobrze, jak ja... Olivię Wilde. Wiem o niej tylko to, co zobaczę na Instagramie. To, co ona zdecyduje się pokazać światu. Wiem, że obie lubimy muzykę niezależną, ale jej nie znam. Tak jak ty naprawdę nie znasz Cory. W każdym razie jeszcze nie.

Biorę głęboki wdech, przypominając sobie, z kim rozmawiam. To Alex Blackwood – która flirtuje z przypadkowymi dziewczynami niebędącymi jej stałymi partnerkami. To oczywiste, że dla kogoś takiego liczy się przede wszystkim wygląd.

– Wiesz co? Ty i tak tego nie zrozumiesz, okej?

Zarzucam plecak na ramię i wkładam ciastko do kieszeni na później.

– A to dlaczego? – pyta. Kwituję śmiechem jej pytanie, uznając je za retoryczne, bo przecież to oczywista prawda. – Nie, poważnie. Dlaczego miałabym nie zrozumieć?

– Wiesz, widać, że twoja dziewczyna niewiele dla ciebie znaczy, bo w przeciwnym razie nie flirtowałabyś z Corą na imprezie. – Wzruszam ramionami. – Gdybyś czuła to, co ja, nawet nie chciałoby ci się tego robić, bo już miałabyś wszystko, o czym marzysz.

Kilka sekund patrzy na mnie, milcząc. Jej mina wyraża złość, a potem niechęć i w końcu obojętność.

– Okej, może masz rację – odpowiada po chwili Alex. Jej policzek zapada się, kiedy go przygryza. Przyznaje mi rację, chociaż widzę, że naprawdę wolałaby tego nie robić. – Więc jak? Masz już ten numer?

– Nie.

Prawda jest taka, że... próbowałam cały tydzień. Za każdym razem, kiedy ją widzę, wynajduję jakiś plan, by podejść i ją zagadnąć. Próbuję wykrzesać dosyć pewności siebie, żeby poprosić ją o numer telefonu.

Jednak przełamanie oporu jest o wiele trudniejsze, kiedy chodzi o Corę Myers, a nie pierwszego z brzegu chłopaka z mojej byłej szkoły. Nie zdobyłam się na nic więcej niż uśmiech

i pomachanie do niej z daleka.

No bo nie biorę pod uwagę ostatniej srody, kiedy zobaczyłam ją przed sklepem. Już miałam klepnąć ją w ramię i się przywitać, lecz potknęłam się na prostej drodze i wyłożyłam się przed nią na twarz. To nie są najlepsze okoliczności do rozmowy o numerze telefonu.

– Jeszcze nie nadszedł właściwy moment – mówię, ale zdaję sobie sprawę, że zabrzmiało to jak kiepska wymówka.

– Ale rozumiesz, że każdy dzień, w którym nie zdobywasz jej numeru, może być dniem, w którym ona da go komuś innemu? – pyta Alex, popijając łyk soku pomarańczowego

Serce zamiera mi w piersi.

Ona ma rację. Muszę zacząć działać. I to szybko.

– Możesz mi pomóc? – proszę, unosząc wzrok do jej twarzy, ale jej mina nie zdradza ani odrobiny współczucia.

– Najpierw mnie obrażasz, a teraz wyskakujesz z takimi pomysłami? – pyta, ale jej twarz łagodnieje. – Molly, już ci pomogłam. W kafeterii.

– To musi być coś konkretniejszego. Nie mogłabyś przynajmniej sprowokować właściwej sytuacji? Jesteś w tym mistrzynią, prawda? – pytam. – Nie ma o tym mowy w twoim planie?

Alex powstrzymuje śmiech.

– Oczywiście, że jest. Mój plan jest mocny. Solidny. Jak beton.

Słyszę brzęczyk SMS-a od mamy – przysłała mi fotografię Leonarda w żółtym ubranku przeciwdeszczowym. Mój wzrok wędruje do zegara na samej górze. Wzdycham.

– Kurczę.

– Co? – pyta Alex, odrywając zębami kolejny olbrzymi kęs bajgla.

– Spóźnię się. Ktoś zrezygnował ze wstępu do beletrystyki, więc wstrzeliłam się w wolne miejsce, ale zajęcia odbywają się na drugim piętrze Świątyni. – Wkładam telefon do kieszeni. – Opowiesz mi później o tym solidnym jak beton planie?

– Tak, tak. No pewnie.

Próbuję sobie przypomnieć, z której strony stoi ten budynek. Kiedy zwracam się ku wyjściu, Alex chwyta mnie za ramię i ustawia w przeciwnym kierunku.

– Świątynia jest... tam, Parker.

– Wiem – kłamię.

Idę tak szybko, jak to możliwe, do drzwi, przechodzę na drugą stronę ulicy, staram się zostawić za sobą wszystko, co przed chwilą usłyszałam. Te wszystkie brednie, że niby nie znam Cory. Nie prosiłam Alex o opinie. Potrzebuję jej tylko ze względu na plan. Ma mnie przygotować do robienia rzeczy, których nigdy przedtem nie próbowałam. Tylko tego od niej potrzebuję. Jeżeli jest zdolna mi to zapewnić, wszystko się w końcu ułoży między mną i Corą.

Znowu sprawdzam godzinę w telefonie. Nie powinnam dopuszczać, żeby Alex tak mnie rozpraszała. Przez nią zapewne spóźnię się na zajęcia, których pierwszy tydzień już i tak mi przepadł.

„Cudownie”.

## ROZDZIAŁ 13

# ALEX

Gdy Molly wypowiedziała słowa: wstęp do beletrystyki, od razu wiedziałam, że jest ze mną w grupie humanistycznej.

Uśmiecham się do swoich myśli i wyciągam nogi pod stołem. Postukuję ołówkiem o zeszyt, kiedy wykładowca – a raczej Jon, bo tak każe się do siebie zwracać – zaczyna sprawdzać listę obecności.

Ha, a to mnie Molly wypominała brak punktualności.

Unoszę lekko rękę, słysząc swoje nazwisko, i siedząca dwa rzędy przede mną dziewczyna o spleśniałych czerwonych końcówkach włosów obraca się, żeby mi się przyjrzeć. Robi tak przy każdym nazwisku.

Odwracam wzrok, żeby nie kusiło mnie, by choćby puścić do niej oko. Patrę na deski podłogi, kiedy Jon wywołuje:

– Molly Parker?

Jednak po Molly Parker nie ma ani śladu.

– Jest z nami Molly? – Jon podejmuje jeszcze jedną próbę.

Jak na sygnał klamka drzwi porusza się i w wejściu staje znajoma, rozwichrzona postać.

– Jestem! Przepraszam – piszczy Molly od drzwi, przyglądając swoje brązowe włosy i poprawiając T-shirt.

Jej oczy robią się okrągłe, kiedy mnie dostrzega.

Uśmiecham się i zapraszająco poklepuję puste krzesło obok.

Ona zaś oczywiście patrzy na mnie morderczym wzrokiem, dla którego warto było pędzić sprintem trzy piętra z drugiej strony budynku, żeby ją wyprzedzić.

– Pani Parker, proszę zająć miejsce – mówi Jon, zerkając na nią nad oprawkami okularów. – Zajęcia zaczynają się dokładnie o jedenastej.

Molly mamrocze przeprosiny. Rozgląda się, szukając innego miejsca, a potem ze złością siada koło mnie.

– Dlaczego nie pokazałaś mi, jak tu trafić, skoro wiedziałas, że będziemy w tej samej sali? – szepcze gniewnie do mnie, kiedy wykładowca się odwraca.

– Molly – mówię, zakładając nogę na nogę. – Nie mogę naprawiać jednocześnie twojego życia uczuciowego i wewnętrznej nawigacji GPS. Przecież się nie rozdwoję.

Molly robi demonstracyjnie zirytowaną minę i wyjmuje skoroszyt oraz zaczytany egzemplarz *Wieczoru Trzech Króli*, jednego z moich ulubionych dramatów Szekspira, a także lektury, którą mamy omawiać podczas pierwszych dwóch tygodni zajęć.

Jon zaczyna wykład o tematach przewodnich zawartych na stronach, które przeczytaliśmy do tej pory, a mnie przypominają się słowa Molly wypowiedziane w bibliotece: „Widać, że twoja dziewczyna niewiele dla ciebie znaczy, bo w przeciwnym razie nie flirtowałabyś z Corą na imprezie”.

Poruszyły mnie tak bardzo, że teraz trudno mi wsłuchać się z przyjemnością w wykład o moim ulubionym dramacie.

No bo jak to? Molly pewnie się jeszcze nawet nie całowała... Co ona może wiedzieć?

Kręcę głową i zerkam w okno, patrzę na studentów kręcących się za szybą. Cierpnie mi skóra, kiedy dostrzegam odbicie Molly w szkle.

– A ty?

Mrugam zaskoczona, mój wzrok znowu nabiera ostrości, kiedy przenoszę go na profesora, który mi się przygląda. Kilka głów zwraca się w moim kierunku. Wykładowca zsunął okulary niemal na czubek nosa i obserwuje mnie przez ich szkła z aurą nauczycielskiej wyższości, która jest absolutnie nie do zniesienia.

Molly unosi brwi, widać, że doskonale się bawi.

Odkasłuję i przywołuję na twarz pewny siebie uśmiech.

– Kto? – Rozglądam się na boki. – Ja?

– Tak. – Doprawdy trudno o chytrzejszy wyraz twarzy. – Ty.

Jego protekcjonalna mina wyraża niemal litość. Jakbym nie czytała tej sztuki ze sto razy. Jakbym jeszcze tysiąc razy więcej nie oglądała w nabożnym skupieniu jej adaptacji filmowej z Heleną Bonham Carter.

– Pytałem, jakie, twoim zdaniem, opinie Szekspir wygłasza na temat romantycznych uczuć.

– No cóż – odpowiadam, podnosząc z blatu egzemplarz Molly i otwierając go na scenie piątej aktu pierwszego. – „Co to znaczy? Tak szybko można dżumą się zarazić?”<sup>[1]</sup> – czytam, cytując słowa Oliwii, które porównują miłość do choroby. – Uczucia, miłość... są niczym dżuma – mówię i wzruszam ramionami, odbijając w jego kierunku tę złą energię, którą przed chwilą sam próbował mnie zatruć. – W każdym razie dla kogoś, kto podchodzi do niej w tak egzaltowany sposób jak Oliwia. – Zamykam książkę i odkładam na blat biurka Molly. – Trzeba jednak pamiętać, że ona dopiero co poznała człowieka, o którym tak mówi, więc wygląda na to, że egzaltacja jest jedną z jej dominujących cech. – Krzyżuję ręce na piersi i opieram się wygodnie na krześle. – Tak więc zdaje mi się, że Szekspir wyraża tu dwie opinie jednocześnie. Że miłość wiąże się z cierpieniem, zapewne dlatego, że człowiek zakochuje się w kimś niemal mu obcym. A wielu ludzi ulega zauroczeniu samym stanem zakochania, a nie konkretną osobą.

Molly prychnie sceptycznie.

– A może projektujesz swoje własne doświadczenia? – podsuwa, stukając palcem w okładkę książki. Ciekawe, czy jest świadoma faktu, że mówi to przed całą grupą. – Bądź co bądź wszystko dobrze się kończy, prawda? Dla Oliwii, Wioli, Sebastiana, księcia Orsina. Wszyscy odjeżdżają sobie ku zachodzącemu słońcu całkowicie zadowoleni z tego, co dał im los, bez względu na to, jak będzie wyglądać ich przyszłość. Nikt nie czuje się poszkodowany. Wystarczyła im miłość, kiedy obdarzyli ją właściwą osobą.

Jej policzki czerwienieją, kiedy wygłasza te słowa. Obie wiemy, że dotyczą czegoś więcej niż bohaterów w dramacie Szekspira.

– Jasne, ale kto wie, co ich czeka, kiedy już odjadą ku temu zachodowi słońca? – pytam.

Jon kiwa głową, stojąc z przodu sali.

– Dobrze pytanie – mówi, a ja czuję, że na usta wypęła mi uśmiech. – Kto bowiem może przewidzieć, jak długo zauroczenie będzie wystarczającym dla nich paliwem?

– No dobrze. Nie twierdzą, że będą wiecznie szczęśliwi – ulega w końcu Molly. Odnoszę zatem małe zwycięstwo, zasłużone po tym, co usłyszałam od niej w bibliotece. Jednak jej policzki czerwienią się jeszcze bardziej, to nie koniec potyczki. – Ale dlaczego musi ich czekać coś złego?

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, lecz... muszę jej przyznać rację.

„Dlaczego musi ich czekać coś złego?”. Dlaczego z góry zakładam, że tak będzie?

Dlaczego spodziewam się najgorszego dla siebie? Albo dla Molly i Cory? Na tym pewnie polega mój własny problem. Pewnie właśnie to sprawia, że za każdym razem boję się skoczyć na głęboką wodę.

Może Natalie jest tą właściwą osobą.

Może ja jestem właściwą osobą dla Natalie.

A Cora może się okazać właściwą partnerką dla Molly, jeżeli pomogę jej osiągnąć cel. Ona jest niczym mój własny książę Orsino – tak samo boi się wyznać miłość osobie, za którą szaleje.

Profesor zwraca się do tablicy i pisze na niej kredą, a potem kontynuuje wykład.

Ale Molly i ja dalej mierzymy się wzrokiem. W końcu kiwam głową i wpatruję się w linie w swoim zeszyt. Drugi raz w ciągu dnia ustępuję, ale tym razem robię to szczerze.

– To prawda, nie musi.

Pod koniec zajęć Jon mamrocze coś o lekturze obowiązkowej na przyszły tydzień, a potem pozwala nam wyjść z sali. Molly już spakowana rusza do drzwi, zanim jeszcze zdążę zamknąć zeszyt.

Zgarniam bezładnie swoje rzeczy i klucząc między studentami, doganiam Molly. Chwytam ją za ramię w ostatniej chwili, nim rzeka ludzi wepchnie ją na zatłoczone schody.

– Molly.

– O co chodzi, Alex? – pyta zrezygnowanym tonem. Obraca się i patrzy na mnie. – Muszę iść do sali.

– Na następnym wykładzie z biologii siadamy koło Cory, okej? Tak przewiduje plan.

Przecież nie może tkwić na zawsze na polu startowym. Musi się postarać o numer telefonu Cory, bo w przeciwnym razie nigdy... nie wiem, nie odejdą ku zachodzącemu słońcu wystrojone w identyczne tęczowe spodnie.

– Ale nie powinniśmy się spóźniać. – Puszczam jej ramię i uśmiecham się od ucha do ucha. – Spóźnialscy mają mało czasu na rozmowy.

Molly mruży oczy, ale udaje mi się zobaczyć uśmiech przebijający spod maski złości.

– No to do zobaczenia jutro za dziesięć ósma – mówi, obracając się przez ramię, i znika za drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową.

Patrzę z uśmiechem na jej plecy, a po chwili zaskoczona widzę, że jej głowa wychyla się zza drzwi.

– Aha, Alex?

Przyglądam się jej twarzy. Drobną pionową zmarszczką powstaje między brwiami, kiedy Molly zmaga się z jakimiś myślami.

– Dzięki – mówi, a jej brązowe oczy łagodnieją. – I przepraszam. Za to, co powiedziałam w bibliotece.

– Nie ma sprawy. – Kiwam głową, ale jej słowa naprawdę poprawiają mi humor.

Zrównuję z nią krok i jednocześnie przeciskamy się przez drzwi, a potem ramię w ramię hałaśliwie zbiegamy po schodach.

Wyjmuję po drodze telefon i otwieram Snapchata. Okazuje się, że Natalie odebrała mojego snapa i znowu na niego nie odpisała, bo wciąż się na mnie gniewa o to, że zmógł mnie sen po

pracy w food trucku.

Wyszło na to, że zasnąłam, nie zdążywszy wysłać snapa, w co ona absolutnie nie uwierzyła, gdy zatelefonowała do mnie rano z wyrzutami, że na pewno wróciłam do swoich starych zwyczajów i mam w dupie oddzwanianie albo odpisywanie na jej wiadomości. Jakby zapomniała, że przedtem sama co najmniej trzy dni nie reagowała na wiadomości ode mnie.

Napominam się jednak, że nie zachowywałyby się tak, gdybym nie dała jej ku temu powodu.

Sfrustrowana chowam telefon do kieszeni, ale moja determinacja, by pomóc Molly, staje się dwa razy silniejsza.

Im szybciej Molly zdobędzie numer Cory, tym szybciej będę miała co pokazać Natalie, która zjawi się tu w przyszłym miesiącu.

Dowód. Że jednak nie knuję niczego złego. Że to, co nas łączy, nie musi być złe.

Burczy mi w brzuchu, kiedy wychodzimy na dwór, więc Molly podaje mi herbatnik, który przedtem wzięła z biblioteki.

Biorę go od niej, a ona wskazuje głową w prawo.

– Teraz mam historię w Posvar. Spotkamy się później – mówi, a potem rusza w kierunku, który sama wskazała. Podmuch wiatru rozwiewa jej brązowe włosy, kiedy beztróska się oddala.

– Molly! – wołam do niej.

Ona staje w miejscu, obraca się do mnie.

– Nie w tę stronę? – pyta zawstydzona, a ja potakuję, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Wskazuję jej właściwy budynek i patrzę, jak zmienia kierunek marszu, a potem rozplywa się wolno w oddali i jej wielki plecak znika mi z oczu.

Alex Blackwood i Molly Parker.

Może nie od razu przyjaciółki, ale... na dobrej drodze, by nimi zostać.

# MOLLY

Muszę jedynie wejść, odsunąć krzesło i posadzić na nim tyłek.

To brzmi dziecinnie łatwo, ale problemy zaczną się piętrzyć po zajęciu miejsca, bo muszę jeszcze podtrzymać z nią rozmowę.

Na szczęście będzie przy mnie Alex, która podsunie mi tematy, kiedy moja własna studnia pomysłów wyschnie.

Alex najczęściej działa na mnie tak, że chce mi się rwać włosy z głowy... lecz jednocześnie jest jedyną niespokrewnioną ze mną osobą, przy której mogę być na sto procent sobą i nie załamać się pod ciężarem własnej niepewności. Jeszcze nie udało mi się dokładnie ustalić, co jest tego przyczyną.

Może wynika to z faktu, że zupełnie nie obchodzi mnie jej opinia na mój temat.

Kiedy rozglądam się za nią po korytarzu, w mojej kieszeni brzęczy telefon.

– Naprawdę staram się dać ci trochę przestrzeni dla siebie, ale przecież umieram z ciekawości, jak udała ci się impreza! – rozbrzmiewa w słuchawce głos mamy, kiedy odbieram połączenie.

Brzmi bardzo rzeško jak na tak wczesną godzinę. Pewnie już wlała w siebie swoją dzienną cysterne kawy.

– O-o...

Robię pauzę, kiedy dociera do mnie, że mniej więcej od tygodnia ze sobą nie rozmawiałyśmy. Pisałyśmy SMS-y o różnych drobiazgach, ale czy rozmawiałyśmy? Nie.

W normalnych warunkach biegłabym do mamy z każdą najmniejszą rzeczą, która mi się zdarzyła, ale ostatnio większość z nich zatrzymuję dla siebie. Przynajmniej na razie. To może być mój pierwszy w życiu związek. Nie chcę zapeszyć.

– Impreza? Udała się. Graliśmy w różne gry i trochę się zasiedzieliśmy. Było naprawdę fajnie – mówię, opuszczając szczegóły dotyczące tego, co działo się później, czyli planu realizowanego pod okiem Alex. Nie sądzę, żeby mama była tym zachwycona. – Niewiele nowego się dzieje. Właśnie idę na biologię.

– Leonard tęskni za tobą – mówi mama, a ja odnoszę wrażenie, że nie tylko on.

– Dzięki za fotki.

Uśmiecham się, choć jednocześnie czuję ukłucie w sercu, wspominając przysłane przez nią wczoraj zdjęcie, na którym Leonard leży zwinięty w kłębek na pustym łóżku.

– Jeszcze ci się nie znudziło stołówkowe jedzenie? Co ty na to, żebym za jakiś czas przyjechała i wyskoczyłybyśmy na szybki lunch? – pyta z nadzieją w głosie.

Byłoby miło się spotkać. Bądź co bądź to tylko lunch.

– Może w przyszłym tygodniu?

Unoszę wzrok i widzę, że Alex powłócząc nogami, człapie ku mnie korytarzem. Jej policzki są oprószone cukrem pudrem z paczków, których pudełko trzyma w ręce.

– A ty co? Mieszkasz na stałe w 7-Eleven? – pytam szeptem, przyciskając telefon do zagłębienia szyi.

– Byłoby super – obrusza się i wpycha do ust kolejne ciastko, a potem wyciąga w moją stronę całą paczkę.

– Molly? – Głos mamy przywołuje mnie do telefonu, ale zdążam się poczęstować.

– Przepraszam. Tak. W przyszłym tygodniu. Napiszę do ciebie.

– Poczekaj. Chcę z tobą trochę porozmawiać. Od tygodnia nie miałam od ciebie żadnych wieści. Opowiedz mi o zajęciach – nalega.

– Są ciekawe, mam. Przepraszam, jedno z nich zaraz się zaczynają – odpowiadam, starając się skrócić rozmowę, ale tak, żeby się nie zorientowała.

– Dobrze, dobrze. Rozumiem. Już cię nie zatrzymuję – mówi, a ja próbuję zignorować smutek, który słyszę w jej głosie.

Żegnamy się i odkładam telefon do tylnej kieszeni spodni.

– Gotowa? – pyta Alex, kiedy ostrożnie wkładam paczka do ust.

– Masz... eee... – Wskazuję na biały pył dokoła jej ust. – Upapraną twarz.

– Och.

Alex oblizuje usta, co absolutnie w niczym nie pomaga.

– Jeszcze.

– Możesz ty to zrobić? – pyta, pochylając się do mnie.

Uśmiecha się z zamkniętymi ustami, wciąż ma wypchane ciastkami policzki. Robię dramatycznie zniesmaczoną minę, ale zamiast się odwrócić, wydaję z przedniej kieszonki plecaka paczkę chusteczek higienicznych i podaję Alex jedną z nich.

– Dzięki – mówi, odrobinę zaskoczona moim gestem.

Obracam się przodem do klasy.

„Nie zamykaj się”.

Naciskam klamkę i popycham drzwi zdeterminowana, by nie myśleć za dużo, ale kiedy mój wzrok pada na Corę, w tej samej sekundzie mózg staje mi dęba i zmienia mnie w Molly z czasów liceum. Zerkam w tył na Alex, która wchodzi, wycierając ubrudzone cukrem palce w swój biały (na szczęście) T-shirt z nadrukowanym na kieszonce z przodu czarnym królikiem. Alex kiwa głową i pokazuje mi wzrokiem, żebym szła dalej.

„Uda mi się”.

Ruszam po schodach. Cora i Abby siedzą z pochylonymi głowami, zapatrzone w ekrany swoich telefonów, więc nie machają do mnie na powitanie, a taki gest mogłabym przynajmniej uznać za rodzaj zaproszenia. Kiedy docieram do ich rzędu, drżą mi ręce.

„Nie uda mi się”.

Robię krok w kierunku naszych starych miejsc, ale Alex zahacza palce o uchwyt mojego plecaka. Jednym płynnym ruchem przyciąga mnie z powrotem i wpycha do ich rzędu z taką siłą, że niemal się potykam.

Cora zerka, żeby sprawdzić, skąd to zamieszanie. Wstrzymuję oddech, ale kiedy orientuje się, że to ja, jej twarz się rozjaśnia, więc sama też odpowiadam uśmiechem.

– Cześć – mówię, nadal próbując się pozbierać po tym, jak niemal zostałam na nią wepchnięta.

Zerkam na Alex morderczym wzrokiem, ale ona nawet na mnie nie patrzy.



– Hejka – mówi.

Abby wychyla się na krzesło, żeby skinąć nam głową na powitanie.

– O! – mówi Cora, patrząc to na mnie, to na Alex. – Nie domyśliłabym się, że akurat wy dwie się skumplujecie.

Śmieję się nerwowo.

– Ja też, ale jakoś nie mogę bez niej żyć – odpowiada skromnie Alex.

Domyślam się, że to żart, ale jej oczy robią się okrągłe, kiedy dociera do niej, jak to zabrzmiało. Cora jest chyba w jeszcze głębszym szoku.

– No właśnie, chociaż mnie najbardziej na świecie zależy, żeby już się odczepiła – dodaję szybko, chcąc dać bardzo wyraźnie do zrozumienia, że za żadne skarby nie mogłabym nawet myśleć o Alex w takich kategoriach.

– Okej... – Cora mruży oczy, a potem znowu patrzy w ekran telefonu.

Kiedy siadamy, zataczam plecakiem łuk, żeby wyróżnić nim w Alex, zanim postawię go na ziemi.

– Auć! Uważaj, jak tym wymachujesz – szepcze.

– Co ty wyprawiasz?! – pytam półgłosem.

– No co? Ja tylko chciałam cię trochę rozruszać przed rozmową z Corą – odpowiada cicho.

– Ty też żałujesz, że się zapisałaś na te wykłady o ósmej rano, czy tylko ja tak się czuję? – dochodzi mnie z drugiej strony głos Cory.

Szybko otrząsam się z irytacji widocznej na mojej twarzy i obracam się na krzesło.

– No pewnie. – Próbuję wymyślić sensowną odpowiedź. – Ja... mnie też dzisiaj przydałaby się godzina więcej snu.

– Ja nawet nie zdążyłam zjeść śniadania. Padam z głodu – zwierza się Cora i demonstracyjnie więdnie na krzesło.

– Ja też, dziewczyno – wtrąca Alex, wychylając się aż na moją część stołu.

– Dopiero co wtryniłaś całe opakowanie pączków – szepczę do niej, kiedy profesor kilka rzędów przed nami zaczyna wykład.

– Puste kalorie, Parker. One się nie liczą – odpowiada i prześlizguje się po blacie na swoją część stołu.

Słuchamy wykładu, robiąc od czasu do czasu notatki. Nawet Alex ma już swój zeszyt i ołówki, ale za każdym razem, kiedy zerkam na jej kartki, są pokryte jedynie przypadkowymi zdaniem i rysunkami. Staram się z całej siły ignorować ją po mojej lewej stronie oraz Corę po prawej i skupić się na treści wykładu, ale to niełatwe. Z zupełnie różnych przyczyn.

Mniej więcej w połowie godzinny wykładu Alex podsuwa mi swój zeszyt, w którym napisała różowym atramentem:

„Odezwij się do niej”.

„Nie mogę rozmawiać z nią w środku wykładu” – odpisuję.

Alex odrywa dolną część kartki. Profesor zerka przelotnie w jej kierunku, a potem znowu patrzy na tablicę. Alex coś pisze, a potem podsuwa mi kartkę. Jej pierścionki zgrzytają na blacie.

Rozkładam liścik i próbuję rozszyfrować jej bazgroły. „Chcecie wyskoczyć po wykładzie na śniadanie?”.

Patrzę na Alex, niewiele z tego rozumiejąc, ale przyznaję przed sobą, że jestem już dość głodna.

– Pewnie – szepczę i wzruszam ramionami.

Alex opadają ręce. Jej twarz zmienia się w płaską maskę.

– Daj. Ten liścik. Corze – szepcze.

Ahaaa.

To w zasadzie dobry pomysł, ale nie mogę. Kręcę głową i oddaję karteczkę Alex, która wzdycha zrozpaczona.

– Dobra, ja to zrobię – szepcze, ale kiedy sięga po liścik, szybko biorę do ręki ołówek i dopisuję na końcu wiadomości: „Do »Marketu«”.

Alex podnosi kartkę, jej usta pozostają otwarte, a twarz wykrzywia grymas.

– Molly, ja nie mam wykupionych karnetów, a na pewno nie zapłacę dwudziestu dolarów za jedzenie w stołówce – szepcze, ale jesteśmy tak blisko mównicy, że profesor mimo to posyła jej ostrzegawcze spojrzenie.

Siadam prosto na krześle i czekam, aż odwróci się z powrotem do tablicy.

– Luz, zapłacę za ciebie – szepczę kącikiem ust i patrzę prosto przed siebie.

Alex składa liścik na pół, potem jeszcze raz na pół, pochyla się nad stołem i podsuwa go Abby. Widzę kątem oka, że ta pokazuje go Corze.

Poświęcam całą uwagę tablicy i wycieram dłonie w uda.

Oddychać. Jeśli odmówi, nic się nie stanie. W porządku. To tylko śniadanie ze studentkami z grupy. Nie odrzucenie. Zresztą propozycja nawet nie wyszła ode mnie.

Po jakimś czasie lakierowane paznokcie Cory pojawiają się przede mną i zostawiają na moim skoroszybie liścik.

Rozkładam go i po chwili z promiennym uśmiechem podsuwam dalej do Alex. Ona wyciąga ku mnie pięść pod stołem, a ja przybijam jej piątkę otwartą dłonią.

– Och, przepraszam – mówię, zaciskam pięść i przybijam, jak należy.

– Rozwalasz mnie, Parker – mówi Alex, z całej siły powstrzymując śmiech.

Chociaż się ze mnie nabija, wiem, że ona też jest podekscytowana.

Nie rozumiem, dlaczego zaskakuje mnie, że cieszy ją mój sukces, ale tak jest. A co najdziwniejsze, wiem, że z tego powodu jestem jeszcze szczęśliwsza.

## ROZDZIAŁ 15

# ALEX

Nie ma lepszego żarełka niż darmowe.

Patrzę zachwycona na rozmaite stanowiska rozstawione na ciemnym, wzorzystym dywanie, a zapach jajek, kiełbasek i tostów francuskich spowija mnie niczym chmura.

Od czego by tu zacząć? Od płatków, a potem popchnąć je jajkami? Od bajgla z kremowym serkiem? A może od owoców, żeby zrównoważyć pączki zjedzone wcz...

– Blokujesz kolejkę – mówi Molly i popycha mnie naprzód, a grupa wygłodniałych studentów uśmiecha się do niej z wdzięcznością.

Idę przez salę w ślad za nią oraz za Abby i Corą, a moja głowa obraca się jak żyroskop. Po drodze nakładamy na wysłużone białe talerze różne rodzaje jedzenia. Zbaczam z kursu, widząc ekspres do kawy, a potem niemal wylewam sobie na T-shirt idealnie skomponowany napar ze śmietanką i dwiema kostkami cukru, bo Molly nagle wyrasta przede mną jak spod ziemi i chwytą mnie za ramię.

– Jezu... – wzdycham, na co ona uśmiecha się przepraszająco.

– Wybacz, po prostu...

– Nie chciałaś zostać sam na sam z Corą? – kończę za nią zdanie, a jej milczenie stanowi dla mnie wystarczającą informację, że trafiłam w samo sedno.

– Molly. Właśnie o to chodzi, żebyś porozmawiała z nią sam na sam. – Żongluję talerzami, chcąc upić łyk kawy. – Poświęcam swój wolny czas, żeby pomóc ci zdobyć jej numer...

Molly unosi brwi, kiedy podnoszę z talerza plaster bekonu i napycham sobie nim usta, chrupiąc głośno.

– Jasne, to wygląda na wielkie poświęcenie – mówi, ale po chwili w jej oczach pojawia się dobrze mi znana panika. – Co mam jej w ogóle powiedzieć?

Wzruszam ramionami.

– Zapytaj, czy robi dzisiaj coś ciekawego. Jak jej idzie nauka. Jaki jest, kurde, jej numer telefonu na wypadek, gdyby zdarzyła ci się sytuacja awaryjna na tle biologicznym. – Robię pauzę w pół kęsa. – Rozmawiałaś już w życiu, prawda? Z inną istotą ludzką?

Molly robi zniecierpliwioną minę, nalewając sobie kawy.

„Zachowaj umiar, Alex”. Malutkimi krokami do celu.

– Słuchaj – mówię, trącając ją w ramię. – To normalna okazja, nic nadzwyczajnego. Wyszliśmy razem coś zjeść i tyle. – Wypuszczam z płuc powietrze i chociaż to się nieco kłóci z moim planem, wypowiadam słowa, które Molly musi usłyszeć, jeżeli nasz projekt ma w jakimkolwiek stopniu wypalić. – Jeśli dostaniesz dzisiaj jej numer, to spoko. Jeśli nie, wymyślimy coś

innego, okej?

Molly wyraźnie odczuwa ulgę.

– Naprawdę?

– Tak – odpowiadam, wzruszając ramionami. – To nic takiego. Ale przynajmniej spróbuj.

Podchodzimy do utrzymanego w brązowych odcieniach boksu w kącie sali, w którym Cora i Abby już pałaszują śniadanie.

– Ja cię kręcę, już się śłaniałam z głodu – mówi Abby, odgryzając gigantyczny kęs naleśnika.

Cora wskazuje widelcem na talerz Molly.

– No coś ty? Dają tu omlety? – pyta.

– Umm, tak. Tam, przy...

Policzki Molly purpurowieją, kiedy wskazuje na stoisko przy drzwiach, do którego ustawiła się krótka kolejka studentów czekających na omlet.

Sytuacja aż się prosi, żeby dodać coś jeszcze, ale... Molly milczy jak zakłeta i niezręczna cisza zapada nad stołem. Dochodzi jedynie przyjemny brzęk sztućców skrobiących o talerze.

Molly zerka na mnie nerwowo, a ja upijam łyk kawy, żeby przepłukać zatkany jedzeniem przełyk. Czy wiem o jakiejś rzeczy, która łączy te dwie dziewczyny?

– Hej, Cora – mówię, stawiając na stole kubek. – Będziesz chodzić w tym semestrze na wstęp do beletrystyki?

– Tak. – Zatrzymuje w pół drogi do ust dłoń z bajgłem. – Chodzę do Jona Davidsona. Jest... w porządku.

– Ja cię! – Wskazuję na siebie i Molly. – My też go mamy! Widocznie jesteśmy w innej grupie.

– Facet ma hopla na punkcie klasyki – zauważa jękliwie Cora. Odgryza wielki kęs i głośno go żuje. – *Wieczór Trzech Króli*? Niech spada.

Wzbiera we mnie gwałtownie chęć, by jej wytknąć, jak niesprawiedliwa jest ta ocena, ale gryzę się w język. Nie chcę zepsuć Molly dobrej okazji.

No bo właściwie lubię każdy rodzaj literatury, ale klasyka pomogła mi przetrwać całe dzieciństwo. Jest coś krzepiącego w książkach i opowieściach starszych od ciebie. Takich, o których ludzie nadal mówią długo po ich powstaniu i po śmierci autorów. Kiedy świat dokoła ciebie stoi w ogniu, można z tego faktu czerpać ukojenie.

Ponadto dział klasyki zawsze był najspokojniejszym zakątkiem biblioteki. A ja naprawdę potrzebowałam spokoju. Uciekałam do niego przed domowymi kłótniami rodziców i w panującej tam ciszy mogłam niemal udawać, że nic się nie stało.

Przez mój monolog wewnętrzny przebija się głos Molly, który wciąga mnie z powrotem do rozmowy. Dzięki Bogu Molly nie ogranicza się do potaknięcia.

– Mam nadzieję, że poziom średnio zaawansowany będzie trochę ciekawszy.

– Ty też wybrałaś literaturę jako główny przedmiot? – pyta z ożywieniem Cora.

Wszyscy studenci Pitt muszą obowiązkowo chodzić na wstęp do beletrystyki. Poziom średnio zaawansowany i wyższe są zwykle zarezerwowane dla tych, którzy chcą się w niej specjalizować.

– W przyszłym semestrze musimy spróbować dostać się do tej samej grupy! Byłoby fajnie.

– No pewnie! – odpowiada Molly, promieniejąc.

Kiedy Cora odwraca głowę, szturcham Molly pod stołem i wyciągam w górę oba kciuki.

Ona jednak karci mnie wzrokiem, choć widzę, że robi to bez przekonania.

Wiadomo, to zdecydowanie zmarnowana szansa na wymianę numerów telefonu, ale...

przynajmniej jest jakiś postęp.

Abby wtrąca, że chciałyby tak po prostu czytać książki, bo jej podręczniki do mechaniki są nieziemsko trudne.

Szczerze mówiąc, wyłączam się i poświęcam uwagę jedynie zmieceniu z talerza wszystkiego do ostatniego okruszka, tymczasem ona recytuje od początku do końca chyba cały program nauczania fizyki i narzeka, że na przyszły tydzień ma zapowiedziane trzy testy.

Telefon brzęczy w mojej kieszeni, więc go wyciągam i odczytuję SMS-a kontrolnego od mamy.

Właśnie dostarczyli zakupy dzięki

Muszę przyznać, że dotrzymała obietnicy i od naszej ostatniej rozmowy co dzień przysyła SMS-y. Tonya nawet stwierdziła, że kiedy wczoraj sprawdziła, czy wszystko u niej w porządku, mama była w dobrym humorze.

Może właśnie z tego powodu decyduję się podbić nieco stawkę.

Spoko. Słysząc coś w sprawie tej pracy w restauracji?

Wiem, że nie ma nowych wieści, i jestem pewna, że zignoruje tego SMS-a, ale nie szkodzi spróbować.

Tak czy siak miło dostać od niej wiadomość nie tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebuje.

– Aha, Cora... – Dobiega mnie głos Abby. Uśmiecham się i odkładam telefon do kieszeni.

– Raczej nie dam rady pójść w piątek. Mam mnóstwo nauki.

Unoszę gwałtownie głowę, Molly zaś kopie mnie pod stołem prosto w kostkę, uprzedzając mojego kuksańca.

– A co się dzieje w piątek? – pyta.

Przygryzam wargę, starając się zignorować ból. Kurde frak. Zrobi mi się siniak.

– Nabór do drużyny rugby! – mówi z szerokim uśmiechem podniecona Cora.

Zbieramy ze stołu naczynia i niesiemy je do okienka.

– Och, fajnie! – odpowiada Molly.

Skoro niemal wybiła pod stołem dziurę w mojej goleni, domyślam się, że wie, jak wykorzystać tę sytuację, więc idę przodem i odstawiam brudne naczynia, a potem jakby nigdy nic podchodzę do tosterów, przy których wypatrzyłam nierozpakowany bochenek białego chleba.

Opierając się o blat, kiwam głową na powitanie jednej z pracownic „Marketu” zajętej sprzątaniami ze stołów. Moje palce skradają się do bochenka. Kiedy kobieta odwraca się tyłem do mnie, podnoszę go i wsuwam pod T-shirt, a potem robię zwrot na pięcie i wpadam wprost na Molly.

Ta unosi zdziwiona brwi.

– To coś nowego – mówi, dźgając palcem moje nowo wyhodowane miseczki D.

– Gdzie Cora? – pytam, odtrącając jej dłoń i wodząc wzrokiem nad jej głową. – Wzięłaś od niej numer?

– Musiała iść do sali – odpowiada Molly.

Wpadają mi w oko sylwetki Abby i Cory zbliżające się do drzwi. Macham dziewczynom na pożegnanie przez szybę, one odpowiadają tym samym, a potem znikają na schodach.

– Więc... – Molly wzdycha przeciągle. – Nie.

– Następnym razem ci się uda. Na pewno – pocieszam ją, starając się ukryć rozczarowanie.

Dla dobra nas obu mam nadzieję, że się nie mylę.

Po wyjściu z „Marketu” rozchodzimy się w przeciwne strony. Zaraz mam nudną chemię w dalszej części kampusu i wcale nie spieszy mi się na kolejny godzinny wykład z profesorem, który prowadzi zajęcia tak monotonnym głosem, że już po dziesięciu minutach połowa grupy śpi.

Siadając na skrzypiącym, drewnianym krzeselku, czuję się nieco sfrustrowana, ale napominam się, że muszę być bardziej cierpliwa z Molly. No bo czy nie miała dzisiaj kilku przebiegów? Oczywiście. Ale wciąż czekamy na właściwy moment.

Muszę się dostosować do tempa Molly.

To jednak... nie znaczy, że nie mogę zagrać w typowym dla siebie stylu, by nieco pobudzić ją do działania.

# MOLLY

Całą ostatnią godzinę próbowałam znaleźć sobie zajęcie. Sprzątałam pokój w akademiku i przestawiałam w nim sprzęty, składałam od nowa ubrania i sortowałam je w szafie według kolorów. Zwykle takie zadania działają uspokajająco na moje nerwy, ale tym razem nie na wiele się zdały. Nie oderwały moich myśli od tego, co na wieczór zaplanowała Alex.

Nieco wcześniej dostałam od niej tajemniczego SMS-a.

18.20 na schodach Świątyni.

Nie wyjaśniła, po co chce się spotkać ani co mamy zrobić. Kazała mi jedynie ubrać się wygodnie. Szczerze mówiąc, nie wiem, co to znaczy, ale pomysł wyszedł od Alex, więc na pewno chodzi o Corę. Decyduję się na coś tyleż wygodnego, ile eleganckiego.

Wkładam tenisówki i wychodzę na dziedziniec.

Po drugiej stronie ulicy Świątynia Nauki żarzy się w złotym blasku słońca wiszącego nisko nad horyzontem. Kiedy podchodzę bliżej, dostrzegam Alex siedzącą okrakiem na barierce schodów. Jej nogi dyndają po obu stronach poręczy. Ma na sobie T-shirt z ostrzami pił łańcuchowych wystającymi z miseczki płatków kukurydzianych, a obcisłe jeansy wymieniła na czarne legginsy do biegania.

– Do diabła, w coś ty się wystroiła? – pyta, mierząc mnie wzrokiem. – Przecież mówiłam, żebyś ubrała się wygodnie.

Przyglądam się sobie – jeansy i taka sama koszula, jaką miałam na imprezie, tyle że w innym kolorze. Włożyłam nawet tenisówki.

– Jest mi wygodnie – odpowiadam.

Alex przerzuca nogę przez barierkę, zeskakuje i podbiega do mnie po schodach.

– Miałam na myśli wygodę w rodzaju szortów i T-shirta – mówi. Jej wzrok zsuwa się do moich piersi i szybko wraca do twarzy. – A przynajmniej sportowego stanika, Molly!

– No to mogłaś się jaśniej wyrażać – mówię i odwracam się z powrotem w kierunku dziedzińca. – Ale nie ma sprawy. Pójdę się przebrać.

– Nie ma na to czasu. Spóźnimy się – odpowiada Alex, zerkając na zegar na wyświetlaczu swojego telefonu.

Nie daje mi szansy na odpowiedź. Niemal biegnę, żeby dotrzymać tempa jej długim krokom.

– Na co się spóźnimy? – pytam, zrównując się z nią. Zerkam w dół, kiedy idziemy na drugą stronę Świątyni Nauki, i nagle dociera do mnie, że jej nadgarstki oraz palce są kompletnie odsłonięte. Zawsze ma na nich pierścionki i bransolety. – Czy to jest punkt twojego planu, w któ-

rym mówisz mi, że muszę popracować nad swoim ciałem, i zaciągasz mnie do siłowni? Bo muszę cię uprzedzić, że nie jestem wielką fanką sportu, i...

– Co? – Alex się zatrzymuje i patrzy na mnie z twarzą wykrzywioną takim grymasem, jakbym ją wielce obraziła. – Nie. Dlaczego miałabym mówić ci coś takiego?

– Moim zdaniem powiedziałaabyś dokładnie coś w tym stylu – odpowiadam i kwituję wzruszeniem ramion jej przesadną reakcją.

– Wiesz co, Molly? Zdaję sobie sprawę, że jestem zarąbiście ładna i może nieco za bardzo lubię flirtować, ale daleko mi do zajętej tylko sobą, płytkiej dziuni, za którą wszyscy mnie uważają. Włącznie z tobą.

– Dobra. Dobra – mówię, cofając się o krok.

Nigdy dotąd nie widziałam, żeby okazywała jakieś... prawdziwe emocje. Nawet nie wiedziałam, że da się ją czymkolwiek wyprowadzić z równowagi.

– Naprawdę miałam nadzieję, że ty i ja możemy się przyjaźnić, ale jeśli uważasz, że jestem taką kretynką... – Milknie na chwilę. – Molly, nigdy nie wspomniałam ani słowem o twoim ciele, bo nie widzę w nim nic złego. Nie wkładaj mi w usta tego, czego nie powiedziałam.

– Dobrze – powtarzam bardziej stanowczo, zdając sobie sprawę z tego, że może tym razem sama zachowałam się głupio. Że ją bezpodstawnie skrytykowałam. – Prze... przepraszam. Naprawdę.

Nie chciałam jej tak potraktować.

Alex bierze głęboki wdech i na sekundę ogarnia mnie strach, że zamierza odejść, ale po chwili rusza dalej, prowadząc mnie w dół schodów z tyłu budynku.

– Dlaczego więc tak się ubrałaś? – pytam, mając nadzieję, że szybko zakończymy ten temat.

Nie odpowiada, lecz schodzi z cementowej ścieżki na trawnik.

– Zamierzasz cały czas mnie ignorować? – pytam i żeby nie zostać z tyłu, truchtam za nią, omijając kałuże błota powstałe po wczorajszym deszczu.

Kiedy Alex w końcu się zatrzymuje, unoszę głowę i widzę stojącą przed nami na boisku grupę złożoną z mniej więcej dwudziestu pięciu dziewczyn. Większość ma włosy związane w wysoki kucyk na czubku głowy, a na stopach noszą jaskrawe korkotrampki. Kilka z nich ustawia się w okręgu, reszta zaś podrzuca piłkę o dziwnym kształcie...

Panika ściska mi żołądek, kiedy dociera do mnie, na co dokładnie patrzę.

Rugby.

– Alex! – szepczę nerwowo i chwytam ją za ramię, ale ona wrywa się z mojego uścisku.

– Alex, proszę.

Moje oczy skanują otoczenie w poszukiwaniu osoby, która – wiem to – jest tutaj.

– Cora, hej! – krzyczy Alex, nie zwracając na mnie uwagi, i przywołuje gestem Corę Myers w tęczowej opasce na głowie.

Ta wygląda tak ślicznie w stroju do rugby, że na sekundę zupełnie tracę oddech. Przycho-dzą mi na myśl różne groźby, które mam ochotę rzucić pod adresem Alex, ale jest już na to za późno, bo Cora stoi tuż przed nami.

– Cześć, dziewczyny! – wita nas z perfekcyjnym uśmiechem na twarzy. – Co tu robicie?

Stoję przed nią i próbuję nie zatrasnąć się w sobie na amen, a Alex odpowiada za nas obie:

– Przyszliśmy na nabór. – Zarzuca swą długą rękę na moje ramię.

„Nabór?”

– O, cudownie! Nie wiedziałam, że w ogóle was to interesuje – mówi Cora.

Nieco dłużej niż to konieczne przygląda się mojemu nieodpowiedniemu strojowi, ale go



nie komentuje.

– No wiesz, ja jestem w tym kompletnie zielona, ale Molly... – Alex klepie mnie po ramieniu i przyciąga bliżej do siebie. – Ta laska uwielbia rugby.

– Naprawdę?

Cora uśmiecha się do mnie, jej oczy rozbłyskują z ekscytacją i zmieniają moje wnętrzności w galaretkę.

– N-no tak – jąkam się. – Nie mogę przestać o tym myśleć.

– Dlaczego nie grałaś w Oak Park? Przydałoby nam się więcej zawodniczek, zwłaszcza wtedy, gdy Mariah, Skeggs i Anna połamały się jednocześnie w tym samym tygodniu.

– Yyy... – Milknę, rozmyślając o tym, jak cenne są dla mnie moje kończyny. – Można powiedzieć, że jestem raczej kibicem tego sportu, ale... – Zerkam z ukosa na Alex. – Pomyślałam... że warto spróbować swoich sił.

Moje kłamstwo musiało zabrzmieć dość przekonująco, bo Cora się uśmiecha.

– Już nie mogę się doczekać, aż pokażesz, co potrafisz. Idźcie tam i się zapiszcie. – Wskazuje przenośny stół rozstawiony na trawie.

– Dzięki – mówimy i mijamy ją.

Gdy tylko zostaje za naszymi plecami, strącam z barków ramię Alex i wbijam jej łokieć w żebra.

– Oj! – Alex ze śmiechem obejmuje ręką swój brzuch i masuje się w bok. – Oszczędzaj to na akcję na boisku, Parker.

– Zamorduję cię. – Zbliżam się do niej o krok i zniżam głos. – Ja nawet nie wiem, na czym polega rugby.

– Nie rób z tego takiej tragedii – odpowiada.

Podnosi ze stolika długopis i wpisuje na listę nasze nazwiska.

– Alex, ty chyba nie rozumiesz. – Idę z nią od stolika do pobliskiego drzewa, pod którym kładzie na ziemi swój telefon i portfel. Czując, jak wzbiera we mnie panika, bardzo wyraźnie wypowiadam kolejne słowa: – Ja. Nie. Mam. Bładego. Pojęcia. O. Rugby. Dotarło? Nie jestem jedną z tych atletycznych lesbijek, o których tyle się słyszy. Zapewniam cię, że nie trafiłabym niczym nawet w tę dłuższą ścianę stodoły.

– No to całe szczęście, że nie przyprowadziłam cię tu, żebyś popisywała się swoimi olimpijskimi talentami. Przyszliśmy po numer telefonu Cory, bo sama wyraźnie sobie z tym nie radzisz. Upłynęły dwa dni od śniadania w „Markecie”, a ty nie odezwałaś się do niej ani słowem.

Wystawia jedną nogę i zaczyna się rozciągać.

– Nieprawda. Wczoraj pomachałam do niej na dziedzińcu! – odgryzam się.

– Pomachałaś do niej?! Czekał... co... co to? – Przykłada do ucha dłoń, jakby czegoś nasłuchiwała. – Czyżbym słyszała... kościelne dzwony?

Odwracam się i odchodzę. Jeszcze nie jest za późno, żeby się z tego wykręcić. Jeżeli takich rzeczy wymaga punkt pierwszy planu, to nawet nie chcę myśleć, co mnie czeka w pozostałych czterech.

Już niemal wchodzę na cementowy chodnik, lecz zatrzymuje mnie wołanie Cory dobiegające z boiska.

– Molly! Długa!

Obracam się i widzę, że biegnie coraz szybciej w moim kierunku, i nie mogę jej powstrzymać, bo już rzuca do mnie tę piłkę o dziwnym kształcie.

„Złap ją, Molly. Na litość boską, tylko ją złap”.

Robię krok w lewo, potem w prawo. Cofam się o krok i wyciągam ramiona. Wszystko zdaje się idealnie zsynchronizowane, kiedy piłka zbliża się ku mnie spiralnym lotem, a potem...

Bęc. Przelatuje mi przez ręce i odbija się od mojej piersi.

Jestem boleśnie świadoma faktu, że obie przyglądają mi się, kiedy gonię za piłką na trawie.

– Jest mocniejsza w obronie – mówi Alex, a Cora mruży z dezaprobatą oczy. – Jestem pewna, że najlepsze zachowuje na pokaz kwalifikacyjny.

Uśmiecha się do mnie zachęcająco.

„Wspaniale”.

Opcja ucieczki została zatem spalona. Przystępuję niechętnie do pierwszych ćwiczeń. Właściwie nie idzie mi najgorzej, chociaż jestem najdziwniej ubraną dziewczyną na boisku. Mniej więcej piętnaście minut rzucamy do siebie piłkę w parach i po jakimś czasie nabieram pewnej wprawy.

Piłka coraz częściej zakreśla spiralny tor, zmierając w powietrzu do Alex, tymczasem jej podania do mnie nadal wyglądają tak, że piłka obraca się chaotycznie w różne strony, zanim wpadnie mi w ręce. Zaczynam wierzyć, że może uda mi się wyłgać z braku doświadczenia w tej grze.

Jednak zaraz potem przechodzimy do drugiej części treningu.

– No dobra – mówi atletycznie zbudowana dziewczyna w opasce kapitana drużyny. Przerwywamy podania, ona zaś wychodzi na środek i tnącym ruchem ręki rozdziela wszystkie pary zawodniczek. – Ta połowa bierze fartuchy i przez następne dwadzieścia minut się potłuczemy.

„Potłuczemy?”.

Fajnie – będę zatem się bić, chociaż naprawdę nie mam pojęcia, jaki jest cel tej gry. Przyłożenia? Gole? Trafienie piłką w jedną z trzech obręczy?

Zdesperowana zerkam w kierunku Alex, ale napotykam wzrok Cory, więc szybko przywołuję na twarz beztroski uśmiech, jakbym nigdy dotąd nie bawiła się tak doskonale. Cora i Alex wyjmują fartuchy, czyli koszulki ochronne, z wysłużonego kartonowego pudła przy stoliku, bo zostały przydzielone do jednej drużyny. Oczywiście.

W ciągu kolejnych kilku minut kapitanka rozstawia nas na pozycjach, a przy okazji nada mi przezwisko Jean Shorts, które zawdzięczam moim spodniom.

„Spokojnie. Spokojnie. Spokojnie”.

Stojąc na pozycji, znowu wyławiam wzrokiem Corę, tym razem bliżej bramki przeciwników. Kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, Cora uśmiecha się do mnie i unosi w górę kciuk, co w zupełności wystarcza, żeby powstrzymać moją ucieczkę z boiska.

Nagle ni stąd, ni zowąd rozbrzmiewa gwizdek i wszystkie dziewczyny dokoła mnie ruszają do biegu, jakby dokładnie wiedziały, co teraz mają robić – bo zapewne wiedzą. Nawet Alex udaje się zachować pozory, jakby jej obecność tutaj była najzupełniej nieprzypadkowa.

Raptownie zwracam głowę w bok, słysząc wrzask dobiegający zza lewego ramienia. Dziewczyna z mojej drużyny o włosach związanych w rude warkocze francuskie biegnie z piłką, ale jest atakowana od tyłu, dwie pary rąk agresywnie wyciągają się ku jej nogom. Padając, rozpaczliwie rozgląda się dokoła, w ostatniej chwili dostrzega, że na nią patrzę, i wykonuje podanie do mnie (DO MNIE).

„O kurde”.

Nie wiem, co teraz, ale to nieważne. Ledwie dotykam palcami powierzchni piłki, gdy wtem jakaś inna pędząca sprintem dziewczyna niczym ściana mięśni wpada na mnie z impetem dwunastokołowej ciężarówki. Jeszcze nie dociera do mnie, że przestałam dotykać ziemi, a już czuję, że moje ciało roztrzaskuje się w drobny mak.

– Molly! Wszystko dobrze? – dociera do mnie czyjś głos, kiedy leżę w błocie. Ledwo go słyszę, bo przebija się z trudnością przez dźwięki, które sama wydaję – szaleńcze próby nabrania

powietrza do płuc, głośne, świszczące i przeciągłe, bo desperacko brakuje mi tlenu. – Wdech przez nos, wydech ustami.

Wykonuję polecenia głosu i wkrótce wraca mi oddech na tyle, że mogę już otworzyć oczy. Widzę przykucniętą nade mną Corę, w jej piwnych oczach dostrzegam niepokój O MNIE.

– Dasz radę samodzielnie iść? – pyta. Do licha, ma takie ładne oczy. I nos, i usta, i... – Molly? – upewnia się, a ja mrugam i wracam do rzeczywistości.

– Przepraszam... ee... tak. Chyba dam radę...

Przekręcam się na bok i już bardzo wyraźnie czuję ból promieniujący z okolicy żeber. Kiedy się unoszę, Cora wsuwa rękę pod moje prawe ramię, a lewą obejmuje mnie w pasie, gdzie trochę podciągnął mi się T-shirt.

Nagle żebra przestają mnie boleć, bo czuję jedynie opuszki jej palców na mojej nagiej, ciepłej skórze. Puls wskakuje mi na podwójne obroty, kiedy Cora sprowadza mnie z boiska i prowadzi pod rozłożysty dąb otoczony plecakami.

– Ależ to był atak – mówi, sadzając mnie bardzo ostrożnie na trawie. – Jezu. Na pewno nic ci nie będzie?

Pomaga mi się oprzeć plecami o pień, jej dłoń podtrzymuje mój kark. Przełykam z trudnością ślinę, starając się za bardzo na nią nie gapić.

– Chyba tak – odpowiadam, pocierając bok ciała.

– Bolał cię żebra? Mogę zobaczyć? – pyta, a ja potakuję.

Cora unosi mój T-shirt i odsłania czerwony ślad wielkości kalkulatora do rysowania wykresów, który na pewno zmieni się w siniak. Robi taki grymas, jakby sama poczuła mój ból. Patrzę na nią, gdy się przygląda obrażeniom, czarująco wysuwając przy tym koniuszek języka w kąciку ust, a jej palce delikatnie ugniatają i masują moją skórę.

– Przeżyję to, pani doktor?

Kurczę blade, przybijam sobie w myślach piątkę za dobry tekst. Udało mi się przy niej zartować, a najlepsze jest to, że moje słowa wywołały jej śmiech. Zsuwa z powrotem mój T-shirt.

– Pewnie przydałoby ci się... – zaczyna, ale nie kończy, bo nagle podbiega hałaśliwie Alex.

Jest kompletnie zdyszana. Można by sądzić, że to jej ktoś wytłoczył powietrze z płuc. Jeszcze nie może wykrztusić słowa, ale podaje nam biały woreczek foliowy wypełniony lodem. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęła lód, ale jej ciężki oddech świadczy o tym, że musiała go przynieść z daleka.

Cora bierze go od niej i przykłada do moich żeber. Nasze dłonie się dotykają, kiedy podaje mi ten kompres.

– Dzięki.

Uśmiecham się do niej, a tymczasem Alex wciąż sapiąc i dysząc, odchodzi, żeby napić się pomarańczowej Gatorade ze stojącego na stole dozownika.

– Hej, Molly, nie chciałam cię pytać przy wszystkich, ale skoro teraz jesteśmy same... – Cora znowu omiata wzrokiem mój strój. – O co chodzi z tym... ee... przebraniem? – pyta.

Oczywiście nie mogę zdradzić jej prawdziwej przyczyny, więc wymyślam na poczekaniu kłamstwo. Zdaje się, że szok spowodowany upadkiem powstrzymuje mnie przed chowaniem się zbyt głęboko w mojej skorupie.

– Och, bo... zostawiłam w domu karton z całym wyposażeniem – odpowiadam. – Z całym sprzętem sportowym.

– Trzeba było do mnie zadzwonić – mówi, marszcząc brwi. – Pożyczyłabym ci coś z moich rzeczy.

„Trzeba było zadzwonić?”. Muszę wbić sobie paznokcie w dłonie, żeby powstrzymać

gwałtowne westchnienie. To naprawdę doskonała okazja.

– Naprawdę? – pytam głupio, zamiast rzucić się na tę szansę.

– No jasne. Kiedy tylko chcesz. – Wzrusza ramionami i zerka w tył na akcję na boisku. – Jak sądzisz, wszystko z tobą w porządku? Chcesz tam wrócić?

„Wrócić tam?”

– Uchhh. – Chwytam się za bok ze zbolaną miną. – Nie... chyba jeszcze nie. – „Nie ma mowy, za żadne skarby nie wejdę z powrotem na to boisko”. – Ale ty powinnaś wrócić do gry. Wolałabym, żeby przyszła gwiazda drużyny nie straciła szansy na dostanie się do niej, bo bawiła się w lekarza.

Śmieję się, ale zaraz znowu grymas wykrzywia mi twarz, bo żebra przeszywa ból.

– Jeśli będziesz znowu potrzebowała pomocy lekarskiej, wystarczy, że do mnie zadzwonisz – odpowiada z porozumiewawczym uśmiechem.

„Los daje mi drugą szansę”. Patrzę prosto w jej piwne oczy. „Teraz”.

– Dasz mi swój numer? – pytam, a serce wali mi w piersi tak, jakbym wciąż robiła przebieżkę dokoła boiska. – Żebym mogła zadzwonić do ciebie. Albo napisać SMS-a.

„No oczywiście, Molly, po to, żebyś mogła do niej zadzwonić albo napisać. Niby do czego innego miałyby ci być potrzebny jej numer?”

Zdaje się, że upływa wieczność, kiedy czekam na jej odpowiedź.

– No pewnie – mówi w końcu z uśmiechem, a ja robię co w mojej mocy, żeby nie zemdleć.

Zostawiłam swój telefon razem z telefonem Alex po drugiej stronie boiska, ale na szczęście Cora wyjmuję długopis z zewnętrznej kieszeni jednego z leżących koło nas plecaków i wyciąga go ku mnie. Rozglądam się za zeszytem albo kartką, skrawkiem papieru, ale... przecież nie mogę szperać po cudzych plecakach. Rozglądam się jeszcze raz... Może liść się nada? Nie mogę uwierzyć, że chce mi dać ten numer, a kiedy to się nareszcie stało, nie mam jak go zapisać.

Cora śmieje się bezgłośnie i delikatnie ujmuje moją dłoń. Siedząc z wyciągniętą ręką, wstrzymuję oddech, kiedy długopis kreśli znaki na mojej skórze, a Cora zapisuje na niej numer telefonu, jakbyśmy występowały w jakimś filmie dla nastolatków albo czymś w tym rodzaju. Takie rzeczy nie zdarzają się w prawdziwym życiu.

Na pewno nie mnie.

– Powinam już wracać – mówi Cora i odkłada długopis do kieszeni plecaka, po czym wstaje. – Przykro mi, że nabór okazał się dla ciebie taki pechowy.

– Zdaje się, że i tak lepiej się sprawdzę na ławce kibiców. – Śmieję się.

– Mam taką nadzieję – odpowiada i odbiega.

„Ma taką nadzieję”. Chce, żebym jej kibicowała.

Odnajduję wzrokiem Alex. Patrzy na mnie znad krawędzi papierowego kubka, z którego pije potężnymi łykami wodę. Jestem taka szczęśliwa, że zapominam o mojej wcześniejszej złości na nią. Ledwie dostrzegalnie kiwam głową, ale mam na twarzy promienny uśmiech. Alex otwiera szeroko usta i wykonuje w moim imieniu mały triumfalny taniec.

– Dziewczyno! Nie żartujesz? – pyta, kiedy zbliża się do mnie.

Wyciągam do niej rękę, a ona pomaga mi wstać z ziemi.

– Nie wiem, co się stało. Byłam taka... taka wygadana! Udało mi się to, o czym mówiłaś w kafeterii. Wyszłam ze skorupy. Myślę, że pomógł mi ten nokaut. Jakby zupełnie wytrącił ze mnie niepewność! – mówię, a ona odwraca moje przedramię i obie podziwiamy starannie napisane na skórze cyfry numeru telefonu Cory.

– Molly! Krok pierwszy zaliczony!

Bierze mnie energicznie w objęcia, jej ciało obija się o moje potłuczone żebra tak mocno,

że aż jęczę z bólu.

– O kurde! Przepraszam – mówi, ale od razu daje mi beztroskiego kuksańca w ramię. – Dziewczyno! To wielki sukces. Musimy to uczcić.

Przywołuje mnie gestem, żebym ruszyła z nią przez murawę.

– Wszyscy rozumieją, dlaczego opuszczam trening, ale nie powinniśmy powiedzieć kapitanie albo komuś innemu, że się urywamy? – pytam.

– Phi. Mam w nosie, co inni o mnie myślą.

Śmieje się, a ja podbiegam do niej, krzywiąc się z bólu, który promieniuje na całą klatkę piersiową.

– Skąd wiedziałaś, że tak będzie? Że ktoś mnie przewróci. Że Cora przyjdzie mi na pomoc. Wszystko w dziwny sposób ułożyło się idealnie – mówię.

– Zapłaciłam jej, żeby cię znokoutowała – przyznaje się Alex, a ja stoję z otwartymi ustami.

– Zmyślasz! – krzyczę z niedowierzaniem, a ona wybucha śmiechem i potrząsa głową. Popycham ją biodrem na tyle mocno, na ile pozwala mi kontuzja.

– Poważnie. Domyśliłam się, że będziesz tak zajęta myślą, by się nie wygłupić na boisku, że do końca treningu totalnie zamkniesz się w sobie i znowu ci nie wyjdzie z Corą – odpowiada.

– Przeczuwałam, że będzie chciała ci pomóc, ale trochę dopisało nam szczęście.

– Szczęście?! – powtarzam, wspominając z dreszczem strachu moje spotkanie ze śmiercią.

– Tak czy owak zadziałało, prawda? – pyta Alex i ma rację.

Myślę, że tym razem jestem jej winna podziękowanie.

– Chodź. Idziemy na mrożony jogurt. Ja stawiam – mówię. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić. Czuję, że wraca do mnie gwałtowna fala wyrzutów sumienia z powodu mojego wcześniejszego zachowania. – I... naprawdę przepraszam za to, co przedtem powiedziałam o tobie. Nie miałam na myśli...

– Nie truj się tym – mówi swobodnie, ale poznaję po jej minie, że jest mi wdzięczna za te przeprosiny.

Przytrzymuję się jej kościstego barku dla równowagi i prowadzę ją przez kampus do budki Tutti Fresh Yogurt.

Od tamtej imprezy pierwszego wieczoru w Pittsburghu do nieszczęsnego naboru do drużyny rugby, który jakimś cudem skończył się dostaniem numeru telefonu Cory, nic nie toczyło się zgodnie z planem, a jednocześnie od dawna nic nie układało się tak dobrze... może nawet nigdy przedtem. Sądzę, że Alex w dużym stopniu się do tego przyczyniła, a czegoś takiego na pewno się nie spodziewałam.

Semestr nareszcie zaczyna przypominać życie studenckie, o jakim marzyłam.

# ALEX

Tutti Fresh Jogurt to raj na ziemi.

Patrzę z zachwytem na gigantyczny bufet dodatków: świeże owoce, masę ciasteczkową, oreo, posypki w każdym kolorze, na jaki ci przyjdzie ochota. Mój papierowy kubek w uniwersalnym rozmiarze już jest wypełniony po brzegi mrożonym jogurtem o smaku śmietankowo-ciasteczkowym, ale zaraz i tak dołożę do niego coś jeszcze.

Gdy dochodzę do końca lady, prawie boli mnie ręka od nakładania kolejnych rzeczy, a kiedy unoszę wzrok, widzę, że Molly jak prawdziwa psychopatka posypała swój jogurt truskawkowy jedynie małą łyżką płatków Rice Krispies.

– Patrz, jaki wybór. Rozumiesz, o czym mówię? – Potrząsam głową. – Nic dziwnego, że nie masz dziewczyny.

Molly przewraca oczami i wbija mi w bok łokieć z wyrazem twarzy, który oznacza: „Ogarnij się, Alex”. Przez ostatnie dwa tygodnie dobrze się zapoznałam z tą miną.

Tyle że tym razem czai się pod nią cień uśmiechu.

Idziemy do kasy i stawiamy oba kubki na szalce – mój zapewne stanowi cztery piąte całkowitej wagi. Wyjmuję plik banknotów dolarowych, które w ubiegły weekend dostałam ze słoika z napiwkami, ale Molly unosi dłoń.

– Powiedziałam ci, że ja stawiam – mówi i wyjmuje kartę kredytową, zanim zdążę zareagować.

Mam pewne wyrzuty sumienia, bo wiem, że mój mrożony jogurt jest z osiemnaście razy większy niż jej, więc wrzucam dwa dolary niezainteresowanemu otoczeniem nastolatкови za ladą. Mruczy pod nosem podziękowanie, ale jego oczy wciąż śledzą z laserową precyzją akcję filmiku na YouTube w jego telefonie.

– Nie zgadłabym, że tańczysz w klubie go-go – mówi Molly, kiedy bierzemy fluorescencyjne różowe łyżeczki i znajdujemy wolny stolik pod rzędem okien z zapierającym dech w piersi widokiem na Rite Aid, lokal sieci Qdoba oraz przepełniony kubeł na śmieci.

Śmieję się.

– Przejrzałaś mnie. Planowałam nasz wspólny występ w ramach projektu na zaliczenie z biologii. – Celuję w nią łyżeczką. – Możesz się zająć obsługą świateł. No to jak? Koniec semestru? Błędym świtem w poniedziałek? Masz wolny termin?

– Tak, zobaczę, czy uda mi się ciebie wcisnąć – odpowiada Molly, a ja wbijam łyżeczkę w najwyższą warstwę z bitej śmietany i tęczowej posypki, pod którą kryją się bogate złoża kulek z ciasta i kawałków sernika.

– Tak naprawdę to pieniądze z...

– Och, czekaj, z tej pracy w food trucku! Dostałaś ją?

Jej brązowe oczy rozbłyskują i coś w jej ekscytacji, a ponadto sam fakt, że pamiętała, sprawia, że robi mi się ciepło na sercu. Z nikim nie miałam okazji o tym porozmawiać. Natalie przez cały tydzień była na mnie zła, a mama... no cóż. Miło jest się dowiedzieć, że kogoś to szczerze interesuje.

Ponadto nawet gdybym mogła opowiedzieć o swojej pracy Natalie, pewnie uznałaby ją za beznadziejną. Zawsze tak się wyrażała o pracy w Koślawym Króliku. Mówiła, że wolałaby, gdybym nie pracowała za barem, lecz robiła coś na scenie, zamiast patrzeć z tłumu na koncerty. Czasami zastanawiałam się, czy wstyd jej, że wycieram szklanki i nalewam drinki, a nie wycinam ząbów solówki na basie, ale za każdym razem odpycham te myśli.

„Powiedziała, że mnie kocha”.

– Tak! Mój szef, Jim, jest... dosyć szorstki w obyciu – mówię, przypominając sobie, jak z wystawionym środkowym palcem przecina na ukoś trzy pasy jezdni, gdy ja co drugi wieczór wytrząsam się na rozkładanym krzeselku z tyłu furgonetki. – Ale myślę, że będzie w porządku. Płaci gotówką. Pracę mam głównie w weekendy i wieczorami, więc nie będzie mi się wpieprzać w naukę. A jako bonus mam po każdej zmianie zapiekankę albo burgera za friko.

– Dobrze jest tam jedzenie? – pyta Molly, chrupiąc swoje Rice Krispies.

– A jak! Zapiekanki od Jima spokojnie nadawałyby się do sprzedaży w Filadelfii, a to już coś.

– Mięso jest cięte na miejscu? – dopytuje Molly.

Słyszałam, że tak się je przyrządza w Pittsburghu, inaczej niż w Filadelfii. Potakuję i cytuję słowa Jima:

– To jedyny prawidłowy sposób.

– Dobrze – mówi Molly, z zadowoleniem potakując głową, ale nagle jej ciemne brwi się marszczą, kiedy wskazuje na mój kubek. – Co to jest?

Zerkam w dół i widzę, że kulka tapioki o smaku truskawkowym wydostała się na powierzchnię tężowego posypkowego morza.

– To? – Nabieram ją na łyżeczkę. – Kulka *boba*.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– To te kulki z herbaty bąbelkowej. – Śmieję się. – Jeśli mam być szczerą, krztuszę się nimi za każdym razem, kiedy ją kupuję.

Molly patrzy na mnie bez śladu zrozumienia.

Dobry Boże.

– Nigdy nie piłaś herbaty bąbelkowej?

– Nie wiem, czy wiele tracę, skoro mówisz, że się nimi krztusisz.

Jej policzki robią się czerwone ze wstydu.

– Bo to nieodłączna część zabawy, Molly!

Kładę truskawkową kulkę *boba* na łyżeczce i katapultuję w jej kierunku, a Molly odbija ją profesjonalnie jak Serena Williams. Różowa kuleczka tapioki szybuje w powietrzu i ląduje na zapiętku czyjegoś buta. Właściciel obuwia na szczęście tego nie zauważa. Chichoczemy, a ja aż się krztuszę, chociaż nie mam w ustach ani jednej kulki *boba*.

Próbuję odzyskać oddech, nagle ekran mojego telefonu rozbłyskuje na stole... O kurde!

SMS od Natalie.

Odkładam łyżeczkę i podnoszę telefon, żeby przeczytać wiadomość: zadzwoń jutro do mnie © tęsknię

– Yes!! Lody puściły!

To się nazywa postęp.

– Jakie lody? – pyta Molly.

– Och, no wiesz, z Natalie – odpowiadam, odpisując szybko: ja też tęsknię. – Z moją dziewczyną – dodaję, bo przecież po tym wszystkim ona znowu nią będzie. – Wkurzyła się na mnie, bo kilka dni temu nie odpowiedziałam jej na Snapchacie.

– Dlaczego nie odpisałaś?

Skrobię łyżeczką po dnie kubka.

– Tak wyszło, przypadkiem. Zasnęłam przed wysłaniem wiadomości. Pokonał mnie pierwszy dzień pracy w food trucku.

Molly przestaje jeść jogurt i gwałtownie zwraca ku mnie głowę.

– Nie wyobrażam sobie, jak można się wkurzyć na kogoś o to, że zasnął.

No nie? Miło jest wiedzieć, że nie wszyscy uważają mnie za tę złą. Ale gdyby Molly znała całą prawdę, pewnie by tak nie mówiła. Dałam Natalie mocne podstawy, żeby nie darzyła mnie zaufaniem.

Ostatnia noc w Filadelfii stanowiła kroplę, która przelała czarę goryczy wywołanej moimi uchybieniami jako partnerki.

Natalie miała rację. Poznała prawdę o mojej mamie, a mimo to wspierała mnie cały czas tak, jak nikt inny na świecie, ja zaś odwdzieczyłam się jedynie tym, że sprawiałam trudności.

– Wiesz, nie rozstałyśmy się w najlepszych humorach. A ona teraz ma wiele spraw na głowie – mówię i wskazuję na mój T-shirt promujący Cereal Killers. – Występuje w tym zespole. Właśnie są w trasie. Pod koniec miesiąca grają koncert tutaj, w Pittsburgu.

Odwracam wzrok, mówiąc o terminie, przed którym chciałabym rozwiązać moje problemy. Nie chcę straszyć Molly. Bo chociaż oczywiście zamierzam udowodnić Natalie, że się zmieniłam, ta historia zaczyna nabierać nieco innych odcieni. Tak jakbym robiła te rzeczy w takim samym stopniu dla Molly, jak i dla siebie.

Myślę, że ona nawet zaczyna darzyć mnie zaufaniem. Mimo że przy okazji została znokautowana.

– Pod koniec tego miesiąca? – upewnia się Molly, a kiedy unoszę wzrok, widzę, że podejrzliwie mruży oczy. – Czegoś mi nie mówisz.

Posyłam jej nad stołem wstydlivy uśmiech.

– Rozumiesz, nie zaszкодziłoby, gdybyś do tej pory tak jakby... no, była z Corą. Wiesz, żeby pokazać Natalie, że naprawdę ci pomogłam.

Jej oczy robią się okrągłe.

– Alex. To przecież jakieś pięć sekund od teraz.

Czekam, aż zacznie się sama nakręcać i spadać w otchłań, ale zaskoczona widzę, że znowu marszczy brwi, a na jej twarzy pojawia się determinacja.

– Okej, a więc już mam jej numer, prawda? Zatem tak, jak powiedziałaś w kafeterii – jeśli się przyłożę i zaliczę resztę zadań, mogę liczyć na świadectwo z paskiem.

Kiwam z uznaniem głową.

– Kim jesteś i co zrobiłaś z Molly Parker?

Molly prycha.

– Może nie tylko ciebie nie doceniają?

Coś w tym jest.

– Czy ty też korzystałaś z tego samego planu, żeby zdobyć Natalie? Z tego, który prowadzi mnie do Cory?

Opieram się na krześle i myślę przez chwilę.

– Tak, na pewno zaliczyłam jakąś wersję każdego z pięciu kroków. – Unoszę kącik ust. –



Ale numer telefonu zdobyłam już pierwszego dnia.

Molly gromi mnie wzrokiem.

Pochyliłam się nad blatem, wspierając się na łokciach.

– To jednak wspaniałe uczucie, no nie? Udało ci się dostać telefon Cory Myers.

Twarz Molly rozjaśnia uśmiech od ucha do ucha. Jej policzki nadal są brudne od błota, na T-shircie widać zielone plamy od trawy.

– Powtórzyłabym to zwarcie na boisku milion razy, gdybym dzięki temu miała dostać jej numer.

Mimowolnie uśmiecham się, słysząc te słowa.

– Ostra z ciebie zawodniczka, Parker. Tamta laska rozgniotła cię na miazgę, ale ty pokazałaś wszystkim, kto jest twardzielem. Po czymś takim Cora po prostu musiała na ciebie polecieć.

– Miejmy nadzieję. Dla naszego wspólnego dobra. – Molly się śmieje, ale po chwili syczy z bólu i łapie się za obite żebra. – Będzie mi to przypominać o sobie przez cały najbliższy tydzień.

Wskazuję ruchem głowy na drzwi, w których właśnie pojawia się hałaśliwa grupa ludzi.

– Chcesz, żebym odprowadziła cię do domu? – proponuję. – Muszę się upewnić, że twój kruchy organizm nie rozpadnie się w pył.

Molly się śmieje i potakuje.

Odsuwamy krzesła i wychodzimy, po drodze wyrzucając puste kubki do kosza na śmieci. Niebo już powoli się ściemnia i nad naszymi głowami zapalają się latarnie.

– No to powiesz mi w końcu, na czym polega kolejny krok? – pyta Molly, kiedy idziemy ramię przy ramieniu. Zerkam na nią, na jej jeansowe szorty i zabrudzoną trawą koszulę, w których widziałam ją już... z pięć razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Właśnie dlatego zdecydowałam, że drugim krokiem będzie „stylowa, że oko bieleje”. Myślę, że jeśli Molly znajdzie styl, w którym poczuje się pewna siebie, nie tylko zwróci na siebie uwagę Cory, ale też dostanie kopa do działania, kiedy już to się stanie.

– Najpierw mamy coś do zrobienia – mówię.

Właściwie nie mam powodu, by trzymać ją w niepewności, ale... lubię patrzeć, jak się niecierpliwi. Tak bardzo się przyzwyczała do planowania swojego życia i dowiadywania się o wszystkim zawczasu, że moim zdaniem zaskakiwanie jej może mieć na nią dobry wpływ.

Dlatego zaplanowałam dzisiejsze popołudnie właśnie tak, a nie inaczej. Nie miała czasu, by zjadły ją nerwy.

Po prostu... popłynęła z prądem.

Stukam ją w przedramię, na którym widnieje numer telefonu Cory.

– Teraz musisz do niej napisać.

Molly robi wielkie oczy i patrzy z przerażeniem na zapisany numer.

– Później, nie w tej chwili. Jeszcze za wcześnie. Żeby nie pokazać, że aż tak bardzo się spieszy.

Idziemy wzdłuż Forbes, zatrzymujemy się na światłach, ale Molly cały czas ze zgrzyoty przygryza wargę.

– A więc, wolałabyś pięć zwarć na boisku czy oblanie biologii? – pytam ni stąd, ni zowąd, chcąc zająć jej myśli czymś innym.

Molly zerka na mnie pytająco, ale widzę, że moja taktyka działa.

– Zwarcia – odpowiada Molly bez wahania. – Gdybym musiała znowu chodzić na biologię, kompletnie wykoleiłby się mój czteroletni plan studiów.

No jasne. Na pewno już dawno zaplanowała sobie ze szczegółami wszystkie osiem seme-

strów i starannie rozpisala je w swoim kalendarzu.

– Wolałabyś jeść do końca życia w „Markecie” czy żywić się jedynie tym, co sprzedajesz w food trucku? – pyta.

– W „Markecie”, na sto procent. O wiele bogatszy wybór. – Rozglądam się na boki. – Tylko nie mów tego mojemu szefowi.

Światła się zmieniają, więc idziemy przez skrzyżowanie.

– Jaka jest twoja ulubiona piosenka? – pytam.

Bawimy się w tę grę przez całą drogę do akademika.

Dowiaduję się, że jej ulubionym filmem jest *Duma i uprzedzenie* (wersja z 2005 roku, z czym zdecydowanie się nie zgadzam). Że jej ulubione danie to pasta bolognese ugotowana przez mamę. I że... wolałaby zostać pożarta przez rekiny, niż zrobić kupę w majty przy Corze.

– Chcesz mi powiedzieć, że ty wolałabyś zrobić kupę w majtki przy Natalie?

– No pewnie! – odpowiadam, obracając na palcu brelok z kluczami. – Nie mam zamiaru umierać.

– Mnie się wydaje, że umarłabym bez względu na to, którą opcję bym wybrała. Zabiłby mnie rekin albo wstyd. – Jej oczy robią się okrągłe, kiedy wyobraża sobie tę scenę. – Zresztą w każdym dniu mojego życia niewiele brakuje, żebym umarła ze wstydu.

Okrażamy dziedziniec kilka razy, zanim staje się jasne, że żadna z nas dzisiaj nie wyjdzie zwycięsko z tego pojedynku. Poza tym... fajnie się bawimy. Ciekawie jest się przekonać, ile nas łączy pomimo trykania się od dwóch tygodni. I równie interesujące jest odkrywanie, w jakich sprawach już zawsze będziemy się trykać.

– Trzy ulubione celebrytki. Start.

– Łatwizna. Keira Knightley.

Świetny wybór.

– Cara Delevingne...

– Wiesz, niektórzy mogliby przysiąc, że jestem podobna do Cary Delevingne – wtrącam.

Molly śmieje się głośno i obrzuca mnie krytycznym wzrokiem.

– Kłamałoby w żywe oczy. – Kończąc wyliczanie, dotyka trzeciego palca i robi przy tym rozmarzoną minę, ja zaś udaję, że jest mi strasznie przykro. – Och, i Dominique Provost-Chalkley. Dom właściwie powinna być na pierwszym miejscu.

– Kto to?

– Aktorka z *Wynonny Earp*. No wiesz, z serialu na Syfy popularnego kilka lat temu. Tego o polowaniu z magicznym pistoletem na duchy i inne potwory... W którym taka jedna drobna barmanka zakochuje się w bajecznej rudej policjantce...

Kręcę głową, bo żadna z tych rzeczy nic mi nie mówi.

Molly raptownie się zatrzymuje i patrzy na mnie z autentyczną zgrozą.

– Nigdy nie słyszałaś o *Wynonnie Earp*? I ty się nazywasz... lesbijką?

Wzruszam ramionami.

– Chyba o wiele bardziej wciągają mnie takie seriale jak... hm, *Obsesja Eve*.

Molly teatralnie przewraca oczami.

– Powinnaś się spodziewać, że tobie podoba się opowieść o seksownej psychopatycznej morderczynie.

– Mówisz tak, jakbyś widziała w tym coś złego. – Kiedy trzeci raz dochodzimy do drzwi akademika, nasz śmiech milknie. – Obejrzałam jeden odcinek – mówię, wzruszając ramionami – gdybyś chciała spędzić razem jeszcze trochę czasu.

Po tych słowach ogarniają mnie wątpliwości.

To chyba w porządku... prawda? To znaczy, Natalie nie mogłaby się o to złościć. Nie ro-

bię przecież nic złego. Po prostu przyjacielskie spotkanie. Tego przecież chciała.

Przypominają mi się wcześniejsze słowa Molly, rozbrzmiewają głośno w mojej głowie. „Nie wyobrażam sobie, jak można się wkurzyć na kogoś o to, że zasnął”.

Molly marszcząc brwi, patrzy na mnie.

– Masz na myśli teraz? – pyta, sprawdzając w telefonie, która godzina. Jest 21.42. – Nie musisz tego robić.

„Nie musisz?”. Czy ona sądzi, że proponuję to jedynie z uprzejmości?

– A co? Już powinnaś być w łóżku? – pytam, unosząc kącik ust.

– Nie. – Śmieje się. – Nie, tylko to takie... Nie wiem. – Milknie, ale nie odwraca wzroku.

– Ułynęły wieki, odkąd ktoś spędzał ze mną czas... – Wskazuje ręką w tę i z powrotem między nami. – W taki sposób.

Jej słowa chwytają mnie za serce, ale... rozumiem ją.

Ja też od dawna nie spotykałam się z nikim na takiej zasadzie. Z osobą, której nie próbowałam oczarować, wykorzystać, i z którą mogłabym bezpiecznie przebywać w odległości mniejszej niż na wyciągnięcie ręki. Z osobą, która po prostu chciałaby spędzić ze mną czas jak z normalnym człowiekiem.

– Wiem. Ze mną też – mówię.

Zdaje się, że jesteśmy bardziej podobne do siebie, niż mi się zdawało. Zastanawia mnie, jak Molly wpakowała się w podobną kabałę. Dwie różne drogi doprowadziły nas do tego samego miejsca.

Molly wzrusza ramionami i uśmiecha się do mnie. Emanujące z niej ciepło sprawia, że instynktownie odwzajemniam uśmiech.

– Okej, zróbmy to.

# MOLLY

Wczoraj wieczorem tak nas wciągnął pilot *Wynonny Earp* (który Alex bardzo się spodobał), że dopiero odprowadzając Alex do roweru, zdałam sobie sprawę z tego, że nie wysłałam mojego pierwszego w życiu SMS-a do Cory. Było już jednak po północy i Alex zdecydowała, że lepiej odłożyć to na później.

Rano siadam na kuchennym blacie u Noaha i patrzę, jak mój brat przygotowuje składniki na palaćki. Cieknie mi ślinka, kiedy oczami wyobraźni widzę przed sobą górę tych cienkich chorwackich naleśników. Babcia smażyła je dla nas co niedziela.

– No więc dlaczego akurat dzisiaj zdecydowałaś się je zrobić? – pytam.

Noah przerywa krzątaninę akurat na tyle, żeby westchnąć przeciągle.

– Mama prosiła, żebym sprawdził, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Mogłam się tego spodziewać.

Sapię oburzona. Z jednej strony rozumiem ją, bo przecież wie, jaka jestem, ale z drugiej, czuję się tak, jakby absolutnie mi nie ufała. A ja tylko powiedziałam jej, że jestem zajęta, kiedy wczoraj wieczorem napisała do mnie SMS-a! Nie potrzebuję zaproszeń z litości. A w każdym razie już ich nie potrzebuję.

– Ale i tak chciałem się z tobą spotkać. – Wzrusza ramionami i wraca do przerwanej pracy.

Bez względu na to, czy zaprosił mnie z własnej woli czy nie, kiedy dostałam od niego rano SMS-a, nie mogłam odmówić. Już zaczęłyśmy z Alex przygotowania do kroku 1B – tak go nazwała i szczerze mówiąc, wydaje mi się, że wymyśliła to na poczekaniu, ale wysłałam jej adres Noaha i napisałam, żeby spotkała się ze mną tutaj, a nie w akademiku. Od tamtej pory dostałam od niej pięć wiadomości, w których dopytywała, dokąd dokładnie każe jej jechać, ale nie odpisałam na żadną z nich. Miło popatrzeć, jak tym razem to ona błądzi po omacku.

Początkowo w ogóle się nie przejmowałam, ale im dłużej tu siedzę i o tym myślę, tym bardziej popadam w panikę. Jeszcze nigdy nie przedstawiałam bratu koleżanki. Mam nadzieję, że przypadną sobie do gustu.

– Imponujące. – Zmuszam się do porzucenia takich myśli i patrzę, jak Noah używając tylko jednej ręki, wbija jajko do stojącej koło mnie dużej metalowej misy.

– Kobiety uwielbiają tę sztuczkę – mówi Noah i wbija dwa jajka jednocześnie, nie odrywając wzroku ode mnie.

Śmieję się i ze sceptyczną miną obserwuję, jak rozkłada ciasto widelcem. Pewnie przydałaby mu się tamta trzepaczka od mamy.

- No więc kim jest dziewczyna, którą zaprosiłaś? – pyta.
- Po prostu koleżanką poznaną na imprezie – odpowiadam.
- Widzisz? A nie mówiłem? Cel uświęca środki.

Nagle głośny dźwięk dochodzący z dworu przywołuje nas do frontowego okna.

Zeskakuję z kontuaru i drepczę za bratem przez małe mieszkanie. Noah otwiera drzwi i ukazuje się nam Alex, która wyraźnie sfrustrowana taszczy po schodach na ganek fluorescencyjny pomarańczowy rower. Nie czekając, aż coś powiem, Noah zbiega po stopniach, żeby przejąć ciężar.

– Dzięki – mówi Alex i patrzy na niego z dołu. – Wow, stary, byłeś w tym roku na Pitchforku? – pyta, wskazując na jego beżowy T-shirt.

– No jasne, jeździmy tam każdego lata z kumplami z liceum – odpowiada Noah. Wnosi bez wysiłku rower na ostatni stopień i opiera go o metalową barierkę. – A ty?

– To był mój pierwszy festiwal. Od razu się w nim zakochałam! Sobota była obłądna. Wiesz...

– Bed Revival? – Noah się ożywia.

– Tak! Ja cię kręcę, ale wymietli!

Mięśnie moich ramion nieco się rozluźniają, kiedy widzę, jak dobrze tych dwoje się dogaduje.

– Cześć – mówię, żeby zasygnalizować swoją obecność, i wychodzę na ganek. – Nowy rower?

– Z targowiska Facebooka. – Alex wzrusza ramionami, zerkając to na mnie, to na rower. – Lepszy niż autobus.

– Jestem pewna, że pedałowanie po ulicach Pittsburgha daje o wiele więcej przyjemności niż korzystanie z Port Authority – mówię, a ona śmieje się i potakuje. – Alex, to mój brat Noah. – Wskazuję ich sobie gestem. – Noah, Alex.

Wymieniają szybki uścisk dłoni, po czym Noah nas przeprasza i wraca do kuchni, żeby dokończyć gotowanie.

– Dlaczego nie odpisałaś?! – krzyczy Alex z pierwszego stopnia schodów. – Przecież mamy dzisiaj zrobić krok 1B. Próbujesz się wymigać? – pyta.

– Nie, ale do wykonania tego kroku nie musimy przebywać w konkretnym miejscu. Równie dobrze możemy to zrobić tutaj, bo właśnie w tej chwili szykujemy palaćki.

– Pala-co? – pyta Alex i śmiesznie wykrzywia twarz, gdy łamie sobie język, patrząc na mnie z dołu.

– Palaćki. – Śmieję się. – To takie... naleśniki, tyle że lepsze.

Robię krok w kierunku drzwi, ale ona tkwi w miejscu.

– Mam południową zmianę pod Hitchhiker Brewing – uprzedza.

– Uwiniemy się do tej pory. Obiecuję.

– Ale...

– Alex – ucinam stanowczo, żebyśmy nie sprzeczały się cały dzień na schodach. – Palaćki wymagają, żebyś popłynęła z nurtem, więc przestań się zapierać.

– Molly Parker każe mi odpuścić i popłynąć z nurtem? – pyta Alex i uśmiech rozjaśnia jej twarz, kiedy pokonuje kolejne dwa stopnie i nasze oczy znajdują się na tym samym poziomie. – Te pinkaczale muszą mieć wielką moc.

– Bo mają. Ponadto to jedna z twoich dwóch ulubionych rzeczy. – Cofam się o krok ku drzwiom, a ona zatrzymuje się i patrzy pytająco. – No, jedną jest obżeranie się, a drugą spędzanie ze mną czasu.

Alex robi sceptyczną minę, ale idzie za mną do środka.

– Wymyśliłaś już, co chcesz do niej napisać? – pyta, kiedy wchodzimy do kuchni.

– Oho ho. Do kogo piszecie? – pyta Noah.

Zwraca do nas głowę, obejmując ręką misę.

– Dzięki, Alex. – Patrzę na nią z kamienną miną, a ona wzrusza niewinnie ramionami. –

Do Cory – odpowiadam, a Noah nagle unosi brwi. – I tak. Zamierzałam napisać po prostu: „Cześć, tu Molly!”.

– Molly! – Karci mnie z przerażonym wzrokiem Alex. – Dawaj telefon.

Wyciąga rękę.

– Co chcesz powiedzieć? – pytam podejrzliwie.

– Och, daj jej telefon, Molly – wtrąca Noah, nie przerywając mieszania.

– Nadal mi nie ufasz? – pyta Alex, ponagłajaco kiwając palcami wyciągniętej ręki.

To oczywiście, że mam pewne obawy przed wręczeniem Alex mojego numeru telefonu.

W ten sposób przekazuję jej pełną kontrolę nad tym, co Cora ode mnie usłyszy. A ja już wiem, co Alex potrafi powiedzieć.

Ale... poznałam ją już trochę lepiej i wcale nie jest taką osobą, jaką mi się zdawała podczas gry w *Nigdy przenigdy*. Nawet jeśli wprost przyznaje, że chodzi o wymianę interesów, żeby mogła podnieść swoją wartość w oczach Natalie, to sądzę, że szczerze ją obchodzi, co się wydarzy między mną i Corą. Wie, ile to dla mnie znaczy, i jestem pewna, że nie wystawiłaby mnie do wiatru.

Wyjmuję z tylnej kieszeni telefon i wkładam jej do ręki. W tej samej chwili jej kciuki zaczynają błyskawiczny taniec na klawiaturze, przygotowując mnie o jeszcze większe zdenerwowanie. A potem, jakby jeszcze tego było mało, Noah wychodzi z ciasnej kuchni i staje koło Alex.

– Co to znaczy? – pyta pochylony nad jej ramieniem.

– Żart dla wtajemniczonych – odpowiada Alex.

– Molly, wy już jesteście na etapie prywatnych żartów? – dziwi się Noah.


– Yyy... nie – odpowiadam, próbując się dopchać do wyświetlacza, ale Alex odwraca telefon tak, że tylko oni dwoje go widzą.

„Do licha, co ona tam pisze?”.

– Nie, nie – mówi Noah i odkłada widelec, żeby wskazać palcem na wyświetlacz. – Dodaj tę.

– Pokażcie – błagam, patrząc, jak tych dwoje igra z moim życiem uczuciowym.

– Iii... wysłane. Widzisz? – Alex obraca do mnie wyświetlacz.

Udało mi się przeżyć noc, pani doktor 

– Alex! Mrugająca emotka? – pytam, zabierając jej telefon. Czuję, że wzbiera we mnie znajoma fala paniki. No oczywiście, że nie chciała mi pokazać tej wiadomości przed wysłaniem.

– To zdecydowanie zbyt flirciarskie!

– Nie patrz na mnie. To sprawka twojego brata – odpowiada Alex.

Może jeszcze nie jest za późno, żeby to odkręcić, udawać, że to nie ja wysłałam wiadomość. Przyglądam się dokładnie wiadomości.

– Czekał. Skąd ty w ogóle wiesz, że nazwałam ją panią doktor? – pytam.

– Stałam jakieś cztery metry od was. Słyszałam każde wasze słowo – odpowiada i siada na krześle przy stole. – Wyluzuj. To dobry tekst.

„Wyluzuj”? Jestem Molly. Nie... umiem wyluzować. Nie wysyłam emotek puszczających oczko. Siadam na krześle naprzeciw niej i wpatrzona w ekran czekam na odpowiedź. Może trzeba było po prostu napisać: „Cześć”, tak jak planowałam, zanim ona tu przyszła. Dlaczego tej jednej rzeczy nie zrobiłam sama?

– Hej – mówi Noah, a kiedy powoli unoszę wzrok, widzę, że przegląda coś w swoim telefonie. – Muszę szybko zrobić coś do pracy. Ciasto jest gotowe. Zaczniście beze mnie.

Stawia miskę na blacie i idzie na piętro, gdzie znika w swoim biurze urządzonym w drugiej sypialni.

– Co teraz robimy? – pyta Alex, ale ja już znowu patrzę w telefon. Wiadomość nadal jest nieodebrana. – Molly, przestań się zadreć. Nie myśl za dużo o tym, co napisać, jakich słów użyć i co ona odpisze. To jak... normalna rozmowa. Weź to na palaćinkę, płyn z nurtem – cytuję moje własne słowa. – No dalej. Odlóż telefon. Zwabiłaś mnie na te rzeczy, więc teraz...

Zerkam na nią i widzę, że patrzy na ciasto.

– Rzeczywiście. Przepraszam.

Wzdycham ciężko, zostawiam w spokoju telefon i podchodzę, żeby włączyć gaz oraz znaleźć łopatkę.

Pokazuję jej, jak to się robi. Wylewam trochę ciasta na patelnię i rozprowadzam je równiutko. Unoszę wzrok do twarzy Alex, która stoi bardzo blisko i uważnie się przygląda. Ostrożnie przerzucam naleśnik na drugą stronę za pomocą łopatki, czekam, aż się podsmaży jeszcze parę sekund, a potem zsuwam go na talerz.

– Spoko – ocenia Alex, oglądając go krytycznie.

Początkowo myślę jedynie o SMS-ie. Jednak po każdej palaćince zerkam na telefon coraz rzadziej.

– Hej! – krzyczę, skończywszy smażyć kolejną. Odpędzam łopatką dłoń Alex, kiedy ta kolejny raz próbuje wykraść naleśnik z talerza. – Poczekaj, aż wszystko będzie gotowe. – Alex wzdycha demonstracyjnie i krąży po kuchni. – Masz. – Kładę łopatkę na blacie i cofam się o krok. – Teraz sama kilka usmaż.

Niemal przygniata mnie do ściany, kiedy podniecona przepycha się, żeby zająć moje miejsce. Od razu widać, że czekała, aż jej to zaproponuję. Patrzę, jak leje chochlę ciasta, a potem zamierza dodać jeszcze jedną.

– To za dużo – pouczam, przytrzymując jej nadgarstek.

– Chcę zrobić ogromną – odpowiada.

Jest taka podekscytowana, że nie mam serca, by ją powstrzymywać. Alex patrzy na swoje dzieło, jej oczy robią się wielkie jak talerze. Nawet nie musi poruszać patelnią, żeby równomiernie rozlać ciasto.

– Szkoda, że nie widziałaś, jak moja babcia je robiła – mówię, opierając się o blat, kiedy Alex sięga po łopatkę. – Smażyła je w swoim domu co niedzielę. Zawsze podobało mi się, jakie wielkie porcje ciasta wychodziły z jej przepisu. Mogli do niej zachodzić sąsiedzi z całej dzielnicy, a i tak każdy opuszczał jej dom syty. Babcia nie potrzebowała łopatki. Umiała je podrzucać i obracać w powietrzu jak zawodowiec.

– Tak jak ja? – pyta Alex, po czym bierze patelnię i wychodzi z nią na środek kuchni.

– Nieee! – Próbuję ją powstrzymać, ale już jest za późno. Patrzę przerażona, jak Alex gwałtownie macha patelnią, a jej gigantyczna palaćinka wykonuje salto między nami. – Łap ją! – Ponaglę, ale poznaję po dzikim śmiechu Alex, że to się na pewno nie zdarzy.

Plask.

Naleśnik spada na kafelki i zostawia na nich rozbryzgi surowego ciasta.

Zerkam pustym wzrokiem na Alex, klęcząc na podłodze, gdzie wylądowała podczas desperackiej próby... nie mam pojęcia czego. Alex uśmiecha się przepraszająco, patelnię nadal trzyma uniesioną w...

Bip, bip.

Od razu puszczam w niepamięć wypadek i rzucam się w kierunku telefonu na stole.

„Proszę, niech to nie będzie mama. Proszę, niech to nie będzie mama”.

– Odpisała! – ogłaszam triumfalnie, a potem siadam wsparta plecami o lodówkę, biorę głęboki wdech i otwieram SMS-a od Cory.

To dobry znak. Brak krwotoku wewnętrznego. Przepisuję dużo lodów i filmów.

Wstrzymuję oddech i staram się przetworzyć w myślach fakty. Cora wykorzystała w zabawny sposób mój drobny żart. Jest zabawna i czarująca! Płuca pompują mi powietrze jak miechy, więc zmuszam się do spokojniejszego oddechu.

– O Boże, co mam jej odpisać? – pytam i wyciągam telefon do Alex, która podchodzi, omijając bałagan oraz wyłączając po drodze gaz na kuchence.

– Napisz: „Zastosuję się do rady. Czy mam przyjmować coś konkretnego?” – mówi i siada koło mnie przy lodówce.

Wysłałam wiadomość i tym razem Cora od razu odpisuje.

Może być sezon jakiegoś serialu na Netfliksie. Miętowe z kawałkami czekolady są dobre na wszystko. ;)

– Mrugająca emotka! Przysłała mi mrugającą emotkę! – piszczę na całe gardło, chociaż Alex też to widzi, bo patrzy nad moim ramieniem na ekran.

– Tylko to zaserduszkuj – mówi.

– Co? – patrzę na nią, nie rozumiejąc. – Po czymś takim mam nie odpisywać? Ona pomyśli, że ją znenawidziłam.

– Zaufaj mi, Molly. Trzeba sprawić, że będzie pragnęła więcej. Dziewczyny lubią, kiedy muszą się starać – mówi, ale nie sądzę, że to się sprawdza w każdym przypadku. Mnie to na pewno nie dotyczy. – Daj jej trochę luzu. Tymczasem musimy przystąpić do...

– Co wy tu zrobiłyście? – dziwi się Noah, stojąc w drzwiach kuchni i patrząc to na nas, to na wielką palačinkę rozbryzganą na podłodze.

– Molly próbowała się popisywać – mówi Alex, a ja potrząsam głową, zerkając na brata.

On tymczasem podchodzi ostrożnie, na palcach, do góry palačinek i bierze kilka na swój talerz.

– Dobra, ja już zacznę jeść, a tymczasem, kto się popisuje, ten sprząta. – Patrzymy, jak rozsmarowuje na każdym naleśniku cienką warstwę dżemu truskawkowego, a potem zwija je w ciasne ruloniki.

– Widzisz, geniuszko, dlatego powinny być cienkie – szepczę, kiedy obie bierzemy się do sprzątania bałaganu, który ona narobiła.

Zerkam na telefon, dotykam kciukiem SMS-a od Cory i przesuwam go na ikonkę serduszka. Nie jestem jednak przekonana, że to dobra decyzja. To nie w moim stylu. Cofam kciuk znad wyświetlacza, kiedy Alex ściera część ciasta z podłogi i wyrzuca papierowy ręcznik do kosza.

Filmy, lody – mniej więcej tak spędziłam cały okres nauki w liceum. To coś, co obie rozumiemy. Po kilku sekundach piszę wiadomość, z której sama jestem zadowolona. Czytam ją siedem czy osiem razy, by się upewnić, że brzmi, jak należy, ale okazuje się, że to łatwiejsze, niż się spodziewałam. Nie ma niezręcznych pauz, nie goni mnie czas. Mogę się zastanowić nad każdym słowem i być sobą, tak jak każdy wciąż mi to radzi.

Myślę, że to może się udać. Brzmi jak recepta na idealną sobotę.

Wyślij.



# ALEX

Śmigam w dół krętymi uliczkami na wzgórzach Lawrenceville, skręcam w Butler Street i pokonawszy most, wjeżdżam do Sharpsburga, podążając za wyćwierkiwanymi z telefonu w tylnej kieszeni spodni instrukcjami dojazdu do Hitchhiker Brewing.

Jestem obżarta.

Zjadłam tonę palačinek. Molly miała rację. Kiedy je posmarujesz dżemem truskawkowym zrobionym przez mamę, to po prostu *game over*. Są pełne cukru i pyszne, a ciepłe, cienkie ciasto zdaje się niemal słodkie. Jak naleśniki, ale... lepsze.

Poznaję z daleka wysoki komin Hitchhiker Brewing, który widziałam na zdjęciach w Google'u. To pozostałość po dawnych czasach, kiedy znajdowała się tu fabryka.

Zjeżdżam na lewo i zatrzymuję się tuż przed budynkiem, a potem zsiadam z roweru, GPS w telefonie zaś informuje: „Dotarłaś do celu!”.

Jima jeszcze nie ma. I nic dziwnego. Molly wręcz wypchnęła mnie za drzwi, żebym się nie spóźniła, a te pagórki w Lawrenceville pokonałam dość szybko, myśląc cały czas o Natalie. Oczy nadal mnie szczypią od pędu powietrza.

Siadam na krawężniku i skoro mam trochę czasu do zabicia, dotykam zielonej ikonki przy jej imieniu. Nat sypia do późna, więc nie mogłam zadzwonić rano, a ponieważ aż do nocy będę zajęta w pracy, teraz jest idealna pora.

Ponadto palačinki przypomniały mi o naleśnikach, które jadałyśmy razem na kolację, i przez większość drogi czułam ekscytację wywołaną myślą, że zaraz usłyszę jej głos.

Wstrzymuję oddech, kiedy rozbrzmiewa sygnał dzwonka. Pierwszy. Drugi.

– Alex? – Ze słuchawki dochodzi jej głos. Słyszając go, podrywam się na nogi, ale... liczyłam na to, że bardziej się ucieszy. Drepczę nerwowo po popękany chodniku przy parkingu. W tle słychać przytłumione głosy i kilka nut zagranych na gitarze basowej.

– Cześć, kochanie! Co słyhać?

– Dlaczego do mnie dzwonisz? – pyta, a ja marszczę brwi, nie rozumiejąc. Odsuwam telefon od ucha i przez chwilę patrzę na wyświetlacz, a potem przykładam go z powrotem.

– Sama kazałaś mi zatelefonować.

Wczoraj. Kiedy jadłam mrożony jogurt. Emotka z serduszkiem i tak dalej.

– Tak – mówi Natalie. – Ale nie w tej chwili. Wieczorem mam koncert. Muszę się przygotować.

No to tyle w temacie doskonałej pory.

– Wiem. W Kansas City. – Dokonuję w myślach szybkich obliczeń. – Czy on jednak nie

zaczyna się za... jakoś za trzy godziny?

Nie ma mowy, żeby jej przygotowania trwały trzy godziny. Wiem na sto procent, że sama nie pomaga wносить żadnego sprzętu na scenę.

Natalie wzdycha ciężko.

– W drodze wszystko układa się inaczej, Alex. Ty tego nie zrozumiesz. – Przytłumione głosy w tle cichną jeszcze bardziej, kiedy Natalie przechodzi w ustronniejsze miejsce. – Ale skoro tobie teraz pasuje, to chyba możemy porozmawiać.

– Jeśli teraz nie możesz, to...

– Nie, nie. Mów – wchodzi mi w słowo. – Co u ciebie?

– Dostałam pracę w food trucku. Na razie nieźle mi idzie. Dostaję dobre napiwki. Żywa gotówka. Właśnie czekam na początek mojej zmiany.

Kopię mały kamyk na ziemi i patrzę, jak podskakując, toczy się po ulicy.

– O, fajnie.

Nie dopytuje o nic więcej i cisza, która następuje, zdaje się ogłuszająca. Zatem to ja wychodzę z pytaniem:

– A jak tam trasa?

– Świetnie. Ludzie naprawdę znają naszą muzykę! Śpiewają z nami i w ogóle. Każdy wieczór jest niesamowity.

– Brzmi obłędnie. Nie mogę się doczekać waszego występu w Pittsburghu – mówię i wstrzymuję oddech.

– Tak, ja też – potakuje Natalie, a jej słowa wywołują uśmiech na mojej twarzy, zwłaszcza po tak kulawym początku rozmowy.

– Jeszcze tylko dwadzieścia dni.

– Tylko tyle? Super. – Milknie na chwilę. – No więc... masz już jakąś nową dziewczynę czy...?

Marszczę brwi i żołądek podchodzi mi do gardła, ale bynajmniej nie z powodu wypełniającej go góry palaćnek.

Jeszcze nie powiedziałam jej o Molly ani o tym, co we dwie robimy, ale tego rodzaju komentarz każe mi sądzić, że obecna chwila... absolutnie się do tego nie nadaje, chociaż to moja pierwsza prawdziwa szansa, odkąd wyjechałam z Filadelfii. Nie chcę, żeby źle zrozumiała moje intencje i wściekła się na mnie bez powodu.

Zwłaszcza tuż po tym, jak przestała zbywać mnie milczeniem.

– Byłam zbyt zajęta myśleniem o tobie. – Mówiąc to, widzę, że czarna furgonetka wpada w zakręt, a tylne koła dziko podskakują na krawężniku. Odskakuję na bok, żeby Jim mnie nie rozjechał na miazgę, i samochód zatrzymuje się z sykiem przed browarem.

– Uhm – mruczy Natalie wyraźnie nieprzekonana.

– Sama zobaczysz, kiedy tu przyjedziesz – zapewniam ją, patrząc na Jima, który niemal wyłamuje tylne drzwi. Zapala swojego przedzmiannowego papierosa, czekając, aż olej we frytkownicy się nagrzej.

– Mam nadzieję – odpowiada Natalie, a potem odsuwa telefon od ucha i krzyczy: „Idę!” do kogoś czekającego na nią w pewnej odległości. – Muszę już lecieć. Chcemy przećwiczyć kilka razy *Sleepy Girl*, bo dwa wieczory temu Ethan pomylił w niej tę czaderską linię basu.

– Uwielbiam tę piosenkę.

– Pewnie, że tak – mówi, a ja słyszę w jej głosie, że się uśmiecha. – Przecież napisałam ją dla ciebie.

Słyszę, że ktoś wywołuje jej imię. Natalie wzdycha sfrustrowana i dobiega mnie jej przytłumiony głos, kiedy krzyczy:

– Daj mi jeszcze dosłownie dwie sekundy, Paul!  
– Połamania nóg na dzisiejszym koncercie – mówię, kiedy znowu trzyma telefon przy uchu.

Natalie się śmieje i wszystko nagle zdaje się takie inne niż wtedy, gdy do siebie piszemy. Takie... właściwe.

Czasami odnoszę wrażenie, jakbym każdego dnia miała do czynienia z inną Natalie. Czasami chciałabym, żeby w moim życiu była tylko ta Natalie.

– Jeżeli Ethan dzisiaj znowu spieprzy, ktoś naprawdę będzie miał połamane nogi. Tego możesz być pewna.

Uśmiecham się, czując, że wróciła nam swoboda sprzed kłótni, od której upłynęły już dwa tygodnie.

– Zadzwoń później, dobrze? Może jutro?

– Dobrze – odpowiadam z nadzieją, że spełni tę obietnicę.

Żegnamy się i idę do Jima, który relaksuje się, wsparty plecami o furgonetkę.

– To twój rower? – pyta, wskazując na moją przypiętą do budynku fluorescencyjną pomarańczową zdobycz z targowiska Facebooka.

Potakuję ruchem głowy, a Jim prycha, chociaż to właśnie on mi doradził, żebym kupiła rower, kiedy okazało się, że podróż autobusem miejskim na lunch, który obsługujemy w najbliższy weekend, zajęłaby mi półtorej godziny. Rowerem ten sam odcinek pokonuję w piętnaście minut. Moje życie nabrało nowej jakości.

– Co za, kurwa, maskara – ocenia, gasząc papierosa, a potem otwiera drzwi furgonetki i wsiada do środka.

Kwituję jego uwagę sceptyczną miną i dołączam do niego, żeby wszystko dopiąć na ostatni guzik. Zapada między nami wygodne milczenie, kiedy zaczynamy swoją rutynę. Jim zajmuje się lodówką, a ja wykładam menu, przygotowuję kasę i otwieram okienko, kiedy już czas zacząć.

Niemal w tej samej chwili podchodzą do nas klienci z baru i wpadamy w stały, równomierny rytm. Mój umysł zamyka się na inne bodźce niż przyjmowanie zamówień i wydawanie gotowych dań (z tylko jedną serwetką!). I tak w kółko. Łatwo nie tracić uśmiechu z twarzy po tej rozmowie z Natalie, nawet jeśli... wciąż czuję ucisk w żołądku, myśląc o tym, w jakim tempie rozwijają się sprawy Molly.

Potrzebowała dwóch tygodni, żeby zdobyć numer Cory.

A Natalie będzie tu już za trzy tygodnie.

Wiem, że nasz plan jest mollycentryczny, ale nie mam aż tyle czasu. Nie mogę się pieprzyć ze smażeniem palaćinek i chodzeniem na mrożony jogurt, skoro moja dziewczyna przyjeżdża już za dwadzieścia dni. Natalie musi zobaczyć na własne oczy, że naprawdę jestem w stanie nawiązywać relacje z ludźmi i umiem im pomagać. Że jestem zdolna do poznawania przyjaciół, którzy są dla mnie jedynie przyjaciółmi. Że gdy ludzie zwracają się do mnie ze swoimi problemami, nie zwiewam, gdzie pieprz rośnie.

Ona mi na pewno nie uwierzy, że spotykam się z jakąś laską tylko dlatego, żeby jej pomóc w zdobyciu uczuć pewnej dziewczyny. Ta laska musi już mieć dziewczynę albo być cholernie blisko osiągnięcia celu.

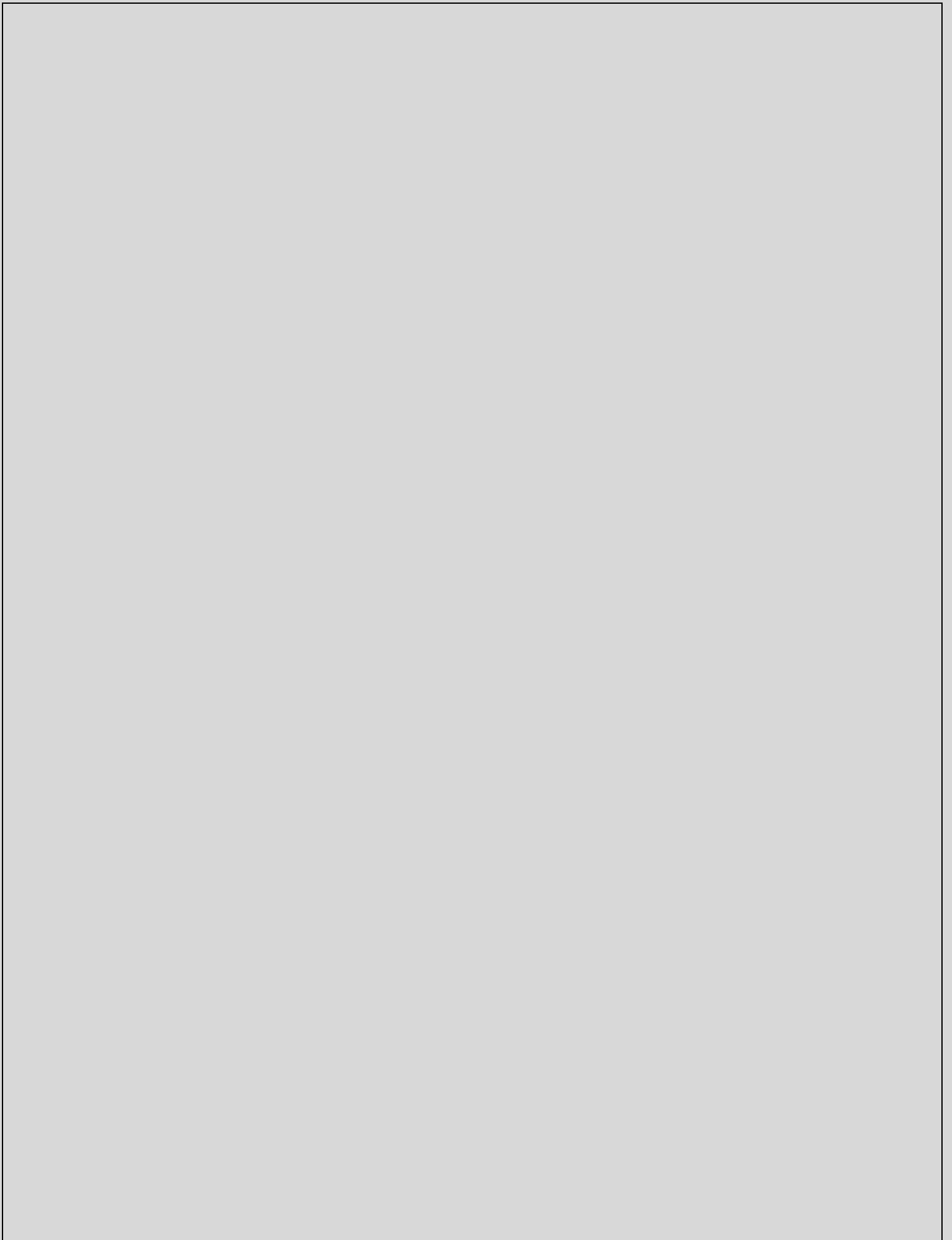
Kiedy w interesie robi się spokojniej, wyjmuję telefon i puszczam SMS-a do Molly.

Przechodzimy do kroku 2. Jutro. Będę u ciebie przed 10.30.

Potrzebuję dowodu. I to szybko.

Molly nie jest jedyną, której zależy na zdobyciu serca drugiej dziewczyny.

Oby tylko udało mi się jej nie zniechęcić.



# MOLLY

– Okej. Krok drugi: stylówka, że oko bieleje. Już masz jej numer, teraz musisz zająć się... tym. – Wskazuje ręką na moje ubranie.

– Alex, czy ten krok nie powinien poprzedzić pierwszego? No wiesz, czy nie lepiej było dobrze się ubrać, zanim dostałam jej numer? Żeby od początku zrobić na niej wrażenie? – pytam pod wpływem dręczących mnie podejrzeń, że Alex wymyśla z marszu te rzeczy.

Nie żebym miała powody do narzekania. To przecież... działa, prawda?

– A więc przede wszystkim... Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak dramatyczna jest sytuacja w twojej garderobie, dopóki nie zobaczyłam, że nosisz wciąż ten sam nudny rodzaj T-shirtów, tyle że w trzech różnych kolorach. – „Jest w tym nieco prawdy”. – A po drugie chciałam, żebyś spróbowała dostać jej numer, nie korzystając z żadnych pomocy. Jeżeli dała ci go, kiedy byłaś tak ubrana, to wyobraź sobie możliwości, które otworzą się przed tobą, kiedy się wystroisz.

– Robi pauzę i nieco się mityguje. – Bez obrazy.

– Uważam, że trochę dramatyzujesz. Nie jest aż tak źle – mówię.

– Molly... mówię ci to jako przyjaciółka... Naprawdę boję się otworzyć tę szafę...

Mierz mi wzrokiem od stóp do głów.

– No dobrze – odpowiadam, wzdychając.

Miejmy to już za sobą. Alex mija mnie i staje przed drzwiami szafy.

– Masz numer Cory. Teraz musimy naprawdę się postarać, bo nadciąga krok trzeci, a ty nie jesteś gotowa – mówi.

Nawet nie pytam, na czym polega krok trzeci, bo wiem, że mi nie powie.

Ponadto nie tylko mam numer Cory, lecz także go używam.

Po tym, jak u Noaha odpisałam wbrew radom Alex, do wieczora co jakiś czas wymienialiśmy się SMS-ami. Decyduję się przemilczeć ten fakt, bo szczerze mówiąc, trochę się boję przyznać Alex, że poszłam na samowolkę. Ponadto mam wystarczająco dużo zawracania głowy z krokiem drugim.

– Zobaczmy, z czym musimy się zmierzyć. – Otwiera drzwi mojej garderoby. – Poukładana – mówi bardziej do siebie niż do mnie i od razu wpada między półki niczym huragan piątej kategorii. – Molly! – krzyczy, naśladowując akcent angielskich wyższych sfer. – Ile par spodni od dresu może potrzebować jedna dziewczyna? – Obraca się do mnie, trzymając moje wygodne spodnie do weekendowego relaksu w domu, ale upuszcza je na podłogę, kiedy wyciągam po nie rękę. Sięga do środka po kolejne wieszaki, lecz widzi, że wcale nie jest mi do śmiechu, więc zerkna na mnie przez ramię i porzucając tamten gówniany akcent, mówi: – To był Tan z *Porad różo-*

*wej brygady.*

– Wiem, nie spadłam z księżyca. – Przysiadam na brzegu łóżka i patrzę na dzieło zniszczenia, które w ciągu kilku minut nawiedziło mój pokój. – Ale czy musisz rzucać wszystko na podłogę? – pytam.

Świerzbi mnie skóra od samego patrzenia na ten chaos.

Jednak obserwując Alex, zaczynam sobie uzmysławiać, że może to nie taka zła rzecz. Po prostu będę musiała później posprzątać. A skoro już się tym zajmę, przeorganizuję przy okazji cały pokój. Cora pewnie śmiałaby się z tego pomysłu. Wczoraj wieczorem napisała mi, że Abby co dzień rano zostawia w zlewie miseczki po owsiance, czym doprowadza ją do szału. To jeszcze jedna cecha, która nas łączy.

Alex unosi przed sobą bluzkę za bluzką i przyjrząwszy się im krytycznie, odrzuca je w tył.

– To z telezakupów w QVC? – pyta, wyjmując purpurowy, luźny top z dekoltem obszytym zielonymi cyrkoniami, który, jak sobie przypominam, niemal na pewno włożyłam na zakończenie ósmej klasy. A potem już ani razu. – Nie mów mi, że to coś ma do kompletu hawajskie szorty. – Tym razem mówi o koszuli w czarno-różową kratę, którą dostałam na Gwiazdkę w liceum.

– Nie... – odpowiadam zażenowana, ale ledwo wypowiadam to słowo, Alex już je znajduje.

Patrzy na mnie z dezaprobatą i upuszcza szorty na leżącą na podłodze stertę, a potem znowu nurkuje w szafie.

Biały pulower. Czerwona bluzeczka z orientalnym wzorem. Kardigan w paski.

– Dziewczyno, skąd ty wytrzasnęłaś to badziewie? Nigdy cię w tym nawet nie widziałam.

Zerka na mój zwyczajny oliwkowy T-shirt i obcisłe jeansy.

– No wiesz, znasz mnie dopiero od dwóch tygodni, więc...

Wzruszam ramionami.

– Masz rację. Dlaczego więc widziałam cię już cztery razy w tym topie? – pyta.

Wzdycham i spuszczam wzrok. Ten T-shirt jest jedną z niewielu rzeczy, w których naprawdę czuję się wygodnie. Podnoszę z podłogi lawendowy sweter, którego od roku nawet nie dotknęłam.

– Chyba nie noszę większości z tych rzeczy. Nie jestem najlepsza w dobieraniu strojów, które mi się podobają – przyznaję.

– Z kim zwykle chodzisz na zakupy? – Podchodzi do mnie z bardzo poważną miną, kładzie dłonie na moich ramionach i patrzy mi prosto w oczy. – Przyznaj się, kto ci to zrobił.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, lecz nagle rytmiczne pukanie do drzwi odwraca naszą uwagę. Gdy tylko naciskam klamkę, drzwi otwierają się na oścież i odbijają się od nogi łóżka.

– Cześć, kochanie! – Mama rusza w moim kierunku, ale zatrzymuje się w pół kroku, widząc, że nie jestem sama. – Och! Przepraszam. Nie chciałam... – Wykonuje gesty rękami, czekając, aż któraś z nas wybawi ją z opresji, ale się nie doczeka. – Ty na pewno jesteś Cora.

Oczy Alex robią się okrągłe jak spodki. Uśmiecha się szeroko.

– O Jezu! Pani wie o Corze?!

Zaciskam powieki i potrząsam głową.

– Nie, mamo.

Ukrywam twarz w dłoniach. Mama, Alex i ja. W jednym pokoju. Rozmawiające o Corze. „Spełnia się mój najgorszy koszmar”.

– Jestem Alex, guru Molly w sprawach dotyczących miłości.

Podaje mojej mamie rękę i obie zaczynają chichotać jak najlepsze przyjaciółki, które opo-

wiedziały sobie żart czytelny tylko dla nich.

– Nieprawda. To... po prostu Alex. – Kręcę głową, bo właściwie Alex powiedziała prawdę. Jak inaczej miałabym ją nazwać? – Mamo, co ty tu w ogóle robisz? Jak ci się zresztą udało ominąć ochroniarzy? – pytam, podchodząc, żeby ją przytulić.

Z całej siły staram się nie wzdygnąć, ale jakimś cudem żebra bolą mnie dwa razy bardziej niż wczoraj.

– Uprzedziłam cię, że wpadnę na lunch. Ochroniarz nie robił mi problemów. – Wzrusza ramionami i wypuszcza mnie z objęć. – Alex, chcesz się wybrać z nami? – pyta, nie czekając, aż powiem, czy chcę z nią iść.

Wzrok Alex wędruje do mojej szafy, a potem w kierunku mamy, która ma na sobie ja-skrawożółte spódnicospodnie z neoprenu i niebieski top w orientalne wzory.

Po chwili zerka na mnie z wszystkowiedzącym uśmiechem.

– Właściwie Molly dopiero co mówiła mi, że zamierza kupić trochę nowych ciuchów. Jest w okolicy jakaś przyzwoita galeria handlowa?

– Oooo! – Mama piszczy entuzjastycznie i wykonuje coś w rodzaju tańca. – Chodźmy na cały dzień do Ross Park!

Pokój zaczyna wirować dokoła mnie.

– Mamo, może wystarczy, że pójdziemy na lunch? Mam mnóstwo ubrań – mówię, nie chcąc urazić uczuć osoby, która kupiła dla mnie większość z nich.

Jednocześnie za wszelką cenę staram się rozgraniczyć te dwa światy. Albo mama powie o mnie coś totalnie żenującego, co Alex będzie powtarzać przy każdej okazji, albo będzie najnormalniej w świecie zazdrosna o to, że mam kogoś innego, z kim lubię spędzać czas. Dlaczego musiała przyjechać akurat teraz, kiedy wreszcie zaczęłyśmy się do siebie przekonywać.

– Och, nie daj się prosić – nalega mama. – Zróbmy sobie dziewczynski dzień. Dobrze ci zrobi wyrwanie się na chwilę z akademika – mówi, całkowicie nieświadoma, jak mało czasu spędziłam tu w tym semestrze.

Jestem tak sfrustrowana, że zgrzytam zębami.

– No właśnie, Molly. Wyrwij się chociaż na chwilę z akademika – powtarza za nią Alex i jakimś cudem udaje jej się jeszcze bardziej zaleźć mi za skórę.

– A poza tym masz tu straszny bałagan – mówi mama, wychylając się w bok, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Mówiłam ci, Molly, że powinnaś tu posprzątać – karci mnie Alex. – Trzeba dbać o swoje rzeczy.

Zamykam oczy, biorę głęboki wdech i powoli wypuszczam z płuc powietrze, wiedząc, że już przegrałam tę bitwę.

Pójdziemy bez względu na to, czy tego chcę czy nie.

Kiedy idziemy zatłoczonym korytarzem na piętrze galerii handlowej, posłusznie w ślad za mamą skręcam do Talbots, ale chwytą mnie mocna dłoń i ciągnie z powrotem.

– Co ty, do diabła, robisz? – szepcze Alex, patrząc na mnie oczami wielkimi jak spodki.

– Zakupy...

– A już przysłali ci Kartę Seniora? – pyta i robi wdech, żeby uspokoić nerwy. – Doprowadzasz mnie do bezgranicznej furii. – Potem zwraca się do mojej mamy: – Pani Parker? Nie ma pani nic przeciwko temu, żebym porwała na chwilę Molly? Potrzebna mi jej ekspercka opinia dotycząca kilku topów, które wpadły mi w oko.

– Idźcie. Idźcie. Idźcie. Bawcie się dobrze. – Uśmiecha się do mnie zupełnie szczerze. – Aha, ale Molly, chodź do mnie na sekundkę – mówi, a ja spełniam jej polecenie, tymczasem Alex oddala się do bariery.

– Co się stało? – pytam.  
– Podoba mi się ta Alex – mówi mama, przyciągając mnie bliżej, żeby mieć pewność, iż nikt nas nie słyszy. – Jesteś pewna, że to nie ona ci się podoba? Kup jej precelka albo coś w tym rodzaju.

Aż mnie skręca z żenady.

– Wykluczone. O Boże, mam, proszę. – Wybucham śmiechem, bo wyobraziłam sobie tę scenę. – Już raczej wolałabym zrobić kupę w majty przed Dominique Provost-Chalkley, oblać biologię i na dodatek zostać zjedzona przez rekina.

– Co takiego? – pyta mama, nie rozumiejąc.

– Nieważne. Wyślę później SMS-a, żeby dać ci znać, gdzie się spotkamy – mówię, zostawiając ją samą w Talbots wśród dobrze mi znanych kardiganów i zapinanych bluzek.

– Okej, zatem szukamy ciuchów randkowych – mówi Alex.

– Jasne. Ciuchów randkowych – potakuję, jakbym wiedziała, co to znaczy.

Alex prowadzi mnie na drugą stronę galerii, do sklepów, w których byłam ledwie parę razy. Udaje nam się obejść Forever 21 i PacSun, nie zatrzymując się przy żadnym wieszaku.

– Molly, czy ty w ogóle patrzysz na te ciuchy? – Alex wzdycha, kiedy wychodzimy z kolejnego sklepu.

– Żadna z tych rzeczy do mnie nie pasuje – tłumaczę sfrustrowana. – Koszule są za małe. Spodnie zbyt obcisłe.

– Ale nie wszystko w całym sklepie tak wygląda. Musisz zapolować wśród relingów. Chodź. – Wyciąga szyję i po chwili ciągnie mnie w głąb korytarza do Urban Outfitters.

– Wskaż mi trzy rzeczy, które ci się podobają.

Rozglądam się wśród stylowych półek ze sklejki, patrzę na stringi z logo Calvina Kleina rozłożone na stole przed nami. Moją twarz wykrzywia instynktowny grymas, zerkam znacząco na Alex.

– No dobra, w porządku. Trzy rzeczy, które nie budzą w tobie odrazy – mówi.

„To zdaje się wykonalne”.

Muszę dwa razy obejść cały sklep, ale w końcu udaje mi się wskazać trzy rzeczy. Standardową parę wąskich jeansów niemal identycznych jak te, które mam na sobie, czerwony T-shirt z sercem naszytym na piersi i gładki biały top bez rękawów.

– To zbyt podobne do wszystkiego, co już masz w szafie – mówi Alex.

– W innych rzeczach wyglądałabym dziwnie.

To prawda. Nie mogę się pochwalić figurą nadającą się do topów odsłaniających brzuch albo do obcisłych jednoczęściowych kostiumów, których popularności nigdy nie rozumiałam.

– Molly, ludzie postrzegają cię inaczej, niż ty sama siebie widzisz. – Alex sapie zirytowana, ale nie rozwija tej myśli. – Wybierz trzy rzeczy, które ci się podobają, ale sądzisz, że będą źle na tobie leżeć. Będziesz musiała je przymierzyć – mówi i odwiesza wybrane przeze mnie wcześniej ubrania na pierwszy z brzegu reling.

Robię więc, co mi każe, a potem Alex wchodzi ze mną do przymierzalni, gdzie niechętnie się przebieram.

– Włóż też to – mówi, stojąc za drzwiami kabiny. Po tych słowach spada na mnie z góry para spranych lewisów z wysokim stanem. – Nie są takie obcisłe jak większość innych jeansów, ale twoja dupcia będzie się w nich kusząco prezentować.

– Alex!

– Po prostu je przymierz. Myślę, że ci się spodobają – zachęca.

– No dobra.

Kilka minut później wychodzę z kabiny, żeby pokazać jej efekt. Nie odważyłam się przy-



mierzyć trzech topów przyniesionych z półek, ale wsunęłam za pasek T-shirt, który miałam na sobie.

– Co o tym myślisz? – pytam i zwracam się przodem do lustra.

Widzę na mojej twarzy niemal zdziwioną minę, kiedy przyglądam się sobie od stóp do głów. Nie sądziłam, że mogłabym kiedykolwiek tak wyglądać, ale nadal czuję się sobą. Nie wiedziałam, że spodnie mogą tak na mnie leżeć. Da się wręcz wyróżnić taką jakby... talię, a nawet... cóż, Alex miała trochę racji. Obracam się bokiem i na usta ciśnię mi się uśmiech, gdy patrzę na swoją pupę.

– Wyglądają dobrze, Parker – potwierdza Alex.

– Dobrze się w nich czuję – odpowiadam i wykonuję kilka przysiadów. – Można się w nich swobodnie ruszać.

– Idź się przebrać, żebyśmy mogły je wziąć do kasy. – Alex się śmieje. – Mamy jeszcze trochę pracy.

Jednak fakt, że w końcu znalazłam nową parę jeansów, wyzwala we mnie zapał do robienia zakupów, którego u siebie nie podejrzewałam. Chcę odkryć styl, w którym poczuje się naprawdę sobą – ubrania, w których chętnie znowu popatrzę na swój tyłek w lustrze. Rzeczy, które sprawią, że inni ludzie też mnie zauważą, i przestanę wtapiać się w tłum.

Kiedy docieramy do przymierzalni w H&M, mam już naręcze ubrań, Alex też przygotowała sobie kilka do przymiarki.

Widzę, że pcha się ze mną do kabiny.

– Co robisz? – pytam i wskazuję ręką dwie puste kabiny.

– To trwałoby wieczność, gdybyś z każdą rzeczą wychodziła na zewnątrz, żeby mi się pokazać – odpowiada i zamyka za nami drzwi.

Moje policzki płoną czerwienią. Rozbieranie się przed obcymi ludźmi nie jest dla mnie czymś zwyczajnym. Nigdy nie uprawiałam sportów, a dzięki zgłaszaniu się na ochotnika do pomocy w sekretariacie liceum przez całe cztery lata nauki skutecznie udawało mi się unikać zajęć z wuefu.

Ale rozebranie się przed Alex to właściwie nic wielkiego. Przecież... to Alex.

Zdejmując górną część ubrania, stoimy tyłem do siebie, a ja dodatkowo dbam o to, by stać w miarę możliwości plecami do lustra.

– Wypróbuj crop top z tymi nowymi jeansami. Wiem, że nie jesteś do niego przekonana, ale właściwie nie będzie ci widać brzucha, bo te spodnie sięgają naprawdę wysoko – mówi Alex, a potem obie wkładamy po jednej nowej rzeczy i obracamy się przodem do siebie, żeby zdecydować: hit czy kit. Po dwóch rzeczach do kitu przymierzam zestaw, który mi zaproponowała, i bardzo niechętnie muszę przyznać, że niestety... znowu miała rację.

Obejmuję się w talii i obracam się w różne strony, żeby popatrzeć na siebie w lustrze. Alex parska śmiechem, więc szybko opuszczam dłonie.

– Tak się powinnaś czuć, kiedy rozmawiasz z Corą. Tak się powinnaś czuć na randce. – Jej słowa wywołują uśmiech na mojej twarzy. – Pewna siebie.

Mniej więcej w połowie naszej sterty ubrań mam już na wieszaku z kandydatami do zakupu kilka rzeczy.

– Trochę zgłodniałam – mówi Alex, kiedy zdejmuję czarny top bez rękawów, z którym wiązałam spore nadzieje, ale okazał się zbyt jednolity, dość nudny.

– Coś ty! Alex Blackwood jest głodna? Kto by pomyślał? – dopytuję.

– Cicho – odpowiada ze śmiechem. – Ale skoro już o tym mowa, mijaliśmy po drodze megafajną restaurację koreańską.

– Och. – Spowija mnie chmura obaw, kiedy próbuję sobie wyobrazić mamę w pobliżu ta-

kiego miejsca. – Pamiętasz, jak ci mówiłam, że nigdy w życiu nie próbowałam bąbelkowej herbaty? No więc, jeśli mam być szczerą, to nie próbowałam żadnych napojów ani dań azjatyckich.

Kurczę się w sobie, czekając na nieuchronne pytanie dlaczego. Bo co to za półkrewi Koreanka, która nawet nie zna smaku kuchni koreańskiej? Ale ona się nad tym nie rozwodzi.

– Biedactwo. W takim razie koniecznie musimy tam pójść.

Biorę głęboki wdech, żeby spróbować wybić jej to z głowy. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiałam, ale nie widzę innego wyjścia.

– Moja mama uważa, że...

Obracając się do Alex, nagle uświadamiam sobie, że przecież nie mam na sobie topu.

Alex też jest półnaga.

– O kurde, Molly. – Wyciąga rękę i dotyka purpurowego siniaka, który w ciągu ostatnich dwóch dni rozlał mi się na całą długość tułowia. Wciążam powietrze przez zęby, bo chociaż jej dotyk jest delikatny jak piórko, sprawia, że cała sztywnieję. – Przepraszam – mówi, cofając dłoń.

– Nie wiedziałam, że jest aż tak źle. Trzeba było powie...

Milknie w pół słowa, a mój wzrok pada na jej biustonosz push up. Piersi Alex unoszą się i opadają w rytmie mojego oddechu. Niżej widzę łagodny zarys mięśni brzucha i błękitne figi wystające z rozpiętych spodni.

Zmuszam się, by unieść wzrok, ale ona też nie patrzy przed siebie. Jej wzrok ześlizguje się w dół. Czuję, że się czerwienię, kiedy jej oczy błędzą po moim brzuchu, białym staniku, aż w końcu zatrzymują się na twarzy.

Stoję sparaliżowana jej spojrzeniem, aż w końcu wyrывa mnie z transu pukanie do drzwi kabiny oraz kobiecy głos, który sprawia, że serce wyskakuje mi z piersi.

– Potrzebujecie tam czegoś? – pyta ekspedientka, a ja szybko odwracam się od Alex i wciągam przez głowę mój zielony T-shirt.

– Umm. Ja... – Ściągam z wieszaka rzeczy, które zdecydowałam się kupić. Odkładam na bok jednolicie biały T-shirt i przeciskam się koło Alex tak szybko, jak to możliwe. – Poczekam na zewnątrz – rzucam niemal w biegu i przemykam jak burza koło ekspedientki.

Siadam na drewnianym kłocu, na którym stoi manekin, i wysyłam mamie krótkiego SMS-a, żeby spotkała się ze mną w tym sklepie.

Przyciskam dłoń do rozpalonej piersi. Serce nadal wali mi jak młotem.

To było... krępujące.

Boże, mam nadzieję, że nie będziemy się czuły głupio, kiedy Alex wyjdzie z kabiny.

Oczywiście że nie.

My tylko przymierzałyśmy ubrania. Nic więcej. Nie ma w tym nic dziwnego. Jak zwykle szukam problemów tam, gdzie ich nie ma.

– Hej, tu jesteś! – mówi mama, wychodząc zza zakrętu korytarza tak nagle, że aż podskakuję zaskoczona. – A gdzie Alex?

Jak na wezwanie Alex wychodzi z przymierzalni. To dobrze, że nie jesteśmy już same!

Mama podąża za mną wzrokiem w kierunku Alex. Ona uważnie ogląda dwa topy, które przedtem przymierzała, jakby jeszcze nie mogła się zdecydować na jeden z nich. Zerka na metki, a potem odwiesza oba na wieszak ze zwrotami, chociaż wiem, że oba się jej podobały. Patrzymy na nią, kiedy rozgląda się po sklepie, aż w końcu nas zauważa.

– Molly, bierzesz te rzeczy? – pyta, jakby wszystko było w absolutnym porządku.

Kiwam głową wpatrzona w nieokreślony punkt nieco na lewo od jej twarzy.

– Spoko. – Uśmiecha się z uznaniem.

– Molly, ja ci za to zapłacę – proponuje mama.

– Nie, nie musisz, mamó – odpowiadam, chociaż obie wiemy z góry, jak to się skończy.

– Daj. Poczekaście na mnie przed wejściem, a potem pójdziemy coś zjeść – mówi i odbiera ode mnie naręczę ubrań.

Wychodzimy z Alex do pasażu i patrzymy nad barierką na kręcących się niżej ludzi.

– Dlaczego nie kupiłaś tamtych rzeczy? – pytam.

– Nie potrzebuję ich – odpowiada, wzruszając ramionami. – Poza tym na końcu miesiąca mam do zapłacenia czynsz.

– Och. – To jedyne, co udaje mi się wykrztusić.

To chyba pierwszy raz, kiedy brakuje mi słów w jej towarzystwie. Ona jednak wcale nie zachowuje się dziwnie po tym, co zaszło, więc może ta sytuacja w przymierzalni była jak zwykle jedynie symptomem mojego nieprzystosowania.

– Proszę – dobiega zza naszych pleców głos mamy, która podaje nam dwie torby z logo H&M: jedną mnie, a drugą Alex. Ta pytająco przechyla głowę. – Proszę. To dla ciebie – zachęca ją mama i w końcu Alex się przełamuje.

Wygląda na bardzo zdezorientowaną, ale wsuwa do środka rękę i wyjmuję z torby dwa topy, które przedtem odłożyła na półkę.

– Och. – Alex potrząsa głową nad torbą, a kiedy unosi wzrok, mogłabym przysiąc, że ma w oczach łzy. – To jest... Nie, nie mogę...

Z trudnością szuka właściwych słów.

– Sama pracowałam po nocach, żeby móc w dzień studiować farmację. Pamiętam, jak to jest – mówi mama z lekkim uśmiechem. – No dalej. – Poklepuje Alex po ramieniu. – Chodźmy zjeść.

– Dziękuję, pani Parker – mówi Alex tak szczerym tonem, jakiego jeszcze u niej nie słyszałam.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem, jakby nie mieściło jej się w głowie, że moja mama kupiła dla niej dwa topy.

To spojrzenie sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy od początku miałam o niej niewłaściwe zdanie.

Jest mi też trochę wstyd, bo dociera do mnie, jak mało mnie obchodziło życie Alex poza faktem, że zdecydowała się przyjąć rolę mojego guru w sprawach sercowych.

Może wcale nie jest dziewczyną, której wszystko łatwo przychodzi.

Może stąd tak dobrze wie, w jaki sposób pomóc mi pokazać się światu, bo sama też musiała stworzyć siebie.

# ALEX

Część restauracyjna galerii handlowej jest zatłoczona. Głosy rozwrzeszczanych dzieci i plotkujących uczniów pierwszych klas liceum mogłyby konkurować z hukiem towarzyszącym przekraczaniu bariery dźwięku. Kiedy przechodzimy od stoiska do stoiska, częstujemy się, gdzie to tylko możliwe, darmowymi próbkami i sprawdzam dokładnie wszystkie dostępne opcje, aż w końcu oczy otwierają mi się szeroko, bo widzę dokładnie to, czego szukałam.

Bulgogi Boyz. Wciśnięta między Subwaya i smażalnię burgerów.

Grupa dwudziestokilkuletnich chłopaków wyczynia absolutne cuda przy grillu i na kontuarze do przygotowywania potraw, a kawałki mięsa i warzyw dosłownie lewitują w chmurze pary i dymu. Przypomina mi to nieco food trucka, tyle że tu jest o wiele mniej tłuszczu, o wiele lepsza organizacja i o wiele więcej miejsca do pracy.

– O kurde, tak! To tutaj – mówię z ustami pełnymi kurczaka teriyaki i minizapiekanek z wołowiną. Chwytam Molly pod ramię i prowadzę ją przez tłum do baru koreańskiego. Beth depcze nam po piętach. – Ubiegłego lata dzięki Natalie pierwszy raz spróbowałam Bulgogi Boyz. Jedna z ich filii znajduje się nieopodal Koślawego Królika, gdzie pracowałam. Natalie wciąż zamawiała stamtąd dania na wynos i odkąd wyjechałam, cały czas brakowało mi tego smaku.

Molly waha się, kiedy stajemy w kolejce, przygryza wargę i zerka nerwowo na mamę. Przypominam sobie to, co zaczęła mówić w przymierzalni. Wkładam do ust jedną z próbek nabitych na wykałaczkę i podążam za wzrokiem Molly ku pani Parker, która stoi ze skrzyżowanymi rękami i patrzy z niechętnym grymasem na człowieka niosącego czerwoną tacę z ryżem i pyszną parującą wołowiną.

Niezupełnie rozumiem, co się dzieje, ale widzę, że coś nie gra.

– Możemy też zdecydować się na coś zupełnie innego – mówię, wyciągając rękę, żeby stuknąć Molly w ramię. – Tamta minizapiekanka była przepyszna.

Molly szybko przenosi wzrok na moją twarz i kręci głową.

– Nie, nie. W porządku. – Wzrusza ramionami i zdaje się niemal... zbuntowana. Krzyżuje ręce na piersi. – Chcę tego spróbować.

Kiedy docieramy do początku kolejki, starszy mężczyzna przy ladzie wita nas z promiennym uśmiechem i przyjmuje zamówienia, a potem przekazuje je chłopakom przy grillu.

Po chwili zerka nad naszymi ramionami na mamę Molly.

– A co dla pani? – pyta.

Mama nie odpowiada. Zdaje się, że nie dosłyszała jego słów wśród gwaru głosów ludzi kłębiących się w pasażu.

I nagle...

Mężczyzna powtarza pytanie po koreańsku, sądząc, że na tym polega problem.

Widzę, że Molly robi zrezygnowaną minę, a Beth posyła mężczyźnie spojrzenie pełne pogardy.

– Nie rozumiem... – Zatacza ręką łuk. – ...tego waszego szwargotu.

O ja pieprzę.

Dwoje ludzi czekających na odbiór zamówień zwraca się w naszym kierunku.

Beth podnosi z ziemi torbę i wskazuje ruchem głowy znajdującą się po sąsiedzku smażalnię.

– Mam wielką ochotę na hamburgera. Dziewczyny, zajmiecie stolik?

Molly potakuje ruchem głowy i odwraca się plecami do mężczyzny przy ladzie, który zdaje się przede wszystkim zdezorientowany. Kiedy Beth znajduje się poza zasięgiem głosu, Molly pośpiesznie mówi:

– Przepraszam za... to. Ona... Ja...

Jej policzki robią się karminowe, widzę, że nerwowo obraca w rękach portfel, nieporadnie próbuje wyciągnąć pieniądze z ciasnej wewnętrznej kieszonki. W końcu portfel spada na ziemię, która – jak się domyślam – jej zdaniem powinna się nagle rozstać i ją pochłoniąć.

– Rozumiem.

Wręczam mężczyźnie dwadzieścia dolarów, a potem pochylam się, żeby podnieść portfel i dać go Molly.

Wkładam trzy dolary reszty do słoika z napiwkami i biorę Molly za rękę. Odciągam ją, żeby poczekać na uboczu, aż wywołają nasz numer.

– Już dobrze? – pytam, patrząc na jej czerwone policzki i nieco szkliste brązowe oczy.

Molly potakuje, ale widzę wyraźnie, że bynajmniej nie czuje się dobrze. Milczy, kiedy jej mama wraca z czerwoną tacą obładowaną górą frytek i hamburgerem.

– Padam z głodu – mówi Beth i przesuwając wypełniony po brzegi pojemnik z frytkami na brzeg tacy. – Częstujcie się, panie!

Sączy swój gazowany napój, a potem łąpczywie wgryza się w bułkę, jakby absolutnie nic się nie stało.

Molly nawet nie odrywa wzroku od swojego talerza.

Nabieram trochę mojej porcji i unoszę do ust. Staram się nie zwracać uwagi na niezręczność tej sytuacji.

– Wiecie, w food trucku, gdzie pracuję, smażyliśmy świetne frytki – mówię. – Cięte na miejscu.

Mam nadzieję, że ta uwaga wywoła uśmiech u Molly, ale tak się nie dzieje.

– Uwielbiam świeżo cięte frytki – odpowiada Beth. – O mój Boże. Muszę kiedyś wpaść do was na jedzenie! Prawda, Molly? Byłoby fajnie!

Molly kiwa głową, ale milczy.

Beth szepcze na niby:

– Patrz, jak się nagle zawstydziła.

Uśmiecham się z grzeczności i czym prędzej zmieniam temat. Pytam ją, jak to jest być farmaceutką. Dzięki Bogu, do końca posiłku trajkocze jak najęta, opowiadając o wszystkich wadach i zaletach swojej pracy w małej aptece. Dzieli się plotkami o Brittney i Dylanie, dwojgu zatrudnionych tam techników, którzy czują do siebie miętę. Chwali się, że zna wszystkich mężczyzn w mieście, którzy kupują u niej viagrę na receptę. Zdradza, że mieli kilka lat temu włamanie, ale do tej pory nie złapali sprawcy.

Molly cały czas milczy. Jedynie gdy jej mama odchodzi od stołu, żeby wyrzucić resztki

do kosza, bąka cicho:

– To jest naprawdę smaczne.

W końcu Beth podwozi nas na kampus, żegna się wesoło i czeka, aż wejdziemy do akademika, a potem jedzie dalej.

– Chcesz wejść na górę? – pyta Molly.

Potakuję ruchem głowy. Gdy tylko zamykają się za nami drzwi jej jednoosobowego pokoju, Molly bierze widelec, siada na łóżku i otwiera pudełko z niedojedzoną resztą swojego dania z *Bulgogi Boyz*.

Zamyka oczy, rozkoszując się smakiem. Reakcja, którą w centrum handlowym skrzętnie skrywała, nareszcie wydstaje się na wierzch.

– Naprawdę mogłabym to jeść co dzień. Nie żartuję.

– Chcesz resztę mojego? – proponuję, siadając koło niej.

Molly podniecona otwiera szeroko oczy.

– Powaga?

Kiwam głową i podaję jej mój styropianowy pojemnik.

– Powaga, powaga.

Przekłada zawartość do swojego pudełka i kręci głową.

– Wiedziałam, że robi scenę. Zawsze się tak zachowuje. – Wzdycha przeciągle. – Nie byłam jedynie pewna, czy zaczniesz kręcić nosem na jedzenie, czy rzuci komentarz, że ohydnie smakuje, ale... to było jeszcze gorsze.

Milczę, żeby pozwolić jej się wygadać. Albo zamknąć temat. Nie mam zamiaru zachęcać, żeby opowiadała o tym, o czym wyraźnie nie lubi mówić. Zwłaszcza że wiem, jak to jest, kiedy dzielenie się prawdą o własnej mamie przychodzi ci z trudnością.

– Ma wypaczone pojęcie o swoich korzeniach kulturowych. – Molly dłubie widelcem w *bulgogi*. – Urodziła się w Korei Południowej, ale została adoptowana i wychowana przez tutejszą białą rodzinę w pewnej zapadłej dziurze, której mieszkańcy wciąż robili jej świństwa... – Milknie na chwilę i przez jej twarz przebiega grymas. – W pewnym sensie ją rozumiem. Jeśli dorastasz, wciąż słyszysz rasistowskie uwagi, a koledzy z podstawówki regularnie wpychają cię w cierniste krzewy albo strzelają do ciebie z wiatrówki, kiedy idziesz do domu ze spożywcza, to zrozumiałe, że zaczynasz nienawidzić u siebie tej cechy i wszystkiego, co się z nią wiąże.

– Czy tobie też się to zdarzało? – pytam i aż mnie skręca w żołądku na tę myśl, ale Molly potrząsa głową.

– Nic tak drastycznego, ale... wiem, że wygląd zawsze mnie odróżniał, i sama czasami też nie lubię u siebie tego dziedzictwa. – Wzrusza ramionami. – Nawet jeśli chodzi o coś tak zwykłego jak to. – Unosi widelec z porcją *bulgogi*. – Wiem, że to tylko jedzenie, ale coś we mnie się wzbrania przed polubieniem takich rzeczy. Jakbym otwierając się na tego rodzaju smaki, zachęcała ludzi do zauważenia, że jestem Korkanką, co od czasu do czasu nadal postrzegam jako coś złego. Nie chcę się wstydzic swojego pochodzenia, ale trudno się wyzbyć tych uczuć, bo od urodzenia były mi wpajane. – Wkłada widelec do ust. – Wiem, to głupie.

– Wcale nie – odpowiadam, patrząc jej prosto w oczy, by wiedziała, że mówię szczerze.

– Myślę, że mama właśnie tak się czuje, ale u niej jest to dziesięć razy silniejsze. – Molly wzdycha ciężko i głośno. – Mimo to nie mogę uwierzyć, że dzisiaj tak się zachowała. To było upokarzające.

Potrząsam głową.

– Nie przejmuj się. Sama też nieraz najadłam się wstydu przez moją mamę. – Śmieję się, huśtając nogami pod łóżkiem. – Trudno zliczyć, ile razy wyrzucano ją z *Applebee's* za to, że przeholowała z truskawkowymi margaritami *dollarita* *dollar*.

Przestaję się podśmiewać pod nosem, bo widzę, że Molly to nie bawi. Ma poważną minę. Siedzi wpatrzona we mnie.

Dopiero po chwili dociera do mnie, co powiedziałam. Z czego jej się zwierzyłam.

– To musiało być bardzo trudne. Co... co wtedy robiłaś?

Odkasłuję cicho i przestaję kołysać nogami. Wbijam palce we wzorzystą kołdrę, w pokoju nagle robi się bardzo ciepło.

– Hm, odprowadzałam ją do domu, żeby straciła przytomność we własnym łóżku. Nic nadzwyczajnego.

Molly mruży oczy.

– Zawsze dużo piła?

Drapię się po podbródku.

– Bardzo się stoczyła po odejściu mojego taty, ale nie ma tego złego... przynajmniej wtedy skończyły się kłótnie i rękoczynny.

Przywołuję na twarz uśmiech, ale utrzymuje się na niej zaledwie kilka sekund. Jest zbyt wymuszony. Zbyt sztuczny. Nie znoszę sztuczności.

Nagle czuję się jak otwarta rana, krwawiąca na dywan i na kołdrę na łóżku. Niespodziewanie nie jestem zdolna ukryć tej tajnej cząstki mnie.

Nie znoszę tego uczucia. Nie znoszę czuć się słaba. Nie znoszę być odsłonięta. Nie mogę nawet spojrzeć na Molly, bo od samego myślenia, że zobaczę w jej oczach całe to współczucie, cierpie mi skóra.

Dlatego zawsze tak wiele ukrywam i trzymam w sekrecie, przez co Natalie musi chwycić się choćby strzępów emocji. Robiłam tak przez cały czas naszego związku. Nie chcę być jak otwarta księga. Nie mogę. Bo pod samą powierzchnią jestem zgniła, a głęboko w środku – przeżona, że ona o tym wie.

„Czasami wydaje mi się, że naprawdę skończysz jak twoja mama”.

Molly bierze mnie za rękę. Jej palce leciutko głaszczą moją skórę, ale gwałtownie wstaję i demonstracyjnie sprawdzam telefon.

– Totalnie zapomniałam odrobić zadanie... na... jutrzejsze zajęcia – mamrocze, gapiąc się na pęknięcia na wyświetlaczu, na białe cyfry, zamazane zdjęcie na tapecie. Patrzę wszędzie, byle nie na Molly, której dłoń teraz spoczywa na kołdrze między nami.

Zeskakuję z łóżka i podnoszę moją małą torbę z nowymi ubraniami, a potem wsuwam stopy w conversy.

– Aha, a skoro mowa o jutrzejszych zajęciach. Nie zapomnij włożyć nowych ciuchów, okej? Wystartujmy z krokiem drugim, bo za moment czas na trzeci! – krzyczę do niej, obracając się przez ramię.

Molly unosi rękę, żeby pomachać mi na pożegnanie, ale już zatraskuję drzwi. Zbiegam po schodach, zamiast czekać na windę, a moje kroki rozbrzmiewają głośno na klatce. Wyjmuję rower ze stojaka i mocuję się z nim chwilę przy krawężniku, a potem wsiadam na siodełko. Wkrótce moje nogi pracują na pełnych obrotach, kiedy pędzę ulicą i wjeżdżam stromizną, która prowadzi mnie do parku Schenley, a potem do wynajętego pokoju.

Droga jest długa, ale potrzebuję chwili na złapanie oddechu.

Przemykam koło witryn sklepowych i Oranżerii Phippsa, mijam tabliczki z nazwami uli i zaparkowane samochody, a barwy dokoła mnie zlewają się w niewyraźne pasma. Kiedy patrzę na linię horyzontu nad Oakland z górującą nad całą dzielnicą Świątynią Nauki, prawda dociera do mnie z całą mocą.

Nigdy dotąd... nikomu o tym nie powiedziałam z własnej woli.

Nawet Natalie. Ona dowiedziała się o wszystkim przypadkiem.

To straszna zdrada – że zwierzyłam się z tej tajemnicy komuś innemu. Że tak łatwo otworzyłam się przed Molly, a nie przed nią.

Chcąc nie chcąc, czuję, że zalewa mnie fala wyrzutów sumienia.

„Co z tobą, do cholery, Alex?”

Wjeżdżam ostro w zakręt w prawo, a potem w lewo i zatrzymuję się przed swoim domem. Ciężko dysząc, wspieram dłonie na biodrach i mrużę oczy. Wbijam wzrok w te ohydne czerwone drzwi.

Powiedziała, że dzisiaj zatelefonuje, ale jeszcze się nie odezwała. Może sama powinnam do niej zadzwonić? Porozmawiam z nią. Tak samo jak otworzyłam się przed Molly.

Zsiadam z roweru i przypinam go kłódką, a potem idąc o połowę wolniej niż zwykle, wyjmuję z kieszeni telefon i dotykam zielonej słuchawki przy imieniu Natalie.

Czuję się... zdesperowana. Jakbym chciała naprawić coś, czego nawet nie zepsułam.

Przykładam telefon do ucha, otwierając drzwi wejściowe, a potem zamykam je piętą i zapalam światło.

Sygnal odzywa się raz. Drugi. Pięć razy.

Padam na wznak na łóżko, godząc się z myślą, że przyjdzie mi zostawić wiadomość głosową, lecz nagle głośniczek trzeszczy i ożywa.

– Hej, Alex.

– Natalie! Hej. Cześć. Co u ciebie? – Siadam, a potem zaczynam chodzić po pokoju w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. – Jak udał się wczorajszy koncert w Kansas City?

– Dobrze. – Słyszę, że coś je. – Właśnie zatrzymaliśmy się po żarcie przed ruszeniem w dalszą drogę do Des Moines.

– Fajnie! Fajnie! To super. – Obracam się na pięcie, kończąc kolejne okrążenie pokoju.

– Coś się stało?

– Nic, po prostu... Powiedziałaś, że dzisiaj do mnie zadzwonisz, więc...

– Aha, no więc ty zadzwoniłaś do mnie. Coś się stało?

Znowu odgłosy żucia. Grzechot kostek lodu na dnie kubka.

– Ja tylko... – „No, powiedz coś, Alex. Dopiero co podzieliłaś się z Molly całą, kurde, historią swojego życia”. – Chciałam z tobą porozmawiać. Tak szczerze. O nas. O tym, co teraz czujesz. Wiem, że umówiliśmy się, by poczekać do twojego przyjazdu do Pittsburgha, ale mam wrażenie, że ostatnio mogłoby się lepiej między nami układać, i chcę ci powiedzieć wszystko, czego nie powiedziałam tamtej nocy w Filadelfii. O moich uczuciach do ciebie. O tym, że...

Dziamanie się urywa i Natalie wchodzi mi w słowo.

– Dlaczego mówisz mi o tym akurat teraz? – pyta podejrzliwie.

– Bo za tobą tęsknię. Bo nie powiedziałam ci w...

– Za późno na to, Alex – ucina i głośno wzdycha. – Tamtej nocy dałam ci szansę, ale z niej nie skorzystałaś. Bardzo długo dawałam ci kolejne szanse. Nie będziemy o tym rozmawiać akurat teraz, dlatego że tak ci pasuje w grafiku. Okej?

– Tak. Okej. Przepraszam. Ja tylko...

– Do zobaczenia w Pittsburghu, Alex – rzuca Natalie i sygnał się urywa.

Odsuwam telefon od ucha, lecz widzę na wyświetlaczu jedynie ekran powitalny. Rozmowa zakończona.

Doskonale. Noż kurwa, doskonale.

Rzucam telefon na łóżko i wzdycham głośno. Mam nadzieję, że za dziewiętnaście dni, kiedy Natalie przyjedzie do Pittsburgha, będę umiała ją przekonać, jak bardzo się zmieniłam.

Muszę ją o tym przekonać.

Wybieram się do łazienki, żeby zmyć makijaż, lecz wtem wyświetlacz telefonu się rozja-



śnia, a aparat wpada w głośne wibracje na kolorowej kołdrze. Szybuję przez pokój i dopadam go z nadzieją, że zobaczę na ekranie imię Natalie, ale... to połączenie przez FaceTime'a. Mama dzwoni.

Po raz pierwszy w życiu.

Dotykam zielonej ikonki i w polu widzenia pojawiają się jej niebieskie oczy oraz włosy sięgające do ramion.

– Cześć, mamó. To nie najlepszy...

Widzę, że jej wzrok jest szklisty, a głowa kiwa się tak, że raz po raz ucieka z kadru. Kurwa, doskonale.

– Alex, posłuchaj... – bełkocze, nie dając mi dokończyć zdania. – Potrzebuję trochę got...

– Nie – mówię, bo jestem nadal podminowana po rozmowie z Natalie, a ponadto nie zostało mi nic do rozdawania. – Nie teraz. Ja już... – Potrząsam głową. – Teraz nie mogę.

– Ale wysyłałam ci SMS-y! Codziennie.

Zaciskam zęby i odwracam się od ekranu, powstrzymując płacz i myśląc o mamie Molly, która przyjechała na lunch, bo po prostu za nią tęskniła.

– To za mało. Takie rzeczy powinny być normalne. Powinno być normalne, że chcesz ze mną rozmawiać. Powinno być normalne, że pytasz, czy wszystko u mnie w porządku. Powinno być normalne, że obchodzi cię, jak sobie radzę, a tymczasem zawsze jest odwrotnie.

– Oczywiście, że obchodzi mnie, jak sobie radzisz. Ja tylko...

– Tak, ale dzwonisz do mnie jedynie wtedy, gdy czegoś chcesz! – rzucam.

I po raz pierwszy w życiu rozłączam się pierwsza, a łzy wytryskują mi spod powiek, gdy tylko ekran ciemnieje.

# MOLLY

Unoszę rękę i naciągam głębiej kaptur na czoło, rozpaczliwie starając się chronić przed ulewą. Alex nie była zbyt zadowolona, kiedy rano przyszedłam na biologię w moich normalnych, starych rzeczach, ale po prostu nie mogłam dzisiaj zadebiutować w nowej garderobie. Pogoda była do niczego. Wszystko nasiąkłoby deszczem... a przynajmniej tak sobie wmówiłam. Naprawdę zaś możliwe, że stchórzyłam.

Przykładam legitymację do czytnika. Po wejściu do budynku zsuwam kaptur kurtki przeciwdeszczowej i wciskam się do windy. Drzwi już się zamykają, lecz w ostatniej chwili w drzwiach wejściowych pojawia się dziewczyna przemoczona do suchej nitki. Kiedy indziej stanęłabym głębiej w kabinie i udawałabym, że jej nie zauważyłam, żeby uniknąć interakcji, ale instynktownie wsuwam rękę w szczelinę i drzwi znowu się otwierają.

– Dzięki – mówi ona, pospiesznie wchodząc do środka, i zajmuje miejsce pod przeciwną ścianą, tą z przyciskami.

– Nie ma sprawy – odpowiadam.

Poznaję w niej dziewczynę, która mieszka na moim piętrze dwa pokoje ode mnie. Gra w drużynie piłki nożnej Pitt, o czym świadczy jej plecak, też przesiąknięty. Wciska guzik z piątką, a ja czekam, aż zapyta mnie, na które piętro jadę, bo domyślałam się, że pewnie mnie nie pozna. Ona jednak opuszcza rękę i uśmiecha się do mnie przyjaźnie.

– Ty jesteś z tej jedyńki koło mojego pokoju, nie? – pyta, ja zaś patrzę na nią w lekkim szoku, ale napominam się, żeby wziąć głęboki oddech i za bardzo się nie zastanawiać.

– Tak. Mam na imię Molly – przedstawiam się i wyciągam do niej dłoń.

– Jordan. – Odpowiada uściskiem. – Fajna kurtka. Ludzie mnie ostrzegali przed ulewą, a ja i tak wybrałam się nieprzygotowana.

Pociera dłonią swoje odkryte ramiona. Woda spływa z nich na podłogę.

– Skąd jesteś? – pytam, kiedy winda rusza.

– Z małego miasteczka na południe od Los Angeles. A ty?

– Stąd. Od urodzenia. – Wskazuję kciukiem za siebie. – Jeśli takie coś cię martwi, to boję się o twoje zdrowie psychiczne, kiedy nadejdzie pierwsza zima w Pittsburghu – mówię i w tej samej chwili tężeje, bo dociera do mnie, że mogła źle odebrać ten żart.

Jednak ku mojemu zaskoczeniu Jordan reaguje śmiechem, a mnie od razu przybywa pewności siebie dzięki temu drobnemu sukcesowi.

– O Boże, nie przypominaj mi o tym – mówi. – Na razie boję się nawet o tym myśleć. – Drzwi windy się otwierają, a my wychodzimy ramię w ramię i idziemy do swoich pokojów. –

Hej, wiesz co? Próbujemy z moją współlokatorką, Kendall, zorganizować w czwartki cykliczne wieczory gier. Byłabyś zainteresowana?

– Jakiego rodzaju gry masz na myśli? – pytam, bo przypomina mi się tamta pierwsza impreza i okropna gra w *Nigdy przenigdy*.

Zdaje się, jakby to się działo bardzo dawno temu, ale nadal sprawia mi przykrość.

– Monopol, karty przeciwko ludzkości, może nawet ping-pong w świetlicy, zobaczy się. – Jordan wzrusza ramionami. – Kendall ma obsesję na tym punkcie. Zgromadziłyśmy w pokoju jakieś trzydzieści planszówek.

Ping-pong. Jedna z moich największych miłości.

Przychodzi mi na myśl stół w naszej piwnicy, na którym rozgrywaliśmy z Noahem mecze o to, kto zajmie się obowiązkami domowymi. To jedyna rzecz, w jakiej mogłam z nim rywalizować.

– Pewnie. Weszłabym w to na bank. – Staram się nie okazywać, jak głupio się ekscytuję. To... zdecydowanie moja działka. – Nie masz nic przeciwko temu, żebym jeszcze kogoś przyprowadziła?

Może zaproszę Corę albo kogoś?

– No jasne. Przyda nam się więcej osób. To co? W czwartek o ósmej w świetlicy?

– Tak, do zobaczenia – odpowiadam i zatrzymuję się przed moim pokojem, a ona idzie dalej korytarzem.

Zamykam za sobą drzwi i opieram się o nie.

To nietypowe.

Zdawało się takie... normalne.

Jakbym nie była cichą myszką Molly, która myśli jedynie o szkole i do nikogo się nie odzywa.

Byłam po prostu... Molly.

Z perspektywy czasu dostrzegam, że opinia, która o mnie krążyła wśród innych ludzi, wynikała raczej z mojego, a nie ich zachowania. Dzisiaj dopuściłam do siebie Jordan. Wiem, że to sukces na bardzo małą skalę, ale zawsze coś. Przytrzymałam dla niej drzwi windy. Wyciągnęłam do niej rękę, żeby się przedstawić, a nie kuliłam się w kącie.

Może ten plan Alex pomaga mi na różnych płaszczyznach? Bo wprawdzie wiem, że moim przeznaczeniem jest przyszłość z Corą, ale w tym roku miałam zdobyć też prawdziwych przyjaciół.

Nigdy nie miałam kogoś takiego jak Alex, kto słuchałby mnie, spędzał ze mną czas i opowiadał mi rzeczy, którymi na pewno nieczęsto dzieli się z innymi. Wiem, że czasami załazi mi za skórę nie mniej niż mama, ale... najlepsze przyjaciółki po prostu wiedzą, jak to zrobić.

Najlepsze przyjaciółki.

Heh...

Nie potrafię dokładnie wskazać chwili, w której to się stało, ale sądzę, że tak można nas nazwać.

Szkoda tylko, że wczoraj wieczorem Alex uciekła.

Dlatego myślę, że może w naszym planie nie chodzi już jedynie o to, żeby pomóc mi wy dostać się ze skorupy. Może chodzi o nas obie. Bo sądzę, że w jakimś malutkim stopniu ja jej też pomagam, dla niej zaś ten proces jest tak samo przerażający jak dla mnie.

Telefon wibruje w mojej kieszeni. Wyjmuję go i widzę SMS-a od Cory.

Wybieramy się dzisiaj do biblioteki, jeśli chcecie z Alex do nas dołączyć



Fajnie, o której? Spotkamy się tam z wami!

6. W sali głównej. Poznasz mnie po tym, że będę siedziała koło takiej jednej marudy 😊

W odpowiedzi wysłałam: 😂 . Abby przez niemal cały dzisiejszy wykład z biologii narzekała, że nic nie rozumie, chociaż nadal przerabiamy absolutne podstawy ze wstępu do przedmiotu.

Biblioteka z Corą i Abby dzisiaj o 6!!! – piszę do Alex.

TY ją zaprosiłaś?! 🤔 HAMUJ, kobieto, tego jeszcze nie przerabialiśmy! Żart. Śmieję się, ale kiedy piszę odpowiedź, dostaję SMS-a od mamy. Szybko odsuwam go na bok, żeby najpierw dokończyć wiadomość dla Alex.

ŁOŁ nie, to Cora do mnie napisała!

Jeszcze lepiej. Wow, pewnie, że PRZYJDE. Spotkamy się na miejscu.

Sekundę później...

I MOLLY LEPIEJ WŁÓŻ TE NOWE CIUCHY NAWET  
GDYBY SPADŁA ŚNIEŻYCA

Uśmiecham się pod nosem, rzucam telefon na łóżko i zdejmuję kurtkę przeciwdeszczową. Nadal nie znalazłam czasu, żeby posprzątać, więc muszę obejść stertę ubrań zostawionych na podłodze po czyszczeniu mojej garderoby przez jednoosobową „różową brygadę”.

Gładzę dłonią nowe jeansy przewieszzone przez oparcie krzesła przy biurku, a potem patrzę na nowe topy wiszące w niemal pustej szafie.

Po udanej interakcji z Jordan czuję się o wiele mniej nerwowa przed włożeniem tych ciuchów na spotkanie z Corą. Próbuję sobie przypomnieć, jak się czułam, patrząc na swoje odbicie w lustrze przymierzalni. Te rzeczy dzisiaj dadzą mi pewności siebie i pomogą sięgnąć po wszystko, na co mam ochotę.

## ROZDZIAŁ 23

# ALEX

Wbiegam do biblioteki przemoczona od stóp do głów. Nie ma to jak jazda rowerem w ulewnym deszczu – dopiero wtedy człowiek czuje, że żyje.

Kiedy wycieram skrzypiące podeszwy w wycieraczkę przy wejściu, czyjaś ręka zaciska się na moim ramieniu i ciągnie do małej wnęki przy drzwiach wejściowych.

– Fuj. – Dobiega mnie głos Molly, która od razu wyciera dłoń w swoje nowe levisy. – Jesteś całkiem mokra.

Unoszę oczy do sufitu i udaję, że wyżymam na nią moją koszulę. Molly odskakuje i patrzy na mnie ostrzegawczo.

– Tak, tak, przeczekałabym deszcz na wydziale chemii, gdyby pewna osoba nie zasypywała mnie co dziesięć sekund SMS-ami z pytaniem, kiedy tu dotrę.

Wyciągam szyję i zaglądam nad ramieniem Molly do sali głównej. Mój wzrok pada na prostokątny stół przy kafejce, przy którym Abby i Cora już siedzą nad rozłożonymi książkami.

– Podeszłaś do nich czy raczej czaisz się jak psychol przy drzwiach wejściowych?

– Czaję się jak psychol przy drzwiach – odpowiada Molly, poprawiając paski swojego wielkiego plecaka.

Oceniam jej wygląd. Na pewno jest szczęśliwą posiadaczką parasola, ale w ogóle nieźle wygląda. Włożyła nowe jeansy i słodki grafitowy T-shirt, który wypatrzyłyśmy w H&M. Brązowe włosy związała w luźny kok, żeby nie zmokły.

Kiwam głową, bo jestem pod wrażeniem. To zdecydowana poprawa w porównaniu z jej zwykłymi czterema zestawami ubrań.

– Podobają mi się twoje jeansy!

Policzki Molly nieco się czerwienią.

– Dzięki – odpowiada zadowolona i obrzuca wzrokiem swój strój. – Dobór odpowiedniego kompletu zajął mi chyba z godzinę. Chciałam zostawić najlepszy zestaw na prawdziwą randkę.

– Super. Podoba mi się takie myślenie. A teraz... – Tym razem to ja ciągnę ją za ramię i obracam twarzą w kierunku sali głównej biblioteki. – Przekonajmy się, co Cora o tym sądzi.

Podchodzimy i kiedy już jesteśmy koło stołu, Cora i Abby unoszą głowy.

– Hej! – wita nas Cora i przesuwając książki bliżej siebie, żeby zrobić dla nas miejsce.

Abby idzie w ślad za nią. Podnosi i przekłada gigantyczne tomiszczce do inżynierii. Ma przed sobą morze kolorowych markerów.

– Hej – odpowiada Molly i... siada na krześle stojącym najdalej od Cory.

– Fajny T-shirt! – mówi Abby, a Cora potakuje ruchem głowy.

Lepsze to niż nic.

– Hej, Molly – mówię, szturchając stopą nogę jej krzesła. – Nie musisz się podpiąć do prądu? – Wskazuję głową wolne miejsce dokładnie naprzeciw Cory, mając nadzieję, że Molly zrozumie aluzję.

Na szczęście rozumie.

– Och! No tak. Oczywiście – odpowiada i przesiada się, a jej oczy robią się z nerwów okrągłe jak spodki.

Weź się w garść, młoda. Los całej drużyny leży w twoich rękach.

– To lektura na zajęcia z Jonem? – pyta Cora, podnosząc z blatu egzemplarz *Roku 1984*.

Obie z Molly kiwamy głowami. Posyłam jej spojrzenie, w którym kryje się wołanie: „Powiedz coś!”.

– Tak, yy, myślałam, że pożegnaliśmy się z nią w liceum, ale najwyraźniej nie.

Dobrze, nareszcie jakiś postęp. Żart okazuje się celny, bo Cora śmieje się, potrząsając głową.

– Weź mi nie mów. Przerabianie jej raz to i tak za dużo.

W przypadku tej konkretnej książki dzielam jej zdanie.

Miejsce rozmowy towarzyskiej zajmuje nauka i przez następną godzinę staram się nie stracić zainteresowania wiązaniami jonowymi i kowalencyjnymi, a Molly sto jeden razy gapi się na Corę, nawet nie udając, że robi to przypadkiem. Jej długopis głośno stuka o kartkę zeszytu.

Rozpieram się i przeciągam na krzesło, moje wilgotne ciuchy trzeszczą przy tym i skrzypią. Patrzą na regały w przedniej części biblioteki.

Już skończyłam tamtą grubą powieść fantasy, którą wypożyczyłam pierwszego tygodnia zajęć, i po sprzeczce z Natalie korci mnie, żeby wybrać kilka nowych książek. Oraz po rozmowie z mamą. Zwłaszcza że od wczoraj żadna z nich nie daje znaku życia.

Moje palce bębnią niespokojnie po blacie, kiedy zerkam na telefon. Zero nowych wiadomości.

Kierowana wyrzutami sumienia po tym, co wczoraj palnęłam, dzisiaj rano wysłałam mamie 50 dolarów, a ona od razu je odesłała bez żadnych wyjaśnień. Próbowалаm do niej dzwonić, lecz nie odbierała. Próbowалаm pisać... bez odpowiedzi.

Wiem, że nie powinnam się tym denerwować. No bo rachunki są opłacane automatycznie, a jeśli chodzi o zakupy, to zamawiam je dla niej online, a ponadto Tonya zagląda do domu, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale nie mogę się powstrzymać...

Odsuwam krzesło i wstaję. Gwałtowny ruch sprawia, że wszystkie głowy zwracają się ku mnie.

„Wyluzuj, Alex. Zachowaj zimną krew”.

– Przejdę się. Nie przyjmę ani grama wiedzy o wiązaniami atomowych, kiedy na wyciągnięcie ręki mam kuszące nowe lektury. Rozumiecie, nie? – mówię i przeciągam się, jakby nigdy nic, a potem podsuwam krzesło i idę przez salę, żeby pobuszować wśród półek.

Molly robi wielkie oczy, słysząc to, ale trącam ją ramieniem i ukradkiem ściskam rękę dla dodania otuchy.

Po drodze zauważam Heather, moją współlokatorkę, która czeka w kolejce kafejki. Kiwam głową na powitanie, a ona za sprawą jakiegoś cudu lekko unosi rękę.

To się nazywa progres!

Ostatnio Jackson rzadko u niej bywa, więc ciekawe, czy stąd się bierze to drobne wahnięcie w górę na skali uprzejmości. Pewnego wieczoru nawet mi podziękowała za wyniesienie śmieci.

Pewno już powinnam pleść bransoletki przyjaźni.

Zmierzam do działu young adult i wybieram opowiedzianą na nowo historię Romea i Julii oraz powieść fantasy, której ostatnio pełno na BookToku. Dorzucam do nich kilku starych faworytów – *Cyrano de Bergeraca*, *Małe kobiety*, a także *Dumę i uprzedzenie*. Ta ostatnia kołatała mi się po głowie od ubiegłego tygodnia, kiedy bawiłyśmy się z Molly w pytania. Wiem, że nie znajdę czasu na przeczytanie wszystkich w ciągu dwóch tygodni, ale sam fakt, że mam je pod ręką, daje mi poczucie stabilności, a tej wobec problemów z Natalie i mamą zdecydowanie teraz potrzebuję.

Kiedy wracam do stołu, Cora autentycznie śmieje się do rozpuku z czegoś, co powiedziała Molly, a ta szczyrzy się od ucha do ucha, jakby właśnie zdobyła Oscara.

– O Jezu! – mówi, szturchając palcem mój stos książek, kiedy kładę go na stole. – Dlaczego chodzisz na wstęp do medycyny, jeżeli w życiu zajmujesz się przede wszystkim czytaniem?

Odsuwam jej badawczy palec.

– Nie wiem, ze względu na bezpieczeństwo zatrudnienia? Wynagrodzenie początkowe na poziomie dwustu ośmiu tysięcy?

Molly patrzy sceptycznie.

– Czy ty w ogóle lubisz te tematy? – pyta, podnosząc mój podręcznik do chemii.

Ciężar książki niemal przygniata jej rękę do blatu.

– Nieszczęśliwie – przyznaję i odbieram jej podręcznik. Wskazuję na przyniesiony przez Corę egzemplarz *Roku 1984*. – Ale ty nie lubisz tego, więc...

– To prawda, za to ty za tym przepadasz. Pewnie bardziej niż my – mówi Molly i wyjmuję ze stosu *Dumę i uprzedzenie*.

Cora potakuje na drugim końcu stołu.

– Możesz to samo powiedzieć o którymkolwiek przedmiocie ze wstępu do medycyny?

Unoszę brwi.

– Coś mi się zdaje, że nie dosłyszałaś tego, co mówiłam o tych dwustu ośmiu tysiącach na dzień dobry.

– Och, daj spokój – protestuje Cora. – Pieniądze nie są tak ważne jak pasja.

Wybałuszam oczy tak, że niemal wyskakują mi z orbit.

– Czy któraś z was już wie, w jaki sposób zapłaci rachunki, mając dyplom z anglistyki?

Molly wzrusza ramionami.

– No, nie. Jeszcze nie, ale...

– Teraz to nie jest najważniejsze. – Cora staje za nią murem.

„Poważnie?”. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale Molly nie dopuszcza mnie do głosu, stara się załagodzić dyskusję.

– Moim zdaniem jedno i drugie jest równie ważne. Pieniądze i realizowanie swoich pasji – mówi, zerkając na mnie i Corę. W końcu jej wzrok zatrzymuje się na mojej twarzy. – Chyba powinniśmy uznać, że mamy różne zdania na ten temat.

Uśmiecha się przepraszająco i odkłada książkę na wierzch stosu. Prycham i sięgam po nią, a potem otwieram na pierwszej stronie zadowolona, że nie musimy kontynuować tej rozmowy.

Jednak... słowa rozmazują mi się przed oczami, nie mogę przestać o tym myśleć. To prawda, że nie jestem pewna, czy chcę spędzić najbliższe dziesięć lat, studiując przedmiot, który ani za grosz mnie nie interesuje, ale nie stać mnie na luksus zastanawiania się nad tym, co naprawdę lubię robić. Nie jestem na tyle uprzywilejowana, by po prostu realizować swoje pasje. To niemożliwe w mojej sytuacji. Mam mamę na utrzymaniu.

Zerkam na telefon i zwalczam chęć wysłania do niej jeszcze jednego SMS-a.

– Okej, idę kupić coś w kafejce – mówi Molly, odsuwając krzesło.

– Pójdę z tobą! – proponuje Cora.

Oczy Molly wyglądają kropka w kropkę jak oczy sarny sparaliżowanej światłem reflektorów. Na szczęście szybko dochodzi do siebie.

Przełykam gorycz i unoszę ku niej oba kciuki, kiedy Cora pochyla się, żeby wyjąć portfel ze swojego jaskrawożółtego plecaka.

– A wy coś chcecie? – pyta Cora.

– Ciastko z kawałkami czekolady – mówi Abby i podaje jej kartę stołową.

Ja zaś potrząsam głową i patrzę, jak się oddalają. Molly nerwowo trzyma ręce w kieszeniach jeansów, a Cora opowiada o włoskich biszkoptach, które tu kiedyś kupiła, i przekonuje Molly, że koniecznie musi ich spróbować.

Uśmiecham się do siebie, zalewa mnie fala ulgi. Widzisz, Natalie? Niech żyje postęp!

Dziwnie się jednak czuję. Zwłaszcza wobec tamtej niezbyt udanej rozmowy przez telefon. Jakby... moje starania już nic nie mogły udowodnić, ale nawet jeżeli to prawda, to...

Szczerze chcę, żeby Molly się udało. Bo jest dla mnie ważna. Bo jest moją przyjaciółką. Bez względu na to, co myśli Natalie.

Kręcę głową i wbijam wzrok w książkę.

Przechodzimy do kroku trzeciego.



# MOLLY

Kładę dłonie stanowczym gestem na jej ramionach i patrzę prosto w jej oczy. Kropla potu spływa mi po czole, a głosy dokoła nas cichną coraz bardziej, dopóki nie zostają tylko ja... i ona.

– Blackwood, musisz się skupić. Słyszysz mnie? – pytam poważniejszym tonem niż kiedykolwiek do tej pory.

Ta potakuje zdecydowanie, jakby rozumiała powagę sytuacji.

– A wy co? Zamierzacie się całować czy grać? – pyta Kendall.

Jej słowa odciągają nas od siebie i przywołują z powrotem do Holland Hall. Tamte dwie patrzą z wyzywającymi uśmiezkami, odbijając piłeczkę od stołu pingpongowego w świetlicy.

– Po prostu serwuj – mówię, starając się z całej siły powstrzymać śmiech i zachować kamienną twarz, żeby nie psuć rywalizacji.

Alex zerka na mnie, a potem na drugi koniec stołu, na Jordan i Kendall – nasze przeciwniczki.

– Od tej strony jeszcze jej nie znałam – mówi, zaśmiewając się wesoło.

– Dwadzieścia do osiemnastu. Piłka gemowa – ogłasza Jordan, Kendall serwuje i zaczynamy grać.

Wszystkie cztery z wielką koncentracją i precyzją odbijamy piłeczkę nad siatką.

Bardzo się denerwowałam przed przyjściem w pojedynkę na pierwszy wieczór gier, a na tym etapie jeszcze nie mogłam zaprosić Cory, chociaż wiem, że musimy zdążyć przed wyznaczoną datą. Wobec tego naturalnie poprosiłam Alex, żeby ze mną poszła. Nerwy zaskakująco szybko mnie opuściły. Mocne pulsowanie krwi w żyłach podczas gry, którą uwielbiam, naprawdę wprawiło mnie w dobry nastrój i pomogło być sobą.

Alex całkiem nieźle sobie radzi na swojej połowie stołu, jeśli wziąć pod uwagę, że rzadko grywa w ping-ponga, ale Kendall jest naprawdę dobra. Jeśli mamy z nimi wygrać, muszę odwołać się do kilku trików, których Noah nauczył mnie w wakacje, kiedy przyjeżdżał z college'u do domu.

Piłeczka odbija się od paletki Jordan i kiedy dociera do mnie, próbuję ją podkreślić przy odbiciu, ale słabo mi się to udaje i... trafia wprost do rogu Kendall.

– Takich sztuczek próbujesz? – pada pytanie z tamtej strony stołu i Kendall podcina piłeczkę pod idealnym kątem.

Ta przelatuje nad siatką w kierunku Alex, która nie jest przygotowana na tak ostro podkreślone odbicie. Zamierza się paletką, lecz trafia w powietrze, a piłeczka spada i koziołkuje po podłodze.

Koniec gry.

– Kurczę! – wykrzykuję, lecz niemal od razu na mojej twarzy pojawia się uśmiech. – Dobry mecz, dobry mecz.

– *Sorry*, Parker – mówi Alex.

– Następnym razem im pokażemy – odpowiadam tak głośno, żeby tamte usłyszały.

– Aha, akurat! – odpowiada ze śmiechem Jordan, po czym dwie dziewczyny, które mieszkają na drugim końcu korytarza w akademiku, przejmują od nas paletki, żeby zagrać ze zwyciężczyniami.

Idziemy z Alex do składkowego bufetu, czyli do zbieraniny najtańszych snacków rozłożonych na stole bilardowym tak starym, że zielone sukno zmieniło kolor na bury. Każda z nas miała coś przynieść. Mnie udało się zorganizować pokrojony w kostkę blok cheddara i krakersy na papierowym talerzu, a Alex załatwiła dwie paczki chipsów z... uwaga, niespodzianka!... 7-Eleven.

– O Boże, kto wpadł na coś takiego? – pytam, pokazując Alex otwartą tubę masy ciasteczkowej z wbitym w nią plastikowym nożem.

– Nie wiem, ale chcę zostać żoną tego kogoś – odpowiada.

Patrzę ze zgrozą, jak odcina z jednego końca gruby plaster i wkłada go w całości do ust.

– Fúj, ohyda.

Sięgam po obie paczki chipsów z 7-Eleven.

– Hej. – Alex robi pauzę, żeby przepchnąć do policzków masę surowego ciasta, które zatyka jej usta. – Masz do tego... prawdziwy talent. Dlaczego mówiłaś, że nie jesteś sportową lesbijką? – Przy ostatnich słowach robi w powietrzu znak cudzysłowu.

– Ping-pong nie jest sportem, tylko sztuką – odpowiadam.

Alex szturcha mnie żartobliwie.

– Jesteś dziwna.

Bzyczy sygnał SMS-a, więc wyciągam telefon i widzę całą serię wiadomości od mamy. Zaaferowana grą musiałam je przegapić.

Pierwsza wyświetla się fotka, na której Leonard zagania stadko gęsi do stawu w parku.

Jestem z tatą na spacerze.

Myślałam o odwiedzinach u Ciebie. Może jutro?

A może lunch z twoim bratem?

Co u Alex? Nosilaś już któreś z tych nowych rzeczy?

Jesteś zajęta?

Molly?

To jak będzie z tym lunchem?

...Czy to znaczy, że się nie zgadzasz?

– O Boże, moja mama jest taka...

Nie kończąc zdania, wkładam telefon do kieszeni i pocieram ze złością twarz.

– Jaka? – pyta Alex.

Rozsmarowuje grudy masy ciasteczkowej na przyniesionych przeze mnie krakersach.

– Po prostu ciągle... się wtryna. Powiedziałam, że potrzebuję trochę swobody, ale... to podziałało mniej więcej tydzień.

– Może powinnaś od czasu do czasu zatelefonować? Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałaś? – pyta.

– Nie o to chodzi. Wiesz, jestem już na studiach. Ona nie może wpadać bez zapowiedzi do akademika i wyciągać mnie na „dziewczyński dzień”, kiedy jej przyjdzie na to ochota.

– Molly, moim zdaniem ona po prostu chce ci pokazać, że jest częścią twojego życia –

odpowiada Alex. – Nawet nie wiesz, ile bym dała za to, żeby mieć mamę, którą... obchodzi moje życie.

– Och. Przykro mi. Ja... – Chcę jej okazać współczucie, ale boję się, że znowu ucieknie, tak jak tamtej nocy.

Decyduję, że najlepiej będzie się wytłumaczyć.

– Ja po prostu... Bardzo długo mama była dla mnie najlepszą przyjaciółką. Jediną przyjaciółką. Ale teraz... Kurczę, muszę się trochę zdystansować. Potrzebuję trochę niezależności. – Biorę głęboki wdech. – I to działa. To, co robimy, działa. Już jestem zupełnie inną osobą niż ta Molly, która wprowadziła się tu na początku semestru.

– No tak. – Alex tłumli śmiech wywołany na pewno jakimś żenującym wspomnieniem ze mną w roli głównej. – Przeszłaś daleką drogę, ale wciąż mamy przed sobą trzy kroki, więc...

– Alex, Molly, gotowe na rewanż? – pyta Jordan.

– Tym razem damy wam fory – dodaje Kendall.

Śmieję się i kręcę głową, starając się wyprzeć z głowy myśli o mamie.

Podchodzimy do stołu, ale właśnie kiedy dziewczyny przymierzają się do serwu, telefon w mojej kieszeni znowu się odzywa.

– Poczekajcie. – Wyjmuję go, myśląc, że może Cora do mnie dzwoni, ale to znowu mama. Nie daje za wygraną.

Pokazuję wyświetlacz Alex i zwieszam z rezygnacją ramiona.

– Może po prostu odbierz? – proponuje z niepewnym grymasem, bo wie, że nie mam na to ochoty.

– Zaraz wracam – mówię do Kendall i Jordan, a potem wychodzę ze świetlicy.

Na korytarzu przesuwam kciukiem po ekranie i pojawia się na nim ziarnista twarz mamy.

– Cześć, kochanie! Oooo, a co to? Wygląda na to, że jesteś z przyjaciółkami. Przyjaciółki? Cudownie! – mówi, a ja zerkam w tył i uświadamiam sobie, że ona słyszy ich głosy dochodzące zza podwójnych drzwi. Idę dalej korytarzem, żeby się od nich oddalić, i opieram się plecami o ścianę.

– Mamo, czy coś się stało? – pytam.

Staram się, żeby w moim głosie nie dało się wyczuć irytacji, ale w obecnej chwili to niełatwe.

– Och, dzwonię, żeby zapytać, co u ciebie. Upłynęło już trochę czasu.

– Będzie ze trzy dni – dopowiadam i czuję kolejne ukłucie irytacji, kiedy przypominam sobie sytuację przy restauracji w centrum handlowym.

– Wiem, ale... – zaczyna.

– Mamo, muszę już iść. Jestem teraz zajęta, okej?

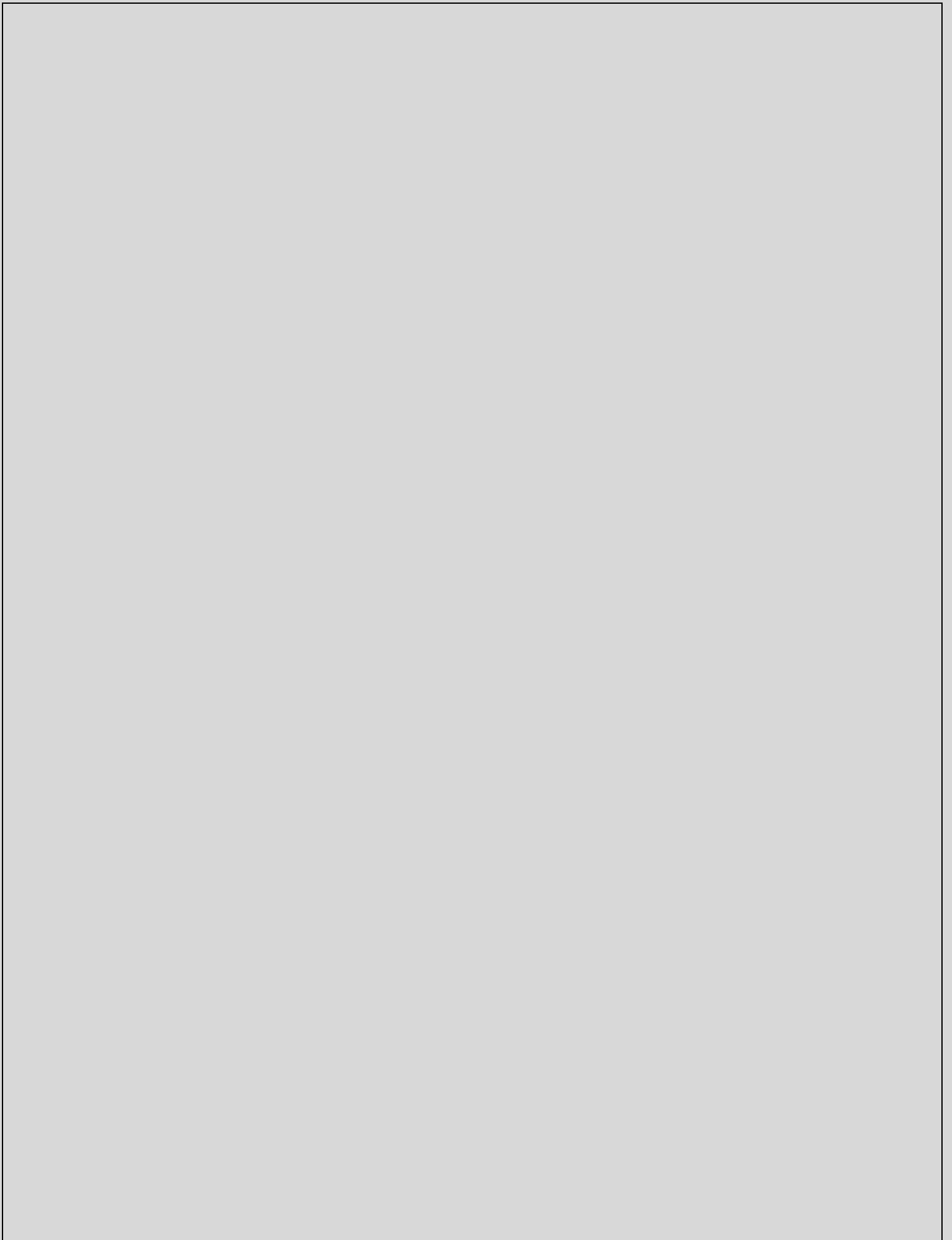
Stukam nerwowo podeszwą buta w podłogę.

– Dobrze, nie będę cię odciągać od przyjaciółek. Ale nie zapomnij zadzwonić do mnie, kiedy już będziesz wolna.

– Dobrze – odpowiadam zwięźle, a potem kończę rozmowę i wkładam telefon do kieszeni.

Alex podaje mi paletkę, gdy wchodzę z powrotem do świetlicy i dołączam do niej przy stole. Podczas gry próbuję zapomnieć o tej rozmowie, ale nie mogę się pozbyć prześladowającego mnie niesprecyzowanego uczucia.

Wiem, że pewnego dnia będę musiała poważnie porozmawiać z mamą. O potrzebie puszczenia w końcu matczynej spódnicy. O tamtej zawstydzającej scenie przed restauracją oraz o tym, jak takie rzeczy na mnie wpływają. Ale jeszcze nie teraz. Teraz chcę po prostu odnieść miażdżące zwycięstwo w meczu.



# ALEX

Sama w to nie wierzę, że idę na mecz rugby. W piątkowy wieczór.

Kiedyś wychodziłam na miasto! Kiedyś to były imprezy!

Kto by pomyślał, że moje życie do tego się sprowadzi?

Przypinam rower i biegnę przez ulicę w kierunku boiska. Nad tłumem rozbrzmiewa wybuch aplauzu, kiedy dziewczyna w biało-brązowym stroju zostaje rozwałkowana na murawie, tak samo jak Molly przed kilkoma tygodniami, i piłka wypada jej z rąk.

– Spóźniłaś się! – dobiega mnie znajomy głos. Molly Parker opiera się o pień wielkiego dębu. Ma skrzyżowane na piersi ręce. – Jak zwykle.

– Przyniosłam przekąski – mówię i unoszę papierową torbę z takim samym ciastkiem, jakie Molly kupiła w bibliotece przed zajęciami.

Przemilczam dyskretnie fakt, że trzy identyczne zjadłam po drodze.

– Ładnie reprezentujesz barwy uczelni – podpuszcza mnie Molly.

Odpycha się od drzewa, żeby dokładniej się przyjrzeć mojemu jednolicie czarnemu strojowi.

Sama wystroiła się od stóp do głów w ciuchy uniwerku. Cała jest w błękitach i złocie. Pewno nawet jej majtki mają naszywkę Pitt na tyłku.

– Cóż, grają przeciwko Filadelfii, więc dzisiaj muszę być Szwajcarią – mówię i wyszczerzam się od ucha do ucha, patrząc, jak powoli zdejmuje szalik. – Całowałam się ze zbyt wieloma studentkami Temple, żeby teraz zdradzić ich zaufanie.

Molly przewraca oczami i zwraca się twarzą do mnie, a potem staje na palcach i owija szalik dwa razy dokoła mojej szyi.

– Teraz jesteś tutaj, więc czas, żebyś zaczęła się tak zachowywać.

Nasze spojrzenia się krzyżują, kiedy zawiązuje końcówki szala.

Będąc tak blisko niej, mimowolnie myślę o tamtej chwili w przymierzalni. O tym, jak we wzroku Molly... Odkasuję i odsuwamy się od siebie.

To nic nie znaczyło. Ludzie cały czas patrzą na mnie w taki sposób.

Ponadto ja wcale nie jestem w jej typie ani na pewno ona w moim.

– Masz jakiegokolwiek pojęcie, na czym polega ta gra? – mamrocę półgłosem, tymczasem Abby już przywołuje nas gestami do metalowych ławek na trybunach.

– O tak – odpowiada, gdy idziemy do górnego rzędu. – Nauczyłam się wszystkiego podczas spotkania ze śmiercią po trzech minutach gry. Jestem prawdziwą ekspertką.

Chichoczę i po chwili siadamy na naszych miejscach, kiwając na powitanie głowami do

Abby.

– Co nas ominęło?

– Niewiele – odpowiada, chociaż dopiero co widziałam na własne oczy, jak żywy człowiek zmienia się w dwuwymiarową wersję płaskiego Stanleya. – Jeszcze nikt nie zdobył punktu, a to mimo wszystko lepsze niż strata.

Patrzę, jak zawodniczki obu drużyn stają blisko siebie, obejmują się nawzajem w talii, piłka zostaje wrzucona do środka, drużyna Pitt zdobywa przewagę i przepycha się, napierając całym ciężarem masy ciała. Tłum dokoła nas szaleje.

– Co za młyn! – krzyczy jakiś chłopak na trybunach i głośno klaszcze, kiedy naszej drużynie udaje się przenieść piłkę na odległość grubo ponad kilka stóp i ją przejąć.

„I co teraz?”

Unoszę brwi, patrząc na Molly, na co ona wzrusza ramionami i sięga do papierowej torby, którą trzymam. Odłamuje kawałek ciastka.

Okruszki sypią się na jej sprane jeansy, kiedy Molly nieruchomieje, a jej oczy robią się okrągłe, bo dostrzega Corę biegnącą wzdłuż boiska niczym drobna, pełna gracji gazela. Dyskretnie macha do nas w biegu. Ma na głowie musztardową opaskę, a na oczach agresywną warstwę tuszu, który spływa jej po policzkach, jakby wybierała się na wojnę.

Mogę to zrozumieć.

Nie jestem pewna, czy patrzę na zmagania sportowe, czy raczej... na walkę gladiatorów na śmierć i życie. Przed upływem połowy meczu dwie dziewczyny już opuszczają boisko – jedna ze wstrząsem mózgu, a druga ze złamanym nosem. Krzywię się z niesmakiem i odwracam głowę, gdy widzę krew spływającą jej po twarzy. Molly patrzy na mnie rozbawiona.

– Podobno chcesz być lekarką.

Posyłam jej mordercze spojrzenie i rzucam w nią papierową torebką zwiniętą w kulkę. Schodzimy z trybun, żeby kilka minut rozprostować kości.

– Podskoczę do toalety – mówi Abby i wskazuje trio błękitnych toi toiów wątpliwej czystości.

Patrzymy na nią, kiedy truchta ku kabinom, a ja czekam, aż będzie w bezpiecznej odległości, i dopiero wtedy mówię:

– Dobra, chyba powinniśmy pogadać o kroku...

Molly zasłania mi dłonią usta.

– Nie. Nie teraz.

Marszczę brwi i uwalniam się z jej uścisku.

– Co? Dlaczego nie?

– Wiem, że zależy ci na czasie, ale nie jestem... gotowa. Rozumiesz, tak dobrze nam się ze sobą SMS-uje, że nie chcę tego zrujnować.

Patrzę na nią znacząco.

– Molly. Nie zrujnujesz tego. Jeśli już, to...

– Nie jestem gotowa, okej? – Nie pozwala mi dokończyć.

Jej głos brzmi stanowczo. Wypuszczam przeciągle powietrze i potrząsam głową. Czas przecieka nam przez palce, ale co jeszcze ważniejsze...

– Słuchaj, ja to rozumiem, ale wiedz, że ona nie będzie czekać w nieskończoność...

Wskazuję głową nad jej ramieniem, a ona się odwraca i widzi Corę, która siedzi na ławce i śmieje się z czegoś, co powiedziała jedna ze współzawodniczek. Dotyka jej ramienia. Daje się wyczuć w jej zachowaniu zalotną energię.

Chwytam Molly i obracam ją przodem do mnie, zanim ktoś się zorientuje, że zbyt natrętnie się przygląda.

– No więc nie ma pośpiechu. Nie chcę cię pchać w coś, na co nie jesteś gotowa. Ale nie zwlekaj za długo, żeby szansa nie przeszła ci koło nosa. Rozumiesz?

Molly potakuje, przygryza wargę.

Kiedy zaczyna się druga połowa meczu, wracamy na trybuny, a ja wyciągam z kieszeni telefon i otwieram wiadomości, które wymieniałam z mamą.

Hej. Mam nadzieję, że dzień upłynął Ci miło.

Wysłałam, dodając kolejny tekst do morza błękitnych dymków po prawej stronie, wśród których sporadycznie pojawia się jednowyrazowa odpowiedź po lewej. Po naszej kłótni w ubiegłym tygodniu mama znacznie mniej regularnie przysyła wiadomości.

Na szczęście Tonya do niej zagląda i twierdzi, że nie zauważyła nic szczególnie niezwykłego, ale... nadal się martwię. I chociaż mam wyrzuty sumienia, czuję też odrobinę złości. Nie powinnam siedzieć i martwić się o dobro mamy w środku meczu uniwersyteckich drużyn rugby.

Tłum kibiców zaczyna wiwatować, więc unoszę głowę i widzę dziewczynę w błękitno-złotym stroju, która pędzi po punkcie, niosąc piłkę pod pachą. Właściwie nie mam pojęcia, co się dzieje, ale daję się porwać fali entuzjazmu. Wszyscy podrywają się na nogi, trybuny drżą od krzyków, dziewczyna biegnie przez boisko, obrończyni deptają jej po piętach.

Piętnaście jardów.

Dziesięć jardów.

Pięć jardów.

Udaje jej się dobiec do linii końcowej i przyłożyć wyzywającym gestem piłkę do murawy. Zawodniczki z drużyny roją się wokół niej, a dokoła mnie tłum szaleje. Zrywam z szyi szalik Molly i wymachuję nim nad głową, tymczasem Molly wchodzi na ławkę koło mnie. Abby po mojej drugiej stronie zaczyna skandować: „Naprzód, Panthers!” i wszyscy do niej dołączają.

Po jakimś czasie chór głosów milknie i gra toczy się dalej, a kibice wracają na swoje miejsca. Patrzę na Corę, która zbiega truchtem z boiska. Przy bocznej linii przybija piątkę swojej zmienniczce.

Kiedy się uśmiecha do Molly, zajmując miejsce na ławce, czuję w dołku coś, czego się u siebie nie spodziewałam.

W zamyśleniu pocieram brzuch.

Pewno nie powinnam zeżreć po drodze aż trzech ciastek.

# MOLLY

Nadal czuję, jakbym się unosiła nad ziemią po wczorajszych emocjach – tak na mnie działało oglądanie Cory w akcji, kiedy dała czadu na boisku. Idę z grupą studentów przez dziedziniec. Na jego końcu dostrzegam miejsce, które do tej pory było deptakiem Bigelowa, a obecnie stało się małym jarmarkiem ulicznym. Zapach gotującego się jedzenia wyczuwam już z tej odległości, na trawniku, skąd także widzę kobietę zwisającą na dwóch długich szarfach przymocowanych pięć metrów nad ziemią do drążka przed Świątynią Nauki. Olbrzymi transparent zawieszony na metalowym rusztowaniu zaprasza na BIGELOW BASH – imprezę organizowaną co roku przez Pitt.

Gdziekolwiek spojrzę, rozciąga się ocean spoconych studentów, którzy obsiedli stoły piknikowe rozstawione na środku ulicy. Po obu stronach deptaka wznosi się mniej więcej trzydzieści białych namiotów, w których można poprobować potraw albo kupić dzieła rzemiosła i sztuki. Na drugim końcu ulicy sprzedawcy street foodu ustawili się pod drewnianym ogrodzeniem tamującym ruch w tym miejscu.

Komórka buczy w mojej dłoni, unoszę ją i widzę, że mama dzwoni do mnie już drugi raz tego dnia. Rano rozmawiałam z nią kilka minut, ale zaczęła zadawać natarczywe pytania o Corę i o to, czy już się spiknęłyśmy. Jakby sądziła, że to jedyna rzecz, która mnie zajmuje.

Potem próbowałam zmienić temat i opowiedzieć jej o zlocie food trucków na terenie kampusu, ale to też nie za dobrze wyszło. Kiedy wspomniałam, że weźmie w nim udział restauracja Bulgogi Boyz, mogłam sobie wyobrazić, jak unosi z pogardą górną wargę, radząc mi, żebym uważała na to, co zamawiam, bo „nigdy nie wiadomo, czego oni tam dodają”.

Co to za pochrzaniona uwaga? Nie żebym przedtem nie słyszała od niej nic podobnego. Krew zagotowała mi się pod skórą, więc szybko zakończyłam tę rozmowę. Nie mam ochoty na drugą rundę, więc przełączam ją od razu na pocztę głosową.

Kieruję się do stoisk z jedzeniem, gdzie ścisk jest o wiele mniejszy. Nie przyszedłam tu oglądać tego, co dają w namiotach, ani kobiety wijącej się na szarfach. Przyszedłam zobaczyć...

To.

Alex wychyla się z okna czarnego food trucka na końcu rzędu furgonetek. Warczący, zagłuszający muzykę generator ledwie nadąża z wytwarzaniem prądu. Alex nie ma wielkiego ruchu – w kolejce czeka tylko kilka osób.

Kiedy powiedziała mi, że jej food truck weźmie udział w dzisiejszym Bigelow Bash, po prostu musiałam to zobaczyć na własne oczy. Ponadto obiecała mi darmową zapiekankę, jeśli przyjdę tuż przed zamknięciem.



Jestem pięć minut przed czasem, więc siadam w pewnej odległości na krawężniku, żeby popatrzeć na Alex podczas pracy.

Widok tej dziewczyny wdzięczącej się do klientów rozśmiesza mnie tak, że chichoczę pod nosem.

Nie spodziewałam się żadnych luksusów, ale to wygląda na... naprawdę trudne zajęcie. Sądząc po kroplach potu na czole Alex, zapewne jest tam goręcej, niż mogę sobie wyobrazić.

No i ten szef – sprawia wrażenie jeszcze bardziej nieokrzesanego, niż wynikało to z opisu Alex. Widzę, jak wysiada z furgonetki tylnymi drzwiami, zapala papierosa i wydmuchuje chmurę dymu dosłownie prosto w twarz klienta, który właśnie odebrał swoje jedzenie.

Zwracam głowę ku Alex z przyklejonym na twarzy bardzo sztucznym, szerokim uśmiechem. Klienci pewno nie widzą w nim nic sztucznego, ale ja tak. W ciągu ostatnich kilku tygodni nauczyłam się całkiem dobrze odczytywać jej miny. Patrzę, jak odbiera zamówienie od jednego ze studentów i pyta go o imię.

Chłopak sięga do tylnej kieszeni spodni i po chwili podaje jej należność.

– Masz już moje imię, bejbi. Chcesz też mój numer telefonu? – pyta i chwyta ciężką klamrę swojego paska niczym kampusowy szeryf.

Czekam, aż Alex podejmie flirt, odgarnie za ucho swoje jasne włosy i oczaruje go, żeby zostawił suty napiwek. Tymczasem nagle jej uśmiech gaśnie i Alex patrzy na niego z taką niechęcią, jaką widziałam u niej tylko raz.

Tak samo patrzyła na mnie podczas naboru do drużyny rugby, kiedy zwierzyła się, że z powodu atrakcyjnego wyglądu ludzie traktują ją jak płytką dziunię. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy atrakcyjność fizyczna może dostarczać nieprzyjemności, ale... widocznie w towarzystwie takich dupków jak ten bywa dość uciążliwa. A nawet niekoniecznie w towarzystwie skończonych dupków. Ja też wyrobiłam sobie opinię na jej temat na podstawie wyglądu, dlatego teraz, widząc tę scenę... jest mi tym bardziej głupio. Wcale nie traktowałam jej lepiej niż ten kampusowy szeryf.

Zawsze zarzucałam ludziom, że nie dają mi drugiej szansy, a sama zachowałam się wobec niej dokładnie tak samo.

– No weź nie daj się prosić – nalega tamten. – Zabiorę cię w jakieś ładne miejsce.

Alex patrzy sceptycznie, wyjmując z kasy resztę dla niego. Jestem pewna, że w normalnej sytuacji broniłaby się tak samo, jak broniła się przed moimi uprzedzeniami, ale może nie chce robić scen przy szefie.

Kiedy Alex odlicza pieniądze, Jim nagle pojawia się za jej plecami. Wyjmuje z powrotem z kasy dziesięć dolarów od tamtego klienta i wychyla się z okienka.

– Sam się zabierz w jakieś ładne miejsce – mówi i rzuca banknotem w kampusowego szeryfa tak, że ten musi gonić go po chodniku.

– Pożałujesz tego – grozi szeryf, nadal ścigając banknot. – Zasypię waszą stronę na Facebooku jednogwiazdkowymi recenzjami.

– Czy my wyglądamy na taki food truck, który prowadzi stronę na Facebooku? – pyta Jim, a ja, sądząc po menu namalowanym na liszajowatej sklejce oraz po górze niedopałków na ziemi za tylnymi drzwiami, mogę się domyślić, że absolutnie nie.

– No to...

– Spadaj, gościu – rzuca Jim, a potem odwraca się do grilla na znak, że to koniec dyskusji.

Alex się uśmiecha, a kampusowy szeryf mamrocze pod nosem jakieś przekleństwa, ale spełnia polecenie i oddala się w kierunku sceny, na której zespół właśnie kończy swój występ.

Po kilku minutach Alex wysiada tylnymi drzwiami, niosąc w jednej ręce dwie zapiekanki

owinięte folią, a w drugiej – staromodne napoje winogronowe w szklanych butelkach. Macham do niej i podbiega truchtem do mnie, żonglując niesionym poczęstunkiem. Gdy siada koło mnie na krawężniku, uderza mnie w nos fala zapachu smażonego mięsa i tłuszczu.

– Zalatuje od ciebie – mówię, marszcząc nos.

– Ty chyba nie chcesz tej buły – odgryza się Alex i wyciera pot z czoła.

Uśmiecham się, a ona energicznie kładzie mi na kolanach ciężki, owinięty folią aluminiową pakunek.

– Udana z was para – mówię, wskazując ruchem głowy na jej szefa, który właśnie zdejmuję z boku furgonetki malowane odręcznie menu.

– Ze mnie i Jima? – Alex się śmieje. – Ciekawy z niego typ. Dobry człowiek.

Wbija zęby w zapiekankę. Roztopiony ser ciągnie się za odgryzionym kęsem.

Nagle rozjaśnia się ekran mojego telefonu leżącego między nami na ziemi.

Cora Myers: iMessage.

– Yyy, przepraszam? – mówi Alex impertynenckim tonem i szybko wyciąga rękę po telefon.

– Hej! – Próbuję jej go odebrać, ale odchyła się i zasłania ręką z zapiekanką. Ser niemal kapie mi na nogę.

– Ucisz się i daj mi popatrzeć – mówi Alex, a ja przestaję walczyć.

Rozwijam po prostu zapiekankę i patrzę, jak Alex przesuwając długą listę SMS-ów, które do siebie wysyłałyśmy z Corą w ciągu ostatniego tygodnia. Po wieczornej nauce w bibliotece częstotliwość wysyłania tych wiadomości jeszcze bardziej wzrosła. Można odnieść wrażenie, że wciąż do siebie piszemy, czasami mówimy sobie dobranoc, ale nigdy się nie żegnamy. Nadal czuję się tak, jakbym grała jakąś rolę – jakbym nie była sobą w jej obecności, nawet jeżeli tylko wysyłałyśmy do siebie SMS-y. To jednak przyjdzie z czasem.

– Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? – pyta w szoku Alex.

– O czym? Przecież wiedziałaś, że do siebie piszemy – odpowiadam.

– Ale, Molly, nie powiedziałaś mi, że piszecie w taki sposób! Musisz mnie informować na bieżąco o rozwoju sytuacji!

Obraca telefon przodem do mnie, żeby pokazać mi najnowszy SMS od Cory.

Hej! Dziękuję za to, że wczoraj przysłałaś mi kibicować <3

Co robisz w weekend?

Po całym ciele przebiegają mi dreszcze podniecenia, kiedy wyjmuję z jej rąk telefon i przybliżam go do oczu.

– Jeszcze ani razu nie pytała mnie o nic takiego – mówię, patrząc na Alex z niedowierzaniem.

– Wasze SMS-y są pełne emotek. Przesłała ci nawet mrugającą buźkę? To musi oznaczać, że kompletnie przepadła na twoim punkcie. Na pewno...

– Ale... – dopowiadam, bo zaczyna mnie ogarniać zwątpienie. – Emotki nie zawsze muszą to oznaczać. Ty też mi ich nie szczędzisz. – Pokazuję jej naszą wymianę SMS-ów.

– No, tak... – Alex robi pauzę, żeby wypić łyk napoju winogronowego. – Ale to co innego. Ja zawsze piszę w taki sposób.

Mrużę podejrzliwie oczy.

– Molly, mówię poważnie. Jestem pewna na sto procent, że ona coś do ciebie czuje. Do diabła, zapytała cię ni z gruszki, ni z pietruszki, czy masz plany na weekend! Z jakiej innej przyczyny miałyby to robić?

– Może znowu chce się z nami pouczyć – podpowiadam ledwo słyszalnym głosem, na co Alex wzdycha.

– Chce, żebyście coś razem zrobiły. Ty i ona – mówi. – To zaś świetnie się składa, bo krok trzeci polega na zaproszeniu jej na randkę.

– Na ZAPROSZENIU JEJ NA RANDKĘ?! – Muszę przyznać, że wręcz wykrzykuję te słowa. Grupka studentów spogląda w naszym kierunku. Przełykam ślinę i przez chwilę zbieram myśli. Sparaliżowana strachem zniżam głos. – Jakim cudem to następny krok, a nie mniej więcej dziesiąty? To tak, jakbyś nauczyła mnie pływać pieskiem, a potem wyrzuciła za burtę na środku Pacyfiku. Nie mogę zaprosić jej na randkę. – Śmieję się jak szaleniec. – Dopiero co kupowałyśmy nowy T-shirt, a teraz mam zaprosić Corę na randkę? Co to za gówniany plan? Gdzie tu sens?

– Molly...

– Nie, Alex. Nie wiem, jak mam to zrobić.

Sądziłam, że przyzwolicie sobie radzę z tym jej planem działania, ale teraz daję się wciągnąć w otchłań paniki. Tu i teraz, na środku kampusu. Staczam się w otchłań!

– Molly, ja...

– Nigdy w życiu nie zaprosiłam nikogo na randkę! Chyba nie zdarzyło się nawet, żebym umówiła się z kimś na spacer jako przyjaciółka. Niby jak mam...

– Molly, przymknij się na chwilę! – Alex podnosi głos i wyciąga przed siebie ręce. – Jezu Chryste, ależ ty dramatyzujesz. – Śmieje się. – Trzy tygodnie temu widziałam, jak oblałaś laskę kawą, próbując zdobyć jej numer. Wiem, że nie masz pojęcia, jak zaprosić kogoś na randkę. Po to wdramamy nasz plan. Dlatego właśnie masz zaprosić... – Przykłada dłoń do swojej piersi. – ...mnie.

– Co? – pytam, lądując z powrotem na ziemi.

Alex chce, żebym zaprosiła ją na randkę?

Siedzi teraz sztywna jak kij od miotły. Zakłada jasne włosy za ucho i wpycha je z tyłu pod T-shirt, żeby wyglądały na krótsze.

– Studiuję anglistykę, ale uważam, że Shakespeare jest do dupy. W tym tygodniu przebiłam sobie płuco na treningu rugby. – Przywołuje na twarz najszerszy uśmiech, na jaki ją stać, i mówi cienkim, lekko chropawym głosem: – No to jak? Chcesz mnie zaprosić czy nie?

Aha. Mam ją zaprosić na niby. W ramach treningu.

– Dobra. – Powstrzymuję śmiech. – Po pierwsze, ona tak nie mówi. Po drugie, zapomnij o tym, żebym ją zaprosiła na randkę, bo nie będę wiedziała, co zrobić, jeśli się zgodzi. Albo... – Ukrywam twarz w dłoniach. – O Boże, a jeśli odmówi?

– Słuchaj – mówi Alex swoim normalnym głosem i znowu po swoim się garbi. Długo milczy, a ja obserwuję, jak obracają się trybiki w jej umyśle, jakby ważyła się w nim jakaś ważna decyzja. – Pójdziemy na taką randkę na niby. Zgoda? – proponuje w końcu. – Czwartym krokiem jest sama randka, więc przeciwiczymy oba punkty jednocześnie. Zaprosisz mnie, a potem pójdziemy na udawaną randkę, żebyś była gotowa na tę prawdziwą. W porządku? – pyta. – No to do roboty. Zapytaj mnie... eee... Czekaj! – W pośpiechu odkłada swoją zapiekankę na chodnik i wyjmuję telefon. – Zaproś mnie SMS-em. Pewno właśnie tak się to odbędzie. Równie dobrze możesz więc zrobić próbę na sucho.

To prawda. Ponadto widząc, jak Cora dzień wcześniej flirtowała z zawodniczką z drużyny rugby, poczułam, że grunt mi się pali pod nogami. Muszę się wszystkiego nauczyć, żeby zaprosić Corę, zanim będzie za późno. No i do koncertu Natalie zostało już osiem dni. Alex tyle dla mnie zrobiła. Naprawdę zależy mi na tym, żeby odwzajemnić się tak, jak tego ode mnie oczekuje.

Unoszę kciuki nad klawiaturą w telefonie, biorę głęboki wdech i patrzę na ulicę, na tłum studentów, którzy już zaczynają się rozchodzić do swoich akademików. Dokąd by ją zaprosić?

Do kina? To oklepany pomysł. Zresztą tam nie mogłybyśmy porozmawiać.

Na kolację? Nie, za dużo okazji do rozmowy. Oraz przeżuwania.

Nagle mnie olśniewa. Nie do wiary, że wypadło mi to z głowy. Przecież odkąd pamiętam, to miała być randka z moich marzeń. Tyle że nigdy nie sądziłam, iż stanie się rzeczywistością. Wracam pamięcią do dzieciństwa – do weekendów spędzanych z Noahem na torze wrotkowym. Jako dzieci musieliśmy zmykać z parkietu, kiedy wychodziły na niego pary. To doskonały pomysł na pierwszą randkę z Corą. Będziemy w pewnym sensie zmuszone do bliskiego kontaktu, a jeżeli okaże się, że obie mamy dosyć talentu, to może zakwalifikujemy się do pokazu jazdy w parach.

Alex, chcesz iść ze mną na wrotki jutro wieczorem? – piszę i doklejam, a potem usuwam uśmiechniętą emotkę. Wiem, że Alex napomniałaby mnie, żebym się trochę bardziej hamowała.

– Powaga? Naprawdę chcesz iść na wrotki? – pyta Alex.

Poznaję po głosie, że ledwie powstrzymuje śmiech.

Zerkam na nią z ukosa najbardziej lodowatym wzrokiem, na jaki jestem w stanie się zdobyć. Gdyby Cora zareagowała w taki sposób, padłabym trupem na miejscu. Ale ona zachowałaby się inaczej, bo jestem pewna, że miałyby wielką ochotę pójść na wrotki. A ja akurat w tym jestem dobra.

– Wiesz co? Kiedy byłam małą, wygrywałam wyścigi... ze wszystkimi dziewczynami! – mówię w obronie mojego jedyne go zajęcia zbliżonego do sportu. Oprócz ping-ponga.

– Wow, niesamowite. Nic dziwnego, że musisz się opędać kijem od adoratek – mówi Alex, a każda wypowiedziana przez nią sylaba ocieka sarkazmem.

– Hej, wrotki wracają do łask. Może to ty musisz nadrobić swoje opóźnienia w kwestii trendów.

Szturcham ją lekko ramieniem.

– Wiem, wiem. Po prostu wyobraziłam sobie, jak popisujesz się przed Corą, wymiatając wśród dzieci na torze wrotkowym – mówi, chichocząc.

– Czy to nie tego ode mnie wymagasz? Żebym wybierała takie miejsca, w których mogę zrobić na niej wrażenie? – pytam, ignorując jej komentarz.

– Oho, dziewczyna się uczy – odpowiada Alex.

Zaskoczona unoszę głowę.

– Brzmisz tak, jakbym ci zaimponowała.

– Mam jedynie nadzieję, że jesteś w tym taka dobra, jak ci się zdaje. – Ona też decyduje się zignorować moją uwagę.

– Będziesz musiała poczekać i przekonać się na własne oczy – odpowiadam.

– Chyba tak.

Spuszcza wzrok do swoich palców prześlizgujących się po klawiaturze.

Po kilku sekundach w moim telefonie pojawia się tekst:

Mam ogromną ochotę pójść z tobą na wrotki, Molly Parker



Już pod wpływem słów Alex palą mnie policzki. Trudno sobie nawet wyobrazić, jakie to uczucie, zobaczyć taką odpowiedź od Cory.

Teraz jednak czuję, że to... nie jest niemożliwe.

Zresztą popisanie się jazdą na wrotkach przed Alex Blackwood też bynajmniej nie będzie takie złe.

# ALEX

Odkładam maszczę do kosmetyczki i odchylam się, żeby ostatni raz sprawdzić w lustrze swoje odbicie. Wolno wypuszczając powietrze z płuc, przytrzymuję się palcami chłodnego brzo-  
gu umywalki. Moja lewa noga podryguje rytmicznie, kiedy obracam głowę w lewo, w prawo  
i znowu w lewo, a potem przegarniam palcami włosy, żeby opadły z powrotem dokładnie tak, jak  
powinny.

Zaraz, zaraz, czyżby... zjadały mnie nerwy?

„To tylko wrotki, Alex. Co w tym trudnego?”

Prycham i podnoszę z toaletki telefon. Ekran ożywia wiadomość od Molly, która pisze, że  
czeka na mnie na dworze.

Idę do pokoju po portfel i klucze, a potem schodzę na dół, wsuwając po drodze ręce  
w rękawy spranej jeansowej kurtki. Otwieram drzwi i staję jak wryta, widząc Molly wspartą o sa-  
mochód. Ma na sobie levisy z wysokim stanem oraz biały T-shirt, które razem kupiliśmy, a także  
flanelową koszulę w czarno-żółtą kratę, zawiązaną gustownie wokół talii. Wiatr lekko rozwiewa  
jej długie włosy, jakbyśmy stały na środku planu filmowego, a nie przy jednej z najohydniej-  
szych uliczek Pittsburgha.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale widok jej oczu zapiera mi dech w piersi. Cie-  
niutka warstwa mascary oraz kreski narysowane kredką podkreślają ich głęboki brąz tak, jak nig-  
dy dotąd.

Chyba jeszcze nigdy nie widziałam jej w makijażu.

– Kurczę, no nie – mówi, odsuwając się od samochodu, i patrzy w dół na swój strój. Na  
jej czole pojawia się zmarszczka. – Spieprzyłam coś? – Pociąga za związaną w talii koszulę. –  
Chodzi o tę flanelę, tak? Wiedziałałam, że trzeba było zdecydować się raczej na zapinaną bluzkę...

– Nie, nie. Ty po prostu... wyglądasz... wyglądasz... bardzo ładnie – wykrztuszam, nie  
mogąc oderwać wzroku od jeansów, które zgrabnie opinają jej biodra.

„To biodra Molly” – napominam się i szybko odwracam oczy.

Molly zaskoczona unosi głowę. Odkasuję i wracam na właściwy kurs.

– Rozumiesz, obiektywnie rzecz biorąc, oczywiście. Ale Cora właśnie to powie.

– Och – mówi Molly i obie stoimy zapatrzone w siebie.

„Powiedz coś, Alex. Co mi tak odebrało mowę? Kim ja jestem?”

Drapię się w kark i wskazuję na drzwi samochodu.

– Powinnyśmy...

– Aha! No właśnie. – Molly nieporadnie wyjmuje kluczyki i otwiera przyciskiem zamki,

które wydają pojedynczy dźwięk, a potem uchyla drzwi i zaprasza mnie gestem do środka.

– Ho, ho, jaka rycerska – nabijam się, podchodząc.

Molly przewraca oczami, ale zgodnie z moimi oczekiwaniami napięcie pryska.

– Mówię ci, Alex, wsiadaj, bo zatrzasnę ci drzwi przed nosem.

Obie się śmiejemy. Molly obiega samochód z przodu i wsiada po stronie kierowcy. Radio zaczyna mrużyć w tle, kiedy wyjeżdżamy na ulicę. Droga do toru wrotkowego wiedzie trasą widokową, skąd rozciąga się panorama Pittsburgha podświetlona złotym blaskiem zachodzącego słońca.

To nie Filadelfia, ale... właściwie wygląda dość ładnie. A nawet pięknie. Podoba mi się to miasto, do którego uciekłam. Wyciągam szyję, żeby przyjrzeć mu się z okna samochodu, dopóki nie znika z pola widzenia, a jego miejsce zajmuje autostrada.

– Potencjalne tematy rozmowy – mówię po drodze. – Co ci przychodzi na myśl?

Molly wzrusza ramionami, zaciska mocniej palce na kierownicy.

– No więc... Myślałam o kilku. Mogłabym zacząć od wypytania o jej opinię na temat wykładów z biologii. Potem porozmawiałybyśmy o rugby. A może po prostu... o tym, jak minął jej dzień?

– Tak – mówię, potakując ruchem głowy. – Zwłaszcza to ostatnie. Ludzie uwielbiają mówić o sobie.

Molly zerka na mnie i unosi brwi.

– No coś ty? Nie zauważyłam.

Uśmiecham się od ucha do ucha.

– Jeżeli o czymś zaczniesz mówić, zadaj jej kilka pytań dla rozwinięcia tematu. Oprzyj na tym resztę rozmowy. W ten sposób pokażesz, że słuchasz tego, co mówi, a nie ma nic lepszego niż potwierdzenie, że ktoś cię słyszy.

Molly potakuje. Słucha uważnie.

Kiedy po dwudziestu minutach docieramy na miejsce, tor jest zaskakująco pełen ludzi. W nosie kręci mnie zapach starych dywanów, stóp i jakiegoś tłustego żarcia, które pichci się przy stoisku gastronomicznym. Przyjmuję z pewną ulgą fakt, że światła są przygaszone – z wyjątkiem migoczącej lustrzanej kuli nad środkową częścią toru – bo podejrzewam, że to miejsce nie powinno być nikomu pokazywane w świetle dziennym.

– Miły był ten gest, kiedy otworzyłaś dla mnie drzwi samochodu – mówię, gdy kupujemy bilety. Pochylam się bliżej do niej, żeby przekrzyczeć gigantyczne głośniki, z których dobiega *September* zespołu Earth, Wind & Fire. – Teraz powinnaś przynajmniej zaproponować, że zapłacisz za Corę. Zwłaszcza że to ty zapraszasz ją na randkę.

Molly zamiera bez ruchu z dłonią w portfelu.

– Czy... za ciebie też mam teraz... zapłacić?

Wyjmuję z kieszeni dychę i potrząsam głową.

– Tej części nie musimy ćwiczyć. Bądź co bądź to nie jest prawdziwa randka.

Molly potakuje i obie milkniemy. Kasjerka odlicza resztę, a potem zaczyna poszukiwania właściwych dla nas rozmiarów wrotek. Kiedy z nimi wraca, sięgamy po nie jednocześnie i nasze ręce delikatnie się trącają.

Hmm... może wyjście na wrotki to jednak nie taki zły pomysł. Zdecydowanie nie mieści się w moim zwykłym repertuarze, ale muszę przyznać, że ma wszystkie cechy udanej pierwszej randki. Trochę flirtu, trochę trzymania się za ręce, może coś na ząb z budki z przekąskami. To ma szansę się udać.

Mimowolnie wybucham śmiechem, kiedy Molly testuje kółka obu par wrotek, obracając kolejno każde z nich, i w końcu potakuje z uznaniem, jakby próbowała eleganckiego wina w re-

stauracji wyróżnionej gwiazdkami Michelina.

Zanosi się na ciekawy wieczór.

Włożenie wrotek na nogi wcale nie jest trudne.

Korzystanie z nich natomiast okazuje się zadaniem z piekła rodem.

Udało mi się pokonać, kuśtykając, całą szerokość usianego czarnymi cętkami dywanu. Przy okazji zmówiłam tyle zdrowaśki, ile zdołałam sobie przypomnieć, a potem weszłam na błyszczący drewniany parkiet.

I to był... wielki błąd.

Od razu przytrzymałam się ściany i pozwoliłam się wyprzedzić innym wrotkarzom. Od tamtej chwili przy każdym kroku czuję, że nogi uciekają mi w różne strony.

Dlatego więc, naturalnie, zdecydowałam się zaprzestać wszelkich prób i za żadne skarby nie odrywać się od ściany.

– Przede wszystkim musisz się puścić! – mówi Molly, wykonując przede mną drobne kółka... tyłem!

Patrzę na nią morderczym wzrokiem, moje paznokcie wbijają się w ścianę i ciężko stąpam naprzód.

– Jeśli się puszczę, to...

Moja przepowiednia się spełnia, zanim zdążyłam ją wypowiedzieć do końca. Padam jak kloc na drewnianą podłogę, wrotki wyjeżdżają spode mnie i lądują na tyłku. Kość ogonowa na pewno rozpada mi się na milion kawałków. Leżę płasko jak naleśnik i gapię się na biały sufit, pod którym dyskotekowa kula odbija na wszystkie strony ruchliwe promienie światła.

Zwracam głowę w bok i widzę, że Molly śmiga obok. Zatrzymuje się z obrotem tuż przede mną.

– Bardzo stylowo – mówi wyraźnie rozbawiona tą sytuacją.

– Nie odzywaj się do mnie – odpowiadam. Moje oczy wędrują od jej twarzy do sufitu. – Zostaw mnie tu i pozwól mi umrzeć.

– Cóż, ty nigdy mnie nie słuchasz – mówi i uśmiecha się pochyłona nade mną. – Więc tym razem ja też nie posłucham ciebie.

Wyciąga do mnie rękę, unosi zachęcająco brwi, więc wzdycham i chwytam jej ramię. Podciąga mnie, ale ku mojemu zaskoczeniu nie puszcza, gdy staję na własnych nogach.

– Zajmiemy się tym krok po kroku, dobrze? – proponuje.

Czuję w dłoni jej ciepłe, miękkie palce, kiedy zaczyna wolno jechać tyłem, i przyciąga mnie lekko ku sobie. Mój żołądek zaczyna wyprawiać dzikie harce.

– Okej, to... – mówię, szybko cofając dłonie. – To jest doskonała sztuczka, na pewno zrobi wrażenie na Corze.

Ledwo kończę wypowiadać te słowa, a już moje ramiona młóćą dziko powietrze, lecz Molly chwytą mnie za barki i udaje mi się odzyskać równowagę.

Uśmiecham się do niej zawstydzona, a Molly potrząsa głową.

Opuszki jej palców ześlizgują się wzdłuż moich rąk, Molly znowu ujmuje moje dłonie i trzyma mocno, kiedy suniemy po parkiecie. Zataczamy okręgi i z każdym okrążeniem nabieramy prędkości.

Wlepiam oczy we wrotki i mierzę w myślach ich równy rytm, więc ledwo zauważam panujące między nami milczenie.

Prawa, lewa, prawa, lewa.

– Widzisz? – szepcze Molly. Jej głos z trudem przebija się przez muzykę. – Nie jest tak źle.

Unoszę głowę i patrzę w jej oczy. Zamierzam powiedzieć, że podczas upadku kontuzjo-

wałam sobie pośladki, ale słowa więzną mi w gardle.

Jej twarz znajduje się ledwie kilka centymetrów od mojej, błyski lustrzanej kuli odbijają się w jej ciemnych oczach i tańczą na błyszczym wargach. Na zakręcie pochyła się jeszcze bliżej, nasze piersi niemal się stykają, a słodki zapach jej kwiatowych perfum przebija się przez odór brudnych skarpetek. Jest znajomy, bezpieczny i niemal obezwładniający.

To tak niespodziewane uczucie, że serce zaczyna mi głośno łomotać w piersi.

Trudno powiedzieć, czy przyczyną szybkiego pulsu jest przecucie nieuchronnej zagłady spowodowanej kolejnym upadkiem, czy... Molly.

Nie jestem pewna, czy naprawdę chcę poznać odpowiedź.

Staje mi przed oczami twarz Natalie i szybko wysuwam dłonie z rąk Molly. Nieco chwiejnie przejeżdżam koło niej.

– Już umiem.

Zaciskam dłonie w pięści, koncentrując się na tym, żeby uniknąć śmierci, i ignorując tamto... coś, czymkolwiek to było. Stawiaj stopy jedna przed drugą, Alex. Jedna przed...

Zerkam w bok w samą porę, by zobaczyć, jak wyprzedza mnie najprawdziwszy na świecie przedszkolak – robi to tak szybko, że pęd powietrza za nim niemal mnie przewraca.

– Wyobraź to sobie – mówi Molly, kiedy do niej wracam. Wyciąga ręce, żeby mnie ustabilizować, zanim ściągnę nas obie do parteru. – Może pewnego pięknego dnia będziesz w tym taka dobra jak pięciolatek.

Prycham i napięcie od razu się rozwiewa.

– Wątpię.

– Jak więc oceniasz moje szanse? – pyta Molly, jadąc tyłem, a ja znowu zaczynam się chwiejnie poruszać naprzód. – Wiesz, gdybym przyjechała tu z Corą.

– Raczej dosyć wysoko. – Zerkam na nią z ukosa. – Tylko, kurde, lepiej od razu przejdź do etapu trzymania jej za ręce, zanim roztrzaska sobie kręgosłup. Zdaje się, że właśnie dla takich wniosków podejmuje się trening na sucho.

Kiwam głową, znowu praktyczna i rzeczowa. Ona chce tu być z Corą. Nie ze mną. Wszystko gra. W najlepszym razie to oznacza, że jestem dobrą trenerką.

Molly potakuje i uśmiecha się skromnie, ale czuję, jak promieniuje od niej pewność siebie.

Kolejne pół godziny ścigam Molly dokoła toru, chociaż „ścigam” to chyba za mocno powiedziane.

Pewno wyglądam raczej jak bobas ze żłobka próbujący dogonić Usaina Bolta.

Za każdym razem, kiedy wywijam młynki rękami, jej ramiona wyciągają się, żeby przywrócić mnie do pionu, i obie pękamy ze śmiechu.

– Boże, ty naprawdę jesteś w tym beznadziejna – mówi Molly, kręcąc głową po tym, jak kolejny raz niemal rozkwaśliłam sobie nos na ścianie.

– To taki mój dar – mówię.

Wtem w starodawnym głośniku milknie w pół wersu *Rock with You* Michaela Jacksona.

– A teraz moment, na który wszyscy czekali! – zapowiada trzeszczący głos. – Za chwilę zacznie się na środku toru pełna wspaniałych nagród zabawa w limbo.

Akurat! To dosłownie ostatnia rzecz, na którą czekałam. Staram się wydostać na mniej śliską powierzchnię, lecz Molly chwyta mnie za rękę i ciągnie w kierunku wyznaczonej linii.

– Molly, ja nawet na twardym gruncie jestem do niczego w limbo – mówię, a tymczasem muzyka znowu rozbrzmiewa. Głośniki pompują energiczne dźwięki *Limbo Rock*. – Nie widzisz, jaka jestem wysoka? Oczywiście Corę jak najbardziej możesz w to wciągnąć, ale ona jest o wiele niższa ode mnie.



– To pierwsza runda. Wystarczy jedynie pochylić głowę – odpowiada Molly.

Przesuwamy się wolno naprzód. Dzieci, nastolatki i dorośli przed nami jakby nigdy nie przemykają pod drewnianym drążkiem.

Patrzę podejrzliwie na patyk zawieszony na wysokości piersi i kuśtykam ostrożnie do niego, kiedy nadchodzi moja kolej.

Już, już odchylam w tył głowę, lecz wtem prawa wrotka zaczepia się o lewą i padam całym ciężarem do przodu, uderzając głową w drążek. Mocno.

Muzyka raptem milknie i nad kolejną uczestników gry unosi się zbiorowe westchnienie:

– OOOCH!

Zapada grobowa cisza. Taka, że usłyszałabyś brzęk spadającej szpilki.

Siadam i pocieram czoło. Mój wzrok natrafia na twarz Molly i... pękają nam wszystkie tamy. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie śmiałam się tak głośno, jak teraz. Molly zwija się w pół i wyje ze śmiechu, a ja turlam się po ziemi, próbując złapać oddech. Jeden po drugim wszyscy dołączają do tego wybuchu wesołości. Molly wyciera łzy z oczu, kiedy w końcu do mnie podjeżdża.

Wyciąga rękę i wskazuje głową w kierunku wyjścia.

– Chcesz się już ewakuować?

– Tak, to chyba dobry pomysł – odpowiadam, a ona podciąga mnie do góry i bezpiecznie sprowadza z piekielnie śliskiego drewnianego parkietu.

Nasze palce się rozplatają, gdy tylko docieramy do upačanego cętkami dywanu, ale obie nadal chichoczymy.

Kiedy siadamy na drewnianej ławce przy okienku zwrotów wypożyczonego sprzętu, Molly obraca się ku mnie, nagle poważniejąc. Widzę w jej brązowych oczach błysk troskliwości, kiedy wyciąga rękę, żeby lekko dotknąć guza, który pęcznieje na moim czole. Jej palce są chłodne i delikatne, a ponadto wywołują u mnie silniejsze zawroty głowy niż wstrząs mózgu świeżo nabyty wskutek wyrznięcia w drążek do limbo.

Absolutnie nie doceniłam jej możliwości w tej grze.

– Nie potrzebujesz lodu? – pyta i wskazuje głową na stoisko gastronomiczne. – Mogę ci go trochę załatwić.

– Ee, nie. – Przecząco kręcę głową.

Molly się odsuwa i zaczyna zdejmować wrotki, a ja staram się uciszyć bicie serca, które niespodziewanie wskoczyło na wyższe obroty.

Wygląda na to, że ona wcale nie potrzebuje treningu.

Molly zdejmuje wrotki i wstaje.

– Mimo to przyniosę – mówi, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy. – Nie mogłabym sobie wybaczyć, gdyby przeze mnie pojawił się siniak na twojej maszynie do zarabiania napiwków! – krzyczy do mnie przez ramię.

– Ha, ha, jasne.

Trochę się jąkam, bo widocznie mój mózg postanowił zupełnie odmówić posłuszeństwa. Patrę na nią, jak się oddala, a potem z przeciągłym stęknieniem pochylam się, żeby rozwiązać do końca sznurówki moich wrotek.

Telefon mi byczy w kieszeni, więc szybko go wyjmuję. Na ekranie jaśniej wiadomość od Tonyi.

Właśnie widziałam Tommy'ego, kiedy wychodził od twojej mamy. Pomyślałam, że chciałabyś o tym wiedzieć.

Cholera.

# MOLLY

Może i jest już grubo po zachodzie słońca, kiedy wracamy do Pitt.

Może i czuję się kompletnie wykończona.

Może i mam obolałe kostki po dwóch godzinach jazdy na wrotkach.

Mimo to jeszcze nie jestem gotowa, żeby się pożegnać.

Zamiast więc podrzucić Alex pod czerwone drzwi jej mieszkania studenckiego, parkuję naprzeciw kampusu pod samą Świątynią, gdzie zwykle panuje względny spokój, bo to miejsce jest oddalone od barów i życia nocnego.

– Dobra decyzja. Starasz się przedłużyć randkę – mówi Alex, zerkając na mnie, i odpina pas.

– No właśnie. – Staram się udawać, że właśnie to miałam na myśli.

Wysiadamy i ruszamy na spacer opustoszałym chodnikiem, od czasu do czasu trącając się lekko ramionami. Od chwili mojego powrotu z woreczkiem lodu na torze wrotkowym Alex jest dziwnie milcząca.

– Dobrze się czujesz? – pytam, żeby się upewnić.

– Tak. Nic mi nie jest.

Jednak jej odpowiedzi towarzyszy głębokie westchnienie. Nie wygląda, jakby nic jej nie doskwierało, ale po kilku minutach milczenia słyszę jej śmiech. Obracam się do niej i widzę, że potrząsa głową, rozmyślając o czymś.

– Myślisz o limbo? – pytam z uśmiechem.

– O wszystkim – odpowiada i po chwili obie przerzucamy się zabawnymi uwagami dotyczącymi wszystkiego, co dzisiaj się działo.

– Chyba po raz pierwszy naprawdę poczułam się tutaj nieco bardziej jak w domu – mówi Alex, odzyskawszy oddech po ostatniej fali śmiechu.

– Wiem, co masz na myśli – odpowiadam.

Dzisiejszy wieczór miał w sobie to coś...

Właśnie tak wyobrażałam sobie życie studenckie, chociaż po zamieszkaniu w moim jednoosobowym pokoju ani trochę nie wierzyłam, że te fantazje się spełnią.

To wszystko, na co w życiu czekałam, a nawet o wiele więcej.

Na pewno będę pamiętać ten wieczór. Alex też, jeśli po tym guzie na czole zostanie jej blizna.

– Właściwie nie wiem, czy... gdziekolwiek czułam się jak w domu. To miłe uczucie – mówi, a mnie zaczyna uwierać gula w gardle, kiedy słyszę, że nawet w swoim domu nie czuła

się... jak w domu.

– Cieszę się – odpowiadam, trąc ją lekko ramieniem.

Chłodne jesienne powietrze wywołuje gęsią skórę na całym moim ciele, więc odwiązuję flanelową koszulę i wkładam ją, zostawiając niezapięte guziki.

Alex skręca w prawo, w ten sposób oddalając się od swojego mieszkania. Kieruje się w stronę parku Schenley, gdzie budynek wydziału sztuki Pitt jaśnieje w świetle bijącym od dużej kamiennej fontanny przed jego wejściem.

– Podejź – mówi głosem nieco zdartym po kilku godzinach dzikich wrzasków i śmiechu.

Bierze mnie za rękę i prowadzi do cementowych schodów biblioteki im. Carnegiego. Nawet nie pytam, po co idziemy do biblioteki w sobotę tak krótko przed jej zamknięciem. Pozwalam się zaciągnąć aż pod drzwi, bo powoli odkrywam, że dobre rzeczy dzieją się, kiedy nieco popuszczam sobie cugli.

Za szklanymi drzwiami, w westybulu Alex puszcza moją dłoń. To właściwie dziwne uczucie – nie trzymać teraz Alex za rękę po tak długim prowadzeniu jej na torze wrotkowym. Idę krok w krok za nią przez główną salę, mijamy kafenię, przy której Alex wepchnęła się przede mną do kolejki, zbliżamy się do schodów, gdzie zdyszana i zziębnięta biegnę za nią, pokonując trzy ciągi stopni, i docieramy na najwyższe piętro, na którym jeszcze nigdy nie byłam. Alex idzie wolnym krokiem wśród zakurzonych regałów – autobiografie ustępują miejsca powieściom historycznym. Na piętrze nie ma ani jednego pracownika, który mógłby nas pokierować, i już zamierzam zapytać, co tu robimy, lecz wtem Alex zatrzymuje się w przejściu między regałami i zwraca się przodem do mnie.

– Słyszysz to? – pyta.

Jej pierś unosi się rytmicznie w świetle bzykających jarzeniówek.

Jednak jedynym dźwiękiem, który do mnie dociera, jest odgłos naszych zdyszanych oddechów.

– Nic nie słyszę. – Kręcę głową.

– Właśnie. Głucha cisza – mówi Alex.

Zamyka oczy i siada na podłodze, opierając się plecami o dolne półki.

Podchodzę i siadam koło niej. Obejmuję kolana dłońmi i skubię szwy jeansów. Kiedy tak siedzimy w tej ciszy, nachodzi mnie ochota, żeby powiedzieć jej to, o czym myślałam już od jakiegoś czasu.

Nie jestem jednak pewna, czy naprawdę tego chcę. Nie chcę, żeby uznała mnie za dziwaczkę, ale kiedy siedzimy tak blisko siebie w kompletnej ciszy, to jest jedyna rzecz, która leży mi na sercu. Bez względu na to, jak bardzo jestem podekscytowana wizją powtórzenia dzisiejszego wieczoru z Corą, ta próbna randka... znaczy dla mnie coś zupełnie innego.

Chcę, żeby Alex to wiedziała.

– Alex? – zaczynam, wpatrzona w rząd książek przed nami.

– Uhm? – odpowiada krótko.

– Chcę ci coś powiedzieć, tylko się nie śmieję. Dobrze?

– Okej – szepcze.

Biorę głęboki wdech, zasycha mi w ustach.

– Dprowadzasz mnie do obłędu, ale... jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam – wyznaję nieco drżącym głosem.

Ona nie odpowiada, ale dostrzegam kątem oka, że sposób, w jaki na mnie patrzy, jest wystarczająco wymowny. Dosuwa prawą stopę po podłodze do mojej lewej stopy. Obie długo milczymy, aż w końcu Alex odkasłuje.

– Jeszcze nigdy... ech... nigdy tu nikogo nie przyprowadziłam...

- Do biblioteki? – pytam i sceptycznie mrużę oczy.
- Nie, Molly. – Powstrzymuje śmiech. – Pozwól mi...

Daje mi do zrozumienia gestem, że chce powiedzieć coś więcej, ale nie może dojść do słowa.

- Och, przepraszam – szepczę i czekam na ciąg dalszy.

– Kiedy byłam młodsza, moi rodzice często się kłócili. Jeździłam wtedy rowerem do biblioteki, siadałam na podłodze ukryta za rzędami książek i czytałam. Nikt nie krzyczał ani niczego nie tłukł. Było po prostu cicho. – Zamyka oczy, a ja siadam wygodniej, mając nadzieję, że nie robię tego zbyt gwałtownie, żeby jej nie przerywać. Alex kontynuuje: – Kiedy zaczęłam chodzić do liceum, problem alkoholowy mojej mamy zaczął... Trudno mi nawet... – Potrząsa głową i po chwili decyduje się mówić dalej. – W ogóle nas nie słuchała, nie chciała zwrócić się do nikogo po pomoc. A kiedy już sądziłam, że gorzej być nie może, bo mama całe dni spędzała kompletnie zamoczona na sofie, a pieniędzy brakowało nawet na jedzenie, mój tata po prostu...

Widzę, że oczy zachodzą jej łzami, usta próbują wykrztusić coś więcej niż pojedyncze dźwięki.

– Zostawił mnie. Zostawił mnie samą, żebym posprzątała w pojedynkę to, co jeszcze dało się posprzątać. – Wzrusza ramionami. Mimowolnie zachłystuje się powietrzem, zaskakując tym samą siebie, i w końcu otwiera się całkowicie przede mną. – I próbowałam, ale sprawy układały się coraz gorzej... O Boże, odnoszę wrażenie, że przez całe życie mam pod górkę. Z mamą. Z pieniędzmi. Z moimi związkami uczuciowymi. – Milknie na chwilę i obraca się, żeby popatrzeć mi w oczy pierwszy raz od początku tej rozmowy. Oddycha w urywany sposób. – Nie chcę, żeby całe moje życie tak wyglądało. Żeby biblioteka była dla mnie jedynym bezpiecznym schronieniem, bo jestem zupełnie samotna.

Nigdy dotąd nie pragnęłam tak bardzo nikogo pocieszyć.

- Alex, nie musi tak być – mówię, zdobywając się na jak największą pewność siebie.

– Mówisz tak, jakby to było oczywiste. Jakbym mogła po prostu zmienić kierunek studiów na anglistykę i przez kolejne cztery lata zajmować się jedynie czytaniem, jedzeniem mrożonych jogurtów i zabawą w głupie pytania podczas wieczornych spacerów, a mój świat jakimś cudem nie rozpadłby się na kawałki.

– Nie rozpadnie się – mówię. Moje serce wyrywa się do niej. – Najważniejsze, czego się od ciebie nauczyłam, jest to, że powinnaś dążyć do spełnienia swoich pragnień, bo w przeciwnym razie nic się nigdy nie zmieni. Alex, twoje życie nie musi być zwierciadłem życia twoich rodziców. I nie musisz kończyć studiów, które wcale cię nie interesują, kierowana jedynie strachem, że może się nim stać. Niektóre rzeczy muszą się rozpaść, bo do siebie nie pasują, ale inne pasują tak dobrze, że za nic w świecie się nie rozpadną.

– Takie coś zdaje się możliwe, jedynie kiedy spędzam czas z tobą – mówi ze wzrokiem wbitym w dywan. – Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś takiego jak ty.

– Jakiego? Skrępowanego? Przerażonego życiem? Nieprzystosowanego społecznie? – podsuwam jej słowa służące uzupełnieniu tej charakterystyki.

– Dobrego. Jesteś po prostu... dobra, Molly – odpowiada, patrząc na mnie z ukosa. – Cora ma wielkie szczęście, że z nią będziesz.

Nagle czuję potrzebę zadania tego samego pytania, które padło pierwszego dnia, kiedy zgodziłyśmy się na realizację tego planu. Znam podstawową przyczynę, ale zdaje się, że teraz wszystko uległo zmianie. Zmianie, której nie umiem dokładnie nazwać, bo sama jej jeszcze nie rozumiałam.

- Dlaczego to robisz?

Alex parska śmiechem, ale po chwili milknie, jakby sama chciała zrozumieć prawdziwą

przyczynę, zanim mi o niej powie.

– Ja... – Bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze z płuc, jej wzrok przesuwają się po książkach naprzeciw nas. – Chcę udowodnić... przed sobą... że też umiem być dobra. Chcę być człowiekiem godnym zaufania, na którym można polegać. Chcę być człowiekiem, który umie się otworzyć.

Znowu patrzy na mnie, nasze oczy w końcu kierują się ku sobie. Alex kuli się pod regałem.

– Przede mną bardzo się otworzyłaś – mówię.

Po raz pierwszy zauważam ledwo widoczne żółte wiązki wplecione w zieleń jej tęczywek.

– Z tobą to co innego – mówi cicho, a jej głowa leciuteńko opada w moją stronę.

Ten gest jest tak subtelny, że ledwie widoczny.

Ja go jednak dostrzegam.

Powietrze między nami jest odurzające.

Krążą w nim jakby ładunki elektryczności.

– Gdyby to była prawdziwa randka – mówi Alex – to teraz nastąpiłby pocałunek.

Oddech więźnie mi w gardle, a zamiast bólu kostek, o którym już zdążyłam zapomnieć, czuję teraz ból w piersi.

Nie wiem, czy to prawda, czy jedynie sobie to wmawiam, ale mam wrażenie, jakby przestrzeń między nami malała, malała, aż...

Z telefonu dobiega sygnał wiadomości. Ten dźwięk wyrывa ją i mnie z przyciągającego nas pola magnetycznego. Alex szybko się odwraca, przesuwają się o kilka centymetrów w przeciwnym kierunku, a ja wyjmuję telefon.

– To Cora – mówię i nie wiem dlaczego czuję się niemal winna. Nagle to, o czym czytam, paraliżuje moje zmysły. – O mój Boże. Ona chce iść ze mną w piątek na kolację. Pouczyć się razem, a potem wybrać się coś zjeść. – Obracam telefon do Alex, która raptownie wyjmuję mi go z rąk. – Zaprasza mnie na randkę, tak? O tym jest ten SMS? – upewniam się.

– Yyy... – Alex przybliżyła telefon do oczu i odczytuje tekst ukryty w gąszczu emotek. – Tak. To zdecydowanie zaproszenie na randkę – mówi. – Wobec tego chyba oficjalnie możesz pominąć krok trzeci.

– Ja cię kręcę, w końcu idę na randkę z Corą Myers!

Ale... nie czuję takiej ekscytacji, na jaką liczyłam. Wmawiam sobie, że to pewnie dlatego, iż wspólna nauka ani kolacja nie brzmią tak fajnie jak wieczór na wrotkach, który mogłybyśmy razem przeżyć. To na pewno nie ma nic wspólnego z...

– Czekaj no. Piątek? – Alex oddaje mi telefon. – To trzynastego września. Data koncertu Natalie. Idealnie. Będzie mogła to zobaczyć na własne oczy – ciebie z Corą dzięki mojej pomocy. Zaproś ją na ten koncert! Dzięki temu w razie potrzeby będziesz mnie miała pod ręką. To może być coś w rodzaju... podwójnej randki – mówię.

Unoszę wzrok do jej twarzy i przez chwilę próbuję powziąć decyzję, czy na pewno tego chcę. Nie jestem pewna, co dokładnie zaszło tu między nami, ale czuję do Alex Blackwood coś, o co nigdy bym się nie podejrzewała. Nie chcę, żeby randka okazała się festiwalem niezręczności.


Ale... trudno zaprzeczyć, że przydałaby mi się jej pomoc podczas mojej pierwszej randki. Nie chciałabym kompletnie spieprzyć wieczoru z Corą, skoro już nie idziemy na wrotki. Ponadto Alex ma rację. To doskonała okazja, żeby udowodnić Natalie, jak bardzo mi pomogła. Po wszystkim, co Alex dla mnie zrobiła, jestem jej to winna.



– No dalej. Odpisz. Przecież właśnie na to czekałaś, prawda?

Alex przerzuca piłkę na moją połowę boiska, ale dosyć starannie unika mojego wzroku.

– Ee, tak. No jasne, oczywiście.

Zatem piszę zalotny tekścik do Cory.

Kolacja brzmi super!  Ale może mam jeszcze lepszy pomysł. Chcesz pójść ze mną

na koncert? Gwarantuję tłum spoconych ciał i napoje w wygórowanych cenach.  

Pokazuję go Alex, a ona po krótkiej pauzie wysyła SMS-a w moim imieniu.

Cora odpowiada błyskawicznie: TAK!!

Alex mówi prawdę. Zawsze o tym marzyłam, chociaż nigdy się nie spodziewałam spełnienia tych marzeń. Chodzi o Corę! Nie zepsuję tego z powodu jednego wieczoru, jednej chwili zapomnienia w bibliotece z dziewczyną, której jeszcze przed miesiącem absolutnie nie znosiłam. Z dziewczyną, którą bardzo wyraźnie interesuje zupełnie kto inny.

Zatem ustalone.

W przyszły piątek krok czwarty. Idę na prawdziwą randkę. Na moją pierwszą randkę.

Z Corą Myers.

Tylko my dwie.

I Alex.

I Natalie.

Doskonale.

## ROZDZIAŁ 29

# ALEX

Pędzę po schodach do mojego mieszkania.

Wiraż dokoła słupka poręczy. Kręci mi się w głowie, kiedy otwieram drzwi, wchodzę do środka i niemal wpadam na Heather.

– Wszystko gra? – pyta moja współlokatorka z parującym styropianowym kubkiem nudli w ręce. – Wyglądasz, jakbyś była... zmordowana.

„Zmordowana?”.

Alex Blackwood nie bywa zmordowana.

A już na pewno nie za sprawą Molly Parker.

– Tak. Absolutnie nic mi nie jest – mówię i śmiejąc się głupkowato, idę korytarzem do mojego pokoju. – Wszystko w najlepszym porządku! – dodaję i zamykam za sobą drzwi.

Opieram się o nie plecami i osuwam na podłogę.

Co to, kurwa, miało znaczyć?

Zamykam oczy, zasłaniam je dłońmi, ale nadal widzę twarz Molly niczym obraz namalowany po wewnętrznej stronie powiek – jej twarz przybliżyła się do mojej, usta znajdują się na tyle blisko, że...

Odsuwam ręce od twarzy i potrząsam głową. Wizerunek blednie.

– Weź się w garść, Alex. Nie dopatruj się w tym czegoś, czego tam nie ma – mamrocę pod nosem i prostuję przed sobą nogi na podłodze, buty objijają się o siebie.

Przecież od całego miesiąca z nikim się nie całowałam. To mój rekord! Nic dziwnego, że ta randka na niby tak na mnie podziałała.

Jednak umysł uparcie każe mi wracać. Do toru wrotkowego, do zapachu jej kwiatowych perfum, do uczucia, które dawał dotyk jej dłoni. Do biblioteki, do ciemnych oczu Molly w przytłumionym świetle, wzbudzających do lotu chmarę motyli w moim brzuchu. To nie było na niby.

– Cholera.

Osuwam się jeszcze niżej i kładę na wznak na pokrytej dywanem podłodze. Patrzę, jak światła przejeżdżającego za oknem samochodu tańczą na panelach sufitu, a serce wali mi jak młotem pod bawełną T-shirtu.

Jestem zauroczona Molly.

Ta myśl pojawia się ni stąd, ni zowąd. Wpierw mnie zaskakuje, ale...

Powtarzam co chwila te słowa, odkrywam w nich budzącą strach prawdę.

„Jestem zauroczona Molly”.

Molly, która na pierwszą randkę wybiera wrotki.

Molly, która nawet nie wie, jak zaprosić dziewczynę na randkę.

Molly, która ubiera się jak sześćdziesięcioletnia kobieta.

Jęczę i obracam się na bok, podciągam kolana pod brodę, a myśl o jej ubraniach przywołuje wspomnienie pani Parker z uśmiechniętą miną i srebrzystą bańką włosów na głowie. Pełne miłości spojrzenie, którym zawsze obdarza Molly. Konspiracyjnie puszczone do mnie oko, kiedy się poznałyśmy.

...Jak bardzo znienawidziłaby mnie, gdybym złamała Molly serce, a tego przecież nie dałoby się uniknąć, bo widocznie Natalie ma rację.

Natalie.

Dziewczyna, z którą łączy mnie wiele wspólnych przeżyć. Która powiedziała, że mnie kocha, chociaż jest milion powodów przemawiających za tym, że nie powinna. Dla której od miesiąca urabiam sobie tyłek, żeby udowodnić, iż ja też umiem być dobrym człowiekiem. Że umiem być autentyczna, szczerą i otwartą wobec innych ludzi.

Ale... osiągnęłam tylko tyle, że otworzyłam się przed niewłaściwą osobą.

To było... Pierwszy raz w życiu nie miałam poczucia klaustrofobii ani innych okropności. Było... tak łatwo i przyjemnie. Dzisiaj w bibliotece. Tydzień temu u niej w akademiku.

Przygniata mnie jakby wielki ciężar, wyciągam rękę i skubię wystające z dywanu włókienko.

Wygląda na to, że jestem dokładnie taka, jaką mnie opisała Natalie.

Nie można mi ufać, zwłaszcza na odległość.

Lecz to... to coś jeszcze gorszego. Nic podobnego do tej pory mi się nie zdarzyło. Flirty, randki i podrywy były na porządku dziennym. Ale nie... coś takiego.

No, ale to przecież nie ma znaczenia.

Przecież Molly podoba się Cora. Perfekcyjna, słoneczna, tęczowa i jak tam jeszcze Molly ją postrzega. Ich związek ma sens, którego ze mną nie miałby za grosz. Cora stanęła w jej obronie tamtego wieczoru podczas imprezy, kiedy ja uwzięłam się głupio na Molly. Są z tego samego miasta. Cora nie jest... no cóż...

Taka jak ja.

Wybrakowana. Skazana na to, żeby ją skrzywdzić, choćbym nie wiadomo jak bardzo starała się tego nie zrobić.

Leżę skulona na podłodze wystarczająco długo, by pozamykać w małej, eleganckiej puszcze wszystkie moje złe emocje i uczucia.

Zamykam je w puszcze opatrzonej etykietką: NIE OTWIERAĆ. W puszcze, której konstrukcja trwa, dopóki niebo nie staje się czarne jak smoła.

Naprawię to.

Nie wykoleję projektu tylko dlatego, że nieco za dobrze przyłożyłam się do zadania.

Miejsce Molly jest przy Corze, a moje przy Natalie. Przy Natalie, która mnie kocha pomimo moich rażących wad.

W piątek obie zdobędziemy serca swoich dziewczyn. I znowu będzie tak, jakby to wszystko się nigdy nie wydarzyło.

Rano przypada mi zadanie pokrojenia tak wielkiej góry cebuli, że mogłabym za jej pomocą doprowadzić do łez wszystkich mieszkańców Pittsburgha.

Pocieram oczy wewnętrzną stroną przedramienia i ignorując cierpienie, szatkuję tępym nożem ten kopiec. Bawię się przy tym mniej więcej tak dobrze jak na wykładzie z biologii.

– Ładny dzisiaj dzień – mówi Jim, zgrywając pogodynkę przed budynkiem magazynu. Z papierosem zwisającym z kącika ust wygina szyję, żeby popatrzeć na niebo. – Przyda się trochę pogody. Cholernie długo nie było słonecznego dnia.



W tym tygodniu dwa razy wyprzedaliśmy się do zera, ale już zdążyłam się zorientować, że Jim uwielbia wpadać w dramatyczny ton.

Jednak dzisiaj nie jestem w nastroju do rozmowy. Kończę kroić cebulę i wysiadam z furgonetki. Zdejmuję niebieskie lateksowe rękawiczki i wyrzucam je do kosza.

Wsparta plecami o bok samochodu wyjmuję z kieszeni telefon i widzę, że dostałam SMS-a od Natalie. Wypuściła mnie z emocjonalnego karceru po tym, jak poprosiłam jednego z członków zespołu, żeby przed występem w Chicago kupił dla niej w moim imieniu karmelowe frappuccino ze Starbucksa.

Szczerze mówiąc, znajdowanie nowych sposobów na wyjście z celi zaczyna być trochę nużące – i coraz trudniejsze, zwłaszcza że moim zdaniem dzieje się... dosyć często.

Już w Ohio! Do zobaczenia w piątek ;)

Waham się z kciukiem uniesionym nieruchomo nad klawiaturą, bo niepewność snuje się niczym szept po moim ciele. Zagłuszam ją jednak i odpisuję: Nie mogę się doczekać! i ozdabiam większą liczbą emotek niż w facebookowym poście mamuśki w średnim wieku.

Wkładam komórkę do kieszeni i wracam do środka, żeby pomóc Jimowi w cięciu ziemniaków na frytki. Ten przygląda mi się, kiedy przejmuję kralajnicę i w rekordowym czasie rozprawiam się z dwoma kartonami ziemniaków, nie zważając na spocone mimo chłodu czoło.

– Wszystko z tobą w porządku? – pyta z lekko rozbawionym uśmiechem.

– Nic takiego. – Robię znużoną minę i wkładam kolejnego ziemniaka do kralajnicy, a potem pociągam z łoskotem wajchę. – Zwykle problemy... z dziewczynami.

Nie spodziewam się odpowiedzi, ale Jim podśmiewa się i wciska pokrywę na jeden z wypełnionych po brzegi kubłów z frytkami, a potem ze stęknieniem go podnosi.

– Wiem, jak to jest. Kiedyś nie mogłem się od nich opędzić.

– Naprawdę? – pytam, a on uśmiecha się i stawia kubel w furgonetce, po czym wyjmuję z kieszeni telefon.

– Co się tak dziwisz? – mamrocze, mrużąc oczy nad wyświetlaczem.

Po dwóch kliknięciach pokazuje mi swoje rozmazane zdjęcie w czasach szkoły średniej – gładko ostrzyżony, w sportowej kurtce z wielką literą i z dwiema cheerleaderkami wtulonymi w niego pod muskularnymi ramionami.

Wygląda jak zupełnie inny człowiek.

– Kurde, bez jaj – mówię, przenosząc wzrok to na zdjęcie, to na obecnego Jima.

Odkłada telefon.

– W głowie się nie mieści, co dziesięć lat narkotyków i alkoholu może zrobić z człowiekiem. – Wynosi z magazynu kolejny karton ziemniaków i stawia go przed moimi stopami. – Już jestem trzeźwy dzięki rehabilitacji w Erie i cotygodniowym spotkaniom w AA, ale wszystko straciłem. Przyjaciół. Rodzinę. Narzeczoną. – Wzdychając przeciągle, siada na progu furgonetki, wkłada papierosa do ust i go zapala. – Była moją szkolną sympatią, ale odeszła po jednym z moich tygodniowych pijackich ciągów. Wcale jej się nie dziwię. – Patrzy nieobecnym wzrokiem przed siebie, kłęb dymu wolno wysnuwa się spomiędzy jego warg. – Alkohol był dla mnie sposobem ucieczki, wiesz?

Potakuję, czując przyływ złości na mamę. Myślę o tym, że dla niej alkohol też jest ucieczką. Że gdy przystawia butelkę do ust, wszystko inne przestaje się dla niej liczyć. Odpowiedzialność, związki z innymi ludźmi, zdolność do funkcjonowania nawet jako zwykły człowiek, a co dopiero rodzic.

Potem jednak... myślę o sobie. Może nie piję, ale... na pewno też uciekam przed problemami w inny sposób. Tak samo jak mama.

– Rozumiem – mówię i wzdycham przeciągle, spuszczaając wzrok do kartonu z ziemnia-

kami, który pęcznieje po bokach, ledwo mieszcząc cały ciężar.

Jim stęka, kiedy wstaje, a potem celuje we mnie grubym palcem.

– Nie wiem, jaki problem cię trapi, ale nie uciekaj przed nim. Nie chcesz być w przyszłości stara i samotna jak ja, dziecko.

– Jim. O czym ty, do diabła, mówisz? Przecież masz... ile?... ze czterdzieści lat.

– Ech. No wiesz.

Macha zrezygnowany ręką, wkłada papierosa z powrotem do ust i wychodzi na dwór.

Patrzę, jak się oddala, ale jedno słowo, które powiedział, zostaje ze mną. Ucieczka.

Myślę o Natalie. O jej wyznaniu miłości tamtej nocy w Filadelfii. O tym, że otworzyła mi oczy na coś, czego sama o sobie nie wiedziałam. Ile oparcia i pewności daje nam to, co stworzyliśmy, nasz związek.

A ja go teraz sabotuję. Jak za każdym razem.

Dlaczego miałabym przed tym uciekać i wzdychać do dziewczyny, której podoba się ktoś inny?

Już nie mogę być tą, która wciąż ucieka. Nie chcę być jak mama. Muszę zostać. A jeśli nie uda mi się z Natalie, to nie uda się z nikim. Muszę spróbować.

Pochylam się po ziemniaka, a potem z mocnym postanowieniem zmiany przepuszczam go hałaśliwie przez kralnicę.

# MOLLY

Sala jest mała. Zmieści się w niej może ze sto osób na stojąco między podwyższoną sceną i dużym prostokątnym barem w głębi budynku. Żyrandole w stylu retro wiszą na długich łańcuchach pod kolebkowym sklepieniem, a wzdłuż dwóch długich ścian ciągną się rzędy nieprzezroczystych łukowatych okien. Wygląda jak przerobiony kościół.

– Są naprawdę dobrzy! – wrzeszczy mi do ucha Cora, przekrzykując potężne głośnieki.

Jej stopa lekko uderza o moją na czarnej, błyszczącej podłodze. Uśmiecham się i entuzjastycznie kiwam głową, ale w głowie mam taką gonitwę myśli, że naprawdę nie przysłuchałam się ani jednej piosence.

Rozprasza mnie Alex stojąca po drugiej stronie.

Rozprasza mnie fakt, że od początku wieczoru mnie ignoruje, o ile nie liczyć przypominania mi, żebym na pewno powiedziała Natalie, jak wiele dla mnie zrobiła.

Rozprasza mnie to, że od trzydziestu minut poświęca uwagę jedynie Natalie na scenie, a także sposób, w jaki Natalie patrzy na nią. Jakby każdy wyśpiewany przez nią wers był przeznaczony tylko dla uszu Alex. Jakby na sali były tylko we dwie.

Piję łyk Sprite'a i zerkam na Corę.

Ma na sobie słodką błękitną sukienkę w żółte kwiaty, która podwija jej się aż do ud, kiedy Cora tańczy w rytmie muzyki. Jej usta są idealnie podkreślone czerwoną szminką, a maleńki diamentek w nosie migocze w blasku reflektorów nad naszymi głowami.

Przyłapuje mnie na tym, że się jej przyglądam, ale nie przestaje podskakiwać do taktu.

Posyła mi tylko ten radosny, promienny uśmiech, który uwielbiam już od pierwszej klasy liceum.

To uśmiech, który wrywa mnie ze snu na jawie i przypomina, że jestem tu z Corą Myers, dziewczyną z moich marzeń.

– Cieszę się, że przyszłaś – mówię do niej z bijącym sercem.

– Nie spieszyłaś się z zaproszeniem – droczy się ze mną Cora. – Chociaż teoretycznie to ja cię zaprosiłam.

– Ha, teoretycznie to w tej chwili uczyłybyśmy się do egzaminu z biologii, gdybym nie zaproponowała koncertu, więc...

Szturчам ją lekko ramieniem. Nerwy się we mnie kłębią, ale już czuję się zupełnie inaczej niż wtedy, na imprezie, kiedy nie byłam zdolna nawet na nią spojrzeć. Nie denerwuję się tym, że coś zepsuję. Moje nerwy chyba wynikają ze strachu, że... wszystko pójdzie dobrze.

Że połączę się ze swoją wymarzoną dziewczyną.

– To prawda – ustępuje Cora. – Wobec tego cieszę się, że mnie zaprosiłaś. Naprawdę się cieszę.

Stuka swoją butelką napoju o moją i obie jednocześnie pijemy przy wtórze ogłuszającego aplauzu, który przetacza się po widowni. Alex zerka na mnie przez ułamek sekundy, a potem znowu kieruje uwagę ku estradzie. Natalie posyła w tłum całusy, Alex zaś głośno gwizdże na palcach, kiedy zespół schodzi ze sceny.

Dwie minuty później Alex przyzywa kogoś gestem, ale nie widzę tej osoby w morzu głów na widowni. Po chwili Natalie przedziera się przez tłum i podchodzi do nas. Kilka osób pokazuje ją sobie palcami i szepcze z przyjaciółmi.

Kiedy patrzę, jak się zbliża do Alex, zastanawiam się, czy pocałują się na powitanie. Bądź co bądź upłynął niemal miesiąc od ich ostatniego spotkania. One jednak pomijają ten krok, a mnie ogarnia uczucie ulgi. Alex obejmuje ramionami Natalie i przyciąga ją do siebie, po czym szepcze jej coś do ucha. Odwracam się i patrzę na bar, przy którym roją się ludzie chcący zamówić drinki, zanim główny zespół wieczoru zacznie swój set.

– I co sądzicie? – pyta Alex, odsuwając się tak, żeby wpuścić do kręgu Corę i mnie.

– Byłaś niesamowita! – mówi Cora do Natalie. – Nie miałam pojęcia, że Alex chodzi z gwiazdą rocka.

Widzę, że słysząc te słowa, Alex tężeje. Zastanawia mnie, czy taka reakcja wynika z obawy, iż Natalie pomyśli, że Alex w ogóle rzadko wspomina o swojej dziewczynie.

– No tak. – Natalie zarzuca za ramię swoje długie, czarne włosy i trzepocze rzęsami posklejnymi grubo nałożoną mascarą. – Poszczęściło się tej pani.

Alex nieco się rozluźnia, a mnie dziwnie jest patrzeć na nią, gdy jest taka nerwowa.

Zupełnie jak... nie ona.

Zakładam jednak, że rozwiązały swoje problemy, w przeciwnym bowiem razie nie byłoby ich tutaj razem.

– Hej, bejbi, przynieś mi wodę – zwraca się Natalie do Alex.

To nawet nie była prośba.

– Oczywiście – potakuje Alex. – Zaraz wracam.

– Pójdę z tobą. – Cora nosi swój pusty kubek. – Molly, chcesz dolewkę? – pyta.

– Nie, wystarczy mi. Dzięki. – Potrząsam głową.

Alex patrzy na mnie znacząco, kiedy obie znikają w tłumie, zostawiając mnie z Natalie. Będąc z nią sam na sam, czuję, że wracają moje odwieczne lęki. Strach uciska moją pierś. Myślę jednak o Alex, bo chociaż cały wieczór zachowuje się wobec mnie dziwnie, to jestem jej tyle winna.

– Cześć, mam na mię Molly. – Podaję jej rękę, a ona ujmuje ją po trwającym kilka sekund wahaniu. W tym czasie mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Czuję, że zalewa mnie pot. „Dasz sobie radę”, Molly. – Alex jest naprawdę świetna. Dużo mi pomaga – mówię, szykując się, by jej opowiedzieć, jak bardzo Alex się zmieniła od wyjazdu z Filadelfii. – Od miesiąca się...

Natalie prycha, wchodząc mi w słowo. Zirytowana przewraca oczami.

Milknę i patrzę na nią zdezorientowana.

– Niech ci się nie zdaje, że taka z ciebie wyjątkowa laska – mówi. – Widać na pierwszym rzut oka, że jesteś jak mały, zagubiony szczeniaczek spragniony uwagi. Alex zaś chętnie każdego nią obdarza... na chwilę. Taka już jest.

Cofam się o krok, a ona mrozi mnie wzrokiem i sprawia, że czuję się bardzo mała – taka jak dawniej, przed przyjazdem tutaj, przed poznaniem Alex. I chociaż tak bardzo chcę bronić mojej przyjaciółki... chociaż tak bardzo chcę powiedzieć Natalie, że wcale nie zasługuje na miejsce w życiu Alex...

Po prostu... nie mogę.

Wkrótce Alex i Cora wracają z drinkami.

– Obgadywałyście mnie, kiedy mnie nie było? – pyta Alex, patrząc wprost na mnie.

Cofam się o krok i rozprostowuję palce.

– O tak. Mówiliśmy same dobre rzeczy. – Natalie obejmuje ramieniem Alex w talii, przyciąga ją do siebie i tym razem cmoka ją w szyję. – Prawda, Molly? – pyta, przeszywając mnie wzrokiem niczym sztyletami z drugiego końca naszego małego kręgu.

Przez chwilę wytrzymuję jej spojrzenie, próbuję wymyślić jakąś ciętą ripostę, ale ostatecznie jedynie potakuję ruchem głowy.

– Zaraz wrócę – mówię i unikając wzroku Cory, oddalam się w poszukiwaniu toalet.

Wyjmuję telefon i przeciskam się przez wolne przestrzenie między ludźmi. Krew w moich żyłach osiąga temperaturę wrzenia.

Znajdź mnie koło łazienki.

Wysyłam SMS-a do Alex i czekam na nią.

## ROZDZIAŁ 31

# ALEX

Staram się uniknąć oblania co najmniej miliona osób moim dopiero co kupionym drinkiem, lecz wreszcie dostrzegam Molly wspartą o pomalowaną na czarno ścianę przy toaletach.

– Dziewczyno, co ty wyprawiasz? – pytam, wskazując kciukiem w stronę kąta baru, gdzie zostały Cora i Natalie. – Nie możesz tak po prostu porzucać swojej randki. Czy nie uczyłam cię...

– Nie lubię jej – mówi Molly, nie pozwalając mi dokończyć zdania.

Ma tak poważną minę, jak to możliwe. Jej ciemne brwi się marszczą.

– Cory? Jak to: nie lubisz jej? – pytam.

Dokąd zmierza ta rozmowa? Dopiero co przeflirtowały ze sobą cały set Cereal Killers.

– Nie. Natalie.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Co? Przecież nawet jej nie znasz.

Molly pochyla się bliżej. Nie ma w sobie ani krzty zwykłej lęklivosti.

– Wiem o niej dosyć, by wiedzieć, że zasługujesz na kogoś lepszego od niej. O wiele lepszego.

– O czym ty w ogóle mówisz?

– Nie podoba mi się, jak ciebie traktuje – mówi Molly, krzyżując ręce na piersi.

Potrząsam głową, śmieję się cicho, chociaż wcale nie jest mi do śmiechu. Przebiega mi przez głowę wspomnienie kilku ostatnich tygodni, podczas których traktowała mnie z lodowatym chłodem albo się po prostu rozłączała. Odpycham jednak te myśli. Muszę bronić swego. Nie mogę uciec.

– Wiesz co? Najważniejsza rzecz, której nauczyłam się w tym miesiącu, to ta, że kto jak kto, ale ty, Molly, gównie wiesz o związkach. – Podchodzę o krok i patrzę na nią ze złością. – Nie jesteś nawet zdolna zaprosić dziewczyny na randkę, jeśli nie dostaniesz dokładnych instrukcji.

Molly się wzdryga, ale mówi dalej:

– Wiem, Alex, jak wygląda zdrowa relacja, nawet jeśli sama ich nie nawiązywałam. A to nie jest jedna z nich.

– Cóż, *sorry*, ale nie wszyscy dorastaliśmy w rodzinie jak z obrazka, w domku otoczonym białym płótkiem ze statystycznymi dwóch i pół dziecka oraz mając Beth za mamę. – Przyglądam się jej dokładnie, od zdeterminowanej miny na twarzy do białych kostek zaciśniętych pięści, w które zwinęły się jej dłonie. – Dlaczego cię to w ogóle obchodzi? Ty już masz swoją wymarzoną dziewczynę.

Pięści Molly zwierają się jeszcze mocniej, szczęka zaciska się we frustracji.

– Bo próbuję ci pomóc, Alex, chociaż ignorujesz mnie przez cały wieczór. Jesteś moją... Nie pozwalam jej dokończyć. Nie chcę słyszeć słowa „przyjaciółka”... Z wielu różnych powodów.

– Nie wydaje ci się, że już skończyłyśmy sobie pomagać? Ty masz Corę. Natalie wróciła. Plan zrealizowany, o ile można to nazwać planem. Wiesz, wymyśliłam te wszystkie kroki, bo tak bardzo ich potrzebowałam. Kogo zresztą obchodzi jakieś pięć kroków? – Wskazuję to na nią, to na mnie. – Nie musimy dłużej tego ciągnąć. – Nagle padają z moich ust słowa, których wolałabym nie wypowiadać. Te, których nie da się cofnąć. – Po co dalej udawać? Przecież wiadomo, że mamy siebie głęboko w dupie.

Od razu widzę, że trafiłam w najczulszy punkt.

I jest to... jeszcze gorsze, niż mogłabym sobie wyobrazić. Widzę, jak malutki kawałek serca Molly, w którym zdołałam się zadomowić w ciągu ostatniego miesiąca, rozpada się w drobny mak.

Oczy Molly robią się okrągłe, cofa się o krok, niechcący wpada na ścianę za jej plecami, w kącikach jej oczu pojawiają się łzy.

Szybko spuszczam wzrok do czubków moich zdartych conversów, a potem zaciskam powieki, kiedy Molly przeciska się koło mnie i wraca na zatłoczoną salę.

– Dobra robota, Alex – mamroczę pod nosem, kopiąc ścianę.

Obracam głowę i widzę, że Molly bierze Corę za rękę, a potem obie znikają za drzwiami, odchodzą w noc. I żyją długo i szczęśliwie.

Dopijam jednym haustem drinka. Mój wzrok krzyżuje się ze wzrokiem Natalie na drugim końcu sali – widzę przed sobą moje „długo i szczęśliwie”, którego nie zamierzam sabotować. Gwałtownie stawiam na blacie pustą szklankę i przepycham się przez gąszcz ludzi ku Natalie, wyciągam do niej rękę, gotowa sięgnąć po naszą wspólną przyszłość.

– Nie mogę otworzyć. – Natalie chichocze, potyka się o mnie i klucz do pokoju wypada jej z ręki na dywan hotelowego korytarza.

Podnoszę go z ziemi, chwieję się, ale trafiam do dziurki i zamek otwiera się z cichym stukiem.

– Udało się! – krzyczę na pustym korytarzu, a Natalie reaguje jeszcze głośniejszym śmiechem.

Dawno przekroczyłam mój limit dwóch drinków i obie o tym wiemy.

Drzwi zamykają się za nami, usta Natalie odnajdują moje wargi, nasze ciała do siebie przywierają, jej palce wsuwają się w moje włosy. Wszystko dzieje się gwałtownie, desperacko, co sprawia, że czuję się... hm...

Pożądana.

Jakby wszystko było w najlepszym porządku.

Jakby nie istniał upływ czasu. Nie było kłótni. Nie dzieli nas odległość.

Ani Molly.

Jej twarz pojawia się w moich myślach, ale próbuję ją wypchnąć, skupić się raczej na T-shircie Natalie pod moimi palcami.

Zdejmuję go z niej i nasze oczy się spotykają. Natalie unosi rękę, żeby lekko pchnąć mnie w tył, jej ramiona obejmują moją szyję i zataczamy się na olbrzymie łóżko.

Pachnie mentolowym papierosem wypalonym po drodze do hotelu. Sprayem Victoria's Secret, który wozi w futerale na gitarę. A ja... wbrew sobie, mimowolnie wracam myślami do delikatnych kwiatowych perfum Molly. Zapach Natalie jest ciężki, piżmowy i zupełnie inny niż tamten. Jej dłonie ześlizgują się po moim ciele, palce natarczywie rozpinają guzik moich jeansów, wolno rozsuwają zamek...

– Poczekaj – mówię, niezupełnie zdając sobie z tego sprawę, i uwalniam wargi od jej pocałunków.

Obie nieruchomiejemy zaskoczone.

Natalie odsuwa się i patrzy pytająco. Jej oczy zmieniają się w wąskie szparki.

Odpycham ją, siadam i przegarniam palcami włosy.

– Nie wiem. Zdaje mi się, że może powinniśmy... porozmawiać?

Natalie się śmieje, unosi zdziwiona brwi.

– Alex Blackwood chce porozmawiać?

– Tak. Wiesz, ten ostatni miesiąc był trochę...

Natalie całuje mnie w szyję, wcale nie słuchając. Chcę jej opowiedzieć o planie. O mojej mamie. O pracy w food trucku z Jimem.

Chcę, żeby tym razem było inaczej.

– Natalie, naprawdę, mówię poważnie.

Przestaje i z jękiem stacza się ze mnie, a potem ześlizguje się z łóżka i krzyżuje ręce na piersi, nie spuszczać ze mnie oczu.

– Co, Alex?

– Jak to co? – pytam. – Przecież tego chciałaś. Chciałaś, żebym była przy tobie autentyczna. Szczerza. I otwarta. No więc próbuję taka być, a ty nawet nie chcesz mnie słuchać.

– Nie miałam na myśli, żebyś taka była akurat w tej chwili. – Pochyliła się nade mną i ciągnie za mój T-shirt. – Nie widziałam cię cały miesiąc.

Przygryzam wargę.

– A to, czego ja chcę, się nie liczy? Co, jeśli teraz chcę porozmawiać?

Natalie patrzy sceptycznie.

– A co? Chcesz pogadać o tym, jak ta Molly zajęła moje miejsce? Czy wolisz ponarzekać na alkoholizm mamy? Daj spokój, Alex. Otwieranie się przed ludźmi nigdy nie będzie twoją mocną stroną.

Przymykam oczy. Jej słowa są jak uderzenie w twarz.

Jakby ziściły się moje najgorsze obawy.

Ale... udało mi się przed kimś otworzyć. W bibliotece.

Oraz na wzorzystej kołdrze w małym pokoju w akademiku niedaleko stąd.

Wtem... dociera do mnie prawda. Ona nigdy nie chciała mnie wysłuchać. Nie mogłam na nią liczyć. Chciała mnie jedynie kontrolować.

„To nie jest miłość”.

Kłótnie. Brak zaufania. Wrażenie, że wiecznie stąkam po skorupkach jajka albo próbuję się wykaraskać z problemów. Bycie poddawana manipulacjom i ciągła niepewność, czego ona ode mnie oczekuje.

To najbardziej przypomina mi... rodziców. Zachowanie, które uważałam za normalne.

Chyba uznałam, że jeśli położę uszy po sobie i jakoś pociągnę z dnia na dzień, wszystko się jakoś ułoży. Uda nam się.

Ale w miłości nie chodzi o to, żeby jakoś ciągnąć z dnia na dzień.

Kiedy myślę o miłości – takiej, jaka naprawdę mi się marzy – w głębi duszy wiem, że to nie jest coś takiego.

– Ja... – Biorę długi, głęboki wdech, zaciskam powieki i próbuję zebrać myśli. – Natalie, bez względu na to, czy właśnie teraz masz na to ochotę, czy nie, zawsze chciałaś, żebym była z tobą szczerza. Żebym mówiła ci o moich uczuciach. – Już wiem, co robić. – I.. w końcu czuję, że jestem na to gotowa. – Patrzę jej prosto w oczy i kręcę głową. – Nie chcę czegoś takiego.

Natalie sapie przeciągle, z frustracją. Związując włosy w kok, mówi:



– Niech zgadnę. Miałam rację, co nie? Chodzi o Molly?

Myślę o jej dłoni w mojej dłoni, kiedy biegliśmy przez bibliotekę. O spacerze po ulicach Pittsburgha po wyjściu na mrożony jogurt. O tym, jak zawiązała mi na szyi szalik z barwami Pitt. O jej uśmiechu, kiedy bezpiecznie prowadziła mnie za rękę na wrotkach i przytrzymywała za każdym razem, gdy groził mi upadek. O tamtej chwili, w której siedziałyśmy na podłodze między regałami, nasze nogi się dotykały, a w powietrzu wyraźnie dało się wyczuć napięcie.

– Szaleję za nią – przyznaję. Przed nią. Przed sobą. Przed nami obiema. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, padłabym trupem tu i teraz. – Ale nie o to tu chodzi. Problem w tym, jak ty mnie traktujesz. Każesz mi iść w lewo, a potem się wściekasz, że nie poszłam w prawo. Wciąż dajesz mi odczuć, że nie jestem wystarczająco dobra. Jakbyś wyświadczała mi przysługę tym, że się mną interesujesz. – Potrząsam głową. – Raz zerwałam z tobą kontakt, bo się bałam, byłam rozżalona i przestraszona. Przyznaję, że to było nieładne z mojej strony. Ale ty to robisz cały czas, Natalie. W twoich oczach zawsze robię coś źle.

Natalie prychnęła, krzywy uśmieszek wypełza na jej usta.

– I co? Myślisz, że z kimś innym będzie ci lepiej?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Wiem jedynie, że chcę być z kimś, z kim komfortowo będzie mi się dzielić sobą. Chcę wiedzieć, że mam z kim porozmawiać o moim życiu, o moich problemach i... Sama nie wiem! O zmianie kierunku studiów na anglistykę. A w tobie tego mi brakuje. W naszym związku tego nie ma.

– Typowe. Uciekasz i zamykasz się w skorupie, bo nie dajesz sobie rady z prawdą.

Potrząsam głową. Jeszcze do wczoraj uwierzyłam jej. Ale teraz już nie.

– Tyle... tyle że ja nie uciekam od czegoś. Uciekam do czegoś. To jest prawda. Z tego, co ty mi mówiłaś, nic nie jest prawdą.

– Alex – mówi, kładąc dłonie na moich ramionach. – Daj spokój. Pieprzysz i sama o tym wiesz. Nikt nie zna cię lepiej ode mnie. Znam twoje jasne i mroczne strony. Prawdziwą ciebie. Znam twoją przeszłość. Wiem, że w gruncie rzeczy jesteś pochrzanioną laską, a ja mimo to byłam z tobą przez ostatnie sześć miesięcy, nie zważając na twoje flirty, kłamstwa i wszystko. Nawet na tę historię z twoją mamą. Dlaczego chcesz to wszystko zaprzepaścić?

Rozglądam się po pokoju. Widzę moje buty leżące bezładnie przy drzwiach. T-shirt Natalie rozwleczony na podłodze. Samą Natalie patrzącą na mnie tak... jakbym była absolutnie nie warta.

To jest niczym odpowiedź, której poszukiwania nawet sobie nie uświadamiałam. Odpowiedź na pytanie, dlaczego nie potrafiłam wyznać jej miłości tamtej nocy w Filadelfii. Dlaczego nigdy nie byłam pewna.

Ona po prostu... nie była tą jedyną.

Wstaję i strącam z ramion jej dłonie.

– Może nie umiałam się przed tobą otworzyć dlatego, że nie byłaś tego warta? – Jej oczy robią się wielkie jak talerze, kiedy zbliżam się o krok i stoimy przed sobą twarzą w twarz. – Może nie zasługuję na taką dziewczynę jak Molly – mówię półgłosem – ale do cholery, wiem, że zasługuję na kogoś lepszego niż ty!

Po tych słowach ze złością wkładam conversey i wychodzę za drzwi, z premedytacją trzaskając nimi tak samo jak tamtej nocy przed miesiącem.

Tyle że tym razem sprawia mi to przyjemność. Tym razem to właściwa reakcja.

# MOLLY

Kiedy budzę się rano z zapuchniętymi oczami, jakaś mała część mnie wierzy, że podniósłszy telefon, zobaczę na ekranie czekającego na przeczytanie SMS-a z przeprosinami.

Głupie mrzonki.

Odkładam telefon na łóżko i po raz pierwszy od dawna dociera do mnie, w jaki horror zmieniło się to pomieszczenie, które kiedyś było moim pokojem. Ubrania leżą dosłownie wszędzie – koszule na podłodze, spodnie rozwleczone na wszystkich słupkach przy łóżku. Książki i skoroszyty zaścielają podłogę pośród brudnych skarpetek. Tak bardzo pochłonęła mnie Alex, Cora i plan, że nawet nie zauważyłam, jak źle wszystko tu zaczęło wyglądać.

Molly z czasów licealnych dostałaby ataku serca, gdyby to zobaczyła.

Następne dwie godziny układam wszystko na miejscu – tam, gdzie zawsze było. Gdzie powinno być. Dopada mnie szczególny smutek, kiedy składam w kostkę stosik spodni dresowych, które Alex rozrzuciła przed naszym wyjściem do galerii handlowej.

To zwykle mi pomaga. Sprzątanie działa na mnie uzdrawiająco, ale dzisiaj, kiedy kończę, czuję się jeszcze gorzej, bo od godziny rozmyślam o tym, jak ubiegłej nocy wszystko się skończyło między mną i Alex.

Wyciągam telefon, mój kciuk już niemal dotyka numeru mamy, ale się powstrzymuję. Od dwóch tygodni metodycznie ją ignorowałam. Jak to odczyta, jeżeli zadzwonię do niej dopiero teraz, kiedy wszystko się spieprzyło. Na pewno pomyśli, że jej potrzebuję tak samo, jak potrzebowałam jej wsparcia kiedyś, a nie o to mi chodzi. Muszę jednak przestać się zadręczać. Muszę się wyrwać z akademika.

Decyduję się więc na przejażdżkę do domu Noaha.

Kiedy docieram na miejsce, Noah pauzuje program dokumentalny, który właśnie oglądał na Netfliksie. Siadam koło niego na sofie.

– Co tam? – pyta.

– Nic takiego. Musiałam się wyrwać z akademika. Dopiero co skończyłam sprzątać, bo wyglądało tam jak po wybuchu bomby. Wszystko porozwalane.

– Naprawdę? Ty zawsze jesteś taka... porządna – mówi.

Przypomina mi się zestaw do makijażu, który nadal leżał rozłożony na biurku po trwających dwie godziny próbach uzyskania właściwego efektu przed wrotkami, a potem jeszcze przed koncertem.

– No wiesz... w końcu miałam do roboty coś oprócz sprzątania.

Śmieję się żałośnie sama z siebie.

- Jak ci się udał koncert? – pyta Noah.
- W porządku.
- Co u Cory?
- W porządku.
- A u Alex?
- W porządku – powtarzam jeszcze raz.
- Czyli wszystko w porządku, tak? – dopytuje Noah, wyczuwając fałsz w moim głosie.
- Niezupełnie – odpowiadam, pozwalając sobie na smutny ton, i kulę się na sofie.
- Co się stało? O co chodzi? – pyta Noah.
- Okazało się, że Alex to jednak nie taka fajna osoba.

Opowiadam mu, co się stało wczoraj wieczorem i co mi powiedziała po koncercie.

– Wiesz, może powinnaś z nią o tym porozmawiać. Moim zdaniem, napięcie powstało ze względu na jej dziewczynę. Może nie miała zamiaru...

– Nie będę z nią rozmawiać, Noah. Byłam dla niej jedynie jakimś głupim projektem społecznym. Nie przyjaźnimy się. Nic dla siebie nie znaczymy. To koniec – odpowiadam. Łzy cisną mi się do oczu, próbuję opanować frustrację. – Nie powinnam słuchać twojej rady. Po co w ogóle poszłam na tę głupią imprezę?

– Daj spokój, Molly. Wcale tak nie myślisz. Nie dramatyzuj – mówi bezpośrednim tonem oznaczającym, że nawet największa miłość czasami bywa szorstka. Ten ton przypomina mi kogoś innego. Nie sądzę, by jeszcze przed miesiącem Noah zdobył się na rozmawianie ze mną w taki sposób. – Widzę, o ile szczęśliwsza zdajesz się od tamtej pory. Przecież jesteś... z Corą. Czy nie tego zawsze pragnęłaś?

– Nie wiem. Chyba tak – odpowiadam, ale sama się dziwię, jak bardzo muszę sobie wmawiać, że bez Alex też uda mi się zaznać szczęścia w życiu. – Możemy po prostu pooglądać... to, co sobie włączyłeś? – pytam i wciskam przycisk PLAY na pilocie, Noah zaś zdaje się pogodzony z faktem, że nie chce kontynuować tamtego tematu.

Mniej więcej po godzinie dostaję SMS-a od Cory, który poprawia mi humor.

Chcesz się spotkać? Obejrzymy razem film?

Alex co do jednego się nie pomyliła. Naprawdę mam kogoś lepszego. Kogoś, kogo naprawdę lubię. Kogoś, kto szczerze chce się ze mną spotykać nawet po katastrofie, którą okazała się nasza pierwsza randka.

Nadal jestem zdolna to naprawić.

Po południu, kiedy docieram pod akademik Cory, ona jest już przygotowana do spotkania. Film w komputerze połączonym kablem HDMI z telewizorem. Na biurku stoi popcorn i kilka rodzajów pralinek do wyboru. To naprawdę słodkie.

Cora jest naprawdę słodka.

– Gotowa? – pyta i już wyciąga dłoń do klawisza spacji.

Och. Nie spodziewałam się, że od razu zaczniemy oglądać film. Myślałam, że najpierw nacieszymy się swoim towarzystwem. Wypytamy się o różne rzeczy, żeby się lepiej poznać. Albo może porozmawiamy o tym, jak skończyła się nasza wczorajsza randka.

Właściwie po tym, co tam się stało, w ogóle nie rozmawiałyśmy. Kiedy wyszłam w połowie koncertu głównej gwiazdy, Cora zwróciła uwagę na to, że byłam zapłakana, i wyszła ze mną na ulicę, żeby zapytać, co się stało. W tamtej chwili nie chciałam o tym rozmawiać. Nie mogłam. Potrząsnęłam jedynie głową, a ona objęła mnie i mocno przytuliła.

Ale w tamtej konkretnej chwili nikt nie mógł sprawić, bym poczuła się bezpiecznie – nawet Cora.

Pojechałyśmy do akademika autobusem miejskim. Siedziałam z czołem wspartym o szy-

bę, a obok mnie Cora przeglądała rzeczy w swoim telefonie. Co kilka minut zerkałyśmy na siebie ukradkiem. Kiedy wysiadłyśmy, chciałam z nią porozmawiać, ale nadal nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa.

– Molly, nie przejmuj się. Może porozmawiamy o tym jutro? – zaproponowała.

Była taka wyrozumiała. Myślę, że gdybym miała nieco więcej czasu – gdybyśmy obeszły ze dwa razy kwartał ulic albo usiadły na ławce – mogłabym z nią porozmawiać. Ale po tych słowach Cora przytuliła mnie na pożegnanie i przeszła na drugą stronę skrzyżowania przy dziedzińcu.

Wszystko zdawało się takie... niezłaławione.

– Umm, Cora, zanim zaczniemy oglądać, chciałabym cię przeprosić za wczoraj. Zepsułam ci wieczór i wtedy nie wiedziałam, jak ci to wytłumaczyć, ale poszło o to, że chyba... tak jakby pokłóciłam się z Alex.

Siadam na łóżku Cory, a ona zajmuje miejsce pod ścianą, przy komputerze.

– Nie chcę się wtrącać, ale... o co się pokłóciłyście?

Nie mogę powiedzieć Corze całej prawdy, że Alex przez ostatni miesiąc pomagała mi zdobyć jej uczucia, a ja głupio uwierzyłam, że jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Hm... ona mnie po prostu wykorzystywała. Chyba już się nie przyjaźnimy. Zresztą nie jestem pewna, czy kiedykolwiek można było to nazwać przyjaźnią.

Robi mi się ciężko na sercu, kiedy wypowiadam te słowa.

– Czy to źle? Ona zawsze zdawała mi się nieco powierzchowna.

Zaskakuje mnie tak stanowcza krytyka. Wiem, jak bardzo Alex nie lubi, kiedy ludzie ją oceniają po pozorach. Mimo wszystko przyłapuję się na chęci stanięcia w jej obronie, ale w ostatniej chwili przypomina mi się wszystko, co wczoraj powiedziała.

Nie powinnam marnować na nią ani jednego oddechu. Przyszłam tu obejrzeć film z Corą, a nie rozmawiać o Alex. Staram się więc zapomnieć o tym temacie.

– Obejrzyjmy ten film. Jestem dokładnie tu, gdzie zawsze chciałam być... przy tobie. Dzięki, że dałaś mi drugą szansę – mówię.

Cora włącza odtwarzacz, podchodzi miękko po dywanie i siada koło mnie na łóżku. Sądziłam, że obejrzymy jakąś słodką komedię romantyczną albo coś w tym rodzaju, ale nie. Okazuje się, że Cora ma hopla na punkcie horrorów, o czym nawet ja nie miałam pojęcia. Na dzisiaj wybrała *The Grudge – Klątwe* i jeśli mam być szczerą, to większość tego filmu oglądam przez szparki między palcami. Mimo to film zdecydowanie jest wart oglądania. Za każdym razem, kiedy straszna scena wrywa pisk z mojego gardła, Cora przysuwa się do mnie trochę bliżej.

Mniej więcej w połowie filmu kładzie dłoń wnętrzem do góry na pościeli między nami. Ja też wyciągam dłoń i opieram ją tuż obok. Krew dudni mi w uszach tak głośno, że już w ogóle nie słyszę filmu.

Cora wkłada do ust Skittle'a, a kiedy jej dłoń znowu ląduje na łóżku, znajduje się kolejne kilka centymetrów bliżej mojej.

Minutę później Cora sięga po kolejnego cukierka i tym razem jej dłoń wślizguje się w moją, nasze palce się splatają.

Moje serce nie tyle przyspiesza, ile wręcz przeciwnie – zwalnia. I choć to dziwne... orientuję się, że nie mam w brzuchu motyli, które do tej pory zawsze podfrwały, kiedy choćby pomyślałam o Corze.

Teraz jestem tu, naprawdę trzymam ją za rękę i... jest inaczej, niż to sobie wyobrażałam. Napominam się jednak, że przecież jestem Molly Parker. Za bardzo analizuję i jak zwykle robię z igły widły. Biorę głęboki wdech, wypuszczam powietrze z płuc, zmuszam się do myślenia tylko o tym, co tu i teraz – o tej chwili, w której nadejście nigdy nie wierzyłam. Nie zepsuję tego.

W poniedziałek rano siadam jak zwykle koło Cory i Abby, a plecak kładę na krześle Alex. Spuszczam głowę i zajmuję się rozmową, żebym nie musiała patrzeć na Alex, gdy ta wejdzie do auli.

Profesor zaczyna wykład, ja zaś spoglądam ku naszym poprzednim miejscom, ale oba są zajęte przez innych studentów. Rozglądam się po sali, szukając czegoś, co mnie naprowadzi na Alex – burzy jasnych włosów, zeszytu pełnego gryzmołów, zapachu kanapki z indykiem i podwójnym majonezem z 7-Eleven. Jej tu jednak nie ma.

Pewnie wciąż siedzi zamknięta w pokoju ze swoją megafajną dziewczyną.

Błyskawicznie wracam do terażniejszości, czując, że Cora sunie dłonią po mojej nodze pod blatem.

„Tamto już się nie liczy”.

Alex już nie jest moim zmartwieniem.

Z całej siły próbuję się koncentrować na slajdach PowerPointa przede mną, ale kiedy otwieram skoroszyt, widzę pod plastikową koszulką nabazgraną bezładnie przez Alex instrukcję, żebym zaprosiła Corę na śniadanie.

Wodzę po karteczce palcami, wyczuwam wgniecenia w papierze i odtwarzam w myślach chaos towarzyszący naborowi do drużyny rugby, wspólne wyjście na mrożony jogurt, niestworzone pytania, które sobie zadawałyśmy po drodze do jej mieszkania, oraz tor wrotkowy.

To bolesne wspomnienia, ale jednocześnie nie mogę powstrzymać cichego chichotu, kiedy przypominam sobie, jak Alex sama się znokautowała, przechodząc pod drążkiem do limbo.

– Co się stało? – szepcze Cora, pochylając się do mnie.

– Och, ee... – Już otwieram usta, żeby jej opowiedzieć, ale za dużo tego, zresztą jak miałabym to zrobić w taki sposób, żeby ona też poczuła nastrój chwili? – Nic, zamyśliłam się – mówię więc i wsuwam karteczkę z powrotem do koszulki, a potem przewracam stronę.

We wtorek spotykamy się na wspólnej nauce w bibliotece. Nasze książki leżą otwarte, notatki porozrzucane na małym drewnianym blacie między moją herbatą a jej kawą z sześcioma porcjami cukru.

– Molly – szepcze Cora.

Unoszę głowę i widzę, że podaje mi jeden ze swoich AirPodsów. Biorę go od niej z uśmiechem i wkładam do ucha. Ledwo dostrzegalnie krzywię się, gdy z małego głośniczka moje uszy atakuje głośny broadwayowski utwór.

Po kilku piosenkach staje się dla mnie oczywiste, że cała playlista składa się z numerów z Broadwayu. Wiem, że pewnie jestem jedyną nieheteroseksualną osobą na świecie, która reaguje na nie w ten sposób, ale... nie znoszę ich. Jednak nie mam odwagi powiedzieć tego Corze, bo słychać wyraźnie, że to jej bajka. Jeżeli to jest jej ulubiony gatunek muzyki, to może kiedyś i ja się do niego przekonam. Wytrzymuję zatem tak długo, jak się da.

– O mój Boże. – Cora śmieje się na drugim końcu stołu, patrząc na swój telefon. – Moja koleżanka z drużyny, Hallie, jest dosłownie najzabawniejszą osobą, jaką w życiu poznałam. Boże, kocham tę dziewczynę.

Wtem ogarnia mnie strach, nagle czuję, jakbym coś traciła, jakby wszystko wymykało mi się z rąk. Muszę wykonać kolejny ruch, umocnić swoją pozycję, zanim będzie za późno.

– Hej, Cora, eee... Co robisz w weekend? – pytam, dbając o to, by moje słowa brzmiały asertywnie, a przy tym próbuję swobodnym gestem podsunąć jej AirPoda po blacie, ale oczywiście robię to za mocno i słuchawka spada na ziemię.

„Za bardzo się starasz, Molly”.

Cora wzrusza ramionami i pochyla się, żeby podnieść słuchawkę.

– Nie wiem. A ty?

Chociaż staram się nie myśleć o Alex, muszę to zrobić, żeby nie zrejterować, więc próbuję przypomnieć sobie, jak to zrobiłam tamtego dnia podczas Bigelow Bash, kiedy zaprosiłam ją na wrotki.

Jednak z falą wspomnień wraca do mnie wszystko, co się zdarzyło tamtego wieczoru. Także to, co było potem, gdy zaprowadziła mnie na ostatnie piętro biblioteki i odsłoniła przede mną tę część swojego życia, którą zawsze skrzętnie ukrywała przed światem.

I to, jak na mnie patrzyła...

Zmuszam się do powrotu do rzeczywistości, do Cory. Chcę, żeby tym razem propozycja randki wyszła ode mnie, lecz nagle wizja wspólnego jeżdżenia na wrotkach nie wydaje się zbyt interesująca.

– Tak samo – odpowiadam beznadziejnie mdło. – Nic sobie nie zaplanowałam.

Cora kładzie marker na blacie.

– Zdaje się, że w sobotę odbywa się gala sztuki studenckiej po drugiej stronie ulicy w muzeum sztuki imienia Carnegiego. Abby mi o niej wspominała.

– Lubisz sztukę? – pytam, myśląc o tym, że za każdym razem, kiedy ktoś mnie ciągnie do muzeum, szukam jedynie ławki, na której mogłabym usiąść i poczekać, aż pozwolą mi wyjść.

– Uwielbiam!

Patrzy na mnie porozumiewawczo i widzę wyraźnie, że czeka.

– Cora – mówię ze śmiechem.

– Tak, Molly? – Wyczekująco unosi brwi.

– Chcesz pójść ze mną na galę sztuki? – pytam.

– Z przyjemnością – odpowiada. – Zdaje się, że to coś dużego. Obowiązują eleganckie stroje. No więc, Molly Parker, czas wykopać z szafy najlepszą kieckę. Już nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię w sukni wieczorowej! – dodaje.

– Och, spoko! Jasne. Ja też. To znaczy... chcę cię zobaczyć... w sukni.

Pochylam głowę, jakbym czytała notatki, mając nadzieję, że nie widać paniki na mojej twarzy. Chyba nigdy w życiu nie miałam sukni wieczorowej. Nawet na studniówkę, bo na nią nie poszłam. Gdyby Alex tu była, to może ona by...

„Przestań, Molly. Alex już nie ma”.

Będę musiała wytoczyć najcięższe działa.

Muszę przełknąć dumę i w końcu zatelefonować do mamy.

Mam jedynie nadzieję, że nie wkurzyła się na mnie za to, że przez cały ubiegły tydzień ignorowałam jej próby nawiązania kontaktu.

# ALEX

– Dziękuję i miłego dnia! – krzyczę przez okienko do ostatniego klienta, a potem z przeciągłym westchnieniem zamykam szybkę.

Jim krząta się za mną, zwijając na dzisiaj interes.

Telefon brzęczy mi w tylnej kieszeni, sygnalizując połączenie. Nie mogę udawać, że nie czuję drgnienia w piersi, kiedy patrzę na wyświetlacz, bo mała cząstka mnie chciałaby zobaczyć na nim imię Molly po trwającym niemal tydzień milczeniu, chociaż wiem, że to ja powinnam pierwsza wyciągnąć rękę i przeprosić.

Ja po prostu... nie wiem, co miałabym powiedzieć. Po wyjściu z pokoju hotelowego Natalie sądziłam, że mogłabym pojechać prosto do niej i zwierzyć się jej ze swoich emocji. Ale... wiedziałam, że była z Corą, i nie chciałam im przeszkadzać, bo nie zasłużyłam na szczególne względy.

Zwłaszcza po tym, co nagadałam.

Opuściłam wykłady z biologii i zajęcia z angielskiego w tym tygodniu, bo nie miałam odwagi spojrzeć jej w oczy. Nie mogłabym spokojnie patrzeć, jak flirtuje z Corą, a mnie kompletnie ignoruje. Nawet jeżeli takie traktowanie mi się należy.

Nie da się ukryć, że Pittsburgh nagle stał się pusty.

Nie ma Molly, z którą mogłabym spędzać czas. Nie ma planu, wokół którego wszystko się obracało. Siedzę jak robot na zajęciach z przedmiotów, które mnie nie interesują.

Poza pracą dużo przesiaduję w domu albo włóczę się po bibliotece, piszę SMS-y do mojej wiecznie nieobecnej mamy, czytam książki, próbuję znaleźć sposób, by wyrazić, jak bardzo mi przykro.

Wzdycham ciężko, patrząc na wyświetlacz.

Oczywiście że to nie ona.

Dzwoni ktoś z nieznanego numeru. Jego pierwsze trzy cyfry stanowią dobrze mi znany numer kierunkowy regionu, w którym się wychowałam.

Nie mam cienia wątpliwości, że chodzi o próbę nagabywania mnie na odnowienie polisy mojego nieistniejącego od dawna samochodu, więc próbuję przekierować rozmowę bezpośrednio do poczty głosowej, ale mój palec niechcący dotyka ikonki akceptującej połączenie.

Cholera.

Unoszę telefon do ucha.

– Halo?

– Czy to Alex Blackwood? – pyta nieznajomy, bardzo poważnie brzmiący głos.

„O nie”.

– Yyy... tak. Tak, Alex.

– Alex, tu oficer McHugh z więzienia okręgowego.

Oczy robią mi się okrągłe, wyciągam rękę, żeby przytrzymać się lodówki z napojami.

„Z więzienia okręgowego?”

– Mamy w areszcie pani matkę, Donnę Blackwood. Uczestniczyła w wypadku drogowym, do którego doszło dzisiaj około wpół do szóstej rano. Wjechała... – Milknie na chwilę i sły-  
chać jedynie szelest kartek. – Samochodem Tommy’ego O’Neila w słup telefoniczny. Dopiero  
mniej więcej przed godziną otrzeźwiała na tyle, żeby nam dać pani numer telefonu.

A więc w końcu doczekałam się telefonu, przed którym zawsze czułam strach.

„Dlaczego ten skurwysyn pozwolił jej prowadzić?”

– Nic jej się nie stało? – pytam, a moje wnętrzości skuwa lód.

Jim obraca głowę w moją stronę i patrzy z uniesionymi pytająco brwiami.

– Jakimś cudem nawet się nie zadrapała. Nikt inny nie uczestniczył w zdarzeniu, ale pani  
matka w chwili wypadku była pod wpływem alkoholu. Pomiar wskazał... grubo powyżej dopusz-  
czalnego limitu.

No ładnie, tylko tego brakowało.

– Grozi jej mandat za jazdę pod wpływem alkoholu i zawieszenie uprawnień. – Odkasłu-  
je. Tyle lat ukrywania przed nią kluczyków, wożenia jej wszędzie, gdzie chciała, oraz pilnowania  
jej na każdym kroku, a i tak wszystko diabli wzięli. Nawet poprosiłam Tonyę, żeby do niej za-  
glądała. Właściwie zmusiłam mamę, żeby raz dziennie do mnie pisała SMS-a. Sprzedałam jej sa-  
mochód. A teraz coś takiego? – Czy może pani...?

Dzwoni mi w uszach tak głośno, że nie słyszę, co policjant mówi. Napotykam wzrok  
Jima, który chyba się domyślił, że potrzebuję pomocy, bo zabiera mi telefon i przełącza go w tryb  
głośnomówiący. Słowa atakują mnie, kiedy Jim kontynuuje rozmowę w moim imieniu.

„Odebrać ją. Pomóc. Prowadzić?”

Potakuję ruchem głowy, a Jim przekazuje informacje policjantowi.

Rozłączywszy się, kładzie telefon na kontuarze, wyciąga ręce i wspiera potężne dłonie na  
moich barkach.

– Musimy pojechać po twoją mamę, okej? – Wskazuje ruchem głowy za okno furgonetki.  
– Zawiozę cię.

– Tak... – Głos mi zamiera w piersi. Kiwam głową. – Dziękuję.

Uśmiecha się do mnie w szorstki, ale dodający otuchy sposób.

– Nie przejmuj się tym, dziecko.

Szybko pakujemy rzeczy do furgonetki i pędzimy z powrotem do magazynu, bo nie ma  
mowy, by nasza śmiertelna pułapka na kołach pokulała się przez cały stan aż do Filadelfii. Wsia-  
damy do zardzewiałego ciemnozielonego forda explorera Jima, który pobieżnie sprząta dla mnie  
siedzenie po stronie pasażera, przerzucając na tylne siedzenie opakowania po snackach i puste  
butelki po wodzie.

Przed wyjazdem z miasta zatrzymujemy się przed moją stacją po pieniądze na kaucję.  
Stoję bez ruchu z rękami wyciągniętymi do dwóch słoików z oszczędnościami z całego semestru.  
Myślałam, że przeznaczę te pieniądze na czynsz, podręczniki i może, jeżeli dopisze mi szczęście,  
na jedzenie na mieście, mrożony jogurt i wyjścia na wrotki z... A tymczasem...

Potrząsam głową i szybko zgarniam oba słoje do plecaka, a potem biegnę do drzwi i z po-  
wrotem do samochodu.

Jim pędzi ulicami Oakland w kierunku autostrady, prowadzony wskazaniem  
GPS-u w moim telefonie.



Pensylwania ucieka za oknem, reflektory samochodu Jima rozcinają ciemność. Przyciskam czoło do chłodnej szyby okna i patrzę na umykającą pod kołami białą linię, gdy zmrok zmienia się w noc.

– Dobrze się czujesz? – pyta Jim.

Sprawy muszą się przedstawiać naprawdę poważnie, skoro sam z własnej inicjatywy zaczyna rozmowę.

Odsuwam czoło od okna i patrzę na niego.

– Jeszcze nie wiem.

– Czy to... częsty przypadek? Jak długo jest alkoholiczką?

– Ja... ona... – Jąkam się, próbując połączyć ze sobą słowa, wyznać prawdę. – Od dłuższego czasu – mówię w końcu. – Zawsze się bałam, że dojdzie do czegoś takiego. Zwłaszcza po moim wyjeździe do Pittsburgha. Mam wrażenie, jakby... ten dzień nadciągał już od dawna. – Wzdycham przeciągle i spuszczam wzrok na swoje dłonie. – Nie powinnam wyjeżdżać.

– Przestań tak myśleć – mówi Jim, potrząsając głową. – Posłuchaj mnie, okej? Jako człowiek, który zna te sprawy z własnego doświadczenia, mówię ci, że nie możesz dłużej czuć się za nią odpowiedzialna. Ona sama musi wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. Porozmawiasz z nią szczerze, Alex, przedstawisz jej fakty i postaramy się o pomoc dla niej. Jeszcze dzisiaj. Znajdziemy profesjonalną, rzetelną pomoc. A ty... – Patrzy na mnie. – Ty wrócisz do Pittsburgha, ukończysz studia i przestaniesz dźwigać na swoich plecach ciężar życia innych osób.

Jego słowa trafiają w samo sedno.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem wycieńczona. Jak wielki to ciężar. Jak bardzo od wielu lat się boję.

– Ponadto podczas tego dużego festiwalu sztuki w przyszły weekend robimy podwójną zmianę, więc nie możesz teraz odejść – dodaje Jim z kwaśnym uśmiechem i udaje mu się mnie rozśmieszyć.

W miarę jak się zbliżamy, w oddali pojawia się znajoma panorama Filadelfii. Patrzę, jak Jim skręca na znajomym zjeździe prowadzącym do zupełnie nieznanego miejsca.

Noga zaczyna mi nerwowo podrygiwać, kiedy wyglądam za okno, a po głowie krąży myśl o tym, że oto jadę odebrać mamę z więzienia oraz wytłumaczyć jej, że naprawdę potrzebuje fachowej pomocy. Mimowolnie szcękam zębami.

Jim wjeżdża na parking, ale czeka w samochodzie, kiedy idę do środka. Sterylne światło jarzeniówek zdaje się boleśnie jaskrawe po długiej jeździe w ciemności.

– Dobry wieczór – zwracam się do recepcjonistki siedzącej za szklanym panelem.

Niepewnie rozglądam się po pomieszczeniu. Zatrzymuję wzrok na wielkich drzwiach za kobietą, na naszywce na jej mundurze, na niebieskich krzesłach w poczekalni na prawo od nas.

„I co teraz?”

– Przyszłam... ee... odebrać Donnę Blackwood. Jestem jej córką, Alex.

Kobieta coś zapisuje, a potem dzwoni do pracowników, żeby przyprowadzili z aresztu moją mamę.

Wstrzymując oddech, słucham, jak gdzieś w oddali otwierają się drzwi. Dźwięk kroków odbija się głośnym echem na korytarzu, aż w końcu szare drzwi za biurkiem recepcji otwierają się i pojawia się w nich policjant eskortujący moją zaniedbaną mamę.

Wygląda... na kompletnie wymiętą. Jej czarny T-shirt jest poplamiony, brązowe włosy ma rozczochrane. Robię w myślach kilka obliczeń. „Dziewiętnaście godzin”.

To zapewne jej najdłuższy okres wstrzemięźliwości od niemal dziesięciu lat.

Nie chce mi spojrzeć w oczy. Stoi wpatrzona w płytki na podłodze między nami.

– To miała przy sobie podczas zatrzymania – mówi recepcjonistka.

Podsuwa mi plastikowy worek z telefonem mamy i portfelem. Jak przez mgłę widzę, kiedy zaczyna wypełniać dokumenty, ledwie słyszę, jak wysoki mandat wymierzono mamie do zapłacenia i co to znaczy dla jej prawa jazdy.

Sięgam po długopis i robię notatki. Z każdym zapisanym zdaniem wzbiera we mnie złość. Mama bynajmniej nie słucha, chociaż to ona powinna wszystko sobie dokładnie zapamiętać. Sama powinna się przejmować przesłuchaniami, apelacjami i kolejnymi krokami.

Kiedy kobieta kończy podawać instrukcje, biorę worek z rzeczami mamy i wskazuję ruchem głowy drzwi.

– Chodźmy.

Obracam się na pięcie i wypadam jak burza na dwór. Chłodne jesienne powietrze przypawia mi o gęsią skórę. Staram się nie rozkleić. Idę dokoła parkingu, mama snuje się tuż za mną jak cień. Jim stoi wsparty o SUV-a i dyskretnie nie patrzy w naszą stronę.

Obracam się przodem do mamy. Unosi wzrok do mojej twarzy, ma zapłakane oczy.

– Alex... – zaczyna.

– Nie. – Kręcę głową. Czas, żeby mama też przestała uciekać. Najwyższy czas, żeby ona też mnie w końcu usłyszała. – Urwałam się ze szkoły, a potem jechałam pięć godzin, żeby odebrać cię z więzienia po tym, jak rozwaliłaś samochód Tommy’ego na słupie telefonicznym. Czy ty to rozumiesz? Dociera do ciebie, jakie to pochrzanione?

Mama nie odpowiada. Patrzy na mnie wielkimi oczami, które zachodzą wolno łzami.

– Nie. Nie zagrywaj tą sztuczką. Jestem już zmęczona. Zmęczona dawaniem ci pieniędzy odłożonych na szkołę, żebyś mogła je wydać na alkohol. Zmęczona wyczekiwaniem takiego telefonu jak dzisiaj. Z informacją, że roztrzaskałaś samochód, zrobiłaś sobie krzywdę albo coś jeszcze gorszego. – Łzy zaczynają płynąć mi po policzkach, wycieram je wierzchem dłoni. – Potrzebna ci pomoc, mamo. Nie możesz tak dłużej żyć. My nie możemy tak dłużej żyć.

– Alex, nikomu nic się nie stało – odpowiada ze śmiechem. – Nie da się zabić słupa telefonicznego.

– Nie, ale możesz się sama zabić – mówię, dysząc spazmatycznie. – Cały czas się zabijasz. – Na to nie dostaję odpowiedzi, mówię zatem dalej: – Wiem... – Głos mi się załamuje, robię więc pauzę, żeby odzyskać równowagę. – Wiem, że nie było łatwo, odkąd tata odszedł. Możesz mi wierzyć, że wiem. Ale nie mogę cały czas się tobą opiekować. Musisz się nauczyć sama dbać o siebie. Nie mogę być jednocześnie twoim mężem, mamą i córką. – Tyle czasu w życiu poświęcałam naprawianiu problemów innych ludzi, lecz... nigdy nie zajęłam się naprawieniem swoich spraw. Aż do teraz. – Zgodzisz się przyjmując pomoc albo... – Milknę, a mój wzrok podąża ku Jimowi. Ten dodaje mi odwagi dyskretnym uśmiechem. – Albo nie możesz być częścią mojego życia. Musisz przynajmniej spróbować. Nie możesz trwać na tym kursie do samozniszczenia. Jeśli nie zrobisz tego dla siebie, to proszę, zrób to dla mnie.

Widzę, jak wyraz jej twarzy się zmienia. Widzę szok, dezorientację, potem zrozumienie.

I w końcu... mama potakuje, zgadza się.

– W chwili, w której samochód uderzył w ten słup, pomyślałam o tobie – mówi. Szloch wymyka się z jej ust. – Myślałam tylko o tym, jak bardzo cię zawiodłam. Jak bardzo zawodzę cię na każdym kroku, Alex.

Obejmuję ją ramieniem i przygarniam do siebie. Jej ciało zdaje się takie drobne i kruche mimo całego bólu, którego stało się przyczyną.

Poddaję się łzom – tym, które przeżykałam od kilku lat oraz od tygodnia. Spada na mnie wszystko naraz.

– Przepraszam, kochanie – mówi mama i wyciąga rękę, żeby delikatnie pogłaskać mnie po włosach, po raz pierwszy od wielu lat.

I chociaż niemal zdaje się, że już nic nie da się naprawić, to przynajmniej gdy trzymamy się mocno w objęciach, mimo wszystko myślę, że może uda nam się razem wygrzebać z najgłębszej otchłani. Może jeszcze nie jest za późno, żeby porozmawiać z Molly, o ile znajdę w sobie ku temu odwagę.

W samochodzie Jim rozmawia z mamą o swoich doświadczeniach i rehabilitacji, na którą zgłosił się w Erie.

– Sam też spędziłem noc lub dwie w więzieniu – zwierza się, uśmiechając się do niej kwaśno. – Nic tak nie działa na mocne postanowienie zerwania z nałogiem jak przetrzymanie w wieloosobowej celi z jedną toaletą w kącie.

Mama uśmiecha się blado na zaśmieconym siedzeniu z tyłu.

– Bez jaj, wierzę, że tam mogłabyś się z tego wykaraskać. Mnie to miejsce zdecydowanie postawiło na właściwym torze.

Mama wyraża zgodę, zatem jedziemy w środku nocy do Erie, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby mama mogła zwymiotować na poboczu, bo symptomy odstawienia powoli zaczynają dawać znać o sobie. Mniej więcej w połowie drogi kładzie się na siedzeniu, a ja dołączam do niej, żeby podtrzymać na kolanach jej głowę i delikatnie głaskać ją po przesiąkniętych potem włosach, krzywiąc się z żalu, gdy od czasu do czasu grzechoczące konwulsje wstrząsają jej ciałem niczym suchym liściem na wietrze.

Na miejscu Jim doskonale się orientuje, gdzie mamy iść i z kim rozmawiać. Oboje pomagamy umieścić mamę w pokoju. Pomagam jej się położyć, a ona kuli się jak embrion i zdaje się niesamowicie mała pod białym, wełnianym kocem, kiedy lekarze robią jej podstawowe badania.

Czekam, aż zapadnie w niespokojny sen, a potem wychodzę i idę korytarzem, żeby od razu pokryć jak największą część kosztów. Mam nadzieję, że dwa słoiki oszczędności wystarczą, by sfinansować chociaż część rehabilitacji.

Docieram do pokoju administracji, gdzie siedząca za biurkiem blondynka, która pomagała przyjąć mamę, wita mnie promiennym uśmiechem. Jestem zaskoczona, widząc taki entuzjazm w środku nocy.

– Ja... ee... chciałam zapytać o rachunek. – Zsuwam z ramion plecak, otwieram go i wyjmuję dwa słoje. – Część mogę uregulować od razu...

Blondynka zbywa mnie machnięciem ręką.

– Już wszystko uregulowane.

Podejrzliwie mrużę oczy, nieruchomiejąc z ręką uniesioną nad słoikiem.

– Co takiego?

– Tak. Jim był tu kilka minut temu i zapisał ją do tego samego programu z pobytem stałym, w którym sam uczestniczył w Erie Endeavors. Jego koszt jest w całości refundowany. Twoja mama będzie tu przebywać około miesiąca, a potem przeprowadzimy intensywny program opieki nad nią poza ośrodkiem, żeby ją wesprzeć w podjęciu codziennych zajęć.

Rzadko się zdarza, żeby coś mnie kompletnie zbiło z nóg i odebrało mi mowę, ale... to zdecydowanie jedna z tych rzeczy. Patrzę na dwa słoiki w moim plecaku i oczy zaczynają mnie szczypać od łez.

Obracam się jak automat i wracam korytarzem do pokoju mamy. Zwalniam przed drzwiami, słysząc, że Jim z nią rozmawia.

Wychylam się ukradkiem zza zakrętu i widzę go, gdy stoi wsparty plecami o ścianę, trzymając w ręce dwa olbrzymie kubki z kawą.

– Dobry z niej dzieciak – mówi. – Upierdliwa jest jak diabli, ale ciężko pracuje. Na nic się nie uskarża. A poza tym cholernie dobrze radzi sobie z ludźmi. O niebo lepiej niż ja, choćbym nie wiem jak się starał.

Mama uśmiecha się, kiedy to słyszy.

– Będziesz o nią dbał? Dopóki stąd nie wyjdę? – pyta.

Jim przestępuje z nogi na nogę, patrząc na swoje kubki kawy.

– Mam wrażenie, że ona sama od dłuższego czasu świetnie potrafi o siebie zadbać – mówi i wypija mały łyk. – Ale jasne. Będę ją miał na oku.

Mama kiwa głową, jej powieki sennie opadają. Opieram się o ścianę, gdy Jim wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi. Widząc mnie, podaje mi jedną z kaw, a ja przyjmuję ją z wdzięcznością i żartobliwie szturcham go w bok.

– Pewno przez tę historię przypadnie mi tytuł pracownika miesiąca, no nie?

Jim prycha, wypija porządny łyk i opiera się o ścianę koło mnie.

– No pewno. Możesz se jedynie pomarzyć.

Wzdycham przeciągle. Adrenalinę, która płynęła w moich żyłach przez ostatnie kilka godzin, zastępuje niewyobrażalne zmęczenie.

– Mam u ciebie dług wdzięczności, Jim. – Unoszę wzrok do jego twarzy. – Dziękuję. Za wszystko.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić – odpowiada i zapada między nami niezręczne milczenie.

Widocznie żadne z nas nie jest mistrzem okazywania emocji.

– Przykro mi, że nie zdążysz rano na ten targ rolniczy.

– Tam jest najgorzej. Zawsze każą nam parkować koło kibli, więc ni cholery nie da się sprzedać całego towaru – mówi z udawaną irytacją. – Skurwikoty.

– Skurwikoty – odpowiadam jak echo.

I mimo tego wszystkiego, co się działo tej nocy, nie mogę powstrzymać śmiechu.

# MOLLY

Podczas rozmowy telefonicznej z mamą nie padła uwaga o odległości, która nas dzieli, o połączeniach, których nie odbierałam, ani o SMS-ach pozostawionych bez odpowiedzi. Szczerze mówiąc, odniosłam wrażenie, że mama po prostu się cieszy, że mnie słyszy. Jednak potem, kiedy zapytałam, czy mogłaby mi pożyczyć jedną ze swoich eleganckich sukien, uparła się, że chętnie przyjedzie i pójdziemy jeszcze raz do galerii handlowej... Tylko we dwie. Udało mi się odwieść ją od takiego planu, wobec tego chciała przyjechać i pomóc mi się przygotować.

W końcu poszliśmy na kompromis, kiedy się uparła, żebyśmy przynajmniej poszły we trzy z Corą na lunch.

Muszę zresztą przyznać, że uznałam to za dobry pomysł. Poznanie rodziców partnera stanowi ważny krok w rozwoju związku. Może na tym właśnie polegał krok piąty planu... spotkanie z rodzicami. No, ale teraz to już nie ma znaczenia.

Prawdę mówiąc, pomysł zapoznania ze sobą dwojga moich ulubionych osób działał na mnie pobudzająco. Wszystko poszło tak gładko, kiedy mama poznała Alex, że w ogóle nie spodziewałam się problemów.

W każdym razie nie aż do teraz, kiedy siedzę z nimi dwiema przy małym stole w Point Brugge – moim i mamy ulubionym lokalu serwującym lunch.

– Co studiujesz, Coro? – pyta mama, kiedy kelnerka kładzie przed nią kanapkę Reuben z frytkami.

– Jestem na dwóch kierunkach. Oprócz literatury angielskiej chodzę na historię i na zajęcia uzupełniające z francuskiego – odpowiada Cora.

Robi pauzę, żeby podziękować kelnerce za sałatkę pittsburską – liście sałaty z cheddarem, gotowanym jajkiem i bekonem zwieńczone klasyczną pittsburską górą frytek.

– Frytki... na sałatce – mówi Cora, patrząc na swój talerz. – Naprawdę, Molly?

– No wiesz... – zaczynam, ale mama wchodzi mi w słowo.

– To nam się w niej najbardziej podoba! – odpowiada w moim imieniu.

Cierpnie mi skóra, kiedy wgryza się w swoją porcję i porozumiewawczo puszcza do mnie oko.

– Ja wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić – mówi Cora i spycha frytki widelcem na bok. Dopiero wtedy polewa sałatkę dressingiem. – Aha, ale wracając do tematu, obecnie bardzo wciągnęła mnie mitologia grecka. Czytałam pewną książkę o pochodzeniu mitu o Apollu...

Całe jej ciało rozpała żar ekscytacji, który już od pierwszej lekcji w liceum przykuł moją uwagę. Uśmiecham się, słuchając, jak zaczyna się zagłębiać w arkana relacji z podróży Apolla po

świecie zakończonej znalezieniem odpowiedniego miejsca pod budowę świątyni i...

Zaczynają mi cierpnąć policzki, więc przestaję się uśmiechać, moje usta zmieniają się w prostą kreskę.

Zerkam na mamę i widzę, że myślami jest gdzie indziej, nie słucha wykładu Cory.

– Chodźmy... – Próbuję zmienić temat, powiedzieć mamie, że razem uczęszczamy na wykłady z biologii, lecz Cora rozjeżdża mnie niczym walcem dalszymi szczegółami dotyczącymi jej książki.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że tak lubi mówić. Podczas imprezy byłam jej za to wdzięczna. Zapełniała słowami chwile milczenia, kiedy mnie blokowały nerwy i nie mogłam nic z siebie wykrztusić. Nigdy zatem nie zauważyłam tej jej cechy, ale... teraz, kiedy chciałabym coś powiedzieć, nie dopuszcza mnie do głosu.

Czuję, że mój kark pokrywa cieniutka warstwa potu, i obserwuję przedłużającą się scenę przede mną. Mama już całkowicie się wyłączyła, ale stara się być uprzejma, więc od czasu do czasu wtrąca odgłosy wyrażające zdziwienie albo zainteresowanie.

„Ona jej nie znosi. Mama nie cierpi Cory”.

O Boże, to był bardzo zły pomysł. A miałam nadzieję... miałam nadzieję, że polubi ją tak bardzo jak sama ją lubiłam.

Jak bardzo ją lubię.

Może Cora po prostu się denerwuje spotkaniem z moją mamą. To mogłabym zrozumieć.

Pod koniec lunchu wciąż mam przed sobą ledwie napoczętą kanapkę, bo zmieniłam się w jeden kłębek nerwów i niepewności. Proszę więc o zapakowanie jej na wynos i drepczę tuż za mamą do samochodu. Cora idzie koło mnie.

– Dzięki Bogu mnie polubiła. Nie masz pojęcia, jak się tym spotkaniem denerwowałam – szepcze, w ogóle nie wyglądając na zdenerwowaną.

Uśmiecham się i potakuję zaskoczona, ale i z uczuciem ulgi, że nie zauważyła, co moja mama naprawdę o niej sądzi.

Przy samochodzie mama wyjmuje z bagażnika cztery długie suknie, żebym sobie wybrała jedną z nich.

– Która ci się podoba? – pyta, rozkładając je przede mną.

Jest wśród nich niebieska w białe kwiaty, szałwiowa z głębokim dekoltem wyciętym w szpic oraz bardzo elegancka czarna, która zdaje się najbardziej obiecująca, jeżeli już którąś muszę wybrać, i chyba na nią się zdecyduję... bo przecież nie mogę włożyć nowych jeansów na tę studencką galę. Jest jeszcze jedna, ale tak odległa od moich upodobań, że nawet...

– O mój Boże! Ta! – wykrzykuje Cora, zdecydowanym ruchem podnosząc jaskrawoczerwoną suknię sięgającą aż do ziemi... Czwartą z nich.

– Ja też tak myślałam! – odpowiadam z nieszczerym uśmiechem.

– Naprawdę? Mogłabym przysiąc, że wybierzesz tę czarną – mówi mama, patrząc na mnie podejrzliwie.

– Nie, uwielbiam tę czerwoną – odpowiadam.

Biorę suknię od Cory i podchodzę do siedzenia dla pasażera. Dlaczego nie mogła pozwolić mi samej się tym zająć?

Droga powrotna na kampus upływa nam w grobowym milczeniu. Cały czas siedzę ze wzrokiem wbitym w czerwoną suknię leżącą na moich kolanach. Na jaskrawoczerwoną suknię.

Cora wymienia się uprzejmościami z mamą, a potem wysiada przed swoim akademikiem. Mówię jej, że już się nie mogę doczekać jutra, i patrzę, jak wchodzi do budynku.

Nic nie mówię, kiedy siedzimy w samochodzie zaparkowanym na poboczu. Mama też milczy. A to się nigdy nie zdarza.

W końcu jej głos przecina ogłuszającą ciszę.

– Cora zdaje się miła. Bardzo ją lubisz? Czy jest tak, jak to sobie wymarzyłaś?

– Nie rób mi tego – mówię.

Przygryzam kostkę palca i patrzę za okno.

– Czego? Co zrobiłam? – pyta.

– Wiem, że jej nie polubiłaś.

– Molly – wzdycha mama. – Naprawdę bardzo się cieszę, że jesteś szczęśliwa.

– Ale jej nie polubiłaś – powtarzam sfrustrowana tym, jak wiele jej opinia nadal dla mnie znaczy.

– Po prostu muszę ją lepiej poznać. Wiesz, jak to ze mną jest. Potrzebuję czasu, żeby się przekonać do ludzi.

– Naprawdę? – pytam, zerkając na nią. – Bo wcale nie potrzebowałaś czasu, żeby się przekonać do Alex.

– Co chcesz usłyszeć? – pyta mama i wzrusza ramionami. – Tak, polubiłam Alex. Ale przede wszystkim dlatego, że tamtego dnia w galerii handlowej zdawałaś się taka szczęśliwa. W jej towarzystwie inaczej się zachowujesz. Mam na myśli, że w pozytywnym znaczeniu. Byłaś bardziej... sobą niż w obecności kogokolwiek innego.

– Corze nie dałaś szansy, o Alex widocznie nie wiesz absolutnie nic. Odnoszę wrażenie, że nawet mnie słabo znasz – mówię nieco ostrzej.

– A to niby co ma znaczyć?

– Nic. Zapomnij, że to usłyszałaś – odpowiadam, starając się zapanować nad emocjami.

– Przez dwa tygodnie nie odbierasz, kiedy do ciebie dzwonię, a wytykasz mi, że już cię nie znam? Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Wiem na przykład, że nie podoba ci się ta suknia.

– Nie chodzi o suknię! – warczę gniewnie, jak nigdy przedtem. – Chodzi o mnie. Próbuję zerwać z tym, kim byłam w liceum, ale ty wciąż mnie ciągniesz z powrotem do tych czasów! Już stałam się zupełnie inną osobą niż miesiąc temu, kiedy mnie tu zostawiłaś, i to cię przeraża. Oczywiście że nie chcesz, bym chodziła z Corą, bo to znaczyłoby, że mogłabym mieć w życiu kogoś ważniejszego od ciebie! – Mama się wzdryga, ma szkliste oczy, ale od dawna pragnęłam to z siebie wyrzucić. Do tej pory jednak nie umiałam się na to zdobyć. – Przy tobie czuję, że znowu staję się takim człowiekiem, jakim nigdy więcej nie chcę być. Pamiętasz, co się stało przy restauracjach w centrum handlowym, kiedy byłaś opryskliwa dla tamtego Koreańczyka?

– Nie byłam opryskliwa, Molly. Prze...

– Owszem, byłaś. Wiesz, jak się przez to czuję? Czuję się jeszcze gorzej we własnej skórze niż na co dzień. Kocham cię, mamo, ale nie chcę, żebyś była moją jedyną przyjaciółką. Nie chcę gardzić moim koreańskim pochodzeniem tak jak ty. Nie chcę czuć niechęci do samej siebie i nie chcę, żeby przez całe życie krępowala mnie niepewność. Męczy mnie unikanie ludzi spowodowane obawą, że nie jestem dla nich dość dobra. Męczy mnie dopasowywanie się do szablonu pod wpływem strachu, że ktoś mógłby zobaczyć prawdziwą mnie.

Wstrzymuję oddech i znowu obracam się do okna po stronie pasażera, bo nie zniosłabym wzroku, którym mama na pewno teraz na mnie patrzy. Jakby w jej samochodzie siedział ktoś obcy. Jeszcze nigdy nie rozmawiałam z nią w taki sposób.

Czekam, aż zacznie kontrargumentować, przekonywać mnie, że jej potrzebuję albo że ona potrzebuje mnie, ale mama nie robi żadnej z tych rzeczy.

– Przepraszam – mówi cichutko jak myszka. Zerkam na nią i widzę, że wcale nie patrzy na mnie jak na obcego człowieka. Patrzy tak, jakbym była dla niej najukochańszą osobą na świecie i właśnie złamała jej serce, a to jeszcze gorsze. – Przepraszam, że trzymam cię pod spódnicą.

Przepraszam, że mój problem z akceptacją naszych azjatyckich korzeni odcisnął na tobie piętno. Nigdy nie chciałam być rodzicem, który sprawiłby, że poczujesz się nie dość dobra, albo blokowałby cię w jakikolwiek inny sposób. Nie jest to z mojej strony rozmyślne działanie. Przysięgam, Molly. Chcę, żebyś podejmowała decyzje na własną rękę, robiła to, na co masz ochotę, spotykała się, z kim chcesz, i miała własne życie, odrębne od naszego, ale... wciąż jestem twoją mamą i zamierzam mówić ci, kiedy się mylisz, a mylisz się na pewno co do jednej rzeczy.

Unosi brwi, jakby pytała mnie o pozwolenie.

Potakuję ruchem głowy.

– Moim zdaniem jesteś cudowna. I to wcale nie ze względu na jakieś nowe cechy, które ujawniły się dopiero w ubiegłym miesiącu. Dla mnie zawsze byłaś cudowna. Myślę, że jesteś zdolna osiągnąć w życiu wszystko, czego zapragniesz. Myślę, że możesz mieć wszystko, czego chcesz. – Poprawia się na siedzeniu tak, żeby obrócić się jeszcze bardziej przodem do mnie, i patrzy mi prosto w oczy. Mrugam, żeby powstrzymać cisnące się łzy, a mama mówi dalej: – I powinnaś być z kimś, kto podziela tę opinię i też to dostrzega, a jednocześnie chce być wobec ciebie równie samolubny jak ja. Tylko nie zgadzaj się na nic gorszego niż dokładnie to, czego pragniesz. Ani ze względu na mnie, ani na nikogo innego. Tylko to jest dla mnie ważne, bo ty, Molly Parker, zasługujesz na wszystko, co najlepsze. Zasługiwałaś na to przed miesiącem i zasługujesz teraz. Powinnaś być z kimś, przy kim zawsze możesz być sobą. Przy kim nie musisz się wysilać, żeby zrobić wrażenie.

Jej wzrok pada na suknię, którą trzymam na kolanach.

– To tylko suknia – mówię.

– Może i tak.

– Właśnie tak – mówię z naciskiem, w pewnym stopniu chcąc przekonać o tym także samą siebie.

Mama bierze głęboki wdech i patrzy za okno.

– A przy okazji wiem, że mam zwichrowany stosunek do mojego pochodzenia, ale po wszystkim, czego doświadczyłam, dorastając, nie da się pstryknąć palcami i o tym zapomnieć. Próbowałam.

– Wiem – odpowiadam, przyznając w myślach, że nigdy w pełni nie zrozumiałam, przez co musiała przejść.

– Ale wciąż próbuję. Bo naprawdę nie chcę, żebyś skończyła tak jak ja. Nie chcę, byś się wstydziła ani jednej rzeczy, z których składa się twoje życie.

Obraca się przodem do mnie, a ja uśmiecham się do niej i ujmuję jej dłoń wspartą na konsoli między siedzeniami.

– Przepraszam, że cię ignorowałam. Nie zasłużyłaś na takie traktowanie... Ani trochę.

– Co ty na to, żebyś przestała do ciebie wydzwaniać, ale spotkamy się za dwa tygodnie na lunchu, żebyś opowiedziała mi o tej gali albo... o czymkolwiek, czym zechcesz się ze mną podzielić? – pyta. – I proszę, zaprosz też Corę. Naprawdę, szczerze chciałabym ją lepiej poznać.

– To dobry pomysł – mówię.

Kiedy zaczynam zbierać swoje rzeczy, mama wyciąga rękę i delikatnie przykładą dłoń do mojego policzka.

– Hej. – Jej kciuk zatacza drobne kręgi na mojej skórze. Mięśnie mojego ciała, napięte bez przerwy, odkąd jadłyśmy lunch, w końcu się nieco rozluźniają. – Nie ma znaczenia, co sądzę ja, Noah czy ktokolwiek inny. Słuchaj, kochanie, głosu swojego serca. Tak jak zawsze do tej pory.

Cofa dłoń i wspiera ją na kolanie.

Kiwam potakująco głową, a potem otwieram drzwi i wysiadam na chodnik.



– Dziękuję za suknię i za lunch. – Unoszę torbę na ubrania i pudełko z jedzeniem z restauracji. – Kocham cię.

– Ja ciebie też. Do zobaczenia za dwa tygodnie – mówi, a ja uśmiecham się przelotnie, po czym przebiegam na zielonym świetle przez ulicę w kierunku dziedzińca przed akademikiem.

Czuję się nieco lżejsza, jakby w końcu udało się rozwiązać jakiś problem. Lecz jeszcze nie wszystko.

To powinno być dziecinnie łatwe.

Jeżeli lubię Corę, to jedynie ten fakt się liczy.

A ja naprawdę ją lubię.

Mam wszystko, o czym marzyłam przez ostatnie cztery lata.

Dlaczego więc czuję, że czegoś mi brak?

# ALEX

Wracam do Pittsburgha wieczorem następnego dnia, kiedy słońce już opada nisko nad horyzont.

Teraz, kiedy już nie muszę w każdej sekundzie martwić się o mamę, przez całą podróż gapię się w okno i myślę o... no cóż, o Molly. O tym, że jest jedyną osobą, która zrozumiałaby wagę tego, co się stało. Wiedziałyby, ile dla mnie znaczy ubiegła noc. Pojęłyby, dlaczego wszystko zmienił fakt, iż tamtego wieczoru w bibliotece odkryłam przed nią tę część swojego życia.

Jeżeli w końcu jestem zdolna stanąć twarzą w twarz z mamą i powiedzieć jej o moich uczuciach, to mogę postąpić tak samo wobec Molly.

Nawet jeżeli jest z Corą, a ja straciłam moją szansę – o ile w ogóle ją miałam – jestem jej winna przeprosiny za to, że ją zraniłam i okłamałam. Bo ona dla mnie też jest najlepszą przyjaciółką, jaką mam.

I jeżeli nawet nie mogę liczyć na nic więcej, to może przynajmniej uda mi się odzyskać jej zaufanie i dalej się nim cieszyć.

Kiedy Jim podrzuca mnie pod dom, wchodzę na profil Molly na Instagramie i widzę wysłany przed dwiema godzinami boomerang przedstawiający Noaha z olbrzymim kawałkiem pizzy w kuchni, w której smażyłyśmy palaćki.

„Aha, jest u Noaha”.

Tak więc, chociaż najbardziej na świecie chciałabym się wyciągnąć na łóżku, kluczę na rowerze uliczkami miasta, wiatr na zakrętach dmucha mi w oczy, a zielone światła przy skrzyżowaniach zmieniają się w rozmyte smugi, kiedy mijam je z dużą prędkością.

Ledwie wyruszyłam, a już skręcam w Mintwood Street, podeszwy moich conversów szurają na chodniku, kiedy szukam wzrokiem asymetrycznego białego domku przy zbiegu ulic.

Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo za nią tęsknię.

Wyciągam telefon, żeby do niej zadzwonić, ale kiedy dotykam zielonej ikonki, ekran gaśnie, bateria kompletnie padła po całonocnej podróży przez Pensylwanię.

Długo, powoli wypuszczam powietrze z płuc.

Wiem, że w ten sposób otworzyły się drzwi. Wiem, że mogłabym przez nie uciec.

Ale nie chcę.

Opieram rower o stopnie i niespiesznie podbiegam do drzwi. Moja dłoń zaciska się w pięść, unoszę ją i chwilę się waham, lecz w końcu pukam.

Zdaje się, że oddech więźnie mi w płucach, dopóki drzwi się nie uchylają i serce podskakuje w piersi, kiedy...

Pojawia się w nich Noah.

– Alex! Hej! – mówi, opierając się o futrynę. Wskazuje ruchem głowy w głąb domu. – Molly nie ma.

– Och... – Przetykam ślinę i potakuję. – A może... wiesz, gdzie da się ją teraz zastać?

– Niedawno poszła na tę imprezę w muzeum. – Waha się i odwraca wzrok, pocierając dłonią tył głowy, jakby przeczuwał, że następne jego słowa mogą mnie zabołec. – Z Corą.

Wiem, że powinnam się tego spodziewać, a mimo to tracę oddech.

– Jasne. No oczywiście! Tak. – Jedyne tyle udaje mi się wykrztusić, a potem moja dłoń mocno chwyta zimny metal poręczy i chwiejnie schodzę z najwyższego stopnia. – Ee... dzięki, Noah. Właściwie muszę... – Nie kończąc zdania, wykonuję nieokreślony gest ręką.

Odwracam się niemal jak automat i podchodzę do roweru, walcząc jak wszyscy diabli z emocjami.

– Alex! – woła mnie Noah.

Zerkam w tył i widzę, że wybiega na ganek, pędzi po schodach i zatrzymuje się przy mnie.

– Mm... muszę ci powiedzieć, że kocham moją siostrę. – Patrzy na mnie z góry, z uśmiechem błakającym się na ustach. – Trochę się o nią bałem, kiedy okazało się, że przydzielono jej jedynekę w akademiku. Bałem się, że nie będzie umiała nawiązać znajomości. Bałem się, że powtórzy się sytuacja z liceum. – Wyciąga rękę i kładzie ją na moim ramieniu. – Ale już się nie boję. W końcu zaczyna do niej docierać, jaka jest naprawdę, i sędzę, że ma to coś wspólnego z tobą. Zatem... dziękuję ci za to.

Spuszczam wzrok i lekko kopię najniższy stopień.

– No wiesz, teraz ma Corę.

Noah wzrusza ramionami.

– Może i tak. Ale to nie znaczy, że nie tęskni za tobą.

„Akurat”. Pieką mnie oczy. Podnoszę rower, szybko na niego wsiadam i nie mówiąc ani słowa więcej, oddalam się ulicą.

Zmagając się z bólem mięśni nóg, wjeżdżam na wzgórze, a potem pokonuję most wiodący do Oakland. Ciężko dyszę i z całej siły naciskam pedały. Mijam lotem błyskawicy boczne uliczki i wchodzę w zakręty.

„Po co dalej udawać? Przecież wiadomo, że mamy siebie głęboko w dupie”.

Ale to nie było udawanie. Nie da się udawać tego, co przy niej czułam. Próbowалам nie raz.

Naciskam hamulec, kiedy światła przede mną zmieniają się na czerwone. Akurat na tym odcinku drogi, który chciałam pokonać jak najszybciej.

Widzę kątem oka wznoszący się obok budynek Muzeum Sztuki im. Carnegiego, który kompletnie wypełnia sobą pole widzenia.

Lepiej już było przejechać na czerwonym.

Obracam głowę i dostrzegam wąski sznur studentów stojących tuż za drzwiami, widocznych na korytarzu za wielkimi szklanymi witrynami. Czarne garnitury i długie, barwne suknie, drinki w rękach, sztuczne uśmiechy na twarzach.

Chcę tam wejść. Znaleźć ją. To jednak byłoby samolubne.

Chcę z nią porozmawiać, ale nie wolno mi psuć jej wieczoru. Wiem, że impreza tego rodzaju może się dla nich skończyć tylko w jeden sposób – wspólnie spędzoną nocą.

Mimo to mimowolnie jej wypatruję. Jakbym chciała ją zobaczyć, gdy w długiej, czarnej sukni śmieje się, odchylając głowę. Z Corą u boku. Najbardziej na świecie chciałabym zobaczyć ją szczęśliwą i naturalną.

I kocham ją na tyle, by cieszyć się, że to Cora, a nie ja, daje jej takie poczucie.  
„Kocham ją”.

Te słowa zaskakują mnie bardziej niż trąbiący na mnie samochód za plecami. Niemal spadam z siodełka – tak gwałtownie wracam do rzeczywistości. Nie zauważyłam, kiedy zmieniły się światła na skrzyżowaniu.

Przepraszająco macham ręką do kierowcy, ruszam ulicą i nieco dalej wjeżdżam na chodnik, żeby przypiąć rower do stojaka przed biblioteką.

Nie mogę teraz wrócić do mojego mieszkania. Jeszcze nie.

Wchodzę po stopniach i nabierając powietrza głęboko do płuc, otwieram ciężkie drzwi, po czym dostaję się krętymi schodami na ostatnie piętro do miejsca między regałami, w którym przedtem siedziałam z Molly. Zapach starego papieru i materiałów introligatorskich wypełnia mi nozdrza, kiedy wolno osuwam się na podłogę.

Zamykam oczy i wspieram głowę o półki, pozwalam, żeby spowiła mnie cisza.

Myślę o mamie, która została w Erie, gdzie w końcu otrzyma taką opiekę, jakiej potrzebuje. O Molly, która kilka drzwi ode mnie zapewne trzyma za rękę Corę tak samo jak trzymała mnie na torze wrotkowym.

Biblioteka była dla mnie miejscem ucieczki, które tłumilo ból i działało jak balsam na serce, ale teraz... teraz jest miejscem, w którym te emocje się zwielokrotniają. W którym puszczają tamy.

Podciągam kolana pod brodę i łzy powstrzymywane od powrotu do Pittsburgha w końcu zaczynają płynąć strumieniem.

# MOLLY

Obcasy dosłownie wrastają mi w marmurową posadzkę, kiedy patrzę na stojącą przede mną dziewczynę.

Zielona, sięgająca ziemi suknia tak opina ciało, że widać dokładnie wszystkie zaokrąglenia i łuki, wycięcie odsłania dekolot daleko poniżej mostka, rubinowy naszyjnik na nagiej skórze jest dopasowany do kolczyków i – nieprzypadkowo – do mojej sukni.

– O mój Boże, Coro. Wyglądasz... – Uśmiecham się do niej i patrzę prosto w jej jasne oczy. – Prześlicznie.

Chichot Cory przetacza się przez westybul, stuk jej obcasów zbliża się do mnie.

– I *vice versa*. Ta suknia bardzo dobrze się prezentuje. Dokonałyśmy dobrego wyboru – mówi.

Zerkam w dół na migoczącą czerwoną suknię mamy i szpilki, które oby nie stały się dzisiaj przyczyną mojej śmierci.

– Dzięki – mówię i tak dyskretnie, jak to możliwe, naciągam materiał, żeby układał się bardziej płasko.

– Można? – pyta Cora, podając mi ramię.

Na nadgarstku nosi luźną cienką, złotą bransoletkę.

Oblewam się rumieńcem, kiedy biorę ją pod rękę i pozwalam prowadzić się do galerii.

Nie wiem, na czym miał polegać krok piąty, ale chyba można bezpiecznie założyć, że już dawno go zaliczyłyśmy.

Podchodzimy do jednego z wielu barów rozstawionych w gigantycznej sali.

– Hej, proszę nam podać dwa kieliszki chardonnay – mówi Cora.

Zaskakuje mnie, ale niestety nie udaje jej się tego zagrać tak dobrze, jak... cóż, niektórym z naszych znajomych. Barman w białej koszuli i czarnej muszce pod brodą nie ma najmniejszego kłopotu z jej rozszyfrowaniem. Bez komentarza nalewa napój imbirowy do dwóch kieliszków do szampana i podsuwa je nam na barze.

– Warto było przynajmniej spróbować – szepczę.

Kiedy zaczynamy się przechadzać po wystawie, przez większość czasu obserwuję studentów wystrojonych w swoje najlepsze kreacje i zastanawiam się, czy ktoś tu naprawdę dobrze się bawi. Nie jestem pewna, czy taki sposób zabawy mógłby komukolwiek sprawić przyjemność. Nigdy nie uważałam się za koneserkę sztuki, ale myśl o podziwianiu sztuki w obecności jej twórców napawa mnie niepokojem.

– O, hej. Ta dziewczyna chodzi ze mną na literaturę – mówi Cora i ciągnie mnie do jedne-

go z eksponatów.

Idę z nią do sekcji z obrazami wiszącymi na prowizorycznych ściankach ustawionych na środku sali. Każde dzieło jest bardzo podobne do pozostałych – amorficzne paćki różnych rozmiarów namalowane farbą o cielistej barwie na płótnach trzymetrowej wysokości.

– Lindsay? – zagaduje Cora, podchodząc do dziewczyny mniej więcej pięć centymetrów niższej ode mnie, noszącej aksamitny blezer i męskie oksfordy.

Ta unosi podbródek i mruży oczy, lecz po chwili poznaje, z kim ma do czynienia, i się rozpromienia.

– Cora! – Uśmiecha się z uznaniem, wyraźnie nią zauroczona, podobnie jak wszyscy inni.  
– Cześć. Świetnie cię widzieć.

– Ciebie też. – Cora zerka na mnie. – To jest Molly – przedstawia mnie, więc wyciągam rękę, żeby przywitać się z Lindsay. – Nie wiedziałam, że tu będziesz. To twoja praca?

– Tak, nosi tytuł *Miejsce rasy*. Tworzyłam ją prawie dwa lata – mówi Lindsay, patrząc z dumą na swoje arcydzieła.

Jej błękitne oczy lśnią na tle mlecznobiałej cery.

– Opowiedz mi, o czym opowiada – sugeruje Cora.

Lindsay zaczyna wykład o tym, że każde malowidło symbolizuje wymazywanie pojęcia rasy w kulturze amerykańskiej oraz etapy wewnętrznej podróży, którą odbyła, szukając środków wyrazu pozwalających przełożyć dokonane przez nią odkrycia na to konkretne medium.

Początkowo staram się jej słuchać, ale cała mowa zdaje się tak dokładnie przygotowana i sucha, że szybko zaczynam tracić zainteresowanie.

Może jednak trzeba było zaprosić Corę na wrotki. To byłaby dziesięć razy lepsza zabawa. Podrzędne kurczaki, piwo korzenne, a kto wie, pewnie i limbo?

– Miło było cię poznać, Molly – mówi Lindsay, wyrывая mnie z zamyślenia i przywołując do teraźniejszości.

Podchodzi do innych studentów, którzy zabłąkali się w okolice jej prac. Zerkam przez ramię na największy z obrazów. Próbuję zrozumieć, w jaki sposób każdy z nich ma symbolizować coś innego, jeśli wszystkie dziesięć wyglądają identycznie.

Ponadto sądzę, że sama umiałabym namalować to samo, ale jestem niemal pewna, że takich rzeczy się nie mówi na wystawie sztuki.

Uderza mnie zabawna myśl, kiedy patrzę na stłoczone na wielkim płótnie brązowe, czarne i brunatne kształty. Odkąd to sobie wyobraziłam, nie da się patrzeć na nie inaczej.

– Hej. – Pochyliłam się do Cory i z najwyższą trudnością powstrzymując śmiech, szepczę jej do ucha: – Czy to ci nie przypomina tak jakby... gigantycznych półdupków?

Chichoczę nieco głośniej. To naprawdę tak wygląda.

Ale Cora nie śmieje się ze mną. Mruży oczy i potrząsa głową.

– Ee... nie. Mnie się z tym nie kojarzy – mówi.

– A, no tak. Nie, rzeczywiście. Przepraszam. – Wskazuję kciukiem nad moim ramieniem.  
– Chcesz iść dalej?

Cora się uśmiecha i potakuje, dzięki Bogu zapominając o moim nieśmiesznym żarcie.

Kiedy przemierzamy się z miejsca na miejsce, Cora komentuje mnóstwo obrazów, szkiców i rzeźb, ale tak jak ona nie dostrzegła pośladek, tak samo ja nie widzę połowy wskazywanych mi przez nią zalet.

Mimo to wytrzymuję u jej boku, kiedy rozmawia z milionem ludzi o milionie różnych eksponatów, chociaż twarz mi drętwieje od uśmiechania się za każdym razem, kiedy na mnie spogląda. Wolałabym, żebyśmy byli tu tylko we dwie, ale wygląda na to, że Cora czuje się w takich sytuacjach społecznych jak ryba w wodzie, więc możliwe, że tak już będzie zawsze...

W drodze od jednego eksponatu do kolejnego rozbrzmiewa sygnał mojego telefonu.

To SMS od Noaha.

Alex tu była. Szukała Cię. Już sobie poszła, ale pewnie chciałabyś o tym wiedzieć.

Gwałtownie wciągam do ust powietrze, a dzwonki w uszach zagłuszają wszystkie dźwięki dochodzące z galerii.

„Alex mnie szukała”.

Dlaczego Alex mnie szukała?

Ciekawe, czy przyszła przeprosić?

Ciekawe, czego chciała.

Ciekawe, czy ona też pomyślałaby, że tamten obraz wyglądał jak...

„Tak”. Uśmiecham się do swoich myśli. „Wiem, że tak”.

Uśmiełybyśmy się. Tylko my dwie, bo nikogo innego by to nie śmieszyło, ale to nic.

A potem poszłybyśmy na mrożony jogurt i spacerowały po kampusie tak długo, jak długo dusza zapagnie, rozmawiając o rzeczach, o których nigdy dotąd z nikim nie rozmawiałyśmy.

Dobrych i złych. Bez różnicy. Rozmawiałybyśmy o wszystkim.

O Boże, ależ tęsknię za...

„Nie”. Wcale nie. Bo jak sama stwierdziła, to nie było prawdziwe, więc za czym tu tęsknić?

Prawdziwe okazało się tylko to, że jest samolubna, przemądrzała, potwornie beznadziejna w jeździe na wrotkach, brutalnie szczerza... chociaż to czasami bywa śmieszne, niezależna, lojalna, wyluzowana i...

– Hej, Molly.

Głos Cory wrywa mnie z rozmyślań i przenosi z powrotem na galę sztuki.

– Tak? – pytam, odpędzając mruganiem przeszłość.

Dociera do mnie, że znalazłyśmy się same w odludnym kącie galerii.

Cora stoi przede mną i nerwowo wykręca dłonie. Takiej jej jeszcze nie widziałam. Chwyta mnie za rękę, czym zupełnie mnie zaskakuje.

Oddech więźnie mi w gardle, galeria się chwieje, jakby marmur pod naszymi stopami nagle zmienił się w galaretę. Cora stoi przede mną, patrzy mi prosto w oczy.

Jej dłoń... Czuję ją tak wyraźnie w mojej dłoni, zdaje się ciałem obcym – czymś, co nie powinno się tam znajdować. Kiedy Alex wzięła mnie za rękę i pociągnęła po schodach do biblioteki, było to tak naturalne uczucie, że niemal tego nie zauważyłam.

– Cieszę się, że dzisiaj tu ze mną przyszłaś. Chcę ci coś powiedzieć – mówi bardzo cicho.

Czuję w piersi ucisk niemal sprawiający ból.

– Mam... ee, żywię do ciebie pewne uczucie – mówi, a ja czuję, że moje usta wyginają się w uśmiech, gdy docierają do mnie słowa, których nigdy nie spodziewałam się od niej usłyszeć.

To jest to. Udało mi się! Udało się nam.

Twarz Alex znowu staje mi przed oczami – jej ciekawskie, zielone oczy przetykane żyłkami złota przy samych źrenicach, jej drobny nos, blade usta.

Cora podchodzi o krok, czubki jej butów dotykają moich i tak jak z Alex w bibliotece, ledwo daje się to zauważyć, ale czuję, że przestrzeń między nami staje się coraz węższa.

Przypominam sobie Alex siedzącą pod regałem z książkami, ze stopą tak samo dosuniętą do mojej stopy. Opowiadała mi o swoim życiu, o przyszłości, którą tak desperacko próbuje sobie wykuć. O przyszłości, która w końcu nabiera dla niej realnych kształtów.

Cora przesuwając dłoń do moich nadgarstków, przenosi je w górę przedramion, przytrzymuje moje łokcie. Zaczyna się do mnie pochylać, jej powieki wolno się opuszczają.

Ja też próbuję zamknąć oczy, ale... To w ogóle nie wydaje się naturalne. Wcale nie jest

tak, jak miało być.

Nagle wraca kolejne wspomnienie...

Pamiętam, jakie naładowane elektrycznością było powietrze między mną i Alex, kiedy patrzyliśmy na siebie tamtego wieczoru w bibliotece. Jakby jakaś nieokiełznana moc pchała mnie ku niej.

Pamiętam, że czułam bicie swojego serca w każdym zakamarku ciała.

I że zapłaciłabym każdą cenę, byleby znaleźć się blisko niej.

Patrząc na Corę pochylającą się do mnie kilka centymetrów od mojej twarzy, uświadamiam sobie nagle, że bez względu na to, jaka jest piękna i jak bardzo zdawała się idealnym dla mnie wyborem, to jednak wyobrażenia mijają się z rzeczywistością.

Nie mogło być inaczej, dlatego że Cora, którą – jak sądziłam – mogłabym kochać, istniała jedynie w mojej głowie. Nie była prawdziwa. I chociaż wciąż jest zachwycająca, zabawna, pociągająca...

Po raz pierwszy dociera do mnie prawda.

Rozumiem.

Fantazjowanie na czyjś temat to nie to samo co...

Miłość.

– Coro. – Zamiera bez ruchu tak blisko mnie, że jej twarz traci ostrość. – Coro – powtarzam, a ona się odsuwa i staje wyprostowana. Oczy zachodzą mi łzami, kiedy myślę o tym, co muszę zrobić. – Prze... przepraszam... bardzo, bardzo przepraszam, ale nie mogę tego zrobić – szepczę i ocieram łzę.

– Co? – dziwi się Cora, cofając się o krok.

Biorę głęboki wdech.

– Coro, od dawna mi się podobasz. Nie masz pojęcia, jak długo jestem tobą zauroczona. Kiedy poszłam do college'u, chciałam coś zmienić. Sama chciałam się zmienić... dla ciebie. Naprawdę nie jestem taką osobą, jaką dałam ci się poznać w ciągu ubiegłego miesiąca. Nie przepadam za rugby, za musicalami ani za sztuką. Nie cierpię tej sukni. Wyglądam w niej jak ozdoba choinkowa, a w tych szpilkach dosłownie nie czuję stóp. Alex pomagała mi zmienić się w taki sposób, który, jak mi się zdawało, mógł wzbudzić twoje zainteresowanie, ale... mimochodem chyba odkryłam... cóż, siebie. – Uwalniam się z jej objęć i oddalam się o krok, po czym ujmuję jej dłoń. – Coro, czy... mogłybyśmy pozostać jedynie przyjaciółkami?

Wygląda na zranioną, oszołomioną, ale potakuje ruchem głowy, robiąc przy tym kilka kroków w tył.

– Przepraszam. Właściwie muszę już iść, dobrze? – pytam, ściskając na pożegnanie jej dłoń.

Wychodzę niepewnym krokiem w chłodne nocne powietrze i idę chodnikiem wzdłuż budynku muzeum imienia Carnegiego. Wyjmuję z torebki telefon, po czym tak szybko, jak to możliwe, wybieram numer Alex. Nie słychać ani jednego dzwonka – od razu włącza się poczta głosowa.

Rozłączam się i wybieram numer jeszcze raz. Czuję, że serce za chwilę wyrwie mi się z piersi.

Poczta głosowa.

Cholera!

Zatrzymuję się u zbiegu ulic i wspieram dłoń na biodrach. Dociera do mnie, jak bardzo mam obolałe stopy z powodu tych śmiertelnych pułapek.

Pamiętam wciąż to wszystko, co usłyszałam od niej podczas koncertu, i cichutki głosik w mojej głowie przekonuje mnie, że to zły pomysł – że ona naprawdę ma mnie w nosie, a teraz



znowu powie to samo i wszystko diabli wezmą.

Uciszam go jednak, bo wszystko, co mi powiedziała tamtego wieczoru, było wierutną bzdurą. Powinam już wtedy przejrzeć jej słowa, ale przynajmniej teraz to widzę.

Alex nie udawała. Takie chwile jak ta w bibliotece mogą wynikać jedynie z prawdziwych uczuć.

Muszę z nią porozmawiać.

Muszę jej powiedzieć, co czuję.

Unoszę telefon do ucha i znowu wybieram jej numer, przechodząc przez ulicę po drodze do jej mieszkania.

Słuchając kolejny raz powitania poczty głosowej, wyławiam kątem oka rzecz, która sprawia, że staję jak wryta z telefonem przy uchu.

Fluorescencyjny pomarańczowy rower przypięty do stojaka przed biblioteką.

„No oczywiście”.

Wbiegam po cementowych schodach, przeskakując po dwa stopnie, co okazuje się wielką pomyłką. Na ostatnim stopniu wykręca mi się kostka, a ja przytrzymuję się poręczy, żeby wysokie obcasy nie wyrządziły mi jeszcze więcej szkód.

„Och, pieprzyć je”.

Zdejmuję szpilki i niosąc je w jednej ręce, drugą niemal wyrywam drzwi wraz z zawiasami.

Pędzę sprintem przez hol główny w mojej długiej sukni i chociaż widzę, że ów widok sprawia, iż wszystkie głowy zwracają się w moim kierunku, mam to gdzieś.

Po prostu muszę ją znaleźć.

Wyteżam mięśnie, żeby dostać się na ostatnie piętro, a potem okrążam słupek schodów i z trudnością chwytając oddech, mknę między regałami, które rozmazują się, przenikają, aż w końcu...

Tam.

Zatrzymuję się i patrzę, jak siedzi na podłodze z książką na kolanach. Tak bardzo się spieszyłam, a mimo to teraz stoję nieruchoma, gdy jej postać wyzwala rzekę wspomnień związanych ze wszystkim, co się zdarzyło w ubiegłym miesiącu...

Impreza i wykłady z biologii.

Zakład, o który poszliśmy w kafeterii.

Nabór do drużyny rugby i mrożony jogurt.

Zakupy z mamą i moje pierwsze podejście do kuchni koreańskiej.

Ping-pong.

Limbo.

Koncert.

Nasza kłótnia.

Cora.

Wszystko.

Prowadziło mnie tutaj.

Prowadziło mnie... do niej.

# ALEX

Przewracam stronę książki, którą trzymam, ale słowa zlewają się ze sobą. Przypomnienie sobie zdań, które próbowałam czytać w ciągu ostatniej godziny, okazuje się niemożliwe.

Wzdycham, zamykam książkę i zaskoczona widzę plamę czerwieni, kiedy obracam głowę. Błyszczące cekiny migoczą lekko w słabym świetle biblioteki.

Dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, na co patrzę.

Molly. Tutaj. W migoczącej czerwonej sukni, z włosami zaczesanymi do tyłu i ustami w rubinowym kolorze.

Wygląda... prześlicznie.

I radośnie. Jej uśmiech błyszczy jeszcze bardziej niż suknia.

Pewno oficjalnie zaczęła chodzić z Corą podczas tej ich małej gali w muzeum. Może nawet się pocałowały w jakimś ciemnym kącie wystawy pasteli czy tam akwareli.

Odkasłuję i wstaję, książkę zaś odkładam na miejsce na półce.

– Nie zgadłabym, że jesteś typem dziewczyny, która się wozi w czerwonych sukniach – mówię, nie odrywając wzroku od złocistych liter na grzbiecie książki i jej wyblakłej etykiety pod odstającym paskiem taśmy klejącej.

Molly milczy, wiem zatem, że to moja kolej, żeby coś powiedzieć. Przeprasić.

Biorę głęboki wdech, wolno odsuwam palce od grzbietu książki.

– Wczoraj w nocy... ee... zawiozłam mamę na odwyk – mówię. – I przez całą drogę powrotną do Pittsburgha myślałam tylko o tym, że jesteś jedyną osobą, której chciałam to powiedzieć i przyznać się, że wszystko sieprzyłam. Że jest mi strasznie wstyd za to, co powiedziałam tamtej nocy na koncercie. Bo przecież się nie myliłaś. Co do Natalie. I całej reszty. Ale ja nie chciałam słuchać, więc zamiast tego porwałam wszystko na strzępy i zadałam ci ból. – Wzdycham ciężko i obracam się twarzą do niej. – Molly, nie miałam na myśli tego, co powiedziałam...

– Wszystko z nią w porządku? Jak się czujesz? – pyta, a ja nawet nie ukrywam łez, które napływają mi do oczu.

– Tak. Wjechała samochodem w słup telefoniczny, ale... wszystko z nią w porządku. Wszystko z nami w porządku – dopowiadam. – Ale chciałabym, żeby między tobą i mną też było dobrze.

Zapada chwila milczenia, po której Molly robi maleńki krok naprzód.

– Przyszło ci kiedykolwiek na myśl, że będziemy parą? – pyta, oddychając nierówno.

Zamieram bez ruchu, jej słowa zbijają mnie z tropu.

– Co?

Molly unosi brwi. Widzę, że jej pierś gwałtownie unosi się i opada, w prawej ręce trzyma parę szpilek. Biegła?

– Ty i ja – mówi, wskazując nas obie. – Przyszło ci kiedyś na myśl, że mogłybyśmy stanowić parę?

Otwieram usta, ale pierwszy raz w życiu mam problem ze znalezieniem właściwych słów. Wydostaje się z nich tylko jedno. Prawdziwe.

– Tak.

– Nadal tak sądzisz? – pyta, sypiąc sól na moje rany.

Potrząsam głową i odwracam wzrok.

– Ty chcesz być z Corą.

Molly milczy dłuższą chwilę wypełnioną głośnym tętnem krwi. Zdobywam się jedynie na tyle, żeby patrzeć na brzeg jej sukni. Cekiny rzucają na podłogę wąziutkie promienie światła.

– W każdej sekundzie spędzonej z Corą w ubiegłym tygodniu myślałam o tobie. O tym, że chciałam być z tobą. – Słyszę, że wypuszcza przeciągle powietrze z płuc. – Było tak, jak mówiłaś. Konfrontacja rzeczywistości z fantazjami. Długo trwało, zanim do tego doszłam. Za długo. Ale przebywając z tobą, czułam się lepiej niż w jakiegokolwiek fantazji, która zrodziła się w mojej głowie. Nigdy nie sądziłam, że mogę się poczuć kimś takim. Człowiekiem, którym naprawdę jestem.

Unoszę głowę i widzę, że robi krok naprzód.

– Stąd wiedziałam, że tamtego wieczoru nie mówiłaś prawdy. Wiem, jaka naprawdę jesteś. Tak samo jak ty wiesz, kim naprawdę jestem ja – dodaje.

Jej twarz znajduje się zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy, jej oczy patrzą ciepło, uczciwie, powietrze między nami iskrzy od ładunków elektrycznych. Molly rozchyła wargi i chwilę się waha, lecz słowa dalej padają z jej ust wraz z uśmiechem.

– To od początku miałaś być ty, Alex.

Pod wpływem tej deklaracji bariery, które wzniosłam, żeby odgrodzić się od reszty świata, w końcu zostają skruszone. Puszki, w których zamykałam swoje emocje, ulegają całkowitej dezintegracji.

Zostaje tylko Molly, ja i ta energia, która od samego początku mnie do niej przyciąga. Żadna z nas jednak już się przed nią nie broni.

Zamykam oczy, zamieram w miejscu, tymczasem Molly staje na palcach i nagle nieomal zapominam, jak się oddycha. Jej wargi ledwie mnie muskają, lecz i tak udaje im się sprawić, że moje ciało płonie.

Wyciągam do niej rękę, ale nie zdążam jej do siebie przyciągnąć, bo ona pierwsza rzuca się na mnie i wpadamy obie na regał. Kilka książek spada z głuchym tąpnięciem na podłogę, lecz Molly nie przestaje mnie całować. Obejmuję ją rękami, moje dłonie wędrują do jej bioder, jej ciało przywiera ciasno do mojego ciała. Słyszę, że buty na szpilkach spadają na ziemię, i dłonie Molly prześlizgują się po moim karku, wplatają się we włosy. Nie dzieli nas ani centymetr wolnej przestrzeni, a mimo to zdaje mi się, że jesteśmy jeszcze nie dość blisko.

Całowałam się... z wieloma osobami, ale nigdy nie czułam czegoś takiego. Podłoga, sufit i regały pełne książek topnieją, wszystko się rozplywa, zostajemy tylko my, dotyk jej obszytej cekinami sukni pod moimi dłońmi, serce walące tak mocno w mojej piersi, że na pewno Molly też je czuje.

Kiedy się wreszcie od siebie odrywamy, Molly wspiera czoło o moje czoło i roztańczony uśmiech wypływa jej na usta. Molly kołysze się w przód i w tył w moich objęciach.

– Wiesz, że nigdy mi nie zdradziłaś, na czym miał polegać piąty krok? – pyta.

Śmieję się i lekko wzruszam ramionami.

– Dlatego że do niego nie dotarliśmy.  
Molly odsuwa się i pytająco unosi brwi.

– A co nim było?

– To proste – mówię i unoszę rękę, żeby założyć jej za ucho luźny kosmyk włosów. –

Krok piąty: powiedz jej, co czujesz.

Moja dłoń zsuwa się po jej twarzy, zatrzymuje się na policzku, kciuk delikatnie gładzi jej skórę.

– A jak ty się czujesz? – szepcze Molly, jakby nie wiedziała, że kompletnie skradła moje serce kawałek po kawałku, począwszy od pierwszego dnia na wykładzie z biologii i potem, kiedy poszliśmy na mrożony jogurt, oraz na randce na wrotkach z guzem na czole i całą resztą.

– Jakbym była w tobie zakochana po uszy, Molly Parker.

Przychodzi mi to... naturalnie. Słowa, których przez wiele lat tak się bałam, nagle nasuwają mi się łatwiej, niż mogłabym to sobie wyobrazić.

– Ja też cię kocham, Alex Blackwood – mówi Molly.

Nigdy nie podejrzewałam, że zwrot „kocham cię” może oznaczać właśnie coś takiego – absolutną akceptację mnie takiej, jaka jestem, bez żadnych dodatkowych warunków.

To jak powrót do domu, a nie sygnał do ucieczki.

Palce Molly rozplatają się na moim karku, ześlizgują się w dół.

– Wygląda na to, że jednak udało mi się zdobyć serce wymarzonej dziewczyny – mówi.

– A widzisz? Mówiłam ci, że mój plan działa.

– Nie gadaj. – Molly się śmieje, chwytając mnie za T-shirt pod szyją i przyciąga do kolejnego pocałunku.

A ja w końcu posłusznie przestaję gadać.

# PODZIĘKOWANIA

Cała ta książka i fakt, że mogłam ją napisać razem z moją najlepszą przyjaciółką i żoną, jest absolutnym spełnieniem marzeń. Wielu ludziom należą się podziękowania za to, że nam to umożliwili.

Przede wszystkim ogromne dzięki musi przyjąć nasza niesamowita redaktor, Alexa Pastor. Niniejsza książka powstawała gładko od początku do końca, nabierając ostatecznych kształtów po każdej rundzie redakcji, przede wszystkim dzięki Tobie. Twoje uwagi robią na mnie ogromne wrażenie, czystą przyjemnością jest obserwowanie, jak wymyślone przez nas historie są formowane i radykalnie ulepszone Twoją ręką. Zdrowie czwartej książki, Alexa!

Jestem pełna wdzięczności wobec mojej niesamowitej, niezwyklej agentki, Emily van Beek z Folio Literary. Dostrzegłaś potencjał tej opowieści i poświęciłaś czas oraz starania nie tylko mojemu pisarstwu, ale też pisarstwu Alyson. Jesteś absolutnie najlepsza!

Nie mniej WIELKIE podziękowania kieruję do Elissy Alves za przygotowanie najpiękniejszych ofert dla agentów i wydawców, jakie widział świat. To prawdziwe dzieła sztuki!

Justin Chanda, Kristie Choi, Julia McCarthy, Audrey Gibbons, Shivani Annirood i cała reszta cudownego zespołu Simon & Schuster niech przyjmą słowa: DZIĘKUJĘ, DZIĘKUJĘ, DZIĘKUJĘ. Jestem niezmiernie wdzięczna każdemu z Was i uważam się za szczęściarę, mogąc Wam powierzyć moje opowieści.

Siobhan Vivian dziękuję za zajęcia w Pitt, dzięki którym mam dzisiaj żonę, karierę i najlepszą mentorkę, jaką dziewczyna może sobie wymarzyć. Zajęcia z pisania literatury młodzieżowej naprawdę zmieniły moje życie – i to zawdzięczam właśnie Tobie.

Dziękuję mamie, Edowi, Judy, Mike'owi, Luke'owi, Liannie i Aimee za to, że są załogą, na którą zawsze mogę liczyć, czy to w grze *Moonrakers*, czy podczas rodzinnych kolacji. Kocham Was wszystkich!

I wreszcie, choć bynajmniej nie na szarym końcu, dziękuję mojej żonie, współautorce i najlepszej przyjaciółce, Alyson Derrick. To dla mnie zaszczyt, że mogłam brać udział w powstaniu Twojej pierwszej książki, i już nie mogę się doczekać zostania najbardziej entuzjastyczną cheerleaderką wszystkich następnych, które napiszesz. Jestem z Ciebie bardzo dumna, Ace. Kocham Cię.

Rachael

To zwariowane. Nie do wiary, że naprawdę piszę podziękowania na końcu książki. Mnóstwo osób pomogło mi dotrzeć do tego momentu.

Dziękuję przede wszystkim Tobie, Siobhan Vivian, za to, że przeczytałaś nasz „gówniany” pierwszy szkic powieści i dosłownie rozniósłaś go na strzępy. Dzięki Tobie ta historia jest o wiele obszerniejsza i zdecydowanie lepsza niż na początku. Dzięki za to, że zawsze znajdowa-

łaś czas, by pomóc mi i Rachael. Bez względu na to, czy chodziło o przydzielenie nam zadań, znalezienie dla nas pracy czy po prostu wspólne śniadanie, nigdy nie zdarzyło mi się mieć równie oddanej nauczycielki. Cieszę się, że mogę Cię nazywać moją przyjaciółką.

Emily Van Beek, agentka wszystkich agentów (IMO), dziękuję Ci za wzięcie mnie pod Twoje skrzydła. Dziękuję, że uwierzyłaś w moje zdolności jako współautorki i autorki. Nasza rozwijana przez cały ubiegły rok znajomość jest dla mnie czystą przyjemnością.

Dziękuję mojej redaktor, Aleksie Pastor, za to, że tak wiele czasu i uwagi poświęca każdej redakcji. Byłam zachwycona, widząc, jak bardzo poprawiła się jakość tej książki między pierwszą jej wersją sprzed redakcji i drugą – po niej. Stało się tak dzięki Tobie. Dziękuję też Kristie Choi, Justinowi Chandzie i reszcie pracowników Simon & Schuster za Waszą ciężką pracę i za umożliwienie mi spełnienia marzeń.

Dziękuję mojej mamie – Beth mojej Molly. Dziękuję, że byłaś dla mnie najlepszą przyjaciółką, której tak bardzo potrzebowałam w ciągu ostatnich dwóch lat szkoły średniej i podczas przejścia do college'u. Dziękuję za wszystkie wieczory, które spędziłyśmy, oglądając słabe filmy na SyFy i opychając się chipsami na Twoim łóżku. Dzięki za wszystkie podwójne zmiany w pracy, które brałaś po to, żebyśmy mieli zarąbiste Święta. Dzięki za wycieczki, żarty i przytulaski. I za to, że zawsze – zawsze! – jesteś, kiedy Cię potrzebuję. Nawet teraz.

Tacie dziękuję za uświadomienie mi, że najlepsze rzeczy w życiu zawdzięczamy rodzinie. Dziękuję, że wychowałaś mnie tak, bym miała twarde tyłek, ale nauczyłaś też, że nie ma co wstydzić się łez. Ponadto... gdzie byłabym bez Twojego niezłomnego wsparcia dla mojego pierwszego bohatera literackiego, Lolytosa Dinkusa? Pewnie pracowałabym w food trucku. Dziękuję, że zawsze we mnie wierzysz. Kocham Cię, Tato (z południowym zaśpiewem).

Dziękuję moim dwóm starszym braciom i jednym z najlepszych kumpli, jakich mogłabym sobie życzyć. Mike, dzięki za Twój zaraźliwy entuzjazm wobec dosłownie wszystkiego w życiu. Uważam, że jesteś jednym z najfajniejszych ludzi, którzy kiedykolwiek chodzili po Ziemi. A Tobie, Luke, dziękuję za przyjaźń i za to, że zawsze słuchasz, co mam do powiedzenia. Odnowienie kontaktów z Wami, kiedy dorośliśmy, było cudownym doświadczeniem. Naprawdę Was kocham, chłopaki.

Babciu, chcę Ci powiedzieć, że jesteś najsilniejszą, najtwardszą istotą ludzką, jaką znam. Uważam Cię za wzór jeszcze bardziej niż w czasach podstawówki, kiedy napisałam tamten wierszyk. Byłaś i zawsze będziesz moją bohaterką. Kocham Cię.

I wreszcie mojej żonie dziękuję za te odlotowe, cudowne dwa tygodnie na początku ostatniego roku studiów. Dziękuję za to, że zawsze jesteś dla mnie przede wszystkim najlepszą przyjaciółką, za cierpliwość i za to, że pozwoliłaś mi, żebym do wszystkiego doszła sama. Nie wiem, dlaczego tak długo trwało, zanim się domyśliłam, że to od początku miałaś być Ty. Jesteś dla mnie wszystkim, czego potrzebowałam, a nigdy nie spodziewałam się dostać. Nie wiem, jak mogłam żyć bez Ciebie. Kocham Cię, Rachael Jane. Zawsze będę Cię kochać.

Alyson

## **PRZYPISY**

[1] William Shakespeare, *Wieczór Trzech Króli*, przeł. Piotr Kamiński, WAB 2012.

